

# Winston Graham

## Marnie

*Marnie Elmer od paru lat była... złodziejką. Dostawała pracę, zdobywała szacunek, a potem się ulatniała. Z gotówką pracodawcy. I śła d po niej ginął. Do czasu. Bo tym razem ktoś domyślił się wszystkiego. Mark Rutland uratował ja od więzienia... bo jest zakochany. Marnie jednak boi się zbliżyć do Marka. Zwłaszcza gdy ten chce poznać jej przeszłość. Tę mglistą i niezrozumiałą dla samej Marnie...*

## Rozdział 1

Dobranoc pani — usłyszałam od strażnika, idąc w dół po schodach, na co odpowiedziałam „dobranoc”, zastanawiając się, czy byłby tak miły, gdyby wiedział, co było w mojej aktówce.

Ale on nie mógł mieć o tym zielonego pojęcia. Wzięłam taksówkę i pojechałam do domu. Była to pewna rozrzutność, mogłam przecież zwyczajnie pojechać autobusem, ale był to szczególny dzień, a trzeba sobie przecież czasem sprawiać przyjemność. Wsiadłam z taksówki na końcu ulicy, doszłam do mojego mieszkania i otworzyłam drzwi. Niektórzy uważaliby zapewne, że musi doskwierać mi samotność, skoro mieszkam sama niemal przez całe życie, jednak ja nigdy w ten sposób o tym nie myślałam. Zawsze mam czym zająć myśli, choć być może niezbyt dobrze sobie radzę w kontaktach z ludźmi.

Po wejściu zaraz zdjęłam płaszcz, rozpuściłam włosy i zaczęłam je rozczesywać przed lustrem. Potem, nadal w odświeżającym nastroju, zrobiłam sobie drinka, gin z wermutem. Popijając, przestudiowałam rozkład jazdy pociągów i opróżniłam dwie małe szuflady. Następnie wzięłam kąpiel, już drugą tego dnia. Nie wiem, na czym to polega, ale taka kąpiel pomaga usunąć brudy nie tylko z ciała.

Gdy byłam jeszcze w wannie, zadzwonił telefon. Oczekałam chwilę, potem wyszłam z gorącej wody, okręciłam się dokładnie ręcznikiem i podeszłam do telefonu.

— Marion?

— Tak, to ja.

— Mówi Ronnie.

Mogłam przypuszczać, że to on.

— Aa, cześć.

— Czy mi się wydaje, czy twój głos nie brzmi zbyt entuzjastycznie?

— Hmm, wiesz, nie bardzo mi to teraz na rękę. Właśnie brałam kąpiel.

— Ach, na samą myśl robi mi się gorąco! Szkoda, że nie mam kamery w telefonie...

Cóż, mogłam się tego spodziewać po Ronniem.

— Nadal chcesz jutro jechać sama? — zapytał.

— Ronnie, mówiłam ci to już co najmniej pięć razy.

— Dziwna jesteś. Spotykasz się z kimś?

— Nie, oczywiście, że nie. Mówiłam ci już. Chcę spędzić weekend z koleżanką ze szkoły w Swindon.

— To pozwól się chociaż odwiedzić.

— Ronnie, kochanie, czy nie możesz tego zrozumieć? Chcemy być same, żadnych mężczyzn. Chcemy sobie po prostu powspominać stare, dobre czasy. Rzadko się teraz widzimy.

— Za dużo od ciebie wymagają w tym biurze. Niedługo wpadnę do starego Pringle'a i porozmawiam z nim. Atak na serio...

Zahaczyłam paznokciem o drzwi i lakier odprysnął. Będę musiała to poprawić, pomyślałam. — To co?

— Czy mogłabyś mi podać numer telefonu do siebie?

— Nie sądzę, żeby tam był telefon. Ale spróbuję do ciebie zadzwonić.

— Obiecuj mi, że zadzwonisz jutro wieczorem.

— Nie mogę ci tego obiecać. Nawet nie wiem, gdzie tam będzie najbliższa budka telefoniczna. Ale obiecuję, że się postaram.

— O której? Koło dziewiątej?

— Ronnie, trzęsę się z zimna. Cieknie ze mnie woda i zrobiła się ogromna plama na dywanie.

Mimo to nadal trzymał mnie przy telefonie jak jakiś naciągacz, przedłużając ile się da pożegnanie. Gdy wreszcie odłożyłam słuchawkę' byłam prawie sucha, a woda wystygła, więc popudrowałam się talkiem i zaczęłam się ubierać. Wszystko miałam nowe: biustonosz, majtki, pończochy, sukienkę. Nie tylko dlatego, że przywiązuję wagę do stroju. Po prostu nabrałam takiego zwyczaju. Może pod tym względem jestem trochę dziwna, ale wszystko musi być tak, jak należy. Tak samo z ludźmi. Z tego powodu należało jak najszybciej wydostać się jakoś z zacieśniającej się relacji z Ronniem Olive-rem. Ludzie... Problem z nimi polega na tym, że nie można ich tak po prostu skreślić ani wyrejestrować. Najeżdżają na twoje terytorium i psują ci plany — tylko dlatego, że dajesz im do zrozumienia, że nie mają szans. Ronnie, oczywiście, myślał, że jest we mnie zakochany. Wielka mi namiętność. Spotkaliśmy się kilkanaście razy, bo ciągle mu odmawiałam,

mówiąc, że jestem umówiona z kimś innym. Cała ta sprawa należała już jednak do przeszłości.

Rzeczy do wyrzucenia spakowałam do walizki, którą ledwie zamknęłam. Człowiek zawsze zdoła nagromadzić jakieś rupiecie, nawet w ciągu zaledwie paru miesięcy.

Rozpoczęłam obchód mieszkania, począwszy od małej kuchenki. Obejrzałam ją dokładnie, centymetr po centymetrze. Jedyne, co zauważyłam, to tani ręczniczek kuchenny, który kupiłam tuż po Bożym Narodzeniu — on też dołączył do pozostałych rzeczy do wyrzucenia. Potem sprawdziłam łazienkę, a na końcu sypialnio-salon.

Od kiedy zostawiłam płaszcz w Newcastle w zeszłym roku, jestem bardzo uważna. Tak bardzo przyzwyczajamy się do widoku pewnych rzeczy, że z czasem przestajemy je zauważać, a potem zostawiamy coś, po co, niestety, nie możemy już wrócić.

Zdjęłam kalendarz i włożyłam go do walizki. Potem włożyłam płaszcz i kapelusz, wzięłam walizkę, aktówkę i wyszłam z mieszkania.

W zajeździe „Old Crown” w Cirencester ucieszyli się na mój widok.

— Ostatnio była pani u nas trzy miesiące temu, nieprawdaż, pani Elmer? Zamierza pani tym razem zostać dłużej? Oczywiście, damy pani ten pokój, co zwykle. W tym miesiącu aura nie sprzyja polowaniom. Ale pani przecież nie poluje, nieprawdaż? Bagaże zaraz zostaną zanesione na górę. Napije się pani herbaty?

Podczas pobytu w „Old Crown” zawsze przybywało mi parę centymetrów. Dość często brano mnie teraz za damę — zabawne, jak łatwo to osiągnąć. Jednak tylko tutaj sama niemal w to wierzyłam. Rustykalna sypialnia wychodząca na podwórze, ozdobne łoże i stale ci sami służący, stanowiący jakby część wyposażenia, codzienna wyprawa na farmę Garroda, do Foria, wielogodzinne przejażdżki, w trakcie dnia lunch w małym pubie i powrót do „Old Crown” późnym wieczorem. To było prawdziwe życie. Tym razem zamiast dwóch tygodni, spędziłam tam prawie miesiąc. Nie czytałam gazet. Czasami myślałam o Crombie & Strutt, ale jakoś tak niekonkretnie, tak jakbym to nie ja tam pracowała, tylko ktoś inny. To zawsze pomaga. Od czasu do czasu zastanawiałam się, jak moją nieobecność przyjął pan Pringle i czy Ronnie Oliver nadal czekał na mój telefon, ale nie przejmowałam się tym zbyt.

Po czterech tygodniach pojechałam do domu na dwa dni, ale powiedziałam, że jestem tylko przejazdem, i wyjechałam w sobotę. Zostawiłam większość moich rzeczy w „Old Crown”, przenocowałam w Bath w hotelu

„Fernley”, podając się za Enid Thompson, a w rubryce „poprzedni adres” wpisałam „Hotel Grand, Swansea”. Rano kupiłam walizkę i wiosenne ubrania, potem poszłam ufarbować włosy. Kupiłam też parę okularów ze szklami o zerowej mocy, choć na razie postanowiłam ich nie zakładać. Gdy tego samego popołudnia poszłam na dworzec, odebrałam z przechowalni bagażu aktówkę, zostawioną tam prawie pięć tygodni temu, i umieściłam ją w nowej walizce. Kupiłam bilet drugiej klasy do Manchesteru, bo jeszcze nigdy tam nie mieszkałam, oraz „Timesa”, by ułatwić sobie znalezienie nowego imienia i nazwiska.

Imię i nazwisko są bardzo ważne. Nie powinny być ani zbyt pospolite, ani zbyt dziwaczne, raczej przeciętne, podobnie jak twarz. Z mojego doświadczenia wynikało, że imię powinno być podobne do własnego — to jest Margaret, czyli Marnie — ponieważ inaczej nie będę na nie reagowała, co mogłoby się wydać podejrzane.

W końcu zdecydowałam się na Mollie Jeffrey.

Tak więc pod koniec marca panna Mollie Jeffrey wynajęła mieszkanie na Wilbraham Road i rozpoczęła poszukiwanie pracy. Przypuszczam, że wydałaby się wam spokojną, zwyczajnie ubraną dziewczyną z krótkimi, równo przyciętymi blond włosami i okularami w rogowej oprawie. Nosiła trochę za duże i przydługie sukienki. To był najlepszy sposób, by wyglądać na lekko zaniedbaną i nie rzucać się zbyt w oczy. Jeśli byłaby elegancka, mężczyźni zwracaliby na nią uwagę.

Otrzymała posadę bileterki w kinie Gaumont na Oxford Street i pracowała tam do czerwca. Była uprzejma w stosunku do swoich koleżanek, ale gdy proponowały wspólne wyjście, zwykle znajdowała jakąś wymówkę.

Mówiła, że opiekuje się swoją niedołączoną matką. Wyobrażam sobie, jak mówiły między sobą — biedna mała, cóż, szkoda jej, młodym jest się tylko raz.

Gdyby tylko wiedziały, kim jestem, zrozumiałyby, że zgadzam się z nimi w stu procentach. Miałyśmy po prostu inny pomysł na to, jak korzystać z młodości. Dla nich oznaczało to szwendanie się z przyszczatymi smutasami, jeżdżenie na łyżwach lub spotykanie się na plotki, dwa tygodnie wakacji w Blackpool albo Rhyl, przepychanie się na wyprzedzających, słuchanie płyt, i może w końcu zdobycie jakiegoś faceta, pracownika działu eksportu, potem dzieci, mieszkanie w domu komunalnym, pchanie wózka w towarzystwie innych mam, kupowanie w tanich sklepach. No dobrze, dobrze, nie mówię przecież, że nie powinny tego robić, jeśli właśnie to im się podoba. Tyle, że ja nigdy tego nie chciałam.

W pewnym momencie zaczęłam starać się o pracę w kinie Roxy, niedaleko Gaumont, gdzie poszukiwali osoby do kasy przy sprzedaży biletów. Szef Gaumontu wystawił mi dobre referencje i dostałam tę pracę.

A po trzech miesiącach okazało się, że w planie urlopowym przewidziano dla mnie tydzień wolnego, więc pojechałam na kilka dni do domu.

Moja matka mieszkała na Lime Avenue w Torquay. Jest to rząd wiktoriańskich budynków za Belgrave Road, skąd blisko jest do sklepów, portu i dużego domu towarowego. Przeprowadziliśmy się tam z Plymouth dwa i pół roku temu i mieliśmy szczęście, bo udało nam się znaleźć nieumeblowany dom. Mama była inwalidką. Poza tym, że miała jakiś problem z nogą od mniej więcej szesnastu lat, radziła sobie całkiem nieźle. Zawsze mówiła, że jest wdową po oficerze marynarki wojennej, który poległ na wojnie, lecz tak naprawdę tata miał zaledwie rangę starszego mata, gdy jego łódź została storpedowana. Mówiła także, że była córką duchownego, co też się nie zgadzało, choć wydaje mi się, że dziadek był świeckim duchownym, co oznacza mniej więcej to samo, tyle, że nie jest to oficjalna profesja.

Miała pięćdziesiąt sześć lat. Mieszkała z nią Lucy Nye — małe, przeżarte przez mole, nieporządne, skurczone, przesądne, ale życzliwe stworzenie o jednym oku większym od drugiego. Jedno było pewne, co do mojej matki — zawsze umiała się znaleźć. Zawsze wiedziała, co jest właściwe i na miejscu, i przykładła do tego ogromną wagę. Gdy szłam do jej mieszkania, siedziała jeszcze przy frontowym oknie, lecz gdy zapukałam, była już przy drzwiach, wyprostowana, ze swoją laską.

Była dziwną kobietą, naprawdę, i im byłam starsza, tym lepiej zdawałam sobie z tego sprawę. Bo choć całowała mnie na powitanie, choć wiedziałam, że jestem jej oczkiem w głowie, przysięgam na wszystko, że za każdym razem czułam jakiś rodzaj dystansu. Nie przytulała mnie, i nawet gdy mnie całowała, stała o krok ode mnie. Było jasne, że godzinami wypatrywała mnie w oknie, ale za żadne skarby nie chciała się z tym zdradzić.

Była szczupłą. Wydaje mi się nawet, że była wyjątkowo chuda. Pod tym względem nie byłam do niej podobna, bo mimo że jestem dość smukła, mam też trochę ciała. Wątpię, żeby była taka nawet w wieku dwudziestu dwóch lat. Miała dosyć solidną budowę, podobnie jak Marlena Dietrich na starych zdjęciach. Zawsze jednak była zbyt chuda. A gdy się zestarzała, wyglądała mizernie.

To właśnie był problem mieszkania poza domem. Inaczej nigdy bym nie pomyślała, że wygląda mizernie, nie użyłabym takiego słowa. Przez te wyjazdy i powroty byłam w stanie spojrzeć na nią inaczej. Tego dnia miała na sobie nową czarną, dopasowaną sukienkę.

— Bobby's, siedem gwinei — powiedziała, łapiąc moje spojrzenie. — Prosto z wieszaka. Jak się ma taką figurę, zawsze łatwiej coś kupić. Już mnie tam znają. Trudno mnie zadowolić, mówią, ale nietrudno znaleźć coś na miarę... Marnie, coś mizernie wyglądasz, zwłaszcza jak na to, że wracasz z zagranicy. Mam nadzieję, że pan Pemberton nie kazał ci zbyt ciężko pracować.

Pan Pemberton tak naprawdę nie istniał. Wymyśliłam go trzy lata temu, rok po tym, jak wyjechałam z domu, i od tej pory stanowił całkiem solidny parawan. Był bogatym biznesmenem, który często wyjeżdżał za granicę wraz ze swoją sekretarką. Pozwalało to wytłumaczyć moje nieobecności i to, że nie zawsze mogłam zostawić swój adres. Tłumaczyło także moje zmęczenie po powrocie do domu. Czasami nawiedzały mnie koszmary, że mama odkryje tę mistyfikację. Gdyby się dowiedziała, rozpętałoby się prawdziwe piekło.

— I nie podoba mi się kolor twoich włosów — ciągnęła. — Blond włosy to sygnał, że chcesz zwrócić uwagę mężczyzn.

— Wcale nie chcę.

— Wiem, kochanie, pod tym względem jesteś bardzo rozsądna. Zawsze mówiłam, że masz młode ciało, lecz dojrzały umysł. Zawsze to powtarzam Lucy.

— A jak ona się miewa?

— Posłałam ją po ciasteczka do herbaty. Lubisz je, prawda? Niestety, Lucy jest coraz powolniejsza. Czasami myślę, że już dłużej tego nie wytrzymam, muszę znosić te problemy z nogą i jeszcze patrzeć, jak ona tu człapie.

Stałyśmy w kuchni. Nic się tutaj nie zmieniało, kompletnie nic. Podobnie jak w całym domu. Zawsze mnie to uderzało, gdy wracałam. Zmieniasz mieszkanie, ale ono jest ciągle takie samo — wszystkie rzeczy przeprowadzały się razem z nami. Z Keyham do małego domku w Sangerford, z powrotem do Plymouth, a teraz tutaj. Te same spodki i filiżanki, przygotowane teraz do herbaty, ustawione na plastikowym obrusie, kolorowy obrazek w ramce „Światłość świata”, bujany fotel z wyściełanymi poręczami, ohydny stojak na fajki w geometryczne wzory, kredens przeżarty przez korniki i ten zegar. Nie wiem dlaczego, ale nie cierpiałam tego zegara. Podłużny, w kształcie trumny, z szybką na froncie.

Skrzynkę kryjącą ciężarki i wahadło zdobiły różowe i zielono-różowe papużki nierozłączki.

— Zimno ci? — spytała mama. — Przygotowałam drewno w kominku, ale dzień jest słoneczny, więc nie zapalałam. Oczywiście, w tej części ulicy słońca ani widu...

Zajęłam się przygotowywaniem herbaty, podczas gdy ona wodziła za mną wzrokiem z góry na dół, jak kocia mama lizająca swoje kocięta. Miałam dla nich prezenty, futrzaną etolę dla mamy i rękawiczki dla Lucy, ale mamę należało najpierw odpowiednio przygotować. Po długich namowach w końcu wychodziło na to, że to ona sprawiała ci przyjemność, przyjmując prezent. Istniało jednak ryzyko, że zaczniesz myśleć, iż mam podejrzenie za dużo pieniędzy. Kierowała się sentencjami, które oprawione w ramki wisiły w jej sypialni, i marnie było z tym, kto nie stosował się do tych zasad. Mimo to kochałam ją i myślałam o niej więcej, niż o kimkolwiek innym na świecie, ponieważ nie poddawała się, choć nie było jej lekko, a przy tym jeszcze dbała, by wszystko *było jak należy*. To było dla niej jak Biblia. Cały czas pamiętam, jaką zrobiła mi awanturę, kiedy miałam dziesięć lat i przyłapano mnie na kradzieży. Nawet doceniałam to, że postąpiła wtedy tak, a nie inaczej, choć wówczas wcale mi się to nie podobało. Poza tym w ogóle się od tamtej pory nie zmieniłam, tak jak jej się wydawało. Stałam się po prostu sprytniejsza, więc nie miała o tym zielonego pojęcia.

Nagle zapytała:

— To francuski jedwab, prawda, Marnie? Musiało cię to kosztować fortunę.

— Dwanaście gwinei — rzekłam, chociaż zapłaciłam trzydzieści. — Kupiłam na wyprzedaży. Podoba ci się?

Nie odpowiedziała, lecz odłożyła swą laskę, nerwowo wiercąc się na krześle. Czułam, jak jej wzrok przewierca moje plecy na wylot.

— Jak się czuje pan Pemberton? — spytała.

— W porządku.

— To musi być dobry pracodawca. Ciągłe powtarzam znajomym, że Marnie jest asystentką milionera, a on traktuje ją jak własną córkę. Tak to wygląda, prawda?

Włożyłam pokrowiec na czajniczek i odstawiłam puszkę z herbatą na gzyms kominka.

— On nie ma córki. Jest hojny, jeśli o to ci chodzi.

— Za to ma żonę, prawda? Wątpię, czy widuje go tak często jak ty. Powiedziałam:

— Już o tym rozmawialiśmy, mamó. Między nami nic nie ma. Jestem jego sekretarką i to wszystko. Poza tym nie podróżujemy *sami*. Jestem raczej bezpieczna, możesz być spokojna.

— Tak, tak, czasami myślę sobie o mojej córce, która obraca się w świecie. Czasem martwię się o ciebie. Mężczyźni potrafią zastawiać pułapki. Musisz mieć zawsze oczy i uszy otwarte...

W tym momencie weszła Lucy Nye. Pisnęła jak nietoperz na mój widok i ucałowałyśmy się. Teraz mogłam przejść do wręczania prezentów. Gdy było już po wszystkim, herbata była zimna, więc Lucy poszła zaparzyć nową. Bez trudu zrozumiałam, co matka miała na myśli — Lucy krzątała się po spiżarni i opróżniała czajniczek jak na filmie w zwolnionym tempie.

Matka stała przed lustrem, układając etolę.

— Wolisz jak jest na szyi, czy jak spływa z ramion? Na ramionach jest znacznie lepiej, nie ma co. Marnie, wydajesz dużo pieniędzy.

— Po to właśnie są, prawda?

— Jeśli są wydane z głową, to tak. Ale powinnaś też zacząć myśleć o oszczędzaniu. Biblia mówi, że miłość do pieniędzy to początek wszelkiego zła. Mówiłam ci to już wiele razy.

— Tak, mamó. I mówi także, że w mamonie znajdziesz odpowiedź na wszystko.

Rzuciła mi surowe spojrzenie. — Nie bluźnij, Marnie. Nie życzę sobie, żeby moja córka kpiła sobie ze słowa bożego.

— Wcale nie kpię, mamó. Zobacz.

Podeszłam do niej i ściągnęłam etolę niżej na plecy.

— Tak to noszą w Birmingham. Ładnie ci tak. Po chwili znów piłyśmy herbatę.

— Dostałam list od wujka Stephena w zeszłym tygodniu. Jest w Hongkongu. Pracuje tam w porcie, ponoć nieźle mu płacą. Nie chciałabym pracować z tymi wszystkimi żółtymi, ale jemu zawsze podobało się coś oryginalnego.

Odszukam ci potem jego list. Przesyła ci pozdrowienia.

Wujek Stephen był bratem matki. Był jedynym mężczyzną, który się dla mnie liczył. Bardzo lubiłam się z nim widywać.

Matka powiedziała: — Ta etola, i tyle różnych rzeczy. Twój ojciec nigdy nie podarował mi czegoś takiego.

Wzięła kawałek ciasteczka i zaczęła wykonywać dziwne akrobacje — podniosła go, trzymając między kciukiem a palcem wskazującym, tak jakby łatwo mógł się złamać, następnie włożyła go do ust i zaczęła żuć, jakby

bała się ugryźć. Zauważyłam, że kostki stawów w jej palcach są spuchnięte, więc zrobiło mi się głupio, że chciałam ją skrytykować.

— Jak tam twój reumatyzm?

— Oj, niedobrze. Po tej stronie ulicy jest dość wilgotno, Marnie. Po południu nigdy nie zagląda tu słońce. Nie myślałam o tym, gdy decydowałyśmy się na to mieszkanie. Czasem mam ochotę przeprowadzić się gdzieś indziej.

— Trudno byłoby znaleźć coś równie taniego.

— Tak, ale to zależy. Zależy, gdzie chciałabyś widzieć swoją matkę. Na Cuthbert Avenue jest mały uroczy bliźniak, tuż przy zejściu ze wzgórza. Wkrótce będzie do wzięcia, bo lokator umarł właśnie na złośliwą anemię. Mówią, że przed śmiercią był błydy jak ściana — prawie nie miał krwi, a śledziona mu spuchła, jak nie wiem co. W domku są dwa saloniki, kuchnia, trzy sypialnie, strych, a na dole gabinety — bardzo klasyczny układ. W sam raz dla nas, nieprawdaż, Lucy?

Większe oko Lucy Nye spojrzało na mnie sponad parującej filiżanki, ale ona sama nic nie powiedziała.

— Jaki jest czynsz? I czy jest do wynajęcia? — spytałam.

— Tak mi się wydaje, ale można się dokładniej dowiedzieć. Na pewno będzie drożej niż tutaj, ale tam jest słońce i lepsza okolica. Niestety, ta dzielnica podupadła od czasu, jak się tu sprowadziłyśmy. Pamiętasz Key-ham? Też podupadło... Anie, ty nie możesz pamiętać. Lucy pamięta, prawda, Lucy?

— Śniło mi się coś zeszłej nocy — powiedziała nagle Lucy Nye. — Śniło mi się, że Marnie ma kłopoty.

Dziwna sprawa. Obracanie się w świecie, a zwłaszcza mój sposób życia, powinny pozbawić mnie wszelkich dziecinnych zachowań, pozwolić mi dorosnąć. Jednak ton głosu Nye działał na mnie w taki sam sposób, jak wtedy, kiedy sypiałam z nią, mając dwanaście lat, kiedy to budziła się rano, oznajmiając: „miałam zły sen”. I zawsze tego dnia lub nazajutrz coś się wydarzało.

— Jakie kłopoty? — spytała ostro mama. Jej ręka z ciasteczkami zatrzymała się w połowie drogi do ust.

— Nie wiem, nie pamiętam nic konkretnego. Ale śniło mi się, że weszła tymi drzwiami w podartym płaszczu i że płakała.

— Pewnie przewróciłam się, grając w klasy — wtrąciłam.

— Ty i twoje głupie sny — powiedziała matka. — Jakbyś nie mogła zmądrzeć na stare lata. Zaraz skończysz sześćdziesiąt sześć lat, a bredzisz

jak dziecko. „Śniło mi się coś zeszłej nocy!”. Kto będzie słuchał wymysłów starej kobiety?

Wargi Lucy drżały. Zawsze była czuła na punkcie swojego wieku, a wymawianie jej go głośno sprawiało ogromną przykrość.

— Powiedziałam tylko, że coś mi się śniło. Na sny nic nie można poradzić. I wcale nie są takie głupie. Pamiętasz, co mi się śniło przed tym, jak Frank ostatni raz przyjechał do domu...

— Przestań! — powiedziała matka. — To jest religijny dom, i...

— No dobrze — przerwałam jej — ostatnią rzeczą, dla której tu przyjechałam, jest wysłuchiwanie waszych kłótni. Mogę jeszcze jedno ciasteczko?

Zegar w kuchni wybił piątą. Był to dziwny dźwięk, głośny i fałszywy — nigdzie indziej takiego nie słyszałam.

Ostatnia nuta zawsze była bezdźwięczna, jakby cała melodia nagle opadała.

— Ale skoro już mówimy o dawnych czasach — dodałam — dlaczego nie wyrzucisz tego grata?

— Jakiego grata, kochanie?

— Tego zniszczonego zegara — odparłam. — Mam dreszcze za każdym razem, jak go słyszę.

— Ale dlaczego, Marnie, dlaczego? To prezent ślubny twojej babci. Ma nawet datę od spodu, 1898. Babcia była z niego naprawdę dumna.

— No cóż, ja nie jestem — powiedziałam. — Oddaj go komuś. Kupię ci nowy. Może wtedy Lucy przestanie mieć te swoje sny.

Druga dziewczyna w kasie w kinie Roxy nazywała się Anne Wilson. Miała około trzydziestki, była wysoka i szczupła, pisała sztukę, mając nadzieję, jak przypuszczam, zostać następną Shelagh Delaney. Pracowałyśmy na zakładkę, tak, że zawsze byłyśmy razem w kasie podczas największego ruchu, oprócz niedziel. Jedna przyjmowała pieniądze, druga w tym czasie pomagała na widowni.

Kasa — mały kiosk ze szkła i chromu — znajdowała się pośrodku wyłożonego marmurem foyer. Biuro szefa było na lewo, zaraz za wejściem do jednego z korytarzy prowadzących na widownię. Będąc w kasie, nie można go było widzieć, lecz pan King, szef kina, w godzinach największego ruchu, kursował stale pomiędzy swoim biurem a kasą. Starał się mieć personel na oku. Zwykle wchodził do sali projekcyjnej co najmniej dwa razy w trakcie filmu, i zawsze stał przy drzwiach, żegnając swoich klientów po skończonym seansie. Trzy razy dziennie, o czwartej, o ósmej i o dziewiątej

trzydzieści wchodził do kasy, by sprawdzić, czy nie brakuje nam drobnych, i zabrać pieniądze, które wpłynęły. Każdego ranka o dziesiątej przychodził do kina, otwierał sejf marki Chubb i zanosił utarg z poprzedniego dnia w zniszczonej aktówce do położonego niedaleko na tej samej ulicy Banku Midland.

Mimo jego troski czasami zdarzało się, że w krytycznym momencie brakowało nam bilonu. Wtedy jedna z nas szła do jego biura. Zdarzyło się tak w październiku, niedługo po tym, jak wróciłam, ponieważ związki zawodowe zmieniły ceny biletów i okazało się, że potrzebujemy więcej drobnych niż zwykle. Tego dnia nam ich zabrakło, a pan King był na spotkaniu.

— Zastąp mnie — powiedziała Anne Wilson — pójdę po drobne.

— Będziesz musiała pójść na górę, bo pan King ma w kawiarni spotkanie z dwoma dyrektorami.

— Nie muszę mu przeszkadzać — odparła Anne. — Zawsze trzyma zapasowy klucz w najwyższej szufladzie w szafie na dokumenty.

Zbliżała się Gwiazdka. Napisałam do domu, że nie będę mogła przyjechać, ponieważ pan Pemberton będzie mnie potrzebował przez całe święta. W drugim tygodniu grudnia sprzedałyśmy rekordową ilość miejsc na film „Santa Clara” i korzystając z powodzenia, jakim się cieszył, graliśmy go jeszcze przez trzy tygodnie. W drugim tygodniu wypadała moja niedziela.

W piątek powiedziałam mojej gospodyni, że jadę odwiedzić matkę w Southport. W sobotę, po powrocie z pracy zaczęłam swoje rutynowe działania. I wtedy stała się dziwna rzecz. Pakowałam coś w gazety, kiedy mój wzrok padł na artykuł o dziewczynie, o której prawie udało mi się zapomnieć.

To był stary numer „Daily Express”, z datą dwudziestego pierwszego lutego.

„Policja w Birmingham poszukuje ładnej, tajemniczej Marion Holland, która przepadła bez wieści, opuszczając pracę i swoje mieszkanie w poniedziałek wieczorem. Poszukuje się także tysiąca stu funtów, które zniknęły w tym samym czasie z sejfu firmy Crombie & Strutt, Turf Accountants, na Corporation Street, gdzie Marion pracowała jako księgowa. «Nie wiedzieliśmy o niej zbyt wiele», powiedział nam wczoraj George Pringle, czterdziestodwuletni szef firmy, «ale była nieśmiałą, niezwykle odpowiedzialną dziewczyną. Gdy zaczęła u nas pracować, zachowywała się wzorowo». «Bardzo spokojna», przyznaje gospodyni, pani Dyson. «Nigdy nie przyprowadzała znajomych, zawsze była uprzejma i elokwentna. Mówiła

mi, że to jej pierwsza praca. Myślę, że zeszła na złą drogę». «To jak zły sen», zwierzył się nam dwudziestoosmioletni Ronnie Olivier, pracownik PO Telephones, który spotykał się z Marion. «Mam wrażenie, że to jakaś fatalna pomyłka».

Policja nie uważa tego jednak za pomyłkę. Ogólny rysopis i zawód odpowiadają wizerunkowi Peggy Nicholson, która pracowała jako sekretarka pewnego biznesmena z Newcastle i zniknęła w zeszłym roku z siedmiuset funtami w gotówce. Policja zamierza przesłuchać obie panie i liczy się z tym, że mogą się one okazać jedną i tą samą osobą. Ogólny rysopis: wiek 20-26 lat, wzrost 163 cm, waga 50 kilogramów, wygląd może ulegać zmianom, «ujmujący» sposób bycia. Dyrektorzy personalni proszeni są o zachowanie ostrożności".

Byłam kompletnie zbита z tropu. Nigdy wcześniej nie natrafiłam na coś podobnego. Artykuł mną wstrząsnął, gdyż życie, które wiodłam, składało się z osobnych rozdziałów. Rzecz jasna nie było żadnego związku pomiędzy Marion Holland z Birmingham a Mollie Jeffrey z Manchester, a już na pewno nie z Margaret Elmer, która utrzymywała konia czystej krwi na farmie Garroda koło Cirencester i miała surową, starą matkę w Tourquay. To był zbieg okoliczności. To był przeklęty, złośliwy zbieg okoliczności.

Jedyną rzeczą, która mi się w tym wszystkim spodobała, była wzmianka: „zeszła na złą drogę". Dowodziła ona, czego mogą dokonać lekcje wymowy.

Przez moment po przeczytaniu artykułu siedziałam na łóżku, rozmyślając, czy powinnam się tym nie przejmować, czy też było to ostrzeżenie, że tym razem nie uda mi się wymknąć.

W końcu postanowiłam to zignorować. Jak się człowiek zacznie zastanawiać, już po nim. Mimo to pomyślałam, że nie będę się dalej starać o tego typu posady. Stanowiły większe ryzyko niż inne.

W niedzielę wyszłam z domu o dwunastej, zabierając walizkę. Zniosłam ją na London Road Station i oddałam do przechowalni bagażu. Zjadłam lunch w małej kawiarence i byłam w Roxy za dziesięć czwarta.

Kino otworzono o czwartej, a pierwszy seans zaczął się piętnaście minut później. Poszłam z panem Kingiem do jego biura, wzięłam dwadzieścia funtów w monetach srebrnych i pięć funtów w miedziakach. Był w dobrym nastroju i wyznał mi, że mieliśmy najlepsze utargi od paru lat.

— Proszę pozwolić, pomogę pani — powiedział, gdy podnosiłam pudełka.

— Dziękuję bardzo. Poradzę sobie. — Uśmiechnęłam się do niego i poprawiłam okulary. — Dziękuję, panie King. Odprowadził mnie do drzwi. Mały tłumek źle ubranych osób czekał przy drzwiach kina. Było za dwie czwarta.

Powiedziałam:

— Och, czy mogę jeszcze wyskoczyć po szklanek wody? Chciałabym wziąć aspirynę.

— Oczywiście. Przytrzymaj ich jeszcze, Martin. — To skierowane było do portiera. — To nic poważnego, mam nadzieję? — spytał po moim powrocie.

— Nie, to nic wielkiego, dziękuję bardzo — uśmiechnęłam się promiennie. — Proszę otworzyć drzwi. Mogę zacząć.

Koło siódmej wszystkie tańsze miejsca były wykupione, a na zewnątrz ustawiła się kolejka po miejsca po dwa szylingi osiem pensów. Cały czas wchodzili ludzie i kupowali te po cztery szylingi sześć pensów, aby nie czekać. W ciągu pięciu minut skończy się krótkometrażówka, wyjdzie około sześćdziesięciu, siedemdziesięciu widzów, a w trakcie dziesięciominutowej przerwy na lody ludzie z kolejki będą mieli czas kupić bilety i zająć miejsca, zanim zacznie się film.

Nigdy nie stawałam się nerwowa, gdy następował decydujący moment. Moje ręce się nie trzęsły, puls wybijał regularny rytm, jak taktomierz.

Gdy wszyscy maruderzy już wyszli, a Martin otworzył drzwi i wpuścił pierwszych ludzi z kolejki, cicho zawołałam pana Kinga.

— O co chodzi? — spytał, gdy zobaczył wyraz mojej twarzy.

— Ja... Bardzo przepraszam. Okropnie się czuję! Boli mnie głowa i jest mi słabo.

— O Boże! Czy może pani... Czy mogę pani pomóc...

— Nie, nie... Muszę obsłużyć tych ludzi.

— Jest pani w stanie? — zapytał. — Nie, przecież widzę, że nie.

— Cóż, obawiam się, że nie. Czy może pan przytrzymać kolejkę jeszcze kilka minut?

— Nie, zastąpię panią. Naprawdę, nie ma problemu. Zawołam bile-terkę.

Wzięłam torebkę i wyszłam z kasy.

— Chyba się położę na kilka minut... Poradzi pan sobie?

— Oczywiście.

Wszedł do kiosku w momencie, kiedy pierwsi ludzie z kolejki podeszli do okienka.

Szłam powoli korytarzem na prawo od biura szefa. Przechodziło się koło biletera, który przedzierał bilety, szło się korytarzem i zaraz przy drzwiach do sali kinowej było wejście do damskiej toalety.

Ale zamiast wejść do toalety, weszłam do sali. Ta z obsługi zapaliła latarkę, sprawdziła, kto zacz, i wtedy ją rozpoznałam.

— Gdzie jest Gladys? — wyszeptałam.

— Przy drugich drzwiach.

Gdy szłam wzdłuż tylnej ściany sali, słynna amerykańska twarz wyjaśniała publiczności, dlaczego film, w którym występuje, a który będzie pokazywany w tym kinie przez następny tydzień, począwszy od niedzieli, był wyjątkowym wydarzeniem w historii kina.

Przy drugich drzwiach nie było Gladys, bo świecąc latarką, szukała jeszcze wolnych miejsc, tak więc nie potrzebowałam żadnej wymówki. Wyszłam tymi drzwiami i korytarzem, aż prawie doszłam do foyer. Wtedy skręciłam do gabinetu dyrektora.

Światło było tu zapalone. Ostrożnie przymknęłam drzwi. Przyciągnęłam krzesło pod klamkę i zdjęłam pantofle. Szafa z dokumentami, najwyższa szuflada. Klucza nie było... Przeszukałam wszystkie pięć pozostałych szuflad. Nic... Szafa była wysoka, więc przyciągnęłam stołek i stanęłam na nim. Pierwsza szuflada była pełna ulotek reklamowych, wydań „The Kine Weekly”, itp. W głębi szuflady była para rękawiczek pana Kinga. Klucz był wewnątrz jednej z nich, w kciuku.

Straciłam prawie dwie minuty. Podeszłam do sejfu i przesunęłam osłonę zamka. Klucz przyjemnie szcęknał. Musiałam jednak użyć całej siły, by otworzyć drzwi. Na trzech górnych półkach były same papiery, ale w szufladce obok torebek z bilonem leżały pliki pospinanych banknotów. Utarg nie tylko dzisiejszy, ale także sobotni.

W damskiej torebce średniej wielkości może się zmieścić sporo banknotów, jeśli tylko się ją wcześniej opróżni. Zamknęłam sejf i odłożyłam klucz na miejsce. Potem włożyłam buty i podeszłam do drzwi. Słyszałam przechodzących ludzi i pobrzękiwanie monet.

Wyszłam, nie spoglądając w kierunku foyer, i trafiłam z powrotem do sali projekcyjnej. Tym razem Gladys była na miejscu.

— Pełna sala? — zapytałam, zanim ona zdążyła coś powiedzieć.

— Jest jeszcze ze dwadzieścia miejsc po cztery i sześć, i kilka tańszych pojedynczych, to wszystko. Już po pracy?

- Nie, wyszłam tylko na chwilę. Ruszyłam wzdłuż bocznego przejścia.
  - Życie ze mną nie jest łatwe — powiedział mężczyzna na ekranie, i wydawało mi się, że patrzy na mnie.
  - Wiem, ale to nie ma znaczenia — odparła dziewczyna — jeśli tylko jestem z tobą.
- Brzmiało to niezwykle realistycznie, nie ma co. Dotarłam do końca sali i wyszłam z kina.

## Rozdział 2

Rok później odpowiedziałam na anons firmy John Rutland & Co. w Barnet.

Nie wiem dlaczego. Może jest coś takiego jak przeznaczenie czy szczęście? Typu — przejść pod drabiną, rozsypać sól lub obciąć sobie paznokcie w piątek. Cóż, nic nie przeczuwałam, pisząc do nich. Mogłam równie dobrze odpowiedzieć na inne ogłoszenie lub otworzyć inną gazetę.

Pracowałam w Londynie od początku stycznia w firmie ubezpieczeniowej Kendalls, ale szybko się zorientowałam, że jedyną rzeczą, którą mogę tam zdobyć, były referencje, więc pracowałam tam dla referencji i cały czas szukałam czegoś lepszego.

List, który otrzymałam, miał nagłówek *John Rutland & Co. Ltd., Printers of Quality, zal. w 1869*, i było w nim napisane:

„Szanowna Pani!

Dziękujemy bardzo za odpowiedź na nasze ogłoszenie dotyczące stanowiska pracownika działu rachunkowości.

Będziemy wdzięczni, jeśli przyjdzie Pani na spotkanie w siedzibie naszej firmy w czwartek 10. bieżącego miesiąca o godz. 11.00. S. Ward (Dyrektor)".

Firma zajmowała dość duży budynek. Po chwili oczekiwania, aż skończy się spotkanie z poprzednią osobą, zaprowadzono mnie do małego pokoju, gdzie siedzieli dwaj mężczyźni. Zaczęli mi zadawać zwyczajowe pytania.

Powiedziałam, że nazywam się Mary Taylor i że od stycznia pracuję w Kendalls. Dotąd nie pracowałam. Wyszłam za mąż w wieku dwudziestu lat i zamieszkałam w Cardiff z moim mężem, aż do jego wypadku na mo-

torze, w listopadzie zeszłego roku. Od tamtej pory, mimo że zostawił mi trochę pieniędzy, zaczęłam pracować, żeby się utrzymać. Po szkole ukończyłam kurs stenografii i pisania na maszynie, a także kurs księgowości i rachunkowości. W Kendalls pracowałam jako stenotypistka, ale chciałabym znaleźć pracę z lepszymi perspektywami.

Uważnie przyjrzałam się obydwu wypyującym. Dyrektor, pan Ward, miał około pięćdziesiątki, był zgorzkniałym, zasuszonym mężczyzną w okularach w złotej oprawie i z dużą brodawką na nosie. Wyglądał na takiego, co to doszedł do swojej pozycji w ciągu czterdziestu lat, a boskiego wspomnienia trzeba by każdemu, kto chciałby to samo osiągnąć w ciągu trzydziestu dziewięciu lat. Drugi z nich był młody, miał ciemne, bardzo gęste włosy, które aż prosiły się o grzebień, a twarz tak bladą, że sprawiał wrażenie chorego.

— Czy pochodzi pani z Cardiff, pańi Taylor? — spytał dyrektor.

— Nie, pochodzę ze Wschodniego Wybrzeża. Mój mąż pracował w Cardiff jako kreślarz.

— Gdzie pani chodziła do szkoły?

— W Norwich, do tamtejszego liceum.

— Czy pani rodzice obecnie tam mieszkają? — spytał ten młody. Obracał w ręku ołówek.

— Nie. Wyemigrowali do Australii po tym, jak wyszłam za mąż. Pan Ward poprawił się w fotelu i wypchnął policzek językiem.

— Czy może nam pani dostarczyć jakieś inne referencje poza tymi z Kendalls?

— Hmm, niestety nie. Oczywiście, jest jeszcze mój bank w Cardiff. Lloyds Bank, na Monmouth Street. Jestem ich klientką od momentu, kiedy się tam sprowadziłam.

— Czy mieszka pani obecnie w Londynie?

— Tak. Wynajęłam pokój w pensjonacie Swiss Cottage.

Młody mężczyzna powiedział: — Zakładam, że nie ma pani obecnie rodziny — mam na myśli dzieci?

Spojrzałam na niego, uśmiechając się:

— Nie, proszę pana.

Pan Ward chrząknął i zaczął mnie pytać, czy umiem obliczać podatek dochodowy, czy znam system ubezpieczeń i czy obsługiwałam kiedyś kasę Anson. Odpowiedziałam, że tak, co było kłamstwem, ale wiedziałam, że jestem w stanie szybko się tego nauczyć. Zauważyłam, że zwrócił się on do młodego mężczyzny „panie Rutland”, tak więc należało przypuszczać, że jest on jednym z dyrektorów, czy coś takiego. Tak mi się wydawało od mo-

mentu, kiedy go zobaczyłam — młodszy syn uczący się biznesu, poczynając od najwyższego stopnia. Widywałam już takich. Ten jednak wydawał się w porządku.

— No cóż, dziękujemy pani, pani Taylor — rzekł pan Ward po jakichś pięciu minutach, i coś w jego głosie, choć brzmiało to tak, jakby było mu przykro, powiedziało mi, że jestem przyjęta.

Później, przy przeglądaniu dokumentów, zauważyłam, że napisali do banku w Cardiff. Z banku odpisali: „Znamy panią Taylor zaledwie od trzech lat, kiedy to zaczęła u nas prowadzić swój rachunek, lecz jej konto zawsze było w porządku. Osobiście widywaliśmy się z nią niewiele, ale mieliśmy jak najlepsze zdanie o jej charakterze i poczynaniach”.

Nie jest trudno znaleźć obecnie pracę. Łatwo jest zbudować sobie przeszłość, jeśli myśli się choć trochę perspektywicznie. Niektóre firmy oczywiście proszą o więcej referencji, ale w takiej sytuacji po prostu należy się z wdziękiem wycofać. Jednak połowę z nich da się dość łatwo zadowolić, a tylko nieliczne podejmą wysiłek zbadania cię dokładnie, jeśli wyglądasz na osobę poważną i uczciwą.

Otwarcie rachunku bankowego na fałszywe nazwisko to prawdziwa droga przez mękę. Udało mi się to zrobić raz, gdy pracowałam w Cardiff trzy lata temu, na nazwisko Mary Taylor, ale oznaczało to, że najpierw musiałam się dać poznać pod tym nazwiskiem, więc postanowiłam nigdy już więcej się w to nie bawić. W banku PO Savings Accounts łatwiej sobie z tym poradzić, bo nie pytają o żaden dowód potwierdzający tożsamość. Używałam tego konta, by co jakiś czas wpłacać tam pieniądze, i raz czy dwa rozmawiałam z dyrektorem o jakichś nieistotnych sprawach, tak więc udało mi się zbudować pewien odcinek mojej przeszłości. Do tej pory nie używałam tego jako referencji, bo w tym wypadku można tego użyć tylko raz, a nie pytali o to w Kendalls. Jednak powołałam się na to teraz, gdyż miałam wrażenie, że ta posada warta jest poświęcenia referencji.

Drugi problem to karta ubezpieczeniowa, choć tak naprawdę dość łatwo można go rozwiązać. Znam miejsce w Plymouth, gdzie kartę można kupić. Potem wystarczy tylko wpisać imię i nazwisko i jakiś nowy numer Krajowego Rejestru Ubezpieczeń, kupić znaczki za okres, jaki się chce, przykleić je i potem kartę unieważnić. Karty ubezpieczeniowe są ważne dwanaście miesięcy, ale oczywiście nie są one zsynchronizowane, żeby ich termin ważności nie upływał tego samego dnia. Przy rozpoczynaniu nowej pracy należy zwrócić uwagę na to, by mieć prawie nową legitymację — oszczędza się wtedy na znaczkach. Daje to też dziesięć miesięcy na unik-

nięcie przedłużenia karty. Nigdy nie należy pracować aż do momentu, kiedy trzeba będzie ją przedłużyć. Uważałam to wszystko za fascynujące. Uwielbiam bawić się liczbami, a zauważyłam, że wielu ludzi nie ma o nich zielonego pojęcia. Spotkałam w życiu kilku inteligentnych chłopaków, niektórzy z nich byli naprawdę sprytni, ale tracili głowę, jak tylko dostawali pieniądze. Byli jak dzieci bawiące się w piasku — przesypywały się im przez palce. Widzieliście na pewno filmy typu „Grisbi”\* czy „Rififi”\*\*. Naprawdę, tak to właśnie wygląda. Rozpoczęłam pracę w Rutland w następny poniedziałek. Zaraz jak tylko weszłam do biura, zostałam poproszona na rozmowę z panem Christo-pherem Holbrookiem, dyrektorem generalnym. Był grubawym mężczyzną w wieku około sześćdziesięciu lat, z wielkimi okularami, jak na biznesmena przystało, i uśmiechem, który zapalał się i gasł jak światło elektryczne.

— Jesteśmy przedsiębiorstwem rodzinnym, pani Taylor, i mam przyjemność panią u nas powitać. Jestem wnukiem założyciela, a mój brat cioteczny, pan Newton-Smith, jest drugim wnukiem. Mój syn, Terence Holbrook, jest dyrektorem, podobnie jak pan Mark Rutland, którego już pani poznała. Zatrudniamy obecnie dziewięćdziesiąt sześć osób i nie waham się powiedzieć, że nie pracujemy każdy sobie, lecz wspólnie tworzymy zespół, rodzinę, gdzie każdemu zależy na dobru innych.

Włączył uśmiech, który powoli wypełzał na twarz, aż wreszcie zaczął ją przyjemnie rozpromieniać. Wtedy jednak, gdy już miał się pokazać w całej okazałości, zgasł nagle, i miałam przed sobą twarz zimną jak słabiotka żarówką i dwoje oczu bacznie badających efekt.

— Rozwijamy się, pani Taylor, a w tym roku, w ramach eksperymentu, utworzyliśmy dział detaliczny, który zobaczy pani, jeśli spojrzy pani przez okno, po drugiej stronie ulicy. Pociąga to za sobą konieczność zatrudnienia nowego personelu. Obecnie, na tydzień albo dwa, chcemy, żeby pani pracowała właśnie tam, choć docelowo chcielibyśmy, by pracowała pani w tym budynku, pomagając pannie Clabon, którą miała pani okazję już poznać.

\* „Grisbi” — film Jacquesa Beckera z 1954 r. o porachunkach między gangsterami. Główny bohater zostaje postawiony przed wyborem: zachować swój łup czy ocalić życie przyjaciela. (Wszystkie przypisy od tłumacza).

\*\* „Rififi” — film Jules Dassina z 1955 r., zaliczany do klasyki czarnego kryminału, opowiada historię kasiarza, który po wyjściu z więzienia wyrównuje porachunki.

Podniósł słuchawkę interkomu i powiedział:

— Czy przyszedł już pan Terence?... Nie? Powiedz mu, żeby zajrzał do mnie, jak tylko przyjdzie.

Spytałam:

— Chce pan, żebym pracowała w dziale detalicznym?

— Tak, ale tylko przez pewien czas. Ale jeśli nadal będziemy rozwijać naszą działalność, zatrudnimy dla pani osobę do pomocy, która przejmie pani obowiązki po pani przejściu tutaj. Panna Clabon jest zaręczona i wkrótce wychodzi za mąż, więc jest możliwe, że za rok czy dwa opuści naszą firmę. Czy pracowała pani kiedyś w branży graficznej?

— Nie, proszę pana.

— Myślę, że się pani spodoba. Jesteśmy, jak to się mówi, wysokiej klasy rzemieślnikami. Wykonujemy wszelkiego rodzaju prace, od drogich ilustrowanych katalogów po plakaty reklamowe Kolei Brytyjskich, od menu dla restauracji londyńskich po podręczniki dla szkół. Nie będzie przesadą, jeśli powiem, że karty do gry, notesy Rutland i papier listowy Rutland znane są w całej Anglii. Myślę, że praca w naszym stale rozwijającym się przedsiębiorstwie da pani dużo satysfakcji.

Zrobił przerwę, jakby czekał, aż ktoś powie „oczywiście, ma pan rację”, więc powiedziałam:

— Dziękuję panu.

— Dzisiaj przed południem pan Ward oprowadzi panią po firmie albo też kogoś do tego wyznaczy. Uważam, że każdy nowy pracownik jak najwcześniej powinien zapoznać się z ogólnym profilem firmy. Jestem zdania, że nie wystarczy kogoś zatrudnić, trzeba jeszcze go zainteresować.

Włączył uśmiech i wstał, więc ja również wstałam i zamierzałam wyjść, kiedy ktoś zapukał do drzwi i do pokoju wszedł młody mężczyzna.

— O, to jest właśnie mój syn, Terence Holbrook. Mamy nową osobę, Terry, panią Mary Taylor, która zaczyna od dzisiaj jako pracownik działu księgowości.

Mężczyzna uściśnął moją dłoń. Z dwóch młodych panów, których tu poznałam, ten wyglądał na starszego, miał chyba około trzydziestki. Poza tym stanowił przeciwieństwo pana Rutlanda. Miał jasne włosy, długie i niemal żółte, dolną wargę wysuniętą nieco do przodu i eleganckie ubranie. Przez jakiś czas nie mogłam oderwać od niego wzroku.

— Dzień dobry. Mam nadzieję, że spodoba się pani u nas. Chciałeś się ze mną zobaczyć, tato...?

Później zostałam oprowadzona po firmie. Niestety, niewiele zapamiętałam z tej wizyty oprócz hałasu, dużej ilości maszyn, nowych twarzy oraz

zapachu papieru i farby drukarskiej. Budynek miał dwa piętra, na drugim były biura. Podobał mi się pokój księgowych, ostatni przy schodach. Był przedzielony na pół matową szybą, a wchodziło się do niego przez biuro, gdzie była tylko centralka telefoniczna, telefonistka i stały jakieś szafy na dokumenty. Naprawdę, nie mogło być lepiej.

Z całym moim doświadczeniem bycie nowym pracownikiem nie stanowiło już dla mnie żadnego problemu, więc dość szybko przyzwyczaiałam się do nowych warunków. Dyrektor, Sam Ward, bywał wobec mnie sarkastyczny, a Susan Clabon, główna księgowa, utrzymywała wobec mnie chłodny dystans, ale jak tylko przeszłam do działu detalicznego i poznałam Dawn Witherbie, zyskałam wielką przyjaciółkę, od której zdobyłam wszelkie niezbędne informacje.

— No więc to jest tak. Gdy zaczęłam tu pracować, dyrektorem generalnym był pan George Rutland, ojciec Marka. Gdy zmarł, jego miejsce zajął Christopher Holbrook, a Mark Rutland podjął tu pracę. Rex Newton-Smith — czwarty z dyrektorów — bywa tu raczej rzadko, pojawia się na spotkaniach dyrektorów cztery razy do roku. Mieszka ze swoją matką, choć ma już pięćdziesiąt parę lat. — Chcesz cukru? Łyżeczkę czy dwie? Oczywiście Christopher Holbrook objął się w swoim biurze, a większość pracy spada na dwóch młodych oraz Sama Warda. Terry Holbrook i Mark nie bardzo się dogadują — zauważyłaś to? Widać to jak na dłoni. O cholera, sparzyłam się! Mark wprowadził wiele zmian, jak przyszedł do firmy — postawił wszystko na głowie. Dział detaliczny, który od samego początku przynosi zyski, to był jego pomysł. Przyjdiesz pewnie na przyjęcie firmowe? Będzie w maju. Zawsze jest niezła zabawa. Ostatnim razem wróciłam do domu o piątej nad ranem. Ty to musisz mieć powodzenie, z taką figurą! Wszyscy przychodzą, dyrektorzy i cała góra. Mark nie pojawił się w zeszłym roku, bo właśnie wtedy zmarła jego żona. Ale poza tym byli wszyscy, co do jednego. Terry, ten to się umie bawić, zawsze idzie na całego. Ale radzę ci, uważaj na niego. Potrafi być ostry. Gadkę ma słabą, ale to nic nie znaczy. O matko, dopiero jedenasta, jak ten ranek się dłuży!

— Jego żona zmarła?

— Czyja, Terry'ego? Nie. Jest żonaty, ale nie mieszkają już razem. To Markowi zmarła żona. W styczniu minął rok. Na nerki czy coś w tym rodzaju. Miała zaledwie dwadzieścia sześć lat.

— To może dlatego jest taki blady?

— Nie, u niego to naturalne. Wcześniej wyglądał zupełnie tak samo. To naprawdę niesamowite, do jakiego stopnia Mark i Terry się nie znoszą.

Często się nad tym zastanawiam. Dlaczego oni się nienawidzą? Zwykle chodzi o kobietę. Ale tutaj to naprawdę nie wiem, o co chodzi.

Szczerze mówiąc, nie obchodziło mnie, czy się dogadują, czy nie. Nie zamierzałam tu zostać na dłużej. Nie należało się jednak spieszyć. Otworzyłam konto w Lloyds Bank w Swiss Cottage i przelałam na nie pieniądze z mojego konta w Cardiff. Następnie poprosiłam, by sprzedali kilka moich marnych akcji i przelali ich wartość na konto w Swiss Cottage. Wtedy zaczęłam wybierać pieniądze z jednego konta i wpłacać je na to na moje własne nazwisko w National Provincial Bank w Swindon.

W tym czasie nie odwiedzałam matki. Swoim wzrokiem przewiercała mnie na wylot, więc bywało, że odpowiadanie na jej pytania kosztowało mnie wiele nerwów. Zawsze mnie dziwiło, z jaką łatwością łyknęła pana Pemberton. Być może tak długo się nim posługiwałam, że sama zaczęłam wierzyć, że istnieje. Takie osoby są nieocenione, zwłaszcza kiedy sami zaczynamy w nie wierzyć.

Po półtora miesiąca pracy, pewnego dnia zaproszono mnie na spotkanie dyrekcji. Byli tam wszyscy — pan Ward, zwolennik postępu pan Far-man, kierownik ds. sprzedaży pan Smitheram. Czwarty dyrektor, pan Newton-Smith pojawił się także, olbrzymi mężczyzna z wąsami, o cienkim, skrzekliwym głosie, jakby przed chwilą połknął młodszego brata.

Starszy pan Holbrook mówił najwięcej, i to tak, jakby był na spotkaniu przedwyborczym. Nagle jednak zorientowałam się, że mówi o tym, jak bardzo wszyscy są zadowoleni ze sposobu, w jaki zmodernizowałam sposób księgowania w dziale detalicznym, i że obecnie chcieliby poprosić mnie o radę, w jaki sposób można by przeorganizować system księgowy w fabryce. W pewien sposób mi to pochlebiało. Byłam też zaskoczona, gdyż osobą, którą powinni o to poprosić na pierwszym miejscu, była Susan Clabon. Chwilę potem podniosłam głowę i gdy uchwyciłam spojrzenie Marka Rutlanda, byłam pewna, że zaproszenie mnie tutaj to była jego sprawka.

Zadawałam pytania i słuchałam. Wkrótce zorientowałam się, że w zarządzie istnieją dwa poglądy na temat rozwiązania tego problemu. Następnie przedstawiłam swój, najlepiej jak potrafiłam, choć niestety musiałam opowiedzieć się bardziej po stronie przeciwników postępu, wbrew swoim osobistym przekonaniom. Jednak im więcej jest maszyn rejestrujących, tym trudniej popełnić oszustwo.

Mimo że Dawn Witherbie wspomniała o konfliktach, byłam zaskoczona jadowitą atmosferą spotkania. Mark Rutland kontra Holbrookowie,

Sam Ward i Rex Newton-Smith jako łagodzący spory oraz pozostali, trzymający się z dala od konfliktu.

Jak tylko spotkanie się skończyło, zabrzączał dzwonek na przerwę obiadową i wkrótce słychać było tupot nóg na schodach, wiodących do stołówki. Pomyślałam, że przejdę się halą produkcyjną, póki jest cicho. Zaraz jednak dogonił mnie Terry Holbrook.

— Gratulacje, pani Taylor.

— A to z jakiego powodu?

— Czy muszę to pani tłumaczyć? Takiej inteligentnej kobiecie jak pani?

Odpowiedziałam:

— Powinniście byli zaprosić także Susan Clabon. To było niesprawiedliwe wobec niej.

— Oni chcieli — przyznał. — Ale ja się sprzeciwiłem. Powiedziałem, że pani ma lepsze nogi.

Rzuciłam mu szybkie spojrzenie, jakie rzuca się mężczyznom, gdy napierają na ciebie w autobusie.

— Za rok będzie pani główną księgową — powiedział. — Za dwa, trudno mi sobie wyobrazić. Powinna pani sobie kupić okulary słoneczne, by móc spokojnie patrzeć w swoją świetlaną przyszłość w firmie Rutland.

Przechodziliśmy koło maszyn litograficznych. Zostało tam jeszcze kilka młodych kobiet i paru mężczyzn. Znałam ich w większości z widzenia, znałam też imiona niektórych.

— Sie masz, June — zawołał Terry do jednej z dziewczyn. — Idziesz na tańce za tydzień?

Pracowała na złamywarce, jej boks ze sklejki obejmujący wysokie krzesło obklejony był zdjęciami Pata Boone'a, Cliffa Richarda, Tomnra/ego Steela i Elvisa Presleya.

— Umiesz tańczyć jive'a? — spytał nagle Terry Holbrook, podążając wzrokiem za moim spojrzeniem.

— Kiedyś tańczyłam — odparłam. — Ale to było dawno temu.

— Zblazowana, nie ma co — powiedział do dziewczyny. — Sie masz, Tom. Wygrałeś coś w sobotę?

— Tak, jeden wyścig — powiedział młody mężczyzna, ścierający sobie żółtą farbę z kciuka. — Ale postawili na Eagle Star cztery do pięciu, więc w końcu wróciłem z niczym.

Eagle Star, pomyślałam. Widziałam go. Duży brązowy koń z plamą na pysku. Był w Manchester, biegł w November Handicap...

Spojrzałam na drukujące się plakaty. Farba była błyszcząca, a maszyny drukowały kolory po kolei, stopniowo dodając nowe elementy, aż plakat ukazywał się w całej okazałości...

— Interesuje cię to? — spytał Terry Holbrook. — To włoska czteroko-lorówka, kupiona kilka lat temu. Aurelia. Robi wszystko, co chcemy, żdziebko lepiej niż inne maszyny, moja droga.

Nie zwracał tak naprawdę uwagi na to, co mówił. Za to uważnie mnie obserwował. Hala była prawie pusta. Ta sukienka jest za mało skromna, pomyślałam.

— Dlaczego włoska?

— A dlaczego nie? Ciężko było o kredyt, a Włosi zaoferowali nam różne warianty zakupu na raty. Ta następna jest niemiecka, jeszcze sprzed wojny. Niedługo będziemy musieli ją wymienić. Mark, to znaczy dyrektorzy, skłaniają się ku nowej technologii, dopiero co wchodzącej na rynek... Te dwie tutaj są angielskie. Nie nudzi cię to?

— Co?

— Oglądanie maszyn.

— Nie, dlaczego?

— To nie jest bardzo kobiece interesować się maszynami. Spojrzałam na niego ukradkiem i po raz pierwszy zauważyłam, że ma

dość paskudne znamię na szyi. Pewnie dlatego nosił długie włosy. Właściwie to w ogóle nie był przystojny, z tą wysuniętą dolną wargą. Mimo to była w nim jakaś pociągająca, dzika przebiegłość.

— Zwiedzamy w odwrotnym kierunku — powiedział. — W tym pomieszczeniu zaczyna się cały proces, składa się tu tekst do druku.

— Och, to nie ma znaczenia — odparłam. — Zresztą muszę iść na lunch.

— Co myślisz o firmie, moja droga? Nie mam na myśli drukarni, chodzi mi o ludzi.

Byliśmy sami w pomieszczeniu, a w całym budynku panowała martwa cisza. Czułam, że zaraz coś zrobi, położy mi rękę na ramieniu albo coś w tym stylu. Odsunęłam się więc, podeszłam do maszyny linotypowej i zaczęłam się jej przyglądać.

— Jedna wielka szczęśliwa rodzina — powiedział. — To jest motto mojego ojca, prawda?

— Lubię ludzi, których do tej pory tu poznałam.

— Ważne jest, by dobrać sobie towarzystwo. Zastanawiam się, jakiego typu ludzi ty lubisz, Mary?

Nie mógł już jaśniej wyrazić swoich zamiarów.

— Straciłam męża zaledwie parę miesięcy temu — powiedziałam.

To go powstrzymało. Zmienił się na twarzy, ale nie mogłam odgadnąć, co tak naprawdę myśli. Znów zauważyłam znamię na jego szyi i z jakiegoś powodu zrobiło mi się go żal. Do tej pory raczej nie było mi nikogo szkoda. O ile dobrze pamiętam, nikt się nade mną nie użalał, więc nie było czego odwzajemniać.

Jednak on należał do innej kategorii. Zastanawiałam się, czy przez to znamię zawsze był odrzucany, czy chłopaki śmiali się z niego w szkole, a nastolatki chichotały na jego widok. Może został odrzucony i, tak jak ja, był inny.

Podeszłam do drzwi zecerni. Zastanawiałam się, czy to z tego powodu tak się ubierał — żółta kamizelka, czekoladowe spodnie, itp. Zastanawiałam się, jaki jest naprawdę, co myślał o mnie, stojąc tutaj ze mną, i co by powiedział czy zrobił, gdybym była łatwą dziewczyną. Ale nie byłam łatwą dziewczyną, więc powiedziałam:

Muszę iść po torebkę, panie Holbrook.

Codziennie po zamknięciu sklepu utarg z całego dnia był zanoszony do głównego budynku po drugiej stronie ulicy, ponieważ w dziale detalicznym nie było prawdziwego sejfu. Tych pieniędzy nigdy nie wpłacano do banku, gdyż co piątek wypłacano pracownikom tygodniówki, w sumie około tysiąc dwieście, tysiąc trzysta funtów, i na to szły te pieniądze. Utargi były różne. Bywało, że w kasie było zaledwie sto funtów z całego tygodnia, czasem czterysta czy pięćset, wszystko zależało od tego, co kupowali klienci i jak płacili.

W czwartek, przed zamknięciem banku, dwóch mężczyzn zanosilo czek i podejmowało odpowiednią ilość pieniędzy, które razem z utargiem ze sklepu pokrywały wysokość wypłat przygotowywanych na piątek rano. Susan Clabon i druga dziewczyna przygotowywały razem koperty z tygodniówkami. Gdy przejdę do budynku biurowego, będę jedną z dwóch osób zajmujących się wypłatami.

Sejf znajdował się w pokoju księgowych, ale dziewczyny oczywiście nie miały kluczy. Jeden miał pan Ward, drugi należał do pana Rutlanda. Dyrektor generalny Christopher Holbrook miał trzeci.

Pewnego dnia Mark Rutland zastał mnie w biurze pana Holbrooka, gdy wachałam róże na jego biurku. Ledwo zdążyłam przejść na właściwą stronę biurka. Zacerwieniłam się i powiedziałam, że przyniosłam чеки dla pana Holbrooka do podpisu i zostałam dłużej, bo urzekł mnie zapach róż.

— To pierwsze o tej porze roku — powiedział. Mój ojciec był wielkim hodowcą róż. Tak naprawdę bardziej interesował się różami niż drukarnią.

Oblizalam wargi.

— Jedyna, jaką kiedykolwiek miałam, to różowa, pnąca z białym środkiem. Pięła się po naszym domku w... W Norwich. Ajak się nazywa ta róża?

— Wygląda jak Gwiazda Holandii. Schylił się i powąchał różę.

— Tak. Nadal jest najlepsza z purpurowych... Czy była pani kiedyś na Krajowej Wystawie Róż?

— Nie — Jest w przyszłym miesiącu. Warto zobaczyć, jeśli jest pani zainteresowana.

— Dziękuję. Będę pamiętać.

Gdy podeszłam do drzwi, powiedział:

— Ach, pani Taylor. W przyszły piątek jest oficjalne przyjęcie z tańcami. Zwykle wszyscy przychodzą, zwłaszcza nowe osoby. Lecz jeśli nie ma pani ochoty, ponieważ jest pani w żałobie, proszę dać mi znać. Postaram się wytłumaczyć wujowi.

— Dziękuję, panie Rutland — odparłam, zachowując chłód. — Dam panu znać.

### Rozdział 3

Chyba nie byłam dzieckiem, które należało stawiać za przykład innym. Odkąd skończyłam siedem, osiem lat, miałam wrażenie, że jestem sprytniejsza od innych. Gdy wpakowałam się w jakieś tarapaty, zawsze udawało mi się jakoś z nich wyjść, a zwykle udawało mi się nawet uniknąć tarapatów. Tak więc, mając dziewiętnaście lat, miałam całkiem niezłe mniemanie o sobie.

Będąc dziewięciolatką, dwa razy zostałam przyłapana na kradzieży, ale tylko przez to, że moją współniczkę obleciał strach i wszystko wygadała. Była to dobra lekcja na temat współpracy z innymi, której nigdy nie zapomniałam.

Wyciągnęłam także wnioski z ogromnej awantury, którą roz-

pętała moja matka, kiedy przyszła policja, i z całej tej historii z kuratorem sądowym. Nie chcę powiedzieć, że już jako nastolatka byłam zatwardziałą kryminalistką, ale jak coś robiłam, to starałam się uważać, żeby mnie nie przyłapano. Co mi się udawało.

Za drugim razem, kiedy mnie złapali, matka zbiła mnie kijem. Zresztą do tej pory mam ślad na udzie, tam, gdzie uderzyła najmocniej. Byłam przerażona jak nigdy w życiu, serio, bo nigdy nie widziałam jej w takiej furii.

Wrzeszczała na cały głos:

— Moja córka jest złodziejką, na co mi przyszło, moja córka jest złodziejką! Bóg mnie wystarczająco doświadczył i bez tego.

Do wtóru „tego” padał siarczysty raz na pośladki.

— Czego ci brakowało, co? No powiedz, czego ci brakowało? Najedzona, ubrana, czysta, porządna, tak cię wychowywałam, a ty co?

Kolejny raz. Myślałam, że to się nigdy nie skończy.

— Hańba! Czy ty mnie słyszysz, dziecko? Najgorsze, najpodlejsze, ohydne bluźnierstwo! Kraść z domu Bożego! Wrzeszczała i biła mnie przez, jak mi się wydawało, sześć godzin, podczas których Lucy wkładała głowę do pokoju, mówiąc: „Przestań, Edie, zabijesz dziecko” albo: „Przestań, Edie, dostaniesz wylewu” czy: „Przestań, Edie, uspokój się, już wystarczy”.

Przypuszczam, znając ją, że nie mogłam zrobić nic gorszego, by ją rozzłościć, niż ukraść pieniądze ze skarbonki na ofiary w kościele. Cała we łzach, spływających po twarzy, z włosami przyklejonymi do policzków, wyjąca z bólu — nie z żalu — nie umiałam jej wówczas, ani nigdy potem, wytłumaczyć, że robiłam to wszystko dla niej.

Oczywiście nie byłam głodna ani zabiedzona, matka się o to troszczyła. Czasem sama sobie odejmowała od ust, żeby dla mnie starczyło. Przez to jeszcze trudniej było mi to przyjąć. Spróbujcie być wdzięczni, kiedy się tego od was *oczekuje*. To po prostu niemożliwe. Nawet Lucy mówiła czasem matce: „Robisz wszystko dla niej”. I: „Nakarm brzuch do syta, Edie. Żadna to radość mieć ładną sukienkę w trumnie”. „Gdy nadejdzie nasza chwila, z pewnością umrzemy — odpowiadała matka. — Ale nie wcześniej. Wypełni się wola boska. Marnie, bierz się do lekcji! I nie używać mi tu słowa brzuch w moim domu!”

Zabranie pieniędzy ze skrzynki na ofiary było swego rodzaju początkiem mojej prywatnej wojny z matką.

Wiele było ku temu powodów. Gdy ojciec zginął w 1943 roku, mama oczekiwała drugiego dziecka. Miałam wtedy zaledwie sześć lat. Pierwszym ciosem dla mojej matki była śmierć ojca w 1943, a zaraz potem, po

sześciu tygodniach zostaliśmy ewakuowani do maleńkiego domku w Sangerford, koło Liskeard. Tylko tyle pamiętam.

Gdy nadszedł czas rozwiązania, posłano po lekarza, ale że nie istniała wtedy jeszcze powszechna służba zdrowia, a lekarz zajmował się jakimiś bardziej lukratywnymi sprawami, mama musiała rodzić bez znieczulenia, jedynie w asyście pielęgniarki. Coś poszło nie tak, jak trzeba, dziecko umarło i od tej pory matka miała problemy z nogą. Przeciwno lekarzowi wniesiono sprawę do sądu, ale nic mu nie udowodniono, więc udało mu się wymigać. Rok później wróciliśmy do Plymouth, ale na drugi brzeg Barbican, gdzie poszłam do szkoły. Gdy kończyłam edukację w wieku lat czternastu, nauczycielka napisała: „Margaret jest bardzo zdolną dziewczynką i naprawdę szkoda, że musi opuścić szkołę tak wcześnie. Jeśli byłaby gotowa sporo pracować, jestem pewna, że mogłaby dużo osiągnąć w naukach ścisłych. Jestem również przekonana, że może wykorzystać swoje umiejętności do złych celów, czego dała świadectwo w ostatnim roku nauki. Powinna zatem przebywać we właściwym towarzystwie. Życzę jej powodzenia i mam nadzieję, że nie zmarnuje swoich talentów”.

No cóż, starałam się nie zmarnować swoich talentów.

Przyjęcie z tańcami odbywało się w „Stag Hotel” na High Street. Propozycja Marka Rutlanda dawała mi dobrą wymówkę, ale w ostatniej chwili zdecydowałam się, że jednak pójdę. Wiecie, jak to czasem jest, trzeba pójść i zobaczyć coś na własne oczy.

Byli tam wszyscy — drukarze, introligatorzy, zecerzy z żonami i wszystkie dziewczyny z mężami lub chłopakami. Pan Holbrook przyszedł z żoną. Reszta przyszła sama — pan Newton-Smith był kawalerem, Mark Rutland wdowcem, a Terry Holbrook rozwodnikiem.

— To daje do myślenia, dziewczyny — stwierdziła Dawn Witherbie. Gdy skończyła się kolacja, głos zabrał pan Holbrook. Mówił na temat

tego, co wydarzyło się w firmie w zeszłym roku. Noc była dość ciepła, więc wkrótce trzeba było otworzyć okna wychodzące na High Street, gdzie panował jeszcze dość spory ruch. Pan Holbrook obwieścił:

— Panie i panowie. Z prawdziwą przyjemnością po raz czwarty wznoszę toast za was wszystkich... — Za oknami przejechała wielka ciężarówka i cztery samochody. — Ogólnie mieliśmy bardzo satysfakcjonujący rok. Nie waham się powiedzieć, że byliśmy zaniepokojeni rozwojem negocjacji w czerwcu, ale na szczęście... — Trzy motory. — Tak więc w końcu nas to

ominęło — włączył swój uśmiech. — Jest wielką pociechą dla mnie, jak już mówiłem, że nasza firma jest jak rodzina. Nie jesteście dużą firmą... — Sportowe samochody, wyprzedzające dwa autobusy. — Także zestawienie zamówień może być powodem do zadowolenia, choć nie do spoczęcia na laurach. W porównaniu z zeszłym rokiem...

Gdy porównywał ten rok z rokiem poprzednim, jego uśmiech przygasł na chwilę, ale zaraz go włączył ponownie, by pokazać, jak bardzo był zadowolony z obecnych obrotów.

— W ciągu tego roku mieliśmy trzy śluby w firmie. Proszę, żeby szczęśliwe młode pary wstały i przyjęły gratulacje.

— Szczęśliwe młode pary wstały i wszyscy bili im brawa. — Sześć osób z różnych przyczyn opuściło naszą firmę, ale przyjęliśmy piętnaście nowych. Prosiłbym, żeby... — Kilka samochodów w obydwu kierunkach. — ...się podniosły, tak żebyśmy mogli je zobaczyć.

Mężczyzna obok mnie ścisnął mój łokieć. Odsunęłam się, ale on zrobił to ponownie.

— Pani jest nowa, pani Taylor. Niech pani wstanie.

Więc wstałam, jako przedostatnia zresztą, uśmiechnęłam się niepewnie, uchwyciłam spojrzenie Marka Rutlanda i szybko usiadłam.

Po kolacji wyszłam na dłuższy czas na zewnątrz, ale jak tylko wróciłam, Terry Holbrook poprosił mnie do tańca. Dobrze prowadził, więc tańczyło mi się całkiem nieźle. Nie tańczyłam przez ostatnich kilka lat, ale nie dlatego, że tego nie lubiłam. Działo się tak, bo nie miałam na to czasu i dlatego, że chodzenie z chłopakami na tańce zwykle prowadziło do całowania. Ale często śniło mi się, że mam dużo pieniędzy i piękne stroje, naszyjnik z diamentów, i wybieram się na bal, gdzie wszystko jest piękne, pełne wdzięku, delikatnego światła, muzyki i urzekających kolorów. Tak jakbym naprawdę była romantyczką.

— Czy ktoś ci wcześniej powiedział, że ładna z ciebie dziewczyna? — spytał Terry Holbrook.

— Nie pamiętam.

— Ale jesteś skromna, moja droga! Cóż, jeśli wolisz coś bardziej bezosobowego, to ci powiem, że masz bombową sukienkę.

Kupiłam ją wczoraj, tak mnie urzekła jej elegancka prostota, że po prostu musiałam. Poza tym myślałam, że nikt się tutaj na niej nie pozna. Ale Terry wiedział wszystko o kobiecych ciuszkach...

Pomyliły mu się kroki i pomyślałam, że ostatnim razem, ostatnim razem... To było w dyskotecie „Sheba”. Poszłam tam z dziewczyną o imieniu Veronica. Nie mogłam sobie przypomnieć jej nazwiska. Nieźle się rozkrę-

ciła, zrzuciła buty, rozpuściła włosy. Ja nie bardzo się do tego nadawałam. Stałam z boku i myślałam, że to szaleństwo dać się tak ponieść muzyce. Podszedł do mnie facet w koszuli w pasy jak u osy. Miał tak obcisłe dżinsy, że opinały się w niewłaściwym miejscu, fryzurę a la Marlon Brando, lepkie ręce i śmierdział potem...

— Świetnie tańczysz, Mary.

— Dziękuję.

— Ale jakaś jesteś nieobecna. Powiedz, o czym myślisz.

— Jakie to wspaniałe rodzinne przyjęcie!

— Daruj sobie! I zupełnie nie masz wycucia!

— Dlaczego? Nie jest tak?

Ominął mnie wzrokiem, spuszczaając oczy.

— Umiesz tańczyć latino?

— Trochę.

— Wiedziałaś, że jive i rock and roli pochodzą z Ameryki Łacińskiej?

— Nie.

— To właściwie ten sam rodzaj tańca. Wszystko się kręci wokół mężczyzny, ale to kobieta wykonuje większość tańca. Nie sądzisz, że tak to właśnie powinno wyglądać?

Znowu wydał mi się jakiś taki oślizgły. Gdy mówił, w jego oczach zapalały się dziwne błyski, a w kącikach ust błąkało się coś w rodzaju uśmiechu.

Wróciliśmy do tańca, ale w połowie orkiestra zaczęła grać najnowsze hity, co mu wyraźnie nie pasowało.

— Jeśli ci się nie podoba, możemy usiąść — powiedziałam.

— Moja droga, ty, jeśli chcesz, to proszę bardzo, ale ja jako dyrektor muszę sprawiać wrażenie, że cały czas dobrze się bawię.

— A pan Rutland tańczy?

— Dlaczego jego samego nie zapytasz, skoro tak cię to interesuje?

— Niespecjalnie, ale zrozumiałam, że dyrektorzy powinni brać udział w zabawie.

— On nie tańczy. To dlatego nie jest lubiany.

— Naprawdę jest nielubiany?

— Spytaj swoje koleżanki.

— Ale zawsze przychodził na przyjęcia?

— Moja droga, to jest pierwsze, które zaszczyił swoją obecnością, od momentu, kiedy raczył pojawić się w firmie. Rozmowa stała się nieprzyjemna, więc nie zdziwiłam się, że przez następną godzinę nie poprosił mnie do tańca. Nie żeby brakowało mi partne-

31

rów. Ale około pierwszej, gdy większość zarządu zaczęła opuszczać salę, podszedł do mnie i powiedział:

— Zaczyna się robić nudno. Zapraszam kilka osób do siebie na zakończenie wieczoru. Wpadniesz?

— Na tańce?

— Nie. Ot tak, na drinka, pogadać przy muzyce. Nic specjalnego.

To był właściwy moment, żeby się wymknąć. Trzymałam się z dala od ludzi w Manchesterze i to mi się opłaciło. Ale nie zawsze robi się to, co nakazuje rozsądek.

— Dzięki — powiedziałam. — Przyjdę z przyjemnością.

— Świetnie. Spotykamy się przy drzwiach za dziesięć minut. Zdaje się, że MacDonaldowie mają dla ciebie miejsce w ich małym samochodzie.

Cóż, mieszkał zaledwie dziesięć minut drogi od „Stag Hotel”. MacDonaldowie byli gośćmi firmy i oboje byli bardzo wysocy, w aucie głowami sięgali prawie do sufitu. Ogólnie dość mili, oczywiście na swój sposób. Byli eleganckimi ludźmi z Londynu, więc trochę zadzierali nosa, ale na szczęście nie byli pozerami, jak te eleganciki z prowincji. Ona miała blond włosy obcięte tak, że wyglądała jak zmokły kot, i miała na sobie rypsową sukienkę w kwiaty, która za bardzo odsłaniała nogi i biust. On miał długie włosy i garnitur z niebieskimi aksamitnymi klapami. Razem ze mną na tylnym siedzeniu ich jaguara siedziała Dawn Witherbie z zabawnym gościem o imieniu Walden. Alistair MacDonald prowadził jak wariat, ale Terry'emu jakimś cudem udało się dojechać na miejsce przed nami, więc wysiedliśmy i weszliśmy do jego mieszkania, na które składały się trzy nowoczesnie urządzone pokoje. Wiecie, co mam na myśli — jasnioletowy dywan, pomarańczowe i żółte ściany, neonowe światła w kształcie litery Z oraz bar, którego frontowa ścianka obita była niebieską miękką skórą.

Było nas razem dwanaście osób, wszyscy rozmawiali i dość sporo pili. Nie żebym to ja dużo piła. Przy moim stylu życia nie należało być zbyt rozmowną. Ktoś zawołał: „Nastawcie płytę” i nagle z głośnika popłynęła przyjemna muzyka do tańca, dwie czy trzy pary zaczęły tańczyć w kącie. Jednak na dywanie niespecjalnie to szło, więc po chwili Terry przysunął stół na środek i spytał mnie:

— Grasz w pokera, Mary?

— Nie. Masz na myśli hazard? — spytałam. — Nie. Zaśmiał się w odpowiedzi.

— To tylko zabawa. Żaden prawdziwy hazard. Zaraz cię nauczę.

— Nie, dzięki, poprzyglądam się tylko.

— Jeśli nauczyłabyś się tego tak szybko jak czaczy... Alistair, maksymalna stawka dwa szylingi?

— Małe stawki — marny bief, wiesz jak to jest, mój stary — powiedział Alistair MacDonald. — Każdy będzie chciał sprawdzić, jak będzie tak tanio.

— Dobra, dobra, stary — powiedział Terry, naśladując go. Zniżył głos i lekceważącym gestem wskazał tańczących.

— Jesteśmy dzisiaj w mieszanym gronie. Myślę, że powinniśmy to uwzględnić.

Gail MacDonald podciągnęła ramiączko sukienki.

— Nie nudź, kochanie — powiedziała do męża. — Dziś możemy zejść na niższy poziom.

Spojrzała na mnie.

— Nie mam na myśli ciebie, moja droga. W tej boskiej sukni — to Amies? — wiedziała, że nie — wyglądasz jak kobieta u wczesnego Modiglianiego, ta cudowna ciepła skóra... Oczywiście, będziemy grali za tyle, ile powiesz, Terry, mój skarbie.

Pocałowała go.

Kilka osób usiadło wokół niskiego stolika, po którego dwóch stronach stały kanapy. Na początku nie chciałam grać, ale Terry nalegał, że będzie mnie uczył. Jakoś tak się składało, że jego ręce ciągle gdzieś mnie dotykały — a to obejmował mnie w talii, kładł mi rękę na ramieniu, przy czym dwa lub trzy palce dotykały mojego dekoltu, albo trzymał moją rękę lub dłoń. Nie lubię, jak się mnie ciągle dotyka, i byłam zadowolona, że MacDonaldownie zaoferowali się odwieźć mnie potem do domu.

Udawałam, że nie mam pieniędzy, więc Terry pożyczył mi dwa funty, ale nie miałam szczęścia, więc gdy je straciłam, powiedziałam, że się wycofuję. Dzięki temu mogłam przesiać się dalej od niego.

Zaczęłam obserwować grę. Terry miał rację, to nie było trudne — każdy mógł się zorientować, o co chodzi w przeciągu dziesięciu minut — ale na tym nie koniec. Wydawało się, że każdy, mając trochę czasu na zastanowienie się, byłby w stanie ocenić, jakie ma szanse na wygraną po wyciągnięciu karty i jaką ma szansę na wygraną, wymieniając karty. Na przykład, jeśli miało się cztery karty tego samego koloru i chciało się wyciągnąć piątą, żeby mieć tak zwany kolor, to szanse były mniej więcej jeden do czterech, bo w talii były cztery kolory. Ale jeśli miało się trzy karty tego samego rodzaju — na przykład trzy piątki — i chciało się wyciągnąć czwartą, to szanse były jeden do czterdziestu ośmiu, ponieważ była jeszcze tylko jedna w talii. Nie, jeden do dwudziestu czterech, bo do wykorzystania były dwie szanse.

Gdy nikt nie patrzył, wzięłam torebkę, znalazłam kawałek papieru i zaczęłam to sobie rozpisywać. Około trzeciej Smitheramowie i Dawn i jeszcze jakaś para poszli do domu, a my wypiliśmy po drinku i pomyślałam, że to koniec wieczoru. Jednak dwie czy trzy osoby chciały grać dalej, więc znowu wszyscy zasiedli wokół stolika i tym razem namówili mnie do gry.

Wyjęłam jednofuntowy banknot z torebki i usiadłam, przysięgając sobie, że pójdę do domu, jak tylko go przegram. Ale nie poszłam do domu. Wygrałam. W tym momencie mogłam skorzystać ze wszystkich moich atutów. Przez wiele lat musiałam ukrywać, co myślę, bez względu na to czy tego chciałam, czy nie. Musiałam to ukrywać, od kiedy miałam dziesięć lat. Po pierwsze — moje zamiłowanie do matematyki i pieniędzy. Po drugie — moją umiejętność obserwowania i zgadywania, kto blefuje, a kto nie.

Nie mogę powiedzieć, że bym miała z tego jakąś frajdę. Hazard zawsze śmiertelnie mnie przerażał. Jedyne raz, kiedy postawiłam na konia, czułam się fatalnie, i niemal odczułam ulgę, kiedy wyścig się skończył i przegrałam. Zupełnie nie rozumiem dlaczego, ponieważ zwykle nie mam problemów z wydawaniem pieniędzy.

Koło piątej nad ranem, gdy gra się skończyła, miałam dwadzieścia dwa funty. Czułam się podle i cieszyłam się, że już po wszystkim. Z początku nie chciałam wziąć pieniędzy.

— Nie — powiedziałam. — Weźcie swoje pieniądze. To za dużo.

— Wygrane w uczciwej grze — odparł Alistair MacDonald, klepiąc mnie po ramieniu. Był drugą osobą, która wygrała tego wieczoru. — Ale nie graj tak dobrze za drugim razem, bo przestaniemy ci wierzyć.

— I tak przywitał nas świt — orzekła jego żona, ziewając i zakrywając dłonią usta. — Zawsze to mówię na pożegnanie. Janie, do domu!

Terry zaproponował jeszcze pożegnalnego drinka, ale nikt nie miał ochoty, poszliśmy więc do sypialni po płaszcze. Zauważyłam plamę na rękawie sukienki, zaczęłam ją ścierać, ale jestem pewna, że trwało to jakieś pięć sekund, nie dłużej. Gdy weszłam do salonu, moja wygrana leżała na stole, a Terry żegnał Waldena i dwóch innych mężczyzn. Wzięłam więc pieniądze i włożyłam je do torebki.

Gdy Terry żegnał gości, podeszłam do drzwi z płaszczem przewieszonym przez ramię. Mrugnął do mnie, uśmiechając się tym lekko zdeformowanym uśmiechem, i kiedy zamknął drzwi, powiedziałam:

— Dziękuję ci bardzo. Było bardzo przyjemnie. I jest mi niezmiernie przykro z powodu tych pieniędzy.

— To była uczciwa gra, jak powiedział Alistair. Zostań jeszcze chwilę, proszę.

— Naprawdę nie mogę. Padam z nóg. I MacDonaldownie czekają na mnie.

— Nie, oni już pojechali.

— Jak to, pojechali? — zdziwiłam się.

Jeśli jest tak, jak mi się wydaje... — pomyślałam.

— Chcesz powiedzieć, że...

— Nie denerwuj się tak — przerwał mi. — Za kilka minut odwiozę cię do domu.

— Ale oni powiedzieli, że naprawdę jest im po drodze.

— Taaak? To pewnie zapomnieli.

Wziął mnie za rękę i zaprowadził z powrotem do salonu.

— Nie, tak naprawdę, moja droga, powiedziałem im, że zostaniesz jeszcze chwilę u mnie i że odwiozę cię do domu.

Naprawdę, bardzo mi zależy, żebyś została.

— Ale co oni sobie pomyśleli? — spytałam.

— Pomyśleli? — Aż zaniósł się od śmiechu. — To ci dopiero! Victoria ledwo co trzymała się na nogach, nie zauważyłaś?

— Tak, widziałam — powiedziałam. Podeszedł do okna i odsunął zasłony.

— Widzisz? Już prawie świta. Słońce wjeżdża za pięć minut. Twój honor jest uratowany.

Nie odpowiedziałam. Podeszedł i z bliska spojrzał mi w twarz.

— Posłuchaj, kochanie, pomyślałem po prostu, że byłoby cudownie. Nie ma sensu kłaść się teraz spać. Musimy wrócić do kieratu za niespełna cztery godziny. Poza tym umieram z głodu i przypuszczam, że ty też. Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść razem śniadanie. Potem odwiozłbym cię do domu, poczekałbym, aż się przebierzesz, i zabrałbym cię do firmy.

Podeszłam do stolika i zaczęłam zbierać karty. Znam się na wielu rzeczach, ale to z pewnością przekraczało moje umiejętności. Umiałam sobie poradzić z mężczyznami typu Ronnie Oliver i nie pozwolić się im nawet dotknąć.

Radziłam też sobie całkiem nieźle z większością typów, jakich można spotkać na rogu ulicy lub w barach espresso.

Ale to było coś innego. Na przykład, sposób wyrażania się. Nie byłam nawet pewna, czy miał coś zdrożnego na myśli. I był moim szefem. Jeśli chciałam zostać w firmie, powinnam raczej z nim nie zadzierać.

— Co chcesz na śniadanie? Zaśmiał się.

— Wiedziałem, że jesteś w moim typie. Jajka na bekonie, co ty na to?

— Może być. Ale proszę, nie odwoź mnie do domu. Po śniadaniu chciałabym, żebyś zadzwonił po taksówkę. Poza tym dzisiaj mnie na to stać. Poszłam do kuchni i wrzuciłam na patelnię bekon i jajka. Gdy byłam zajęta smażeniem i robieniem tostów, Terry nakrył do stołu w salonie. Potem przyszedł do kuchni zrobić kawę.

— Ależ moja droga, pobrudzisz swoją piękną sukienkę. Dam ci fartuch.

Wrócił z niebieskim plastikowym fartuchem w kwiaty.

— To twój? — zapytałam.

— Nie przesadzasz? To mojej żony.

— A gdzie jest teraz twoja żona?

— Mieszka w Ealing. Nie pasowaliśmy do siebie. Pozwól, ja to zrobię. Próbowалам wziąć od niego fartuch, ale oczywiście musiał owinąć go wokół mojej talii i zawiązać. Gdy skończył, objął mnie w pasie.

— Czy już ci mówiłem, że jesteś ładna?

— Uważaj na tosty...

— Cóż, to już nie jest prawda. Teraz jesteś piękna. — Hm....

Wymknęłam się i stanęłam po drugiej stronie kuchenki.

— To prawda. Ponieważ teraz jesteś blada i zmęczona. To podkreśla twoje rysy, dodaje ci uroku.

Pocałował mnie w kark.

— Terry, jeśli jeszcze raz to zrobisz, pójdę do domu.

— Dlaczego?

Wyciągnęłam tost, położyłam go na stole i zaczęłam zeskrobywać spaleniznę.

— Zrobiłeś kawę?

— Dlaczego pójdziesz do domu, jeśli to zrobię?

— Po prostu tak chcę.

Nadal stał blisko mnie. O wiele za blisko.

— Wydaje mi się, że bardzo mało cię znam, Mary. Nie wiem, jaki masz w środku mechanizm.

— Zwyczajny, taki jak wszyscy..

— Nie, twój jest inny. Miałem... — Jak by to ładnie ująć? — Kilka przygód w moim życiu. Żeby nie przesadzić — dziewczyna, kobieta jest dla mnie jak otwarta księga. Ale ty nie jesteś taka jak inne. Ty działasz ina-

— To pewnie kwestia jednego małego trybiku. Możesz wyłączyć piekarnik?

Wyciągnął rękę do tyłu i wyłączył go, nie odrywając ode mnie wzroku.

— Może mam zbyt wygórowane mniemanie o sobie, ale w większości przypadków wiem, co kobieta zrobi lub powie, jeśli się zacznę do niej przystawiać — i to zanim ona sama będzie to wiedziała. Zawsze wiem, czy są chętne, czy nie. Ale w twoim przypadku nie mam pojęcia.

— Proszę, twój talerz — ostrożnie, jest gorący.

Przeszliśmy do salonu i zaczęliśmy jeść. Miał rację co do jednej rzeczy: byłam głodna. Pochłaniałam jedzenie, nie przejmując się, że sama jestem jak na widelcu. Nie przestawał mnie obserwować. Gdy patrzyło się na jego twarz z przeciwka, zdawała się mieć kształt gruszki. To nie była ładna twarz, ale mimo to przykuwała uwagę. Było w niej coś dzikiego, wstrętnego, a zarazem bardzo czujnego. Bałam się i czułam nieswojo, gdy mi się tak przyglądał.

Żałowałam, że w ogóle tu przyszedłam.

— Mary, czy mogę powiedzieć coś bardzo, bardzo nieprzyjemnego?

— Cóż, nie mogę ci zabronić.

— Możesz mnie potem spoliczkować — wydał usta. — Wiem, że twój mąż zmarł niedawno, ale... Ty nie wyglądasz na kobietę, która kiedyś była zameżna.

Na zewnątrz już widniało. Pokój ze stolikiem do kart, pustymi szklankami, popielniczkami pełnymi niedopałków, przedstawiał raczej odrażający widok. Podniosłam się.

— Myślę, że to odpowiedni moment, żeby wyjść. Wstał także i podszedł do mnie.

— Czekam.

— Na co?

— Z tej strony jest lepiej. Druga strona i tak ma już niezły kolor za uchem.

Po raz pierwszy wspomniał o swoim znamieniu.

— Dlaczego? — zapytałam. — Przecież to tylko twoja opinia.

— W ten sposób zadałabyś temu kłam.

— Mogłabym, ale nie, dziękuję, nadal myślę o Jimie.

Jego oczy miały kolor kleju, takiego, jaki można dostać w specjalnych dozownikach do biura. Tyle, że nie myśli o biurze nadawały im ten kolor. — Szkoda, że mnie nie uderzyłaś w twarz. — Dlaczego?

— Pamiętasz „Alicję w Krainie Czarów” i Królową, która krzyczała, *zanim* ukuła się w palec?

— Nigdy tego nie czytałam.

— Kobiety zwykle policzkują mężczyzn — jeśli mają na to ochotę — po tym, jak zostały pocałowane. Pomyślałem, że mogłabyś spróbować w odwrotnej kolejności. Byłaby to jakaś odmiana.

Moje serce waliło jak oszalałe.

— Nie, dzięki. Zadzwoń teraz po taksówkę?

Cofnęłam się, ale objął mnie bardzo wprawnym ruchem i ścisnął dość mocno. Gdy odwróciłam twarz, pocałował mnie w szyję. Oparłam dłonie na jego piersiach i gdy poczuł opór, przestał mnie całować, zwolnił uścisk, ale nadal mnie obejmował. Mało brakowało, a zapomniałabym mojego wyuczonego sposobu wyrażania się i pokazałabym, jak umiem posługiwać się językiem Królowej Matki. Z tej sytuacji należało jednak wydostać się w jakiś zręczny sposób. — Możesz uważać się za spoliczkowanego.

— Przepraszam cię, moja piękna, ale naprawdę jesteś niesamowita. Elastyczna niczym wąż. Czy mogę powiedzieć coś jeszcze?

— Tak. Dobranoc.

— Jest rano. A tak wczesny rano jak dziś, po nocy spędzonej nie w łóżku, to idealny moment na seks. Jesteś zmęczona i zrelaksowana, twoja skóra jest chłodna i lekko wilgotna, a poza tym wszyscy smacznie śpią. Robiłaś to kiedyś? — Kiedyś spróbuję.

— A dzisiaj nie?

Spróbowałam się uśmiechnąć i potrząsnęłam głową.

— Dzisiaj nie.

— Mały całus na pożegnanie? No cóż, wyglądał raczej zdrowo.

— A potem zadzwonisz po taksówkę?

— Oczywiście.

Spojrzałam na niego, a on przycisnął swoje usta do moich. Zamiast jednak zatrzymać się na tym, zaczął się ze mną naprawdę całować. Czulałam jego mokry język i wargi na moich ustach i zaciśniętych zębach. Gwałtownie odwróciłam głowę, bojąc się, że zwymiotuję. Musiałam go trafić kością policzkową w nos, bo puścił mnie gwałtownie i o mało co nie upadłam. Złapałam się krzesła i spojrzałam na niego, jak rozcierał nos, patrząc na mnie z wściekłością. Teraz naprawdę się go bałam. Wzięłam płaszcz i torebkę z krzesła i podeszłam do drzwi. Mocowałam się z zamkiem w popłochu, bojąc się, że mnie zatrzyma. W końcu zamek ustąpił, udało mi się

wyjsc i zatrzasnac za soba drzwi. Potem zbieglam po schodach na dol, poczulam rzeski chlod poranka. Szlam przed siebie, ocierajac usta wierzchem dloni.

#### Rozdzial 4

Zastanawialam sie, czy nie powinnam zlozyc wymowienia. Duzo nad tym rozmyslam. Pewnie dla wiekszosci kobiet to nie bylaby wielka sprawa, ot, pocaunek w mieszkaniu. Ale dla mnie to bylo cos wstretnego. Mdlilo mnie za kazdym razem, kiedy o tym myslalam, i nie chcialam juz wiecej widziec Terry'ego.

Nie przyszedl do pracy w sobote. Dawn spytala:

— Jak wrócilas wczoraj w nocy? Myslalam, ze wyjdiesz z nami.

— Nie — powiedzialam. — MacDonalldowie mnie odwiezli.

— Aha... Francja elegancja. Ale ona nie jest zbyt ladna, co? O matko, ale wpadlas wielmoznemu panu w oko! Gdzie kupilas te kiecke? Naprawde, potrafisz zaskoczyc, a niech ci!

Gdy Terry przyszedl do pracy w poniedzialek, w ogole nie zajrzal do mojej czesci biura, i bardzo by mi odpowiadalo, gdyby tak pozostalo. Mimo to czulam niepokoj caly ten tydzien, az do nastepnego poniedzialku, kiedy to przeniesiono mnie do zreorganizowanego dzialu ksiegowosci w glownym budynku. Tam uspokoil mnie widok pieniedzy, ktorymi mialam sie zajmowac.

Mialam bardzo duzo dodatkowej pracy w tym tygodniu. Teoretycznie rzecz biorac, pracowalam pod kierownictwem Susan Clabon, ale dostalam podwyzke i byla na takiej samej pozycji jak ona. W tym samym tygodniu wywieszono plan urlopow w glownym sekretariacie. Susan Clabon zarezerwowała sobie od razu dwa tygodnie, poczynajac od dziesiatego wrzesnia, wiec wpisalam moje nazwisko na nastepne dwa tygodnie. Miala wrócic dwudziestego szóstego wrzesnia. Zaczalam pracowac nad tym rozkladem.

W czwartek byla sama w biurze, kiedy wszedl Mark Rutland. Podeszedl do sejfu, wlozyl jakies ksiazki i gdy wychodzil, rzucil bilet na moje biurko. Zerknelam.

— To na wypadek, jezli bylyby pani naprawde zainteresowana — powiedzial.

Był to bilet na wystawę Krajowego Towarzystwa Hodowców Róż. Spojrzałam na niego kompletnie zaskoczona, wcale nie udając.

— Bardzo dziękuję. Nie trzeba było sobie robić kłopotu, panie Rutland.

— To żaden kłopot.

— Dziękuję panu bardzo. W drzwiach powiedział:

— Pierwszy dzień jest najlepszy. Choć wtedy nie bardzo pani może tam pojechać, prawda? Ale w sobotę po południu nadal wygląda to nieźle.

Do tej pory nie zwracał się do mnie oprócz spraw służbowych. A poza tym co może być bardziej niewinnego niż bilet na wystawę kwiatów?

Gdy wyszedł, wyjęłam puderniczkę i upudrowałam sobie nos. Wymieniłam ze sobą spojrzenie w lusterku. Moja wyobraźnia zaczęła pracować.

Jedyną różą, jaką kiedykolwiek miałam, była zakurzona pnąca róża, która kwitła każdego roku w ogródku w Plymouth. Ale zawsze była oblepiona przez mszyce i marniała. Często zastanawiała mnie więc piosenka „Róże Pikardii”, bo dlaczego ktoś miałby się wzruszać kwiatem tak mizernym jak ta róża, co to rosła przy naszym domu. Nigdy nie miałam dobrego mniemania o stworzeniach, które poddawały się bez walki.

Nie żeby „Róże Pikardii” miały dla mnie jakieś specjalne znaczenie. Pewnego dnia obserwowałam, jak jacyś mężczyźni oczyszczali miejsce po wybuchu bomby na Union Street. W gruzach znaleźli przenośny gramofon.

Obejrzel go i wybuchnęli śmiechem, a jeden z nich powiedział do mnie:

— Ej, ty tam, jak chcesz, to sobie go weź.

Pobiegłam z gramofonem do domu. Okazało się, że działał, niestety jedyną niezniszczoną płytą u nas w domu były „Róże Pikardii” w wykonaniu jakiegoś irlandzkiego tenora, który był chyba chory na migdałki, albo coś w tym stylu. Przez trzy lata nie było nas stać na zakup nowych, więc grałam to na okrągło, aż płyta kompletnie się zużyła. Zwykle wracałam do domu o wpół do piątej. Mama i Lucy były jeszcze wtedy w pracy, a mama zwykle zostawiała kartkę z listą potrzebnych rzeczy, więc szłam na zakupy. Potem przygotowywałam posiłek, na który zwykle składały się smażone ziemniaki z szynką lub solone wędzone śledzie z chlebem z masłem. Miał być gotowy na wpół do siódmej, kiedy wracały z pracy. Zwykle puszczałam sobie wtedy „Róże Pikardii”, bo była to jedyna muzyka, jaka była w domu.

Niedziele były ponure, ponieważ spędzałyśmy je niemal całe w kościele. Za to w sobotę, gdy mama i Lucy pracowały, mogłam robić, co chciałam. Oczywiście musiałam posprzątać dom, ale robiłam to szybko i o dziesiątej przyłączałam się do innych dzieci na podwórku. Włóczyliśmy się po Plymouth, przyglądaliśmy się buldożerom i robotnikom budowlanym przy pracy. Gdy szli na przerwę, przeczołgiwaliśmy się pod bramą i myszkowaliśmy po placu budowy, szukając, co by tu można ukraść. Czasami zabieraliśmy cegły, które jeszcze się nie przykleiły, chowaliśmy łopaty i napełnialiśmy kamieniami mieszarki do cementu. Potem chodziliśmy po sklepach albo do jednej z hal z automatami do gry, lub chichocząc przestawaliśmy się z chłopakami na rogu, czy wdrapywałyśmy się na nasyp i rzucaliśmy kamieniami w pociągi.

W pewną sobotę, w lutym, kiedy skończyłam czternaście lat, cały dzień wałęsałam się z pryszczatą dziewczynką June Tredawl, której matka odsiadywała trzymiesięczny wyrok. Były jeszcze z nami dwie dziewczyny, ale rozdzieliłyśmy się, więc całe popołudnie spędziłyśmy we dwie, szukając jakiegokolwiek zajęcia.

Jak pamiętam, było dość chłodno, nawet mroźno, więc gdy weszłyśmy na Hoe, morze było szare jak lodowisko. Pospacerowałyśmy tam trochę, przytupując z zimna w naszych tanich butach i rozmawiając o tym, co byśmy zrobiły, mając pieniądze. Gdy doszłyśmy do parkingu, przez niski murek zaczęłyśmy przyglądać się samochodom. Były tam wszystkie marki, jakie tylko są, od małych austinów, jeszcze sprzed naszych urodzin, po eleganckie MG i riley.

— Założę się, że nie wejdiesz i nie przekłujesz opon — powiedziała June.

— Idź i sama to zrób, jakżeś taka mądra.

— Dam ci pół dolara, jeśli to zrobisz.

— Och, zamknij się, dobra?

— Dam ci też te pończochy. Ale ty tego nie zrobisz... Boisz się, co?

— Głupia jesteś. Co z tego będziemy miały? Ja nic z tego nie będę miała, więc po co mam to robić?

Powarczałyśmy jeszcze trochę na siebie i poszłyśmy dalej. Na rogu nie było nikogo, więc stanęłyśmy na murze i obserwowaliśmy parking.

— Patrz, na tylnym siedzeniu w tym samochodzie jest torebka. Idź i zwiń ją, to jest coś, co nam się przyda! — rzekła June.

Skórzana torebka leżała na tylnym siedzeniu.

— Jak chcesz, to ją sama weź, samochód jest zamknięty i nie zamierzam go otwierać, nawet dla ciebie, pryszczata przybłądo.

Poszliśmy do domu, wyzywając się wzajemnie, ale kiedy zostawiła mnie samą, była dopiero piąta, a na dworze jeszcze dość jasno, więc uświadomiłam sobie, - że gdybym teraz wróciła na parking, zacznę zmierzchać. Nie lubiłam być wystawiana na próbę, dlatego pomyślałam, że jak uda mi się zwinąć tę torebkę, to jutro jej pokażę.

Wróciłam tam i przeszłam wzdłuż parkingu. Samochód cały czas stał. Przesłam tam i z powrotem, bo chciałam sprawdzić, gdzie jest stróż. Był w drugim końcu i wydawało się, że jest zajęty. Przy trzecim kursie przeszłam przez murek. Gdy klóciłam się z June, zauważyłam, że jedno z bocznych trójkątnych okienek nie było domknięte. Teraz wystarczyło, że popchnęłam je palcem, a obróciło się w zawiasach. Jak się ma małą rękę, łatwo jest włożyć do środka palce i otworzyć drzwi od wewnątrz. Wtedy można już przestać zerkać na pozostałe samochody na parkingu. Potem otwiera się drzwi i sięga po torebkę.

Ukryłam ją pod kurtką i przeszłam znowu przez murek. Potem zaczęłam biec.

Była to pierwsza rzecz, którą ukradłam od czasu, kiedy matka zrobiła mi piekielną awanturę cztery lata przedtem.

Dopiero kiedy zaczęłam się zbliżać do domu, poczułam się naprawdę dobrze. Wtedy też zaczęłam myśleć.

Przypomniałam sobie, że ostatnim razem zostałam przyłapana, bo moja współniczka dostała cykora i wydała nas obie. Gdyby June zobaczyła torebkę, już nigdy nie byłabym bezpieczna. Skręciłam w ciemną alejkę i otworzyłam ją. Były tam tylko dwa funty jedenaście i siedmiopensówka, znaczki pocztowe, książeczka czekowa, chusteczka do nosa i puder.

Wyjęłam pieniądze i znaczki, poszłam aż do portu koło Barbican i wrzuciłam torebkę do morza.

W sobotę po południu wybrałam się na wystawę róż. Było mi wszystko jedno, czy zobaczę te kwiaty, czy nie, ale pomyślałam, że on może zapytać o to, czy byłam, a niełatwo jest udawać, jeśli się nie ma pojęcia, jak coś takiego może wyglądać.

Gdy przyjechałam na miejsce, widok ogromnej ilości róż naprawdę poprawił mi nastrój i zrozumiałam, że moja mizerna pnąca róża nie była odpowiednim przedstawicielem tego gatunku.

Było tam mnóstwo ludzi — ludzi, jakich widywałam obecnie w Londynie. I chociaż miałam ochotę zmieść ich wszystkich z powierzchni ziemi, trzeba było przyznać, że z klasą wydawali pieniądze. Stałam i przysłuchiwałam się kobiecie, zamawiającej sześć tuzinów odmiany Peace, cztery tuziny Dusky Maiden i trzy tuziny odmiany Opera, starając się sobie wy-

obrazić, jakich rozmiarów był jej ogród, skoro kupowała róże, by wymienić tylko *niektóre* krzewy. Usłyszałam dwóch mężczyzn rozmawiających o lunchu, jaki jedli wczoraj w Nowym Jorku. Jakaś kobieta narzekała, że wokół jej willi w Antibes rosną piękniejsze róże niż koło drugiego domu w Surrey, i chciała się dowiedzieć dlaczego. Tysiąc lat świetlnych dzieliło ten świat od agencji pośrednictwa pracy, ich niechlujnych urzędników i ciamajdowatych bezrobotnych. Zastanawiałam się, czy te dwie grupy miały świadomość, że żyją na tej samej planecie.

Cóż, być może kiedyś będę miała willę w Antibes, gdziekolwiek to jest.

— Och, jednak pani przyszła, pani Taylor. Mam nadzieję, że podoba się tu pani.

Mark Rutland. Nigdy nie wiadomo, co się człowiekowi przydarzy...

— Tak, bardzo się cieszę, że tu dotarłam. Nigdy nie widziałam takich kwiatów.

— Z roku na rok są odrobinę lepsze. Czasami zastanawiam się, jak doskonale będą, zanim staną się oklepane. Czy widziała już pani medalistkę?

Razem przeszliśmy przez salę. Pomyślałam sobie — czy on naprawdę jest takim samym facetem jak wszyscy? Nie chciałam zakończyć następnego spotkania szamotaniną z kolejnym dyrektorem.

Dzisiaj był lepiej ubrany — zwykle do pracy zakładał stary garnitur — ale jego włosy wyglądały, jakby je tylko przeczesał palcami, poza tym był blady na twarzy. Wyglądał całkiem, całkiem.

Nie miałam ochoty na znajomość ani z nim, ani z jego kuzynem, chciałam ich tylko w spokoju obrabować.

W momencie, gdy próbowałam wymyślić jakąś wymówkę, by go tutaj zostawić, powiedział:

— Muszę być z powrotem w Berkhamsted o szóstej, ale pomyślałem, że wystarczy mi jeszcze czasu na podwieczorek. Miałaby pani ochotę zjeść coś ze mną?

Zaskoczyło mnie to, więc machinalnie zapytałam:

— A gdzie? Uśmiechnął się.

— Zaraz tutaj za rogiem jest herbaciarnia, gdzie robią całkiem niezłe bułeczki.

W herbaciarni, która była dość dyskretnym miejscem, z różowymi zasłonkami i wnekami, zupełnie w innym stylu niż A.B.C. czy Lyons, zaczął mnie wypytywać, czy lubię swoją pracę i czy sądzę, że reorganizacja dzia-

łu księgowego wyjdzie firmie na dobre. Pomyślałam sobie — uff, to co innego, przynajmniej nie jest mną zainteresowany, dzięki Bogu.

— Jesteśmy firmą rodzinną, co bez wątpienia słyszała już pani wiele razy. Ale problem z takimi firmami polega na tym, że zwykle popadają w rutynę. Gdy synowie dziedziczą firmę, a nie rozpoczynali pracy od najniższego stopnia, bardzo dużo zależy od tego, czy nadają się do takiej pracy. Moj ojciec ze względu na charakter nie nadawał się do biznesu. Kochał kwiaty i to one stanowiły treść jego życia. Nie wydaje mi się, żeby obecnie...

Przerwał i się uśmiechnął.

— Ale to już inna historia.

— Pan jest od niedawna w firmie, prawda?

— Tak, od kiedy zmarł mój ojciec, wcześniej byłem w marynarce. Miałem brata, sześć lat starszego ode mnie, który miał przejąć firmę, ale zginął na wojnie.

— Mówiono mi, że wprowadził pan duże zmiany w firmie.

— Kto to pani powiedział? Zresztą, wszystko jedno, to prawda. W niektórych działach nic nie zmieniano od 1920 roku. Przeze mnie w zeszłym roku firma poniosła spore straty. Biorąc jednak pod uwagę stan interesów było to zgrabne posunięcie. '

— Podobało mi się na przyjęciu — powiedziałam. — Czy zawsze pan przychodzi?

— Nie, to był mój pierwszy raz. W pierwszym roku tej mojej pracy w firmie moja zona zachorowała. W następnym roku zmarła.

No cóż, Terry Holbrook zachował się jak świnia.

— To musi być dla pana duża odmiana po marynarce, panie Rutland.

— Zarówno tam, jak i tutaj, ma się do czynienia z żywiołem. Osobiście miałam inne zdanie, ale nie zdradziłam się z tym. Wyglądał na takiego, który wie, czego chce, i zwykle udaje mu się to osiągnąć.

Dlaczego oni tak się nie lubią? — zastanawiała się Dawn. — Zresztą czegoż tu się można spodziewać? Zazdrość rodzinna, przychodzi sobie, ot tak do firmy, podczas gdy oni mieli zamiar dalej podążać starą ścieżką i pobierać wielkie pensje. W praktyce zarządzał tym wszystkim Sam Ward. Mark i Terry to przeciwieństwa, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. A przeciwieństwa w rodzinie, to najgorsze, co się może przytrafić. Podobnie było zresztą z ich żonami.

— Znałaś je obie?

— Znać, to może przesada. Żona Terry'ego była aktorką — oczywiście jest nią nadal — puściła się z jakimś producentem telewizyjnym i Terry się z nią rozwiódł. Blondynka, wysoka, niczego sobie. Wiesz, 90-60-90. Ładna, oczywiście, ale pokazywała się w różnych miejscach. Wydaje mi się, że nasz Terry za nią nie nadażał.

— A pani Rutland?

— Żona Marka? Zawsze mi się wydawała jakaś dziwna. Typ mózgowca. Niezbyt ładna. Atrakcyjna, ale nie umiała podkreślać urody. Grzebała się w ziemi, wykopywała jakieś skorupy — archeolog, wiesz. Mówią, że pisała książkę. Uczesałam włosy, a końce podwinęłam do wewnątrz.

— Czy Mark postępuje czasem tak jak Terry?

— Co masz na myśli?

— Podrywa personel, przystawia się... Dawn zaśmiała się.

— Mark? Nigdy. W każdym razie ja nic o tym nie wiem. A co, były jakieś ruchy w twoją stronę?

Zauważyłam, że mijały tygodnie, a nikt nie sprawdzał, ile pieniędzy jest w kasie w dziale detalicznym, ani jaka suma widnieje na czeku wystawianym w czwartki na wypłaty. Oczywiście, wszystko musiało się zgadzać w księgach. Ale jeśli suma wypłat wynosiła tysiąc dwieście funtów, a tygodniowy utarg około trzystu funtów, to do pracownika księgowości należało odjęcie trzystu od tysiąca dwustu. Jeśli w wyniku tej operacji wychodziło tysiąc sto, i czek wystawiany był na tę sumę, nikt się o tym nie mógł dowiedzieć aż do poniedziałku.

Pod koniec czerwca Mark Rutland nadwreżył kostkę, grając w sqa-sha, więc nie było go w pracy przez dwa tygodnie. Terry Holbrook prawie się do mnie nie odzywał od czasu feralnego wieczoru, ale przyglądał mi się uważnie, gdy myślał, że tego nie widzę. Wprawiał mnie w większe zakłopotanie niż jakikolwiek inny mężczyzna. Pewnego dnia musiałam wejść do jego biura. Stał przy oknie, kartkując egzemplarz „Tatlera”. Gdy już załatwiłam to, po co przyszłam, spytał mnie:

— Jak tam moja *donna intacta*?

— Przepraszam, ale nie rozumiem, co to znaczy — odpowiedziałam.

— A nie domyślasz się, moja droga?

— Owszem, domyślałam się.

— W takim razie jesteś na dobrej drodze.

— Nie mam takiego wykształcenia jak ty.

— Nie — powiedział. — Tak właśnie podejrzewałem. Odwrócił kota ogonem.

— Nie mogę ci zabronić myśleć o tym, co chcesz. Przykro mi, że tak cię to gnębi.

Odwróciłam się i chciałam wyjść.

Położył mi ręce na ramionach. Nie wiem, jak to robił, ale zawsze trafiał na miejsce, gdzie kończył się rękaw, a zaczynało ramię.

— Czy naprawdę musimy ze sobą walczyć?

— Nie... Wcale tego nie chcę.

— Moja droga, dla większości kobiet bycie adorowaną to nie obelga. Dlaczego ty to tak traktujesz?

— Wcale tak nie myślę.

Spojrzał na mnie z ukosa, lecz z powagą, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Jestem wytrwały. Woda draży skałę.

— Tak, ale trzeba na to więcej czasu niż ludzkie życie.

Patrząc wstecz, wydaje mi się, że nie była to najbardziej rozsądna odpowiedź, ale czułam, że muszę jakoś odpowiedzieć, bo za dużo widział, za bardzo wnikliwie mnie badał, a ja chciałam, żeby zostawił mnie w spokoju.

Puścił mnie.

— Życie jest bardzo krótkie, Mary — powiedział. — Siedem ósmych poświęcamy na pracę i sen. Mogłabyś spróbować cieszyć się pozostałymi dwunastoma procentami. Oddaj się przyjemnościom, rozpuść włosy, rozwiń skrzydła! Daj szansę facetom. Młodość nie trwa wiecznie, nic nie trwa wiecznie. Trzeba sobie pofolgować, nawet w firmie... Czyja cię nie nudzę? To musi być jakaś potworna pomyłka. Nie wierzę, że urodziłaś się po to, by być księgową. To sprzeczne z naturą.

W tym samym tygodniu zaczynał się sezon urlopów, więc w tak niewielkiej firmie jak Rutland pracownicy musieli brać zastępstwa za nieobecnych kolegów. Sekretarka pana Christophera Holbrooka wyjechała pierwsza. Pan Ward poprosił mnie, żebym przed południem wykonywała jej obowiązki. Pierwszego ranka weszłam do biura, nim przyszedł, otworzyłam listy i ułożyłam je na biurku, gotowe do czytania. Po jakiejś półgodzinie po przyjściu zadzwonił do mnie, więc udałam się do jego gabinetu z notatnikiem i ołówkiem.

— Pani Taylor, czy otwierała pani te listy?

— Tak, panie Holbrook.

— Czy zauważyła pani, że dwa z nich były oznaczone jako „poufne”?

— Wydaje mi się, że widziałam to na jednej z kopert.

Przeszył mnie wzrokiem. Ani śladu elektrycznego światła na twarzy.

— Było tak napisane na dwóch kopertach. Zauważyłam, że wyszperał je z kosza na śmieci.

— Nie ma zwyczaju w naszej firmie, ani w żadnej innej, o ile wiem, by sekretarka otwierała takie listy.

— Bardzo pana przepraszam. Jakoś o tym nie pomyślałam.

— No cóż, proszę pamiętać o tym na przyszłość, dobrze?

— Oczywiście.

Wysłałam, myśląc, że słusznie mnie zganił. Starłam się sobie przypomnieć, co było w tych listach. Pierwszy, o ile dobrze pamiętam, był od firmy maklerskiej. Informował o tym, że w imieniu pana Christophera Holbrooka kupili dwieście pięćdziesiąt akcji John Rutland & Co. od pani E.E. Thomas. Pisali dalej, że udało im się je uzyskać po cenie zaledwie trzy szylingi wyższej, niż ostatnie notowania. I pozostawali z poważaniem.

Drugi miał nagłówek kancelarii adwokackiej Jackson & Johnson i był napisany przez jednego z prawników, który informował pana Holbrooka, że zbadali głębiej sprawę przedstawioną im przez pana Terence'a Holbrooka w zeszły poniedziałek, i wszystko wskazuje na to, że Glastonbury Investment Trust jest zainteresowany. „Mimo to jest oczywiste, że przy tak małej ilości akcji w rękach osób prywatnych nie może pan podjąć działań sprzecznych z wolą obecnej rady nadzorczej. Prosiłbym, żeby przedstawił mi pan swoją opinię w tej sprawie, niezależnie od tego, czy pokrywa się ona z opinią rady. Jestem przekonany, że w przyszłości należałoby zorganizować spotkanie z panem Malcolmem Leicesterem”.

Wydawało się, że listy te mają ze sobą coś wspólnego. Gdyby Holbrook nie zrobił żadnej uwagi na temat ich otwarcia, z pewnością bym je zignorowała.

Czerwiec był upalny, ale trzeci jego tydzień wydawał się najgorętszy. W czwartek po południu pan Ward posłał po mnie i spytał:

— Czy umie pani prowadzić samochód, pani Taylor?

— Nie.

Umiałam, ale nie miałam prawa jazdy na to nazwisko.

— Szkoda, że nie posiada pani tej umiejętności, obok tak licznych zalet. Miałem nadzieję, że pani nam pomoże.

— Jaka to sprawa?

Zdjął okulary i przyglądał się im, jakby mu się nie podobały.

— Chodzi o ten druk dla Livery Company. Obiecaliśmy to na przyszłą środę, ale nie jestem pewien, co do układu tekstu. Normalnie zmieniałbym coś sam, ale to zlecenie pan Rutland przyjął osobiście, a chodzi tu o przyjęcie wydawane przez Królową Matkę, więc wszystko musi być pierwsza klasa. Rozmawiałem na ten temat z panem Rutlandem.

— Chce pan powiedzieć, że on chciałby to zobaczyć?

— Tak, ale oczywiście, jak musiała pani zauważyć, jest nadal na zwolnieniu.

— Mogę wziąć taksówkę — powiedziałam.

Spojrzał na mnie ze zjadliwym uśmiechem i było widać, że oblicza, ile to będzie kosztowało.

— Przypuszczam, że tak. Jest w swoim domu w Little Gaddesden. Gdyby Thornton tu był, posłałbym jego...

Myślałam, że na zewnątrz będzie chłodniej, ale niestety się myliłam. Chmurzyło się, a powietrze było ciężkie, jak ciasto drożdżowe Lucy Nye. Chmury zebrały się nad Londynem i wyglądało to, jakby ktoś spuścił bombę wodorową. Jazda taksówką trwała dobre czterdzieści pięć minut. Dom znajdował się na rogu pola golfowego.

Nieduży, ale elegancki, z wysokimi kominami i dużymi oknami, ozdobiony rosnącym wokół pięknym trawnikiem. Otworzyła mi kobieta w średnim wieku w fartuchu w paski. Pan Rutland był w pokoju, z którego drzwi balkonowe prowadziły na pole golfowe oraz trawnik z kilkoma świerkami. Oglądał wyścigi konne w telewizji, z jedną nogą opartą na sofie.

Uśmiechnął się na mój widok:

— Jak się pani miewa? Przepraszam za kłopot. Proszę usiąść. Odpowiedziałam uśmiechem i podałam mu program.

— Mam nadzieję, że wie pan, czego oczekuje pan Ward. Czy z pana kostką już lepiej?

— Tak, całkiem nieźle. Spójrzmy lepiej na to...

Jego ciemne włosy były w zwykłym nieładzie, ale w rozpiętej koszuli i w starych flanelowych spodniach wyglądał mniej blado niż w garniturze. Dziwne, że wyglądał mniej delikatnie w okolicznościach, w których właśnie powinien. Gdy przeglądał wydruk, zaczęłam oglądać telewizję.

— Tak, Ward miał rację. Coś mi się tu nie podoba. — Wziął długopis z biurka. — Gorąco dzisiaj, prawda?

Przyjechała pani taksówką?

- Tak. Wróci tu za piętnaście minut.
- Jeśli panią to denerwuje, może pani wyłączyć.
- Nie... Zresztą już się kończy. To Kempton Park, prawda? Zaczął pisać coś na marginesie programu.
- Interesuje się pani wyścigami?
- Uwielbiam to.

Spojrzał na mnie, jakby dostrzegł inny ton w moim głosie.

- Często pani bywa?
- Niezbyt. Jak tylko mogę.
- Na wyścigi chodzi się albo w towarzystwie, albo nie chodzi się wcale. Ale pani może ma towarzystwo...?
- Teraz nie — odpowiedziałam, w ostatniej chwili przypominając sobie, że jestem wdową.
- Pani mąż lubił wyścigi?
- Tak.

Dalej zaznaczał coś w programie. Słysząc było pomruki burzy. Zaczęła się niewinnie, ale zbliżała się gwałtownie, grmiąc niczym walec ogrodowy spuszczonego ze schodów. Wstałam i wyłączyłam telewizor tuż przed końcem wyścigów.

Podniósł wzrok, gdy zorientował się, że nadal stoję.

- Zajmie mi to jeszcze jakieś pięć minut. Jeśli lubi pani róże, proszę wyjść do ogrodu. W tym roku bardzo wcześnie zakwitły, ale jest jeszcze ładny krzew Speke's Yellow za rogiem domu.
- Myślę, że będzie zaraz padało. Skinął głową.
- Może ma pani rację.

W pokoju zrobiło się teraz ciemno. Niebo miało ohydny kolor żółtej miedzi, a liście drzew błyszczały jak stare łyżki. Nagle błysnęło. Podskoczyłam przerażona i z wdziękiem wycofałam się do tylnej części pokoju.

Stara Lucy Nye. Nie można się było od niej uwolnić. „Zakryj lustra, moja kochana” — mówiła zwykle. „Jeśli zobaczysz w nich błyskawicę, ujrzysz diabła patrzącego na ciebie. Mówię prawdę. Tak Bóg pokazuje nam piekło. Schowaj noże. Wejdzie w nie piorun, porazi cię następnym razem, jak tylko ich dotkniesz. Widziałam ludzi porażonych piorunem, rozplątanych na pół, jak drzewa. Widziałam mężczyznę w ubraniach porwanych na strzępy, z czarnofioletową twarzą, ze zwęglonymi dłońmi, zaciśniętymi w pięści, jakby się boksował. Żył jeszcze, jak do niego podeszłam, mimo że oczy i twarz były martwe...” Była nie do pobicia w tego typu historiach o piorunach.

W tej części pokoju było tak ciemno, że z trudem rozpoznawałam kształty — dookoła same cienie. Zresztą meble i w światle dziennym wyglądały dość ponuro. Mnóstwo półek ze starymi filiżankami i figurkami, wazonami. Niektóre z nich były obtłuczone i zniszczone, a inne tak upačkane starym, suchym błotem, że miało się ochotę rzucić na nie ze szczotką. Tuż przed regałami stało ogromne pianino, wielkie jak dwie trumny, a na nim fotografia młodej kobiety stojącej w wejściu do czegoś, co wyglądało trochę jak Stonehenge. Dawn miała rację — ona nie była ładna, miała za bardzo pociągłą twarz. Miała jednak piękne włosy, a jej oczy były duże i jasne.

Błyskawica przecięła niebo, a grzmot, który po niej nastąpił uderzył blisko, głośno, okropnie. „Wszyscy jesteśmy zepsuci” — mawiała Lucy, trzymając mnie na kolanach, tak jakbym chciała gdzieś się wymknąć. „Jesteśmy zepsuci i zjedzą nas robaki. Ale lepiej być zjedzonym niż spalonym. Widzisz go, o, o, prawie w nas trafił! Już był w środku, widziałam już język ognia. Ale nie dosięgnął! nas. Diabeł dzisiaj wyszedł szukać swoich. Zakryj głowę, dziecko, nie patrz na niego, zamknij oczy!” Nie, Lucy była nie do pobicia, to wszystko było tak śmieszne. Zaczęłam się śmiać. Podniósł wzrok, ale udałam, że kaszlę.

— To by było wszystko — powiedział, jeszcze raz spoglądając na program. — W każdym razie wygląda to teraz elegancko. Może wytłumaczę pani, o co mi chodzi, na wypadek, gdyby Ward miał jakieś wątpliwości?

Powoli szłam w kierunku sofy, a on zaczął wyjaśniać. Nagle pokój przecięła błyskawica, krzyknęłam i upuściłam kartkę, którą trzymałam.

— Przepraszam — rzekł. — Czy to panią przestraszyło?

Zaczęłam coś mówić, ale utonęło to w waleniu piorunów, które zdawały się uderzać w dom. Cały pokój drżał, jak podczas trzęsienia ziemi. Potem nastąpiła przejmująca cisza.

Widziałam, że czeka, aż podejść do niego do okna, ale nie ruszałam się z miejsca.

— Proszę zapalić światło, jeśli pani chce — powiedział. — Włącznik jest przy drzwiach.

Podeszłam do drzwi, zaczęłam go szukać po omacku, ale nie mogłam znaleźć, poza tym trzęsły mi się ręce. Na zewnątrz panowała martwa cisza, żadnego grzmotu ani deszczu.

— To jak czekanie, aż spadnie następna bomba, prawda? — odezwał się. — Może napije się pani herbaty? Zaraz będzie.

— Nie, dziękuję. Pomóc panu przejść do sofy?

— Nie, dziękuję, wezmę łaskę — zatrzymał się na chwilę. — Myślę, że się przejaśnia.

— Przepraszam, zawsze wpadam w panikę, jak jest burza — powiedziałam.

— To dosyć zaskakujące.

— Dlaczego?

— Hmm, właściwie nie wiem. Ale nie wygląda pani na osobę, która łatwo wpada w panikę z jakiegokolwiek powodu.

— Och... Nie zna mnie pan!

— To prawda. Właściwie wcale się nie znamy. Proszę spojrzeć, zaczyna padać.

Podeszłam z boku do okna. Dwie plamy wielkości szylinga spadły na stopień i powiększały się, wsiąkając w piasek. Odłożył program i zsunął się z fotela. Potem wstał, wspierając się na lasce. — Interesuje się pani grecką ceramiką?

— Nie mam o tym zielonego pojęcia.

— Zauważyłem, że przygląda się pani półkom. To wszystko należało do mojej żony. Zbierała ceramikę, jeszcze zanim się pobraliśmy.

— Och — jęknęłam, bo znów słycać było pomrukiwania burzy. — Co z tą moją taksówką?

— Wątpię, czy już przyjechała.

— I tak nie chcę teraz wychodzić.

— Proszę się nie martwić, to się zaraz uspokoi. Przypuszczam, że zorientował się, w jakim jestem stanie, więc zaczął mówić o tej greckiej ceramice, by zająć moją uwagę czymś innym. Słyszałam, jak mówi coś o Krecie i Delos, i wielu wiekach przed Chrystusem, i podał mi małą miseczkę, mówiąc, że to czarka do strzemienego, ale ja cały czas czekałam na następny grzmot.

Zagrzmiało. W pokoju nagle pojaśniało, dwa lustra, kafelki na kominku, ramka na fotografii, wszystko błyszczało i migotało, a potem zrobiło się ciemno. Zaraz jednak nastąpił huk, jakby niebo, zrobione z taniej blachy, zaczęło załamywać się pod ciężarem wielkiego kamienia. Potem niebo otworzyło się i cały ciężar spadł na dom.

Śmierć, zaraza i zniszczenie. Grzmoty, błyskawice, sąd Boży i potępienie. I zjedzą nas robaki. Śmierć jest wieczna.

— I... przywiozła to ze sobą, tak? — spytałam.

— Tak. Nie wiem jak dla pani, ale dla mnie trzymać w rękach miseczkę, którą ktoś wytoczył na kole garncarskim pięćset lat przed Chrystusem...

Kolejna błyskawica, a zaraz po niej ogłuszający huk pioruna, tuż koło nas.

— Ten był dosyć blisko — orzekł, patrząc na mnie. Zastanawiałam się, czy widzi krople potu na moim czole.

Pokuśtykał do drzwi i zapalił światło.

— Proszę usiąść, pani Taylor, jeśli to panią niepokoi. Przyniosę pani coś do picia.

— Nie, dziękuję. — Byłam równie rozdrażniona, jak przerażona.

— Prawdopodobieństwo bycia trafionym przez piorun jest naprawdę niewielkie.

— Wiem. Znam to wszystko na pamięć.

— I nie pomaga?

— Nie.

— Przypuszczam, że w pewnym sensie jesteśmy w tej samej sytuacji — powiedział.

— Nie rozumiem.

— Pani niedawno straciła męża, prawda?

— Och, tak... Tak. Rozumiem, o co panu chodzi.

Odstawił miseczkę na miejsce i poprzesuwał kilka innych na półce.

— Jak to było... U pani?

— To było... Bardzo niespodziewane, panie Rutland, Jim... jechał na motorze. Na początku nie mogłam sobie tego uświadomić, jeśli wie pan, co mam na myśli.

— Tak, wiem.

— Potem, kiedy zaczęłam to sobie uświadamiać, poczułam, że muszę uciec. Nie mogłabym tam zostać. Trudniej jest zostać, jak pan, prawda?

Poruszył stopą.

— Nie jestem pewien. Z jednej strony to jak wyzwanie. Z drugiej strony to dla mnie pocieszenie przebywać wśród rzeczy, które znała... — Urwał. — Dużo się słyszy na temat tego, jak człowiek powinien to przyjmować, ale jak przyjdzie co do czego, jesteśmy niczym *carte blanche*, dziewicza, biała kartka papieru. Nikt nie odgadnie, co tam napiszemy. Jedyna pewna rzecz to to, że nie ma tu żadnej reguły. Burza rozszalała się na nowo, grzmiać i oślepiając, jakby bomba spadła na przeklęty dom. Zgasło światło, usłyszeliśmy łomot i trzask na zewnątrz. Nie wiem, kto poruszył się pierwszy, ale zderzyliśmy się ze sobą. Byłam w takiej panice, że przez kilka sekund nie myślałam nawet, że to on. Chyba trzymał mnie w ramionach, a ja cała się trzęsłam. Próbowalam złapać oddech.

W ciszy słyhać było jakieś głosy w ogrodzie. To była ta kobieta w fartuchu.

Potem, zaczęło padać. Bębnienie wzmagało się, aż wreszcie brzmiało jak werble plutonu egzekucyjnego.

Staliśmy już osobno. On podszedł do drzwi. Weszła gospodyni.

— Nic się panu nie stało? To ten klon, cała gałąź złamana. I korki wysiadły! Dobrze, że nie stał pan przy oknie, bałam się o pana! Ąpani, wszystko w porządku? Jakiś samochód stoi przed domem. Zastanawiałam się, czy... Ooo, proszę bardzo, zbiło szybę w jadalni!

Mark pokuśtykał z powrotem w stronę okna, ale ja nie zamierzałam tam podchodzić. Ze środka pokoju dobrze widziałam trawnik stojący w wodzie, bulgoczący, jakby miały się w nim ryby. Płatki róż leżały w wodzie, zmyte przez deszcz z krzewów. Złamana gałąź drzewa leżała w poprzek schodków.

— To naprawdę niebezpieczny dzień — powiedziała kobieta. — Najgorszy, jaki pamiętam.

Pociągnęła drzwi balkonowe i zniknęła je na zasuwę. Na dywanie była woda.

— W jadalni jest brandy, pani Leonard. Myślę, że pani Taylor dobrze by zrobił kieliszek mocnego alkoholu.

Usiadłam w fotelu z dala od okien, przytrzymując ręce, by nie drżały. On zdawał się być w dobrym humorze, lepszym niż do tej pory, jakby cała ta burza to było coś zabawnego.

— Prawdopodobieństwo bycia trafionym piorunem jest bardzo niewielkie — powtórzył. — Na drugi raz zaniknę gębę na kłódkę.

— T... t... taksówkarz. Chyb... ba jest przemok... knięty.

— Jeśli nie wychodził, to nie.

— Nie mogę jeszcze wyjść. Nie mogę wyjść, dopóki się to nie skończy.

— Może pani przecież zostać.

— Pan Ward będzie się krzywił. Chciał dostać poprawki koło czwartej.

— Niech poczeka. Nic mu się nie stanie.

Kiedy pani Leonard wniosła butelkę i kieliszki, znowu dało się słyszeć pomruki burzy, ale po ostatnim uderzeniu zwykły grzmot wydawał się błahostką.

Nalał mi czegoś do kieliszka.

— Proszę to wypić. Pani także, pani Leonard.

Przełknęłam trochę i zakasłałam. Było to mocne jak wódka. Mimo to wypiałam wszystko jednym haustem, czując, jak w środku rozlewa się pa-

łący ogień. Pani Leonard poszła sprawdzić, czy burza nie zrobiła jakichś szkód na górze. Przeształam przytrzymywać dłonie.

— Hmm, ciekawe, kto wygrał gonitwę o trzeciej trzydziści?

— Kto prowadził, kiedy pani wyłączyła telewizor?

— North Wind. Ale Gulley Jimson był faworytem.

Po około dziesięciu minutach zapaliło się światło, choć nie było już potrzebne. Deszcz ustawał. Woda cały czas gulgotała w rynnach i ściekała na dół. Pani Leonard wetknęła głowę i powiedziała, że na piętrze wszystko w porządku. On zadzwonił do pana Warda powiedzieć, co się stało.

Wstałam do wyjścia. Ciągle chwiałam się na nogach, jakbym była lekko wstawiona, lecz nie chciałam, by to zauważył. Oddał mi poprawiony tekst i pokuśtykał ze mną do drzwi. Był miły i przyjacielski. Prawie go nie poznawałam. Kiedy jedliśmy podwieczorek po wystawie róż, wydawał się stąpać po omacku, jakby nie był pewny siebie, czy coś takiego. Teraz było inaczej. Mimo to ryzyko, że pójdzie w ślady swego kuzyna, było nadal niewielkie. Gdy wsiadłam do taksówki, poczułam się podle i zrobiło mi się wstyd, co było dla mnie czymś nowym. Z początku pomyślałam, że zachorowałam. Zajęło mi trochę czasu, zanim odkryłam przyczynę. W końcu przypomniałam sobie rozmowę o tym, jak ja straciłam męża, a on żonę.

## Rozdział 5

Skoro Susan Clabon miała iść na urlop od dziesiątego do dwudziestego szóstego września, najlepszym dniem wydał mi się czwartek, dwudziestego drugiego września.

Pensje wypłacano pracownikom zawsze w piątek od godziny jedenastej. Przygotowywanie kopert z pieniędzmi było dość poważną operacją. Przy obliczaniu wynagrodzenia pracownika dniówkowego, czyli drukarza, trzeba było kilkakrotnie dodawać i odejmować różne kwoty. Najpierw należało zapisać jego podstawowe wynagrodzenie, powiedzmy jedenaście funtów, potem dodać do tego nadgodziny, co mogło wynosić cztery funty w ciągu tygodnia. Potem trzeba było doliczyć premię, czyli rodzaj łapówki gwarantującej zadowolenie pracowników, która mogła wynosić trzy funty. W niektórych przypadkach dodawano jeszcze jakieś ekstra pieniądze, je-

śli praca była wyjątkowo uciążliwa. Gdy to wszystko zostało już zsumowane, można było zacząć odejmowanie. Po pierwsze więc nieobecności czy spóźnienia, potem zaliczka na podatek dochodowy. Potem składka na ubezpieczenie zdrowotne i na końcu zobowiązania dobrowolne, które, choć nie były wyszczególnione osobno, stanowiły dwie lub trzy niewielkie składki na coroczny bal lub letnią wycieczkę, itp.

Susan Clabon i ja pracowałyśmy nad tym razem. Jedna z nas obsługiwała maszynę, druga wkładała pieniądze do koperty wraz z kwitem, wykazującym wysokość wyliczonej wypłaty. Zwykle zajmowałam się tym drugim, po czym Susan sprawdzała ilość pieniędzy i zaklejała kopertę, a następnie wkładała do przegródki z nazwiskiem danego pracownika. Kończyłyśmy pracę zwykle w czwartek po południu, zostawiając wtedy przygotowane koperty w sejfie. Czasem jednak nie byłyśmy w stanie wszystkiego zrobić i pracę trzeba było kończyć w piątek rano.

Szczęśliwym trafem w sierpniu Susan była na zwolnieniu z powodu zapalenia migdałków. Wykorzystałam to, pytając pana Warda, czy mogłabym sama przygotować wypłaty, a on się na to zgodził. Jediną rzeczą, która mogłaby wszystko popsuć, byłoby przydzielenie mi asystentki na czas urlopu Susan. Pomyślałam jednak, że przy moim szczęściu nic takiego się nie zdarzy.

W pewnym sensie cieszyłam się na myśl o odejściu z firmy, mimo że • jak dotąd była to najlepsza praca, jaką kiedykolwiek miałam.

Przez cały czas pracy w firmie Dawn nękała mnie, żebyśmy się gdzieś razem wybrały wieczorem, a ja twardo odmawiałam, żeby uniknąć dalszych komplikacji. Mieszkała z matką w Barnet. Pewnej niedzieli byłam u nich na podwieczorku. Ale Dawn to nie wystarczyło. Tak więc teraz, czując, że niedługo nasza znajomość się skończy, zgodziłam się i poszłyśmy razem z dwójką młodych mężczyzn, jej znajomych, do zajazdu Double Six koło Aylesbury. Dopiero gdy poznałam Marka Rutlanda, czy nawet Tenyego Hol-brooka czy Alistaira MacDonalda, zdałam sobie sprawę, że większość młodych mężczyzn to potworni nudziarze. Tego wieczoru musiałam znosić towarzystwo wielkiego oślizgłego typu o czerwonej twarzy, blisko osadzonych niebieskich oczach i łuszczącym się nosie. Cały czas gadał o swoim TR3\* i wakacjach w Hiszpanii. Mówił bez przerwy i najwyraźniej uważał, że w tym właśnie tkwił jego urok. Poza tym odpalał jednego papierosa od

\* TR3 — popularny samochód sportowy przełomu lat 50. i 60. o stosunkowo niskiej cenie.

drugiego, co nie jest zbyt przyjemne dla kogoś, kto nie pali, jak na przykład ja. Przypuszczam, że tego wieczoru sporo się „napaliłam”.

Zajazd był strasznie snobistycznym miejscem z okropnymi czarnymi belkami, abażurami z drewnianych kół i starymi metalowymi kuflami ze szklanym dnem. Widziałam jednak, że Dawn dobrze się bawi, więc tak bardzo mi to wszystko nie przeszkadzało. Trochę potańczyliśmy, a potem siedzieliśmy, rozmawiając, muzyka grała dalej, aż w pewnym momencie podszedł do mnie niski mężczyzna z czerwoną muchą i zapytał:

— Przepraszam bardzo, ale czy pani nie jest Peggy Nicholson?

Cóż, nie musiałam wcale grać, gdyż, jak rozumiecie, nie byłam tutaj Peggy Nicholson, a poza tym tak naprawdę *nigdy* nią nie byłam, tak więc moje zdumienie było autentyczne i udało mi się je okazać, zanim mężczyzna zdążył się zorientować.

Najpierw rozejrzałam się dokoła, by się upewnić, że mówi do mnie, po czym odpowiedziałam:

— Obawiam się, że się pan pomylił. Nazywam się Mary Taylor. Przyglądał mi się, poprawiając okulary na nosie.

— Hm, i nie jest pani... Och, bardzo panią przepraszam, ale wydawało mi się, że Don Weave przedstawił nas sobie w Newcastle dwa lata temu — byłem pewien, że pani...

— Nie jestem — odparłam i uśmiechnęłam się. — Przykro mi, ale nigdy nie byłam w Newcastle.

— Nawet przez pomyłkę — powiedział partner Dawn i zaniósł się śmiechem.

Mężczyzna wyglądał na zbitego z tropu.

— Cóż, wobec tego bardzo przepraszam. To pewnie kwestia podobieństwa. Bardzo mi przykro.

— Nic się nie stało — uśmiechnęłam się. — Przykro mi, że pana zawiodłam.

— No, tego to już nie trzeba było mówić — wymamrotał mój kompan, kiedy tamten nieznajomy się odwrócił. — Nie musisz być tak uprzejma dla tandeciarza, który wcina się w rozmowę, udając, że cię zna, byleby tylko zamienić z tobą kilka słów.

Oczywiście ten mężczyzna, którego imienia naprawdę nie mogłam sobie przypomnieć, riic nie wiedział o Peggy Nicholson poszukiwanej przez policję. Zresztą i tak nie mogli mi nic udowodnić. Ale to było ostrzeżenie. Mijając go w tańcu, widziałam, że bacznie mi się przypatruje. Dawn także.

Później, gdy poszliśmy do łazienki, powiedziała:

— Wiesz, nieźle umiesz się maskować!

— Dlaczego, o co ci chodzi?

— Ech, nic takiego, ale wydaje mi się, że dziwnie wyglądałaś, gdy podszedł do ciebie ten mężczyzna. Szczerze, naprawdę go nie znasz?

— Nigdy w życiu go nie widziałam.

— Wierzę ci, ale wydaje mi się, że masz za sobą jakąś przeszłość.

— Tak jak każdy, kto żyje dłużej niż jeden dzień.

— No tak, to prawda.

Zamilkła, poprawiając sobie kontur ust. Nie szło jej to za dobrze. Zwykle rysowała linię na poprzednim konturze, aż do wklęśnięcia pośrodku. Ale kiedy miałyśmy już wychodzić, pomyślałam sobie, że może dowiem się czegoś o sobie, jeśli ją o to zagadnę, więc spytałam:

— Co masz na myśli, mówiąc, że mam za sobą przeszłość?

— Hmm — zmarszczyła brwi i zaśmiała się. — Nie bierz tego sobie tak do serca, moja droga, nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale ty nigdy o sobie nie mówisz. Nie tak, jak ja. Nie tak, jak inne dziewczyny. O to mi chodzi. Zresztą, żartowałam tylko.

— Okej, to żartuj sobie tak dalej. Położyła mi ręce na ramionach.

— Nie złość się na mnie. Ale szczerze mówiąc, pracujesz w Rutland od ponad pół roku, a ja mam wrażenie, że w ogóle cię nie znam. Nie czuję, żebym miała do ciebie *dostęp*. Lubię cię, oczywiście, że tak, ale nie wiem, o czym na przykład w tym momencie myślisz. Jesteś jak za szybą. Równie dobrze możesz być kompletnie szalona!

Zaśmiałam się. — Uważaj, jeszcze kiedyś ktoś o tobie tak powie!

Siódmego września Mark Rutland wszedł do mojego pokoju w momencie, kiedy Susan Clabon akurat wyszła. Jego włosy wyglądały tak, jakby dla odmiany przeczesywał je ręką w obie strony. Powiedział do mnie ni z tego, ni z owego: — Nie wiem, czy jest pani zajęta w sobotę, ale wybieram się do Newmarket na wyścigi. Chciałaby pani wybrać się ze mną? Musiałam się nad tym szybko zastanowić. A dobrze wychowana dziewczyna nie zadaje pytań.

— Dziękuję bardzo, panie Rutland. Z przyjemnością.

— Bardzo dobrze — nagle zarumienił się. — Przyjadę po panią tutaj o dwunastej trzydzieści. Może się pani ubrać dowolnie.

— Dziękuję panu bardzo.

I to było wszystko. Żadnego słowa więcej.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy, od czasu mojej wizyty u niego w domu, widywaliśmy się codziennie w pracy, ale zawsze rozmawialiśmy na tematy służbowe. Oczywiście, z tego, że był dla mnie miły, mogłam wnosić, że był mną zainteresowany. Poza tym, od czasu do czasu, kiedy byliśmy sami w pokoju, nie zachowywał się zbyt oficjalnie.

Szczególnie dało się to zauważyć, gdy nie było w pobliżu Terry'ego, a już zwłaszcza gdy ten wyjechał na trzytygodniowy urlop w sierpniu.

Mimo to zaproszenie było pierwszym sygnałem, że chodziło o coś więcej. Los bywa okrutny. Wiem, że mam taki typ twarzy i figury, który obecnie uważany jest za modny, ale przecież równie dobrze mogłabym pracować w dziesięciu firmach z młodymi dyrektorami, a żaden z nich by mnie nie zauważył. Susza, susza, a tu jak nie lunie — powiedziała by moja matka, wykuwając nowe porzekadło.

Zrobiłabym lepiej, odmawiając. Terry i Mark naprawdę byli zazdrośni o siebie nawzajem i gotowi walczyć ze sobą o cokolwiek. Dostarczyłabym im nowego powodu. A jeśli Terry by się dowiedział, że spotykam się z Markiem po tym, jak dałam mu kosza, uważałby to za najgorszą zniewagę.

Zresztą, nie było się czym przejmować. Za trzy tygodnie będę daleko od tych wszystkich spraw. Drugim powodem, dla którego się zdecydowałam, było to, że w Rutland pracowałam także w soboty, więc przez trzy miesiące nie byłam na wyścigach. Mark złożył taką propozycję, której po prostu nie byłam w stanie odrzucić.

W sobotę rano padało, ale o dziesiątej się przejaśniło i zapowiadał się ładny dzień. Przyniosłam ze sobą ubrania na zmianę i gdy się przebrałam, siedziałam jeszcze trochę w biurze, czekając, aż większość osób pójdzie do domu.

Zależało mi, żeby Dawn niczego nie widziała, więc dopiero gdy wyszła, poszłam na parking, gdzie czekał na mnie Mark. Ale tu oczywiście natknęłam się na pana Warda, wsiadającego do samochodu. Spojrzał na nas z sarkazmem, ale na Marku nie zrobiło to zdaje się najmniejszego wrażenia. Wręczył mi torebkę z kanapkami.

— Obawiam się, że to cały nasz dzisiejszy lunch. Jeśli nie będziemy zatrzymywać się po drodze, zdążymy na pierwszą gonitwę.

Zdążyliśmy na nią, śledziliśmy ją z naszych miejsc w jednym z sektorów. Nigdy wcześniej tu nie siedziałam. Byłam dwa razy w Newmarket, ale raz siedziałam na najtańszych miejscach, drugi raz po przeciwnej stronie toru, gdzie wstęp jest bezpłatny.

Zorientowałam się, że wiem więcej na temat koni niż on. Poradziłam mu, żeby w wyścigu o trzeciej postawił na Telepathy, szarą młodą klacz, którą widziałam na padoku, kiedy miała rok. W zeszłym miesiącu dwa razy była na drugim miejscu na długich dystansach, i za każdym razem była wyprzedzana tuż przed metą. Dzisiaj tor nie był trudny, więc byłam pewna, że wygra.

— Dobrze, postawię na nią piątaka — przystał Mark. Był w dobrym nastroju. — Chcesz, żebym postawił coś za ciebie?

— Za mnie? Nie, dziękuję, nigdy nie gram na wyścigach.

— Dlaczego?

— Boję się stracić pieniądze — powiedziałam prosto z mostu, a on spojrzał na mnie i roześmialiśmy się obydwój.

— Po prostu nie mam na to pieniędzy.

— No cóż, nie będę nalegał, jeśli nie chcesz.

Gdy wrócił, konie ustawiały się daleko na starcie. Z zapartym tchem śledziłam bieg, choć nie postawiłam ani funta. Telepathy wygrała o głowę. Mark roześmiał się i poszedł po wygraną. Wrócił z sześcioma funtami dla mnie.

— Postawiłem jednego funta za ciebie, tak na szczęście. Zresztą i tak była drugą faworytką — wyjaśnił.

— Nie, nie mogę ich wziąć, Mark. Postawiłeś swoje pieniądze. Gdybyś stracił, ty byś za to zapłacił.

Po raz pierwszy zwróciłam się do niego po imieniu. Wcisnął mi banknoty w rękę, więc nie miałam wyboru i je przyjąłem.

Nie interesowała mnie gonitwa o trzeciej trzydzieści. Mark obstawił swojego faworyta i przegrał.

— Powiedz mi jedną rzecz. Nie jestem wielkim hazardzistą, ale gdybym nie obstawił każdego wyścigu, zepsułoby mi to całą zabawę. Skoro nie obstawiasz, co takiego ci się podoba w wyścigach?

— Lubię konie.

— Tylko konie?

— Tak. Uwielbiam na nie patrzeć. Uważam, że nie ma nic piękniejszego.

Zgniół w rękę kwitki z zakładów i wyrzucił je do kosza.

— Jeździsz konno?

— Trochę.

— Nie tyle, ile byś chciała?

— Cóż, nie mam za dużo czasu. Poza tym to kosztowne.

Zaczelismy sprawdzac konie w gonitwie o czwartej. Tak sie zlozylo, ze faworytem w niej byl Glastonbury Thorn.

— Atak przy okazji, co to jest Glastonbury Investment Trust? — spytalam.

— Co? — spojrzal na mnie uwaznie. — Dlaczego pytasz?

— Nie moge sobie przypomniec, gdzie ostatnio widzialam te nazwe.

— Moglas ja zobaczyc gdziekolwiek. To ogromny fundusz inwestycyjny, za ktorym stoja wielkie pieniadze. Ostatnio kupili dwa wielkie wydawnictwa, Vaughans i Bartlett & Leak.

— Aha, coz, w takim razie nie powinnam na niego stawiac. Moze Lemon Curd? Wygral ostatnio w Kempton Park. Mark przyjrzel sie programowi.

— Nastepnym ich celem moga byc male firmy wydawnicze, jak Rutland. Oczywiscie, mogliby nas polknac i nawet tego nie poczuć, ale na szczescie nie moga, poniewaz osiemdziesiat procent udzialow jest nadal w rodzinie — powiedzial.

Postawil na Lemon Curd, ale tym razem wynik wyścigu rejestrowala fotokomorka, i Lemon Curd byl drugi. Stalismy wtedy przy poręczach, a obok nas, ale oczywiscie w tańszym sektorze, ustawila sie grupka siedmiu czy ośmiu osiemnastolatkow, wygladajacych jak teddy\*.

Ubrani byli jak zwykle i klócili sie z dwoma mezczyznami w wieku okolo czterdziestu lat, chyba bukmacherami. Mezczyzni byli przerazeni, ale wszystko sie odwrócilo w chwili, kiedy nadeszlo dwóch policjantow. Zaczely sie gwizdy i wyzywanie ich.

— Wstrętne male szczury — powiedzial Mark.

— Czego innego spodziewasz sie po rynsztoku?

Spojrzal na mnie, zaskoczony, nie bardzo wiedzac, jak zareagowac.

— Lubisz chuliganow?

— Nie... Ale po pierwsze, ci tutaj tylko udaja, ze sa teddy. To proste chlopaki, chca tylko modnie wygladac. Przeczesał dłonią włosy i spojrzal na program wyścigow.

— To tylko ich sposob ubierania sie, nic wiecej — dodalam. — Dla ciebie modny wyglad to marynarka z ukośnymi kieszeniami, dla mnie dopasowana spódnica.

\* Teddy (boy) — bikiniarz, chlopak ubierajacy sie w ozdobne koszule i rurkowate spodnie, z fryzura ä la Elvis Presley, zwykle czlonek gangu bioracy udzial w bójkach i napadach.

— Ale my nie włóczymy się razem i nie awanturujemy na ulicach, czy w pubie.

— Nie, ale jeśli byś tak się zachowywał, to wstydzilibyś się za siebie, ponieważ jesteś z dobrego domu. Powinieneś zobaczyć ich domy.

— A ty je widziałaś?

— Tak — powiedziałam i urwałam, bo posuwałam się stanowczo za daleko.

Spojrzał w ich stronę.

— Złe się dzieje w państwie duńskim, skoro rodzi takich poddanych, zgadzam się. Ale oni nie pojawiają się ot tak... Oni nie mają mózgow i wyglądają potwornie. Nie są w stanie znieść konfrontacji z żadnym przyzwoitym mężczyzną, więc łączą się w grupy i stają się chuliganami. I czy to ich wina, czy nie, nadal ich nie cierpię.

— Tak jak ja chuliganów — powiedziałam. Gdy milczałam przez jakiś czas, spytał:

— I myślisz, że oni to nie chuligani?

— Och, prawdziwi teddy tak. Ci, to niewinny odłam tej grupy. Nieciekawe osoby, to fakt, może niezbyt sympatyczne. Ale, ogólnie rzecz biorąc, normalni. Większość z nich nie może sobie znaleźć miejsca. Ty tego nie rozumiesz. Prawie wszyscy z nich właśnie znaleźli niezłą pracę, ale przez to dostali się w tryby wielkiej maszyny i przez następne czterdzieści lat nie będą mogli zarobić dużo więcej. Są na tyle bystrzy, by to pojąć. Spróbuj sam, a zobaczysz, czy będziesz wtedy spokojny i opanowany. Może gdyby wszyscy poszli do marynarki wojennej, wiodłoby im się lepiej. Ale nie można oczekiwać, że sami wpadną na to.

— Ech, marynarka. Wcale nie uważam, że to jakiegokolwiek rozwiązanie.

— To co jest rozwiązaniem?

Spojrzał na mnie i nagle się uśmiechnął:

— Postawić na Ballet Girl o czwartej trzydzieści.

Po wyścigach zjedliśmy obiad w Cambridge. Po drodze powiedział do mnie:

— Wiesz, zupełnie nic o tobie nie wiem, Mary. Od czasu do czasu mam wrażenie, że już, już się otwierasz, a potem nagle się wycofujesz.

— Nie ukrywam niczego ciekawego — odparłam.

Myślę, że właśnie w tym momencie zdałam sobie sprawę, że naprawdę za długo zostałam w tej firmie. Był trzecią osobą, która powiedziała mi, że jestem zagadkowa i była na tyle zainteresowana, że chciała wiedzieć

o mnie więcej. Prawie zawsze popełniałam ten sam błąd w moich planach. W ciągu siedmiu tygodni można było spokojnie przyjść i wyjść bez wzbudzania ciekawości. Siedem miesięcy to było stanowczo za długo.

— Cóż — powiedział. — Wiem, że masz dwadzieścia trzy lata, że wyszłaś za mąż w wieku lat dwudziestu i teraz jesteś wdową. Twoja matka

i ojciec mieszkają w Australii, a ty chodziłaś do szkoły w Norwich. To chyba wszystko. Poza tym wiem, że masz niezłą głowę do interesów. Od czasu, jak przyszłaś do firmy, nie podjęłaś żadnej błędnej decyzji. Boisz się burzy, chodzisz na wyścigi, ale nie obstawiasz koni. Wiesz, jak się odpowiednio ubrać — tak jak teraz — ale w biurze zdajesz się nie przywiązywać do tego wagi. Ogólnie masz dobre maniere, ale od czasu do czasu nie rozumiesz prostych zasad dobrego wychowania, które są oczywiste dla większości osób.

— Na przykład jakich? — spytałam.

— Nieważne. Mówisz, że chodziłaś do liceum, co zresztą widać, ale czasem dajesz do zrozumienia, że miałaś dość trudne dzieciństwo. Nigdy nie brak ci inicjatywy w pracy, ale poza tym żyjesz w swoim własnym świecie. Nigdy nie słyszałem, żebyś mówiła źle o kimkolwiek, ale jest w tobie coś bardzo twardego, jakaś gotowość do walki z całym światem. Co to za tajemnica, Mary? Powiedz mi.

Wolałam spytać: — A jakie są te zasady dobrego wychowania?

Podczas obiadu miałam wrażenie, że zaczyna się robić coraz poważniej. Nie obłapiał mnie, tak jak jego kuzyn, ale miałam się na baczności. O mój Boże, pomyślałam, i żeby skierować jego myśli na inny tor, zaczęłam go pytać o jego sprawy.

Miał matkę, która mieszkała na Hans Place.

— Dlaczego odszedłeś z marynarki?

— Mogłabyś raczej zapytać, dlaczego w ogóle poszedłem do marynarki. Gdy miałem trzynaście lat, poległ mój brat, który miał pójść do firmy. Wtedy ojciec postanowił, że oszczędzi mi nieprzyjemności pracowania w rodzinnej firmie, i zostałem wysłany do Dartmouth. A potem już samo się potoczyło.

— Nieprzyjemności? — spytałam delikatnie.

— Tak. Ojciec nigdy dobrze nie żył z Christopherem Holbrookiem. Jednym z zamiarów Christophera było wyeliminowanie członków mojej rodziny na korzyść jego syna, więc gdy Tim poległ, wyglądało na to, że to jego syn właśnie przejmie firmę. Gdy umarł mój ojciec, pokrzyżowałam jego plany, rzucając wojsko i przychodząc do firmy.

- Trudno ci było zostawić marynarke?
- Nie, chciałem odejść. Według mnie to ślepa uliczka, co jest dosyć smutne. W czasie pokoju jest swego rodzaju protezą, ale w czasie wojny, co jest właściwym jej przeznaczeniem, będzie tak samo użyteczna jak kawaleria. Nie wydawało mi się to ciekawą perspektywą, więc byłem zadowolony, że mogłem odejść.
- Więc przyszedłeś walczyć do Rutland?
- Nie jestem zbyt bojowy. Nie szukałem kłopotów. Ale myślę, że najgorsze mamy już za sobą. Przez chwilę pomyślałam o dwóch listach oznaczonych „poufne” na biurku Christophera Holbrooka.
- Czasami się zastanawiam — dodał — czy mój kuzyn Terry Holbrook nie próbował robić ci jakichś trudności.
- Trudności? Jakich?
- Jeśli by robił, byłoby to jasne. Cieszę się, że tak nie jest.
- Aa, o to ci chodzi. Nie, nic takiego się nie stało.
- Czasami się zastanawiam...
- Nad czym?
- Jak wiesz, Terry'ego opuściła żona. I czasami zastanawiam się, czy latanie za spódniczkami sprawia mu dużą frajdę i czy jednocześnie nie stara się sobie czegoś udowodnić?
- Może twój ojciec miał rację i może nie powinieneś być wracać do firmy? Lepiej było zostać archeologiem. Jego uśmiech był za każdym razem zaskakujący. Łagodził nieco pewien rodzaj determinacji na jego twarzy.
- Masz świętą rację. Ale udało mi się wykopać całkiem niezłe skorupy także w Rutland. Zawiózł mnie do domu koło jedenastej trzydzieści. Ulica, przy której mieszkałam, była ślepa, nie było nikogo, jakieś pięć czy sześć samochodów i kot siedzący nieopodal, liżący tylną łapę.
- Bardzo ci dziękuję — powiedziałam, starając się mówić jak dziewczyny z jego towarzystwa. — To był czarujący wieczór, bawiłam się świetnie przez cały czas.
- Musimy to powtórzyć — odparł. — Hm, w następną sobotę, chyba nie ma niczego wcześniej.
- W tę sobotę nie mogę — powiedziałam chyba za szybko.
- Masz inne plany?
- Coś w tym rodzaju.
- Ale jest coś w kolejną sobotę w Newbury. Co ty na to?

— Dziękuję. Byłoby wspaniale.

W niedzielę dwudziestego czwartego będę już poza jego zasięgiem. Położyłam rękę na klamce.

— Mary.

— Tak?

Objął moje ramię, przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Nie było w tym nic wyjątkowo namiętnego, ale nie można było powiedzieć, że tracił czas. Pogłaskał mnie po głowie.

— Masz takie piękne włosy.

— Tak uważasz?

— Są takie mocne, a jednocześnie delikatne... Jest ci zimno?

— Nie.

— Zdawało mi się, że drżysz.

— Ależ nie!

— Podobało ci się dzisiaj?

— Tak, Mark.

— Jeśli chodzi o mnie, to słowo „podobało” jest zbyt słabe.

— Muszę już iść. Dzięki jeszcze raz. Dzięki, Mark. Zobaczymy się w poniedziałek. Dobranoc.

Obudziłam się w środku nocy. Śniło mi się, że płakałam, ale nie z powodu Marka. Miałam sen, który od czasu do czasu się powtarza, choć bywa że nie śni mi się przez rok lub więcej. Właściwie nie był to sen, ale rodzaj wspomnienia we śnie. Usiadłam na łóżku i spojrzałam na zegarek. Cholera, było dopiero wpół do czwartej.

Powiedział, że mam piękne włosy. Może to była przyczyna. Zaczęłam się zastanawiać, czy powiedziałby to samo dziesięć lat wcześniej. Cała historia nie zaczęła się właściwie od włosów. Zaczęło się od tego, że Shirley Jameson powiedziała na szkolnym podwórku coś złego na moją matkę. Nie pamiętam już, co to było, ale wtedy, jak miałam trzynaście lat, brzmiało to strasznie, więc rzuciłam się na nią z pięściami i zaczęłyśmy tarzać się po ziemi. W końcu odciągnięto mnie od niej, zrobiła się awantura, zamknięto nas w klasie, a potem musiałyśmy się nawzajem przeprosić w obecności dyrektorki szkoły.

W tamtym czasie sypiałam z Lucy, a Lucy nie była zbyt czysta, zwłaszcza jej włosy były brudne, więc jej wszy przechodziły na mnie. Matka zwykle wyczesywała mi włosy nad gazetą drobnym grzebieniem, i tap-tap, słychać było, jak wszy spadają na papier. Potem wrzucała zawartość gaze-

ty do ognia, wszy pękały wtedy z trzaskiem. Następnie wcierała maść, ale nie przypominam sobie, by radziła mi po prostu użyć wody i mydła. W każdym razie, zaraz następnego dnia po tej awanturze, wracałam ze szkoły, kiedy dogoniła mnie Shirley Jameson ze swoimi dwiema koleżankami. Shirley powiedziała, że dziś po południu w szkole widziała coś w moich włosach. Gdyby była sama, kazałabym jej się odczepić, ale było ich trzy, więc nie wchodziło to w grę. Powiedziałam jej więc, że jest bezczelną kłamczuchą. Na to ona odparła, że to ja kłamię i że mi to udowodni, przeczesaując moje włosy. Stałyśmy w bramie, uciec nie było jak, więc się zgodziłam. Cały czas, jak grzebała mi we włosach, zaciskałam zęby i modliłam się do Boga, żeby nic nie znalazła, i już myślałam, że tym razem miałam szczęście, kiedy aż pisnęła z zadowolenia, pokazując mi coś, co trzymała w palcach.

Wtedy ogarnął mnie szal, wrzeszczałam, że nie znalazła tego wcale w moich włosach, że wyjęła to ze swoich włosów i że cały czas trzymała to w palcach. Chciałam jej przyłożyć, ale dwie dziewczyny wykręciły mi ręce, a Shirley powiedziała: „Wypluj to albo dostaniesz w twarz”. Powiedziałam, że tego nie zrobię, bo to najświętsza prawda, więc walnęła mnie w twarz, co zaskoczyło ją, podobnie jak mnie, bo zamarła i zaczęła się mi przyglądać. Spytała, czy zamierzam teraz to cofnąć, powiedziałam, że nie, i wtedy w jej oczach pojawił się dziwny błysk, bo nagle zdała sobie sprawę, że jej się to zaczyna podobać.

Uderzyła mnie znowu, w drugi policzek, aż zakręciło mi się w głowie, i wtedy jedna z dziewczyn powiedziała: „Dawaj, Shirley, dawaj, aż się poryczy”. Więc Shirley waliła mnie dalej, raz z jednej, raz z drugiej strony. Jednak ja nie dałam się długo trzymać i w końcu uwolniłam się, kopnęłam ją w brzuch, popchnęłam na ścianę i zaczęłam uciekać. Rzuciły się za mną. Biegłam co tchu, a one zostawiły mnie dopiero wtedy, kiedy dobiegłam do mojej ulicy. Jednak bałam się wejść do domu, bo wiedziałam, że nieźle oberwę, jak pojawię się w takim stanie. Z nosa leciała mi krew, zgubiłam tornister, wszystkie guziki z mundurka były oberwane, a podkoszulek porwany.

We śnie zawsze w tym momencie płakałam i budziłam się, bo gdybym dalej spała, wszystko zaczęłoby się od nowa. Ale gdy budziłam się naprawdę, nigdy nie płakałam, moje oczy były zawsze suche. Odkąd skończyłam dwanaście lat, nigdy nie płakałam, chyba że dla efektu.

W sumie, wszystko skończyło się zupełnie inaczej, niż myślałam. Posiedziałam trochę z tyłu domu, po czym weszłam i opowiedziałam historyjkę, jak to właśnie wychodziłam z za rogu Prayer Street i zamierzałam

przejsć na drugą stronę ulicy, kiedy potracił mnie rower. Tego dnia był u nas wujek Stephen, którego statek właśnie przyплыwał, i matka z Lucy przygotowywały mu kolację. Opowiedziałam to wszystko, a one łyknęły to gładko, zwłaszcza że były bardzo zajęte gościem i nie miały dla mnie zbyt wiele czasu.

Zauważyłam jednak, że jego oczy dziwnie na mnie patrzyły, kiedy to opowiadałam. Zrobiło mi się nieprzyjemnie, bo zawsze go podziwiałam i chciałam być taka jak on, jeśli oczywiście byłabym chłopcem. Był trochę młodszy od mamy, wysoki i przystojny, choć wcześniej posiwiał. Miał wtedy zaledwie czterdzieści lat, a jestem pewna, że był kompletnie siwy.

Pamiętam też, że patrząc na mnie raczej sceptycznie, lustrował zarazem z góry na dół z pewnym rodzajem zaskoczenia. Miałam dopiero czternaście lat i dojrzewałam. Pamiętam, że stałam, podciągając podartą bluzę pod szyję, kiedy spostrzegłam, że zapatrzył się na mnie, i choć byłam pewna, że wujek Stephen nie ma żadnych zdrożnych myśli na mój temat, wiedziałam, że patrzy na mnie jak każdy inny mężczyzna, zdając sobie sprawę, że jestem już prawie kobietą.

Po kolacji zaproponował, że pójdzie razem ze mną na miejsce, gdzie zostałam potracona, i może znajdziemy mój tornister, więc trudno mi było odmówić. Wyszliśmy, a on po drodze opowiadał o Ameryce Południowej, skąd właśnie wracał, i ja spytałam, jakie są tam konie. Potem znalazłam róg, gdzie mnie potracono, i zaczęliśmy szukać tornistra, i niby tak przypadkiem weszłam w bramę i znalazłam go pod ścianą z cegieł, więc wzięliśmy go do domu. Ale w połowie drogi wujek spytał:

— Co się tak naprawdę stało, Marnie?

Byłam tak zła, że mi nie uwierzył, i to zwłaszcza on, że jeszcze raz opowiedziałam mu tę historyjkę, opisując rower i chłopaka, który na nim jechał, kobietę, która mnie podniosła, co miała na sobie, co ja powiedziałam, co oni mówili. W tamtym momencie sama prawie w to wierzyłam.

Tak więc w końcu rzekł:

— W porządku, kochanie, tak tylko się zastanawiałem.

Ale nadal z tonu jego głosu wynikało, że mi nie wierzy, co jeszcze bardziej mnie wściekało, bo zależało mi na nim. Przez resztę drogi do domu szłam obrażona, nic nie mówiąc. Aż wreszcie przy drzwiach spytał mnie:

— Myślałaś kiedyś o tym, co chcesz robić, jak skończysz szkołę? Co chciałabyś robić?

— Chciałabym robić coś ze zwierzętami, najlepiej z końmi.

— Wiele dziewczyn o tym marzy. A gdybyś nie mogła tego robić?

- Nie wiem.
  - W czym jesteś dobra w szkole?
  - Chyba w niczym.
  - Nie jesteś aby za skromna, co? Twoja mama mówi, że masz niezłą głowę do rachunków.
  - Coś tam umiem.
  - Tylko tyle? W porządku, Marnie, zobaczymy za rok. Chciałbym ci jakoś pomóc, wysłać cię może do szkoły dla sekretarek, dać ci szansę wydostać się stąd. Życie nie kończy się na tym, co jest tutaj. Chciałbym, żebyś stąd wyjechała.
- W czwartek piętnastego sama przygotowałam wszystkie koperty z wypłatami. Zaproponowali mi do pomocy Jennifer Smith z działu rozwoju, ale grzecznie odmówiłam, więc nie naciskali. Koło drugiej w czwartek wystawiłam czek na 1150 funtów i zaniósłam go panu Holbrookowi do podpisu. Następnie dałam go Howardowi, kurierowi, który w towarzystwie brygadzysty Stetsona zaniósł go do banku. Wrócili z dwoma niebieskimi workami pieniędzy i zostawili je mnie. Do 1150 funtów dodałam 250 z działu detalicznego i zaczęłam przygotowywać koperty z wypłatami. Nikt mi nie przeszkadzał, więc pracowałam bez przerwy. Około piątej gotowych było trzy czwarte kopert, więc gdy przyszedł pan Ward, by schować pieniądze i wypłaty do sejf, powiedział sarkastycznie, że próbuje chyba wygryźć pannę Clabon z pracy.
- Minął następny tydzień. Dostałam kartkę od Susan, którą udało mi się już sobie zjednać. „Świetna pogoda. Wczoraj w Shanklin. Właśnie kapaliśmy się w morzu. Do zobaczenia wkrótce. S.C.” Akurat!
- W ciągu poprzednich tygodni przechadzałam się kilka razy po drukarni. Zauważyłam, że w magazynie i w całej hali leżą stosy niepotrzebnego papieru. We wtorek podeszłam do jednego z młodych mężczyzn, Oswalda, który pracował przy obcinarce, i spytałam:
- Czy mógłbyś coś dla mnie zrobić? Organizuję wieczorek w kościele w sobotę po południu, będziemy grać w różne gry. Potrzebuję dużo małych karteczek do notowania. Mógłbyś mi je wyciąć?
  - Oczywiście. Podaj mi tylko rozmiar. Jaki chcesz papier?
  - Ach, jakikolwiek, byle gładki, bez linii, i żeby nie był za gruby. Chciałabym kartoniki wielkości mniej więcej pocztówki, może trochę dłuższe, jakies dwa i pół centymetra dłuższe. Myślisz, że mogę wziąć papier stamtąd?
  - Pewnie, weź sobie.

Podeszłam, wybrałam papier, a on pociął go na kartoniki tak, jak chciałam.

Czwartek dwudziestego drugiego był wietrzny, na ulicach wiatr unosił kurz i suche liście. Jesień nadchodziła dość nagle i było mi żal tych co mieli wyjechać na urlop nad morze, by chować się przed wiatrem i przechadzać się po posepnym, smaganym wodą molo. Za to dojazdy konnej pogoda nadawała się w sam raz. Dziś w torebce przyniosłam do pracy 1200 kartoników przyciętych na miarę w pakietach po pięćdziesiąt sztuk. To wszystko przygotował mi Oswald.

Mark ułatwił mi wszystko, wychodząc zaraz po lunchu. Jedna z dziewczyn powiedziała mi, że wybrał się na aukcję w Sotheby's. Zastanawiałam się, czy w Little Gaddesden przybędzie jeszcze jedna grecka czarka do strzebiennego toastu.

W tym tygodniu przychody w dziale detalicznym wyniosły 350 funtów, ale pan Holbrook miał się o tym nie dowiedzieć. Wystawiłam czek na 1190 rantów, a on go nie zakwestionował. Później żałowałam, że nie zaryzykowałam więcej. Zaniósłam czek Howardowi i razem ze Stetsonem poszli po pieniądze. \*

Wrócili około drugiej trzydzieści. Natychmiast zabrałam się do pracy zaczynając od Adcock, J. A., nr 5, którego podstawowa płaca jako drukarza na dniówce wynosiła 10 funtów, 15 szylingów i 3 pensy.

Gdy wszystko już poddawałam i poodejmowałam, wyszło, że powinnam włożyć do koperty 18 funtów, 2 szylingi i 6 pensów. Wzięłam pierwszą kopertę, otworzyłam torebkę i wyjęłam osiemnaście kartoników z pierwszego pakietu, i włożyłam je do koperty. Osiemnaście funtów wylądowało w drugiej przegródce mojej torebki. W domu włożyłam do jednej koperty funty, a do drugiej taką samą liczbę karteczek, i po kilkakrotnym przetasowaniu sama nie byłam pewna, co jest w której z nich.

Dzisiaj musiałam dwoić się i troić. Jak już wspomniałam, w następnym pokoju była tylko centralka telefoniczna i jakieś szafy na dokumenty, pracowała tam panna Harry. Przegroda z matowego szkła nie sięgała co prawda do sufitu, ale byłyśmy tak naprawdę w osobnych pomieszczeniach. Słyszałam ciche brzęczenie telefonu, a ona słyszała kasę i pewnie brzęk monet. Zanim ktokolwiek mógł wejść do mojego pokoju, najpierw musiał otworzyć drzwi do pomieszczenia z centralką i przejść co najmniej szesć kroków, co dawało mi kilka sekund na zamknięcie torebki i przybranie naturalnej pozy. W gruncie rzeczy, poza małą zmianą pod koniec każdej kalkulacji, pracowałam całkiem normalnie.

W ciągu popołudnia przerwano mi pracę jedynie trzy razy.

Gdy pan Ward przyszedł koło piątej, zostało mi tylko 260 funtów.

— Hmm... — powiedział, gładząc się po swojej brodawce. — Lepiej niż w zeszłym tygodniu. Chyba zwolnimy pannę Clabon.

Uśmiechnęłam się.

— Nie będzie to miało większego sensu. Ona jest naprawdę dobra. Skończę tylko tę, dobrze?

Stał, skubiąc paznokcie, podczas gdy ja obliczałam wypłatę Stevensa, R, praktykanta na dniówkę, 8 funtów 4 szylingi, włożyłam pieniądze do koperty i zakleiliśmy ją. Rozciągnęłam zbolące plecy, a on podniósł pudełko ze starannie ułożonymi, podpisanymi i ponumerowanymi kopertami i zaniósł je do sejfu. W tym czasie pobierałam resztę monet i banknotów, spięłam banknoty gumkami i włożyłam je do skrzynki na gotówkę. Zaniósłam skrzynkę i książki do sejfu, i przytrzymałam mu drzwi, gdy je wkładał do środka. Zamknął drzwi, włożył klucz do kieszeni i wyjął paczkę papierosów. Wyglądało na to, że sam się poczęstuje, ale zastanowił się trochę i najpierw zaproponował mi.

Ta hojność z pewnością musiała go sporo kosztować. Uśmiechnęłam się i potrząsnęłam głową.

— Czy pani nie ma żadnych wad? — spytał.

— Cóż, w każdym razie nie palę.

— Prawie święta, co?

— Chyba nie.

Uśmiechnęłam się ponownie.

— Czy pan mnie nie lubi, panie Ward? Miałam dziś ochotę trochę go wypróbować.

Wydawał się całkowicie pochłonięty gaszeniem zapalki i obserwowaniem czarnego dymu, który się z niej uniół.

— Nie jestem tu po to, by lubić czy nie lubić pracowników tej firmy. Moim zadaniem jest dopilnowanie, by wykonywali swoją pracę. — Ale przecież musi pan mieć swoje zdanie.

— Oczywiście. Zerknął na trzymanego papierosa spod przymrużonych powiek.

— Ale moje opinie należą wyłącznie do mnie, czyż nie? Cóż, ten dzień nie był jego dniem szczerości.

— Cieszę się, że nie ma pan nic przeciwko mnie.

— A co mógłbym mieć? Jest pani tak pracowita. Każdy to potwierdza. Podniosłam torebkę, która wydała mi się trochę grubsza niż zwykle. Spojrzałam na zegarek, piąta dwadzieścia. Dziś nikt nie brał nadgodzin, więc większość drukarzy pewnie wybierała się właśnie do domów. Byłby

ze mną koniec, jeśli któryś przyszedłby teraz do pokoju i poprosił dziś o swą wypłatę. Zdarzyło się już tak raz w kwietniu. Podeszłam do drzwi.

— Będzie pan jutro, panie Ward?

— Nie, wybieram się na spotkanie przedstawicieli hurtowni papieru. A dlaczego?

— Czy będzie pan Rutland?

— A tak, będzie, i obydwaj panowie Holbrook.

Wyszłam z biura i szłam wolno, udając, że uwiera mnie but, aż usłyszałam, jak pan Ward zamyka drzwi. Linda Harry zakładała sweter, wyszła zaraz za mną. Poszłyśmy razem do szatni, gdzie stały jeszcze dwie czy trzy dziewczyny, pudrując się przed lustrem. Postąpiłam, rozmawiając z nimi, aż zobaczyłam, jak Sam Ward wychodzi z biura.

Gdy miałam już wychodzić, Linda Harry poprosiła mnie o ogień. O mało co nie otworzyłam torebki. W porę jednak odpowiedziałam, że nie, niestety nie mam.

Byłyśmy prawie ostatnie. Niewiarygodne, jak ten budynek szybko opustoszał. Powiedziałam dobranoc Howardowi i poszłam w kierunku stacji metra na High Street.

Gdy dotarłam do domu, zamknęłam za sobą drzwi na klucz, wyjęłam pieniądze i przeliczyłam. Miałam ponad 1270 funtów, dokładnie 1272 funty i 10 szylingów. To był mój największy skok.

## Rozdział 6

Od tego momentu zaczynała się rutyna.

Najpierw gin z wermutem. Zawsze smakował wyjątkowo. Potem rozczesalam włosy, aż opadły swobodnie na ramiona. Kończąc drinka, przeglądałam rozkład jazdy pociągów.

Potem wszystko z siebie zdjęłam, zrzucając ubrania na podłogę, i weszłam naga do łazienki. Nie mogłabym nigdy wynająć mieszkania ze wspólną łazienką, bo jak już wspomniałam, siedzenie i moczenie się w ciepłej wodzie coś ze mnie zmywało. Nie winę, bo nigdy nie czułam się winna, ale wszystkie wydarzenia i kontakty z ludźmi. Schodziły ze mnie jak naskórek i zostawały w wodzie. Gdy wychodziłam z wanny, czułam się jak

nowo narodzona. Albo rodziłam się na nowo jako Marnie Elmer. Byłam znowu kimś prawdziwym, nie kimś, kogo wymyśliłam i ubierałam przez pół roku. Mary Taylor, żalosna wdowa, odeszła, zostawiając ubrania na podłodze. Szczerze mówiąc, nie była zbyt mądra ta Mary Taylor, żeby tak się zaangażować. Mollie Jeffrey miała więcej zdrowego rozsądku. Gdy ten facet, Ronnie Oliver, zadzwonił do Marion Holland po tym, jak właśnie udało jej się zwinąć całkiem niezłą sumę pieniędzy z Crombie & Strutt, pod samym nosem dyrektora Pringle'a, gdy więc Ronnie Oliver zadzwonił do niej, gdy była w kąpieli tuż przed wyjazdem z Birmingham, powiedziałam sobie „nigdy więcej”. Nie bądź głupia i nie daj się omotać. Dlatego Mollie Jeffrey wzięła sobie tę radę do serca. Ale Mary Taylor o tym zapomniała. Mary Taylor pozwoliła się obściskiwać w prywatnych mieszkaniach i zabierać na wyścigi. Było to najbardziej nierozsądne zachowanie, jakie sobie można wyobrazić.

Spakowałam wszystko do walizki i ubrałam się w nowe rzeczy, przeciętne i nie za drogie. Potem rozpoczęłam rutynowy obchód mieszkania. Zebrałam wszystko, czasopisma, gazety, chusteczki z kosza na śmieci i spaliłam je, co tym razem było łatwe, bo mieszkanie miało działający kominek. Wzięłam walizkę i ułożyłam pieniądze w jeden z rogów, potem przewiesiłam płaszcz przez ramię i podeszłam do drzwi mieszkania, i odwróciłam się, by rzucić nań ostatnie spojrzenie.

Zabawne. Nie było tu nic. Mary Taylor nie istniała. Zostawiła za sobą konto z siedmioma funtami w Lloyds Bank w Swiss Cottage i trochę popiołu w palenisku. W pewnym sensie byłam jak ten osobnik Haigh, który rozpuszczał swoje ofiary w kwasie\*. Rozpuszczałam Mary Taylor. Znikała, znikała, aż wreszcie zniknęła.

Wyszłam i pojechałam metrem na dworzec Paddington, przesiadając się na Baker Street. Na dworcu wsiadłam do pociągu o ósmej trzydzieści pięć do Wolverhampton i zjadłam kolację w wagonie restauracyjnym. Potem wsiadłam do autobusu do Walsall i zostałam tam na noc. Następnego ranka wstałam wcześniej rano, zrobiłam zakupy i poszłam do fryzjera zmienić uczesanie.

Siedząc w fotelu, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że Mary Taylor żyła za długo. Powinnam ją była zabić wcześniej. Nie było tak łatwo, jak zwykle, wyjść z jej skóry.

\* John George Haigh (1910-1949) — zwyrodniały morderca, który próbował udawać chorego psychicznie. Szerzej w „Słowniku zabójców” René Reouvena (Amber 1992).

W tym momencie — była jedenasta dwadzieścia — wiedzieli już najgorsze. Kto pierwszy się zorientował? Przypuszczalnie, skoro nie przysłała do pracy, musiał ją ktoś zastąpić przy robieniu kopert, ale wydawało się, że nikt nie powinien się zorientować, dopóki nie otworzono jednej z nich!

W pewnym sensie smutne było, że Mary Taylor już nigdy nie ujrzy Marka Rutlanda. Tak czy owak, trzeba było przyznać, że był inny. Jeśli wolicie jakieś dosadniejsze określenia, miał klasę. Poza tym był jeszcze Terry — i Dawn. Wszyscy troje stali się trójwymiarowymi postaciami, nie byli płascy, tak jak zwykle. A poza tym tkwili w mojej pamięci.

Po południu wyjechałam z Walsall i najpierw autobusem, a potem pociągiem dotarłam do Nottingham. Przez osiem godzin pokonałam odległość osiemdziesięciu kilometrów, ale działając w ten sposób, przemierzyłam ten dystans cztery razy. Za każdym razem, jak opuszczałam pracę, robiłam taką pętlę w pętli. Ostrożności nigdy za wiele. Tak jak zwykle, zostawiłam na zawsze moją starą walizkę w przechowalni bagażu, i wyjechałam z nową.

Przenocowałam w Nottingham w hotelu „Talbot”, jako panna Maureen Thurston. W sobotę zostałam na noc w Swindon.

W niedzielę rano opuściłam Swindon i pojechałam do „Old Crown” w Cirencester.

Znowu czułam się jak u dobrych, starych przyjaciół, naprawdę. To był mój drugi dom, a pod pewnym względem nawet bardziej mój niż pierwszy ponieważ wracanie do domu w Torquay było powrotem do dzieciństwa! W „Old Crown” było moje nowe życie, które sama sobie tworzyłam, i nie było ono zmyślane, było prawdziwe.

Zostałam tylko na chwilę, by zjeść kanapki w barze i przebrać się po czym złapałam autobus na farmę Garroda.

Wysłałam wcześniej pocztówkę, informując ich, że przyjadę, więc czekali na mnie, i zdawało się, że Fo-rio też.

Wiedział, że przyjechałam, zanim nawet weszłam na dziedziniec. Rzał, przebierał nogami i wydawał dźwięki, jakich nigdy wcześniej nie słyszałam.

Gdy podeszłam do niego i potarłam twarz o jego pysk, zaczął wciskać swoje miękkie wargi pomiędzy moje palce, by wziąć kawałek jabłka, który trzymałam dla niego w dłoni. Zawsze, gdy nie było mnie dłuższy czas, bałam się, że mnie zapomni. Ale nigdy nie złamałam zasady, by przyjeżdżać do niego, gdy miałam pracę.

Osiodłałam go i powoli wyszliśmy na dziedziniec. John Garrod, odprowadzając mnie, powiedział, żebym uważała, bo Forio ostatnio mało wychodził, ale byłam w za dużej euforii, by na to zważać. Jak tylko ruszyliśmy,

Forio o mało mnie nie poniósł, i gdyby nie trudna i stroma droga, pewnie by się tak stało.

Ale to nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Dzień był piękny, nie zważałam na deszcz, czułam się nasycona, ale na pewno nie jedzeniem, bo zjadłam tylko dwie kanapki od śniadania. To było wszystko, czego pragnęłam, do diabła z ludźmi. Robili się nieprzyjemni, czepiali się i wywracali cię na lewą stronę, a potem wszystko się psuło. To było proste, czyste, łatwe, żadnych komplikacji — kobieta i koń. Po prostu razem jechaliśmy. I tego właśnie pragnęłam.

W czasie naszej przejażdżki ulewa zaskoczyła nas dwa razy. Za pierwszym razem schowałam się w młodniku, ale za drugim galopowaliśmy dalej, w strugach deszczu, który siekł mnie po twarzy. Gdy zatrzymaliśmy się, oboje prawie bez tchu, na skraju błoni, ociekaliśmy wodą. Deszcz ustawał, a słońce rozpostarło na niebie piękną tęczę nad lasem koło Swindon.

Zawróciłam do gospodarstwa, myśląc o Foriu i o tym, jak go kupiłam.

To było po mojej drugiej pracy, tej w Newcastle. Dałam pieniądze mamie i jeszcze trochę mi zostało, więc pojechałam na wyścigi do Cheltenham. Nie jechałam tam, żeby grać, chciałam tam pobyc sama i nacieszyć się tym. Po jednym z wyścigów zapowiedziano sprzedaż koni, więc po skończonej gonitwie usłyszałam, jak jeden z mężczyzn przy barierce powiedział: „Zobaczmy, za ile pójdzie zwycięzca”, po czym odszedł, a ja poszłam za nim. Zwycięski koń został wprowadzony na mały, ogrodzony okrąg, gdzie stało kilku znudzonych ludzi, opierając się o barierki, a jeden z mężczyzn nagle rozpoczął licytację.

Nie miałam zamiaru kupować tego konia, aż do momentu, gdy zobaczyłam, że chyba musiał zranić się w nogę na ostatnich metrach wyścigu i pomyślałam, że teraz nikt nie będzie chciał go kupić. Był to piękny, masywny, duży, trochę za duży dla mnie, ale w sumie wspaniały ogier. Prawie cały czarny, z jaśniejszą plamką na nosie i piersi. Coś miał dziwnego z uszami, ale to pewnie nie było nic złego. Oczywiście, nie miałam o koniach zielonego pojęcia — umiałam jako tako jeździć i wiedziałam trochę na ich temat z książek, ale wydawało się, że to była prawdziwa okazja, i wiecie jak to jest, zanim się zorientowałam, już zaczęłam licytować. I nagle skinęłam głową o jeden raz za dużo, i mężczyzna powiedział: „I po raz trzeci — sprzedany. Kupiła pani, stojąca w rogu, za dwieście czterdzieści pięć gwinei”.

Potem nastąpiła panika dopełniania formalności, musiałam zostawić właścicielowi depozyt, przyrzekając, że wrócę z resztą pieniędzy następn-

go ranka. Dwa tygodnie później zostałam właścicielką konia, utrzymanego na farmie Garroda za niezłą sumkę tygodniowo, bez pracy i z niecałymi czterdziestoma funtami w kieszeni.

Musiałam więc szybko znaleźć pracę. Miałam szczęście, że tak szybko udało mi się dostać dobrą posadę w Crombie & Strutt, Turff Accountants. Jednak i tak przez kilka miesięcy było dość ciężko, bo musiałam utrzymać siebie i Foria za osiem funtów tygodniowo.

Mimo to nigdy tego nie żałowałam, przenigdy. Od naszej pierwszej jazdy był cudowny. Miał dobre serce, był zawsze w dobrym nastroju, i taki bystry. Gdy brał coś z ręki, był zawsze bardzo delikatny. I nauczyłam się z nim skakać, a szło mu to wspaniale. Kiedy galopowaliśmy, kołysał się łagodnie. Nie minęło sześć miesięcy od jego kupna, gdy ktoś zaproponował, że kupi go ode mnie na polowania za pięćset funtów.

Słońce zaszło, zanim wróciliśmy do stajni. Zostałam jeszcze jakiś czas z Foriem, szorując go, szczotkując, czesząc mu grzywę i ogon. Uwielbiał to i prawie ze mną wtedy rozmawiał.

Była niedziela, więc kręciło się sporo ludzi — sześć uczennic stało na dziedzińcu-i paplało wesoło. Nigdy nie słyszałam takich głosów w Plymouth. Pies szczekał w domu.

Prawie padałam z głodu. Podeszłam do domu, by zerknąć na rozkład jazdy autobusów. Następny był o siódmej trzydzieści. Powinien być w Ci-rencester o siódmej trzydzieści trzy. Wystarczy czasu na kąpiel i zmianę stroju przed kolacją. Potem do łóżka.

Gdy przechodziłam, z domu wyszedł pan Garrod.

— Ach, przy okazji, panno Elmer, jakiś mężczyzna pytał tu o panią jakąś godzinę temu.

— O mnie?

Serce mam w porządku, bije zawsze miarowo, ale teraz ścisnęło się.

— Czego chciał?

— Nie mówił. Pytał, czy pani tu jest, więc powiedziałem, że właśnie pani jeździ. Nie wiem, czy jeszcze tu przyjdzie.

— Dziękuję panu.

Wkrótce uspokoiłam się. Mogłam spytać, jak wyglądał, ale pomyślałam, że to znowu ten stajenny od pana Hinchleya przyszedł się spytać, czy nie zmieniałam zdania w sprawie Foria. Cóż, nie zmieniałam. I nie zmienię nigdy.

Jednak kiedy opuszczałam farmę, rozejrzałam się ostrożnie dookoła. Zmierzchało już. Nie zauważyłam nikogo i ruszyłam błotnistą ścieżką do głównej drogi. Autobus miał być za pięć minut.

Na głównej drodze, jakieś dwadzieścia metrów dalej, stał samochód. Miał zapalone boczne światła. Na wszelki wypadek odwróciłam się i zaczęłam iść w odwrotnym kierunku, i wtedy wpadłam na mężczyznę, który nagle wyszedł z mroku.

— Panna Elmer?

To był Mark Rutland.

Nie wiem, jak się czuli ludzie, gdy zrzucono pierwszą bombę atomową, ale w tym momencie tak się właśnie poczułam. To była moja mała, prywatna Hiroszima. Przytrzymał mnie, żebym nie upadła.

— Gdzie się zatrzymałaś? Odwiozę cię do domu.

## Rozdział 7

Wsiedliśmy do samochodu. Zająłam miejsce obok kierowcy. Zatrzęsnał za mną drzwi, a zabrzmiało to jak huk drzwi więziennej celi. W moim sercu płynęło coś gęstszego niż krew, coś, co zamulało mi mózg. To nie dzieje się naprawdę, mówiłam do siebie, wymyślasz to sobie, by się samej nastraszyć, ten facet nie zna Marnie Elmer, on zna tylko Mary Taylor. I niech tak zostanie, niech tak, do cholery, zostanie.

Włożył kluczyk do stacyjki, przekręcił go i zapalił.

— Jak mam jechać?

O Boże, to ten sam samochód, którym zabrał Mary Taylor na wyścigi. Ta sama rysa na desce rozdzielczej i te same żółte, mdłe światełka. Firmowany przez Berkeley Garages Ltd. w Hendon.

— Jak mam jechać?

. Obliziałam wargi i próbowałam coś powiedzieć, ale z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk.

— Cirencester? — spytał. Skinęłam głową.

Ruszył i jechaliśmy tuż za autobusem, który miał mnie zabrać z powrotem do „Old Crown”, a który teraz zatrzymał się, by wypuścić pasażera. W tym miejscu przecinały się dwie proste. W tym miejscu ja i dziewczyna, którą zostawiłam wczoraj, byłyśmy jedną i tą samą osobą. To było jak zły sen, który nagle okazał się realnym życiem. Jechaliśmy w milczeniu.

Gdy dotarliśmy na przedmieścia, zapytał mnie:

— Gdzie mieszkasz?

— W... W „Old Crown”.

— Pod jakim nazwiskiem?

— ...Elmer.

— To twoje prawdziwe nazwisko?

Chciałam coś powiedzieć, ale głos uwiązł mi w gardle.

— Jeśli powiesz mi prawdę, zaoszczędzi to nam trochę czasu — dodał.

Spojrzałam na niego w świetle ulicznych latarni. Miał na sobie stary płaszcz przeciwdeszczowy, a jego włosy oklapły od wilgoci. Zastanawiałam się, jak długo na mnie czekał.

— Czy Elmer to twoje prawdziwe nazwisko?

— Tak.

— Gdzie się urodziłaś?

— W Cardiff.

— Gdzie są pieniądze, które ukradłaś?

— Część jest tu, w Cirencester.

— A reszta?

— Jest zabezpieczona.

— Jeszcze nie przegrałaś wszystkiego na wyścigach, co?

— Nie gram na wyścigach.

— Akurat!

— To prawda!

Nic nie mówił, aż dojechaliśmy do placyku przy kościele

— Który to hotel?

— Ten na rogu. Podjechał i zatrzymał się.

— Wejść z tobą i poczekam, aż weźmiesz swoje rzeczy.

— Dokąd chcesz mnie zabrać?

— Zobaczysz.

Wysiadł i otworzył mi drzwi. Wysunęłam się z samochodu. Kolana miałam jak z waty.

Mark wszedł do recepcji.

— Panna Elmer jest moją sekretarką i niestety musi skrócić swój pobyt z powodów służbowych. Czy może pani wystawić rachunek? Panna Elmer wyjeżdża natychmiast.

— Oczywiście, proszę pana. Dopiero co przyjechała, więc nie ma wiele do zapłacenia.

78

— Pójdę z panią, panno Elmer — powiedział, gdy zobaczył, że idę na górę.

Recepcjonistka podniosła brwi, ale nikt nie ruszył się z miejsca, by go zatrzymać. Chciał wejść do mojego pokoju, co było wstętne, bo było to jedyne miejsce, gdzie mogłam być sobą. To było tylko i wyłącznie moje życie, niczyje więcej. Nie było powodu, dla którego musiał się do niego łądować z butami.

Podszedł do okna i wyjrzał. Okno było na wysokości niespełna metra.

— Gdzie są pieniądze?

— Tutaj.

Podniósł aktówkę, otworzył ją i zajrzał do środka, po czym zamknął z powrotem.

— Wezmę to i poczekam na korytarzu. Masz dziesięć minut. Wystarczyłoby mi i pięć, ale pakowałam się przez piętnaście. Czułam

się jak ktoś dochodzący do siebie po upadku na głowę. Potrzebowałam trochę czasu, by ochłonąć.

Byłam w najgorszych tarapatach, jakie tylko mogłam sobie wyobrazić. Zawsze myślałam, że jak zostanę złapana jako Mary Taylor albo Mollie Jeffrey, to nie będzie tak źle, bo przecież to nie ja. Jak będę miała trochę szczęścia, nigdy nikt się nie dowie, jak się naprawdę nazywam. Mogłabym wtedy napisać do mamy, że wyjeżdżam za granicę czy coś podobnego, i podtrzymywać mistyfikację, dopóki bym nie wyszła z więzienia. Ale przez jakiegoś cholernego pecha Mark Rutland odnalazł mnie jako Marnie Elmer. I podczas gdy nie było żadnego związku pomiędzy Mary Taylor a Marnie Elmer, to stanowczo istniało powiązanie pomiędzy Marnie a Plymouth i Torquay. Jeśli sprawdził wszystko, co mu mówiłam, powinnam mu powiedzieć prawdę, albo choć jej część. Wszystko zależało od tego, czy zamierzał mnie zabrać na policję. Wydawało się to oczywiste.

Czekał na mnie na wprost schodów, paląc papierosa. Nikły płomień oświetlał mu twarz, która przez to wydawała się mniej blada i delikatniejsza. Ale było to tylko złudzenie. Widziałam, że był niewzruszony jak skała, i niemal po raz pierwszy w życiu poczułam przed kimś strach.

— Masz wszystko? — spytał i pierwszy poszedł w kierunku samochodu.

— Dokąd chcesz mnie zabrać? „, Włożył moją walizkę do bagażnika.

— Wsiadaj.

Rozejrzałam się dookoła, pomyślałam, że mogę jeszcze uciec, bo w bieganiu jestem całkiem niezła, ale miałam pecha — po przeciwnej stronie placyku stał policjant.

Ruszyliśmy. Nie mówił nic, póki nie wyjechaliśmy z miasta. Na poboczu zauważyłam drogowskaz na „Fairford Oxford”.

— A teraz powiedz mi, dlaczego to zrobiłaś — zażądał.

— Zrobiłam co?

— Wzięłaś pieniądze.

— Co chcesz zrobić? Dokąd jedziemy?

— Pozwolisz, że to ja będę zadawał pytania.

Przez długi czas się nie odzywałam. Odsunęłam się od niego najdalej, jak tylko mogłam. Spojrzał na mnie, nachylił się i zamknął drzwi od środka. Zastanawiałam się, czy jest jakiś sposób, by go zmiękczyć.

— Panie Rutland, jest mi bardzo... Bardzo przykro.

— Pomińmy te sentymentalne wstępy. Po prostu powiedz mi, dlaczego to zrobiłaś.

— Jak mnie odnalazłeś?

— To ja zadaję pytania.

Ukryłam twarz w dłoniach, nie musząc udawać, jak bardzo jestem przybita.

— Jeśli wydasz mnie policji, *nic* im nie powiem, nie powiem *ani słowa*. Mogą mnie posłać do więzienia, a ty nigdy nie dostaniesz reszty swoich pieniędzy. Nic mnie to nie obchodzi!

— A właśnie, że cię obchodzi!

— Ale jeśli obiecasz, że tego nie zrobisz, powiem ci wszystko, co zechcesz...

— No nie, dyktujesz mi warunki, będąc w takiej sytuacji? Mogę cię zawieźć na najbliższy komisariat, odjechać i zostawić! I zrobię to, jeśli nie przestaniesz próbować tych swoich sztuczek.

— To nie są sztuczki, Mark.

Spojrzałam na niego, żeby sprawdzić, jak podziałał na niego dźwięk jego imienia. Jego ręce mocno trzymały kierownicę.

— W porządku, mogę mówić. Od czego mam zacząć?

— Jak się naprawdę nazywasz?

— Margaret Elmer.

— Gdzie się urodziłaś?

— W Plymouth.

— O proszę, znowu skłamałaś.

— Nie mogę przestać...

80

- Rzeczywiście, wygląda na to, że nie możesz.
- Nie miałam tego na myśli...
- No dobra, idźmy dalej.
- Uro... Urodziłam się w Devonport, ale większość życia spędziłam w Plymouth. Od siódmego do prawie piętnastego roku życia chodziłam do Szkoły dla Dziewcząt na North Road. Czy... Czy o to ci chodzi?
- Czy twoi rodzice mieszkają w Australii?
- Nie. Mój ojciec zginął na wojnie. W marynarce wojennej, Mark.
- A twoja matka?
- Umarła wkrótce potem... Wychowywała mnie dobra przyjaciółka mojej matki, Lucy Nye.
- Co robiłaś po skończeniu nauki?
- Mój wujek, brat mojej matki, który też pracuje na morzu, inżynier, opłacił mi inną szkołę, policealne technikum St. Andrew's, gdzie nauczyłam się stenografii, pisania na maszynie, księgowości i rachunkowości. Spojrzałam na niego ponownie. Włączył światła mijania, wyłączając długie, a samochód nadjeżdżający z naprzeciwka oświetlił jego ściągniętą gniewem twarz.
- Mam nadzieję, że to prawda.
- Jeśli chcesz, możesz to sprawdzić.
- Już ty się nie martw, sprawdzę to. Chciałem ci tylko przypomnieć, byś trzymała swą fantazję na wodzy. To mnie rozwścieczyło.
- Czy ty nigdy nie zrobiłaś nic złego, nigdy nie złamałaś prawa? Oczywiście, ty to inna sprawa, zawsze miałaś tyle pieniędzy, ile chciałaś... — Opowiadaj dalej, dobrze?
- Przez chwilę próbowałam odzyskać oddech.
- Po szkole dostałam pracę w Plymouth. Ale jak tylko zaczęłam, Lucy Nye zachorowała i musiałam się nią zająć, więc rzuciłam pracę. Opiekowałam się nią przez osiemnaście miesięcy, aż do jej śmierci. Gdy umarła, okazało się, że zostawiła mi dom, w którym mieszkaliśmy, i dwieście funtów w gotówce. Część pieniędzy wydałam na... na lekcje wymowy i rachunkowości, po czym dostałam pracę w Deloitte, Plender & Griffiths w Bristolu. Podczas pobytu tam po raz pierwszy zobaczyłam konie — konie, jakie widuję teraz, nie stare szkapę, ciągnące wozy, ale długonogie, czystej krwi, pięknie skaczące... I...
- W porządku, rozumiem, o co chodzi. Zobaczyłaś konie.

— I pokochałam je. Czy to dla ciebie nic nie znaczy?... Po jakimś czasie dom w Devonport sprzedano za tysiąc funtów. Wszystko było moje.

82

Zdałam sobie sprawę, że mogłabym dwa lata, albo dłużej, żyć jak dama z tego, co dostałam i co zaoszczędziłam, kupić konia, jeździć na nim. Kupiłam Foria i...

— Foria?

— Mojego konia u Garroda. Zostawiłam pracę i tak właśnie żyłam. Żyłam najskromniej, jak tylko się da, ale cały czas miałam dla siebie. Zastanawiam się, czy taka wolność coś dla ciebie znaczy. Jeździłam na Foriu prawie codziennie. Zwykle koło Gwiazdki udawało mi się dostać jakąś tymczasową pracę, by zarobić trochę dodatkowych pieniędzy. Ale właściwie cały czas żyłam ze spadku. W zeszłym roku, jakoś tak w listopadzie, pieniądze się skończyły... Przyjechałam więc do Londynu i zaczęłam szukać pracy. Dostałam ją w Kendalls, ale cały czas szukałam czegoś lepszego.

— I znalazłaś Rutland.

— Tak...

— To była o wiele lepsza praca, prawda? Oprócz pensji zyskałaś jeszcze jakieś tysiąc dwieście funtów. Wybuchnęłam płaczem.

— T... t... tak mi przykro, Mark, naszła mnie nagła pokusa. Nie chciałam tego zrobić, ale nagle pomyślałam, że mogłabym żyć jeszcze dwa lata jak wtedy, zanim przyjechałam do Londynu. Pewnie w... w... w ogóle nie powinnam wziąć posady kasjerki. Ciągle miałam do czynienia z ogromnymi sumami pieniędzy... Och, Mark, tak mi przykro... Płacz oczywiście był udawany. Ale gdybym tylko naprawdę umiała płakać, pewnie bym się popłakała — z rozczarowania i z tego, że mnie przyłapano, i ze strachu, co się ze mną stanie.

Przejechaliśmy przez Faringdon i byliśmy na głównej drodze ze Swin-don do Oxfordu. Wyszuszyłam oczy chusteczką, która była zbyt mała, ale on nie zaoferował mi swojej.

Po jakimś czasie spytał:

— A pan Taylor? W którym momencie się pojawił?

— Pan Taylor?

— Jest kolejnym tworem twojej wyobraźni czy istnieje naprawdę?

— Ach, nie. Nie było nikogo. Ona nigdy... Ja nigdy nie wyszłam za mąż.

— Byłaś czyjąś kochanką?

— Ależ nie, na Boga, nie! Dlaczego ci to przyszło do głowy?

— Tak tylko pytam. Dlaczego nazwałaś się Taylor?

Zrobiłam przerwę, by wydmuchać nos. Dlaczego, do diabła, nazwałam się panią Taylor? Ja się tak nie nazwałam. Trzy lata temu stworzyłam po prostu Mary Taylor, która była mężatką.

— Pan Taylor był starym przyjacielem mojego ojca. Nie żyje już od dawna, ale jego nazwisko przyszło mi jakoś do głowy.

— Dlaczego w ogóle przyszło ci na myśl? Dlaczego trzy lata temu otworzyłaś w Cardiff konto właśnie na to nazwisko? Mogłam się była tego spodziewać.

— Pani Nye miała... Ma bratanek. Większość czasu spędza za granicą, ale to nicpoń i darmozjad. Bałam się, że kiedy się dowie, że Lucy Nye zostawiła mi wszystkie pieniądze, będzie chciał zabrać swoją część.

— Jesteś pewna, że nie jest twoim współnikiem?

— Nikt ze mną nie współpracuje! Mówisz tak, jakby to wszystko było zaplanowane z zimną krwią!

— A nie było?

— Nie!

— To było takie nagłe i impulsywne, że zmieniłaś nazwisko, kiedy przyjechałaś do Londynu dziewięć miesięcy temu? Oczywiście, jeśli nie byłaś panią Taylor przez ostatnie trzy lata.

— Nie zmieniłam go z tego powodu. Zmieniłam je, bo pomyślałam, że to będzie początek czegoś nowego. Nie chciałam, żeby bratanek pani Nye nachodził mnie w Londynie! Pomyślałam... Pomyślałam, że jak wezmę sobie nowe nazwisko, wszystko pójdzie lepiej niż przedtem!

— Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ta kradzież to był impuls, co? Susan Clabon na urlopie, czek specjalnie wystawiony na dwieście dwadzieścia funtów więcej niż trzeba, spora ilość naszego własnego papieru przyciętego równo na rozmiar banknotów przyniesiona rano do biura. Czym jest dla ciebie wobec tego zaplanowane przestępstwo?

— Nie, to nie tak, ale myślałam o tym zaledwie przez kilka ostatnich dni! I jak tylko wszystko się dogodnie ułożyło, nie miałam siły się oprzeć. Naprawdę, Mark. Wiem, że jestem słaba. Nie powinnam była tego robić, ale... Widzisz, to było tydzień wcześniej, jak nie było Susan, kiedy zorientowałam się, że mogę to zrobić, ale nawet wtedy nie myślałam o tym na serio... Tak naprawdę zaczęło się w środę. A potem nie mogłam przestać o tym myśleć, nie mogłam spać. Znowu zaczęło padać, więc włączył wycieraczki. Przez japońskie wachlarze, które robiły się od tego na szybach, można było dojrzeć przedmieścia Oxfordu.

— Czy wcześniej coś ukradłaś?

Zawahałam się. — Dwa razy w Plymouth, jak miałam dziesięć lat, i dostałam za to solidne lanie.

— Nie o to mi chodzi — odparł niecierpliwie. — Później. Pomyślałam, że to ryzykowne być zbyt niewinną.

— Tak... Raz w Bristolu.

— Kiedy?

— Jakies trzy lata temu. Byłam w sklepie i...

— Ile wzięłaś?

— O, tylko szal. Nie był wiele wart.

— Ile?

— Jakies dwa funty...

— A potem?

— Potem już nie.

W Oxfordzie deszcz zapędził ludzi do domów i tylko autobusy i samochody mknęły skąpane w strugach wody. Za miastem mineliśmy drogowskaz, którego nie zdążyłam odczytać.

— Dokąd mnie wiesz?

— Jaki masz dowód na to, co przed chwilą powiedziałaś?

— Dowód? Mam czystą kartotekę.

— Jakich dowodów możesz dostarczyć?

— Co masz na myśli?

— Czy w Plymouth jest ktoś, kto cię zna?

— Cóż, chyba...

— Jest ktoś czy nie?

— ...Tak, sądzę, że tak, ale jeśli zamierzasz mnie wydać policji, wolałabym...

— Nie powiedziałem, że zamierzam to zrobić.

— Mogę odnaleźć moje świadectwo urodzenia, hmm... Świadectwo ukończenia kursu księgowości i rachunkowości, opinię ze szkoły na North Road... Nie mam tego wiele.

— Gdzie są te papiery?

— Mogę je dostarczyć.

— Gdzie one są?

— Hmm... W różnych miejscach... Myślę, że mogłabym poprosić o zaświadczenie od South Western Electricity Board, że u nich pracowałam. To była moja pierwsza praca. I Deloitte, Plender & Griffiths, też by pewnie to przysłali, mimo że pracowałam tam tylko sześć miesięcy... Chyba mam jeszcze rachunek za Foria... Nic więcej nie przychodzi mi teraz do głowy... Ale co ty właściwie chcesz sprawdzić?

84

— Sprawdzić? Chcę dowieść, że ty... — Urwał nagle. Zakrztusił się, chyba ze zdenerwowania. — Nieważne.

— Że nie jestem zwykłą złodziejką?

— Skoro tak wolisz...

— Ale ja jestem złodziejką... Za kogo innego możesz mnie uważać po tym, co zrobiłam?

— To nie jest takie istotne. Nie jestem tu żadnym sędzią, próbuję tylko zrozumieć.

Westchnęłam głośno.

— To jest chyba niemożliwe. Po tym, jak to zrobiłam, po tym, jak ukradłam te pieniądze, sama nie mogłam w to uwierzyć, a co dopiero zrozumieć.

— Nie zauważyłem, żebyś chciała oddać pieniądze.

— Nie... Nie zamierzałam tego zrobić.

— Hmm, to brzmi dość szczerze.

— Za bardzo bym się bała. Przez chwilę nic nie mówiliśmy.

— Nie tak łatwo jest poznać prawdę o sobie samym — powiedziałam. — Ty potrafisz? Masz lekkie, łatwe życie. Nic nie odpowiedział.

— Może nie masz dwóch myśli jednocześnie. Ja mam tak często. Pierwsza należy do osoby, którą staram się być teraz, druga — do dziewczynki z Devonport. A ona ciągle jest dzieckiem ulicy. Tak nagle nie zapomina się, jak to jest być głodnym, poszturchiwanym i traktowanym jak śmieć. Nigdy się z tego nie wyrasta. Już ci się wydaje, że to jest za tobą, ale nagle, gdy trzymasz w dłoni tysiąc funtów w banknotach, czujesz, że chcesz śmignąć w następną ciemną uliczkę. To wszystko jest takie zagmatwane. Nie umiem ci tego inaczej wytłumaczyć, Mark.

— W sumie — odparł — jest to najbardziej przekonujące wytłumaczenie, jakie dziś od ciebie usłyszałem.

Przejechaliśmy przez Tamizę i zdawało się, że jedziemy w kierunku Aylesbury. Wiedziałam, że w ciągu ostatnich minut moja sytuacja nieco się poprawiła — nie byłam już jak pokonane zwierzę wobec triumfującego myśliwego. Udało mi się trochę rozluźnić pętlę wokół szyi. Była to ryzykowna gra, musiałam działać szybko, ale nie za szybko.

— Powody, dla których to zrobiłam, są bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje.

— W jakim sensie?

— Nie mogę ci powiedzieć.

— Lepiej mi powiedz.

— Och... Były jeszcze inne powody niż chęć posiadania pieniędzy. Chciałam uciec.

— Uciec?

— Tak, od ciebie.

— Dzięki.

Zawahałam się, zastanawiając się, czy to kupić.

— Nie widzisz, że... A może nie? Stawaliśmy się sobie... coraz bliżsi.

— Czy to jest powód, dla którego chciałaś uciec?

— Tak. Tak myślałam. Może zaczęłam to brać za bardzo na serio? Dla ciebie wszystko było w porządku, ale dla mnie to wcale nie było przyjemne i pomyślałam, że czas się z tego wycofać.

— Mów dalej.

— Nie rozumiesz, o co mi chodzi?

— Chciałbym to usłyszeć od ciebie.

— Zrozum, Mark, nic na to nie poradzę, ale tak czuję... Poza tym pomyślałam, jaka jest szansa na to, że coś z tego będzie?

— Więc?

— Pomyślałam sobie tak: „on jest na samej górze, a ja nawet nie mieszczę się na tej drabinie. Połknie mnie jak małego robaka. I co z tego wyniknie? Dla mnie nie wyniknie z tego raczej nic dobrego”.

— Więc wpadłaś na pomysł...

— Więc wpadłam na pomysł, że ucieknę i zakończę całą sprawę raz na zawsze. I tak zrobiłam. Dziecko ulicy nieźle się obłowilo, co? Nie pomyślałam tylko, że kiedykolwiek mnie odnajdziesz, i to tak szybko, to niesamowite... Ale nie zaczynajmy tego na nowo! Odstaw mnie na policję i zakończmy to wszystko!

Zdjął rękę z kierownicy i myślałam, że mnie dotknie, ale nic takiego się nie stało.

Po chwili powiedział:

— Nie martw się, póki co nie jesteś w więzieniu.

Gdy dojechaliśmy do Aylesbury, na ulicach panował większy ruch, bo wszyscy spieszyli z pracy do domu.

— Sądzę, że powinienem mówić do ciebie Margaret zamiast Mary.

— Wszyscy mówią do mnie Marnie.

— Marnie... Marnie... Marnie, no dobrze.

— Dokąd ty mnie wiesziesz? Możesz mi to wreszcie powiedzieć?

— Do domu.

— Dokąd?

89

— Do mnie do domu. Dzisiaj musisz zanoć u mnie. Jest za późno, żeby wymyślić coś innego.

— A... A co powie twoja gospodyni?

— A co niby ma powiedzieć?

Hmm... Czy przypadkiem on nie działał zbyt szybko?

— Nie będzie myślała, że to trochę dziwne?

— Martwisz się o swoją reputację?

— A co zrobimy rano?

— Rano wrócisz do Rutland. Aż osłupiałam.

— Co? Nie rób sobie głupich żartów!

— Ja wcale nie żartuję.

— Ale jak ja mogę tam wrócić?

— Wrócisz tak, jakby nic się nie stało — tylko na kilka tygodni. Jeśli zechcesz, będziesz mogła potem złożyć wypowiedzenie. Ale nie chcę mieć żadnego skandalu.

Złapałam go za ramię.

— Czy ty nie rozumiesz, Mark? Przecież byłeś tam wczoraj. Wszyscy będą wiedzieli. Nawet jeśli ty nie doniesiesz na mnie policji, zrobi to pan Ward albo ktoś inny!

— Gdy nie przyszedł w piątek do pracy, próbowaliśmy dzwonić do ciebie do domu — odparł — ale nikt nie odbierał. Skoro panna Clabon była na urlopie, a Dawn Witherbie była zajęta w dziale detalicznym, postanowiłem, że sam skończę przygotowywać wypłaty. Po jakichś sześciu zorientowałem się, że na wszystkie nie starczy pieniędzy. Sprawdziłem więc, ile pieniędzy wybrałaś w czwartek i ile powinno być w gotówce ze sklepu. Potem nie pozostało mi nic innego, jak otworzyć jedną z kopert przygotowanych przez ciebie.

— Ach, i ty wtedy...

— O tak, wtedy zrozumiałem. Zrozumiałem dokładnie wszystko. Siedziałam i patrzyłam na niego. Znowu włączył wycieraczki.

— Zacząłem się nad tym zastanawiać. Sprawdziłem kilka kopert i wszystko się zgadzało, co do pensa. Nie zadałabyś sobie tyle trudu, gdyby to było bez znaczenia.

— Ja tylko...

— Jak przypuszczam, wyszła z ciebie sumienna księgowa. Jedyne, czego brakowało, to pieniądze. Poszedłem więc do banku i pobrałem kolejny tysiąc funtów w banknotach. Potem wróciłem i zacząłem przygotowywać koperty na nowo.

87

Przyglądałam mu się w ciemności, próbując się zorientować, czy nie żartuje.

— Oczywiście, jeśli byłby przy tym Ward, nie udałoby mi się tego ukryć, ale nie było nikogo. O jedenastej poprosiłam pannę Smith, żeby wy-, dała koperty, które udało mi się przygotować. Reszta musiała poczekać na swoje wypłaty. Wyjaśniłem wszystkim, że panna Clabon jest na urlopie, a pani Taylor zachorowała. Ostatnią wypłatę skończyłem o wpół do dwunastej. W pośpiechu zrobiłem tylko dwa błędy, które wczoraj udało mi się skorygować. Byliśmy blisko Berkhamsted. Mój umysł pracował teraz na wysokich obrotach. Mimo to nie mogłam zrozumieć jednego faktu, który zupełnie nie pasował do reszty.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Ward zawsze powtarzał, że jesteś podejrzenie perfekcyjna.

— Miał rację.

— Tak. A ja się myliłem. Za Boga nie chciałem, żeby powiedział: „A nie mówiłem?”

Odczekałam jeszcze chwilę. Był uroczy. Wydawało się, że skończył.

— Nie chodziło tylko o to.

— Być może.

— Nie wpakowałbyś się w takie tarapaty tylko z tego powodu. Nie zrobiłbyś tego, Mark. Nikt by tego nie zrobił.

— Nie uważasz, że to sporo wyjaśnia?

— Nie.

— Cóż, przypuszczam, że miałem swoje powody.

— Jakże?

— Nieważne.

Gdy dotarliśmy do jego domu, pani Leonard już nie było. Zostawiła kartkę na stole i zimną kolację w jadalni. Wyjął sztucce z kredensu i zjedliśmy ozór z sałatką, popijając piwem. Byłam strasznie głodna, ale nie chciałam rzucać się na jedzenie w jego obecności. Moja sprawa nadal wisiała na włosku. Nadal jedną nogą byłam w więzieniu. Jednak widziałam, że powoli ta perspektywa się ode mnie odsuwa. Cały czas był dla mnie miły. To było w tej całej sytuacji przedziwne. Miałam jakieś niesamowite szczęście. Jednak moja przyszłość nadal nie była przesądzona.

Teraz sytuacja wyglądała nieco inaczej niż w samochodzie. Tam siedzieliśmy w półmroku, obok siebie, słysząc tylko swoje głosy. Tu siedzieliśmy naprzeciwko siebie, po obu stronach stołu, jak na obiedzie w Cam-

bridge. Teraz nie tylko mnie słyszał, ale i widział, więc musiałam się starać, by wyraz twarzy był w zgodzie z tym, co mówię. Zerknęłam na siebie w lustrze w hallu i zdążyłam usunąć ślady łez i przyczesać włosy. Nie mogłam jednak wyglądać na zbyt opanowaną. Ku mojemu zdziwieniu, na twarzy miałam rumieńce. Ale ogólnie nie wyglądałam źle. On był blady jak płótno, wyglądał na zmęczonego. A jego czarne oczy wpatrywały się we mnie, jakby chciały przewiercić mnie na wylot.

— Ile pieniędzy jest w tej aktówce? — spytał.

— Sześćset funtów.

— A reszta?

— W banku w Swindon i na koncie pocztowym w Sheffield. I w biurze rzeczy znalezionych w Nottingham.

— Staralaś się rozłożyć ryzyko.

— Nie mogłam wpłacić za dużo w jednym miejscu.

— Wszystko przewidziałaś, prawda? Zaczęłam odrywać małe kawałeczki chleba.

— Jak widać nie. Udało ci się mnie znaleźć.

— Atak, udało mi się.

— Jak? — zapytałam.

Chyba nie było to dobre posunięcie. Widziałam, jak twarz mu tężeje.

— Na razie zachowam to dla siebie. Żeby być pewnym, że znowu nie uciekniesz.

— Mark, nie mogę wrócić do pracy, jak gdyby nigdy nic! Naprawdę nie mogę. Ktoś może coś podejrzewać.

— Nie mogą nic podejrzewać, skoro nie brakuje pieniędzy.

— A gdzie był Terry? Powiedziałeś mu?

— Nikomu nie powiedziałem. Zresztą, on przez całe przedpołudnie był na rozmowach z klientami.

— ...Jeśli mam wydostać resztę pieniędzy — ze Swindon i Sheffield — zajmie mi to cały dzień.

— Najpierw wróc do pracy. Jak będziesz wybierała się po pieniądze, pojedę z tobą. Zanim to zrobisz, ja w tym czasie przeleję sześćset funtów z mojego prywatnego konta, by to pokryć. Dzięki temu zapisy będą w porządku, na wypadek gdyby Ward albo jeden z Holbrooków chcieli to sprawdzić w ciągu tygodnia. Ale są duże szanse, że tego nie zrobią. Jego głos nieco złagodniał. Na początku był strasznie zły na mnie, ale teraz zdawał się uspokajać. Może razem zdążaliśmy w kierunku jakiegoś rozwiązania? Jeśli nie strzelę kolejnej gafy w stylu „Jak?”, to może wszystko potoczy się po mojej myśli? To już nie była walka, to były negocjacje.

Ale negocjacje dotyczące czego? Nawet jeśli jesteśmy mili dla kogoś, to nie znaczy, że jesteśmy jak Bóg miłosierny. Czego on chciał? Cóż, chyba chciał mnie. O to chodziło, prawda? Poczułam dreszcze.

Przyglądał mi się teraz uważnie, więc musiałam się mieć na baczności.

— Jesteś bardzo dziwną osobą. Najdziwniejszą, jaką w życiu spotkałem.

Spuściłam wzrok. — Cóż, chyba tak.

— Z tego, co mówisz, jeśli to prawda, wynika, że nie masz wielu kontaktów z ludźmi. Mówisz, że jeździsz konno — to przyjemna rozrywka, ale co z resztą z dwudziestu czterech godzin? Powiedziałaś mi, że w ten sposób żyłaś przez ostatnie dwa lata. Nie miałaś żadnych przyjaciół?

— Nie spotykałam się z mężczyznami. Poznałam kilka osób. Zawsze miałam się czym zająć. Nie byłam samotna.

— Ale przez to twoje życie jest puste. Za bardzo się izolujesz.

— To mi odpowiada.

— A może właśnie przez to wymyślasz te niesamowite historie, co? Mam na myśli to, co powiedziałaś mi o swoim mężu. Byłaś tak wstrząśnięta po jego wypadku na motorze, że gdybyś miała zostać w Cardiff, skończyłabyś w szpitalu psychiatrycznym. Ale tobie było łatwiej niż mnie, bo mogłaś się przeprowadzić i zmienić pracę.

— Nie przypominaj mi tego, proszę. Naprawdę... Było mi bardzo wstyd.

— Tak? A to już coś. I twoja matka z ojcem w Sydney, jak to z trudem znosili upały w lecie. I twój tata, który oglądał puchar Davisa. Nieźle się musiałaś nad tym natrudzić, co?

— Przepraszam. Naprawdę bardzo mi przykro.

— Zastanawiam się, ile z tego, co mi teraz powiedziałaś, należy do tej historyjki...

Podniosłam głowę.

— Teraz nie kłamie! To dwie zupełnie różne rzeczy! Byłam głupia, ale nie przyszło mi do głowy, że mogłabym kogoś dobrze poznać w biurze. Mówiłam ci już, lubię być sama! Gdy zorientowałam się, że zaczynam poznawać ludzi, zdałam sobie sprawę, że muszę brnąć w to dalej. To jest jak śnieżna kula, toczy się, toczy i jest coraz większa i większa.

— To jest ogólnie znany mechanizm, Marnie. Ale po co w ogóle wysyłać rodziców do Australii, skoro oni oboje nie żyją? Jaki to ma sens?

Po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu.

- Żadnego. Chciałam tylko stworzyć historię, która byłaby zupełnie inna niż moje życie.
- Istnieją przypadki patologicznych kłamców. Jesteś jednym z nich?
- Nie wiem. Zresztą i tak sprawdzisz wszystko to, co ci dzisiaj powiedziałam, więc sam się przekonasz.
- Nadal patrzył na mnie ni to jak lekarz, ni to jak zakochany.
- Nie jestem w stanie sprawdzić wszystkiego. Nie mogę sprawdzić tego, co jest dla mnie najważniejsze z rzeczy, o których mi dzisiaj powiedziałaś.
- Co to jest?
- Że jednym z powodów, dla których ukradłaś te pieniądze, było to, że chciałaś ode mnie uciec, bo bałaś się zaangażować i zostać zranioną.
- To prawda!
- Chciałbym być tego pewien.
- To prawda, Mark! Myślisz, że nie mam żadnych uczuć?
- Jestem pewien, że jakieś masz, ale chciałbym wiedzieć, jakie one są.
- Czułam straszne napięcie, siedząc i patrząc na niego cały czas. Wiedziałam, że pakuję się w niezłą aferę zupełnie innego rodzaju. Ale nie było innego wyjścia.
- Tak się zastanawiam, dlaczego, skoro jesteś tak sprytną kobietą, nie przyszło ci do głowy rozgrywać tego inaczej?
- W jaki sposób?
- Nie wiem, czy mam się cieszyć, czy czuć się obrażony, że tego nie robisz.
- Nie robię czego? Nie wiem, o co ci chodzi?
- Nagle odsunął się gwałtownie od stołu, wstał i zniecierpliwiony czymś przeszedł na drugi koniec pokoju.
- Na drugi raz, jak będziesz stała przed lustrem, przyjrzyj się sobie. Mężczyźni nigdy się tobą nie interesowali?
- Tak. Tak, oczywiście, ale...
- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że straciłem żonę jakieś dwa lata temu i, chociażby w pewnym sensie, stanowiąc dobrą partię? — Ludzie w biurze robili jakieś uwagi.
- Tak? Pomijając na razie kwestię tego, że mogłaś nie myśleć o mnie jako o odpowiednim kandydacie, czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że podrywając mnie, zyskałabyś znacznie więcej niż tysiąc dwieście funtów?
- Zależy, co masz na myśli, mówiąc „podrywając”?
- Wychodząc za mnie.

Zegar w hallu wybił północ. Trwało to i trwało. Nie był to zegar u mojej matki w kuchni, ale jego dźwięk zdawał się tak samo przenikać mnie do szpiku kości.

— To nie wchodziło w grę — powiedziałam, czując, że wpadam w panikę. Potworną, paraliżującą panikę.

— Dlaczego?

— Pochodzimy z różnych światów.

— Masz dosyć staroświeckie pojęcie o klasach społecznych, rodem z jakiegoś melodramatu.

— Może i tak. Może jestem głupia. Zresztą kradzież pieniędzy wydaje mi się mniej nieuczciwa niż sprzedanie się w ten sposób!

— Czy ja ci się nie podobam?

— Ależ nie, skąd. Nie o to chodzi!

— To o co?

— No, ja...

— Powiedziałaś, że chciałaś uciec ode mnie, bo bałaś się zostać zranioną. Wynika z tego, że nie byłem ci obojętny. W jaki więc sposób sprzedałabyś się, wychodząc za mnie?

Zapędził mnie w kozi róg. Było to dla mnie zupełnie nowe doświadczenie, bo do tej pory zawsze wiedziałam, co powiedzieć, jak się wymigać i wypłatać z niekorzystnej sytuacji. Po raz drugi tej nocy okazało się, że jest sprytniejszy ode mnie i niezmiernie mnie to złościło. Aby zyskać na czasie, ukryłam twarz w dłoniach. Wystarczy tylko zastanowić się wystarczająco długo, a zawsze znajdzie się jakieś rozwiązanie. Po chwili podszedł blisko i położył mi rękę na ramieniu. Dotknął mnie pierwszy raz tego wieczoru.

— Powiedz mi, Marnie.

— Jak mam powiedzieć ci coś, czego sama nie wiem? — odparłam zbolalym głosem. — Wydawało mi się, że to niemożliwe. Zresztą, teraz i tak jest już za późno.

Gdy to mówiłam, bałam się tego, co może powiedzieć. I on to właśnie powiedział:

— Myślę, że to się z czasem okaże.

— W jaki sposób?

— Ty mi to powiedz.

Wiedziałam, że muszę na niego spojrzeć. Wiedziałam, że był to bodajże ostatni moment, żeby się ratować. Ale naprawdę nie było jak. Jeśli mu odmówię, było jasne jak słońce, że pójdzie na policję. To był jakiś koszmar.

Jego dłoń zacisnęła się lekko na moim ramieniu. Spojrzałam w górę, mając nadzieję, że moje oczy nie zdradzą tego, co myślę.

— Mark, jestem złodziejką. Nie oszukuj się. Nie uciekniesz od tego. Po prostu — wybac mi i pozwól mi odejść.

— Czy tego właśnie chcesz?

— Jestem pewna, że tak będzie najlepiej.

— Dla kogo? Dla ciebie? Dla mnie?

— Tak. Tak właśnie myślę.

— Jestem innego zdania. Wiesz, tak się składa, że cię kocham. Chyba się tego domyśliłaś, prawda?

— Nie.

— Nie? To jest właśnie sedno sprawy. Kocham cię, Marnie.

— Mark, ty... Ty zwariowałeś.

— Brzmi to jak skarga.

— Zrozum — powiedziałam w desperacji — bądź rozsądny. Okradłam cię i okłamałam. To nie jest dobra podstawa do wicia gniazdka, nie mówiąc już o małżeństwie... Ufasz mi?

Zaśmiał się lekko.

— Nie, na razie nie.

— No widzisz. To nie jest dobry początek. Miłość musi opierać się na zaufaniu.

— Bzdury! Miłość pojawia się tam, gdzie chce. Nikt nie wie, na czym się opiera.

Nie odpowiedziałam. Znowu zapędził mnie w kozi róg. Poczułam się jak szczur w klatce, który nawet nie może ugryźć swego oprawcy.

— Po tym jak jechałem za tobą przez pół Anglii, nie myślisz chyba, że pozwolę ci odejść? — dodał.

## Rozdział 8

Tak więc niemożliwe stało się możliwe i w poniedziałek wróciłam do pracy, jakby nigdy nic. Oprócz paru osób, które spytały o moje zdrowie, i Sama Warda, który spojrzał na mnie z większą niechęcią niż zwykle, nikt nie zareagował. Susan Clabon opowiadała cały czas o wyspie Wight, więc

dzień jakoś zleciał. W koszu na śmieci znalazłam moje równo przycięte kartoniki, wyjęte przez Marka z kopert. W czwartek zawiózł mnie do Swindon i do pozostałych miejsc, w których zabezpieczyłam pieniądze. Podjęłam je wszystkie. W sobotę mi się oświadczył.

To, co nadchodziło, było jak pociąg, który jechał wprost na mnie, stojącą na przejeździe kolejowym. Jednak ja stałam jak wmurowana, nie mogłam się ruszyć, a pociąg zbliżał się nieuchronnie.

Nie było od tego ucieczki.

Nie chciał mi powiedzieć, w jaki sposób mnie znalazł, więc nie wiedziałam, jaki popełniłam błąd. Wiedziałam jedynie, że jeśli zaczniesz bacznie śledzić historię Marnie Elmer, poczynając od Cirencester, to wyląduje, bang!, u mojej matki, jak kulka we fliperach. Musiałam dalej kłamać, że matka nie żyje, bo gdyby się wydało, że żyje, byłoby po mnie. Jeśli mama by się dowiedziała, że jestem złodziejką, że utrzymuję ją z kradzionych pieniędzy, wściekłaby się. Co gorsza, wiedziałam, że to by ją zabiło — za nic nie byłaby w stanie znieść takiej hańby. Gdyby Mark kiedykolwiek spotkał się z matką, cała historia z panem Pembertonem by się wydała i oboje by się zorientowali, że od trzech lat żyję z kradzionych pieniędzy. Wtedy poza tym, że mama mogłaby dostać wylewu, ja wylądowałabym w więzieniu. Wszystko było lepsze niż to, nawet małżeństwo z nim.

Należało więc przestać wystawiać go na ciężką próbę. Jedyne, co przychodziło mi do głowy, to udawać, że go kocham. Poza tym, że pewne fakty pominęłam, wiele rzeczy, które mu powiedziałam, były prawdą. Starłam się więc dostarczyć mu na to dowody. Jeśli dostarczyłabym mu dowody, potwierdzające prawdę — jak świadectwo urodzenia — być może nie będzie grzebał w tym, co nią nie jest. W sumie wiele rzeczy przyjmował na wiarę. Może wydawało mu się, że powinien mi ufać, skoro mnie kocha, nawet jeśli mówił, że mi nie ufa.

Wyglądało na to, że kompletnie zwariował na moim punkcie. Nie dałam mu więc kosza, chociaż czasami na samą myśl o małżeństwie aż mnie trzęsło. Myślałam, że mam jeszcze kilka miesięcy do ślubu, że może coś się wydarzy. Że jeśli zamknę oczy i będę mocno myślała, to coś się wydarzy.

Poprosił mnie, żebym na razie nie rozgłaszała tego w firmie, i było mi to na rękę. Niestety, nie pozwolił mi wziąć urlopu, pracowałam więc cały czas, aż do października. Twierdził, że woli mieć mnie na oku. Mówił to jak oficer marynarki, przyjmujący mata na służbę. Powinien był zostać w marynarce, myślałam sobie, nadawał się do tego, i żałowałam, że tak się nie stało.

Jednak trzeba przyznać, że robił wszystko, by dowieść mi swych uczuć. Niewielu jest mężczyzn, którzy zrobiliby to, co on, a dowiedziawszy się o kobiecie tego, czego on się dowiedział, poprosiliby ją o rękę. Przeciętny mężczyzna co najwyżej zaproponowałby mi mieszkanie w Londynie, do którego mógłby wpadać, kiedy by tylko zechciał. Ja zaś siedziałabym tam przestraszona, że jak będę się stawiać, naśle na mnie policję. Zastanawiałam się, dlaczego tego nie zaproponował. Terry natychmiast by tak zrobił. Byłby głupcem, gdyby najpierw nie spróbował tego manewru, a dopiero potem uciekał się do małżeństwa, widząc, że pierwsze rozwiązanie nie wchodzi w grę.

Mimo to, od czasu do czasu, kiedy już myślałam, że jednak jest naiwny jak dziecko, okazywało się nagle, że jest o krok przede mną, i to złościło mnie najbardziej. Umiałam poradzić sobie z mężczyzną, który był kompletnym osłem. Ale Marka nigdy nie mogłam być pewna. Nienawidziłam tego. To było podłe, że nie powiedział mi, jak mnie znalazł. Zastanawiałam się, czym jeszcze mnie zaskoczy.

W październiku powiedział, że chce, żebym poznała jego matkę. Zgodziłam się, bo co innego mogłam zrobić. Przyjechał po mnie w niedzielne popołudnie i wyruszyliśmy do Londynu. A kiedy jechaliśmy przez Regens Park, zakomunikował mi, że uważa, iż powinniśmy się pobrać w listopadzie.

Serce skoczyło mi do gardła.

— Mark, ty chyba zwariowałeś! Nawet nie jesteśmy oficjalnie zaręczeni!

— To jakieś przesady — powiedział tym swoim rzeczowym tonem. — Moja matka już wie. To chyba wystarczy, prawda?

— Ale muszę... Muszę kupić sukienkę.

— Dobrze, kup sobie to, na co masz ochotę. Złóż wypowiedzenie w przyszłym tygodniu, odejdz z pracy pod koniec miesiąca, i będziesz miała dwa tygodnie na przygotowania.

— Naprawdę jesteś pewien? — spytałam. — Będziesz zadowolony, poślubiając złodziejkę i oszustkę?

— Jestem zadowolony z tego, że cię kocham. Zresztą, każdy w pewnym stopniu był kiedyś złodziejem i oszustem. To tylko kwestia kalibru.

— Tak, ale... Pomyśl. Znamy się zaledwie miesiąc czy dwa. To trochę za krótko.

— Znamy się od siedmiu miesięcy. Chcesz powiedzieć, że nie jesteś jeszcze pewna?

— O nie, nie chodzi o to — odpowiedziałam pełna niepokoju.

— Jestem w tobie zakochany od dnia, kiedy przyszłaś do naszej firmy, więc nie widzę powodu, żeby czekać.

— Chyba nie od mojego spotkania w sprawie pracy?

— Właśnie tak. Zanim przyszłaś, Sam Ward i ja uzgodniliśmy, że zatrudnimy dziewczynę, która była przed tobą. Zamierzał ci to powiedzieć, ale go powstrzymałem. Obstawiał przy swoim, ale jakoś go przekonałem.

— Tak jak... Udaje ci się przekonać większość ludzi.

— Namówiłem go także, by wysłał cię do mnie z programem tego dnia, kiedy była burza. Musiałaś się chyba zorientować.

— Nie, dlaczego miałabym się zorientować?

— Cóż, nie zatrudniamy kasjerek w roh gońców, nawet jeśli brakuje nam personelu.

Przełknęłam ślinę.

— Rozumiem, że spotkanie na wystawie róż też nie było przypadkowe?

— Nie.

— To musiał być dla ciebie niezły szok, kiedy zorientowałaś się, że zniknęłam.

— Tak, istotnie.

— Co zrobiłaś, jak skończyłaś przygotowywać koperty? Zmarszczył czoło, udając, że nie rozumie pytania.

— Zacząłem cię szukać.

— Wiedziałaś gdzie?

— Nie.

— Więc?

— Powiem ci, jak pojedziemy na miesiąc miodowy.

Panią Rutland wyobrażałam sobie jako wysoką, dumną kobietę z siwymi włosami, jak na tych zdjęciach w kolorowych czasopismach. Okazała się niską, korpulentną, pogodną starszą panią w okularach. Miała urocze małe dłonie i stopy. Chyba nie była bardzo piękna jako młoda kobieta, ale widać było, że miała wcześniej smukłą figurę i że dopiero z wiekiem nabrała ciała. Miała taką samą karnację jak Mark, oliwkową cerę, ciemnobrązowe oczy i gęste, ciemne włosy.

Nie wiem jak ona, ale ja się czułam podczas tej wizyty jak kot zamknięty w klatce, udający niewinnego kanarka.

Ściskając jej dłoń i uśmiechając się do niej, zastanawiałam się, co by pomyślała, gdyby wiedziała, że kocham jej syna tak, jak można kochać więziennego strażnika.

Muszę jednak przyznać, że obie przebrnęłyśmy przez to spotkanie całkiem nieźle. Nie była ani zbyt protekcyjna, ani zakłopotana, i w pewnym sensie polubiłam ją bardziej niż Marka. Chociaż może wynikało to z tego, że nie było między nami żadnej walki. Rozmawiała ze mną tak, jakby знаła mnie przez pół życia, a ja odpowiadałam, uśmiechałam się, patrzyłam na nią, rozglądając się po mieszkaniu, które było po prostu piękne. Nie trzeba być znawcą mebli, by docenić kolor mahoni, wdzięczne oparcia i smukłe nogi krzesel, owalny stolik i sofy w stylu regencji.

Podczas podwieczorku rozmawialiśmy o jej rodzinie, a ona taktownie nie spytała o moją — przypuszczam, że Mark ją uprzedził — i bardzo to było miłe. Myślę, że gdybym pojawiła się w tym miejscu w innych okolicznościach, rozkoszowałabym się nim. Było tu wszystko, co kupiłabym sobie, gdybym miała pieniądze. Mieszkanie było w samym centrum Londynu, ale mimo to było w nim cicho, pokoje były wysokie, z dużymi oknami wychodzącymi na mały skwerek pokryty teraz jesiennymi liśćmi. Piliśmy herbatę z filiżanek tak cienkich, że wewnątrz przeświecał zarys palców, a Mark przyglądał się nam mimochodem. Po podwieczorku wstał i przechadzał się po pokoju, podczas gdy my rozmawialiśmy. Spojrzałam na jego twarz w momencie, kiedy podszedł do matki, by zapalić jej papierosa, i pomyślałam sobie: mój Boże, on jest szczęśliwy. O mało co nie wstałam i nie wybiegłam.

Jednak w życiu liczy się przede wszystkim nasz własny interes, w końcu to Mark mnie tutaj przywłókł, sama się tu nie pchałam, więc jeśli to wszystko się wyda i on na tym ucierpi, to wraz z nim ja również. Ale że mimo wszystko było to lepsze niż więzienie, więc jakoś wytrzymałam. • Zresztą miałam jeszcze trzy tygodnie.

Myślałam o Foriu i o tym, jak tęskni za mną na farmie, czekając na mój dotyk. Myślałam o nim zawsze, kiedy miałam kłopoty.

Gdy zegnaliśmy się, pierwsza poszłam do samochodu, wsiadłam i czekałam, aż Mark skończy rozmawiać z matką. Po chwili wsiadł i odjechaliśmy.

— Nie jest taka straszna, jak się spodziewałam — powiedziałam do niego.

— Ona w ogóle nie jest straszna. Obserwowałam was i myślę, że dobrze się rozumiecie.

— Wydaje mi się, że powinnyśmy, Mark...

Miałam na myśli to, że w innych okolicznościach na pewno dobrze byśmy się zrozumiały.

— Co ona robi ze swoim czasem? — spytałam po chwili.

— Gdy umarł mój ojciec, sprzedała dom na wsi, bo chciała zatrzymać tylko najbardziej potrzebne rzeczy. Zajmuje się działalnością dobroczynną i zasiada w różnych komitetach.

— Wydawało mi się, że ma bardzo dużo rzeczy. O wiele więcej niż kiedykolwiek miała moja matka.

— Hm, na tak małej powierzchni to owszem, dużo. Mój ojciec był wielkim kolekcjonerem, a ona zatrzymała najcenniejsze eksponaty.

— Nie uważasz, że ją oszukujesz, przywożąc mnie tutaj i przedstawiając jak... jak normalną osobę?

— A ty nie jesteś normalną osobą?

— Nie.

— Marnie, cały czas się obwiniasz. Daj odpocząć swojemu sumieniu.

— Sądzę, że powinieneś jej o mnie powiedzieć, zanim się pobierzemy.

— To już moja sprawa.

Zastanawiałam się, czy nie powinnam sama odwiedzić pani Rutland i opowieścią o sobie spowodować, by nie dopuściła do ślubu. Ale to było zbyt ryzykowne. Mogła mieć poczucie sprawiedliwości społecznej.

— O czym myślisz? — spytał Mark.

— Myślę o tym, co ona czuje, kiedy tak szybko przedstawiasz jej kolejną kandydatkę na żonę.

— Główny problem każdej wdowy to to, że nie może zostać żoną swego syna.

Spojrzałam na niego i nagle zrozumiałam, że on patrzył znacznie głębiej niż ja. Z jakiegoś powodu jego słowa mnie uderzyły.

— Nigdy nie opowiadałeś mi o Estelle.

— A co chciałabyś wiedzieć?

— Musiała być zupełnie inna niż ja.

— Istotnie, była inna.

— Kochałeś ją?

— Tak.

— Jeśli ją kochałeś, to czy przestałeś ją teraz kochać? Jeśli tak, dlaczego teraz kochasz mnie? Jak możesz być tak zmienny?

— Nie jestem raczej niestały...

— Potrafisz kochać dwie kobiety jednocześnie?

— Tak. Na dwa różne sposoby. Nawet jeśli bardzo się starasz, nie możesz kochać wspomnień o kimś tak, jak żywą osobę. Próbowałem... — Urwał.

— Tak?

103

— Byłaś pierwszą osobą od półtora roku, która mnie zauroczyła. Wiedziałem, że żyjąc tak, jak żyłem, mogę dość szybko stać się ofiarą miopii\*...

— Co to znaczy?

— W tym przypadku znaczy to stać się mało wybrednym.. — Przesunął palce na kierownicy. — Czasami mi się wydaje, że nasze uczucia i motywy działania są jak zestaw chińskich pudełek, jedno w drugim, i nie wiadomo, które jest to najmniejsze. Przynajmniej tak to jest ze mną. Więc na początku starałem się zachować dystans.

— I udało ci się?

— Obawiam się, że nie. Wkrótce nie mogłem uwolnić się od myśli, że nie chcę żadnej innej kobiety, pragnę tylko ciebie.

Powiedział to tak cichym głosem, że poczułam się wzruszona. Może ta teoria z chińskimi pudełkami pasowała także do mnie, bo jednocześnie schlebiali mi, że tak zwariował na moim punkcie, zarazem mocno go nienawidziłam, a oprócz tego było mi go żal. Jedyne, czego byłam pewna, to tego, że jeśli za niego wyjdę, to rozpęta się najgorsze piekło na ziemi dla nas obojga; i na samą myśl o tym robiło mi się słabo.

Po jakimś czasie nabrał do mnie trochę zaufania, więc gdy powiedziałam, że chciałabym pojechać do Plymouth spotkać się z adwokatem, który zajmuje się spadkiem po Luy Nye, zgodził się bez wahania. Przygotowałam już historyjkę pełną szczegółów, wyjaśniającą powody wyjazdu, ale nie było to potrzebne i poczułam się zawiedziona, że nie mogłam jej użyć. Miałam wrażenie, że teraz, kiedy przedstawiłam mu już jakieś dowody, starał się mnie nie wypytywać. Wiecie, taki gest miłości i zaufania.

Mimo to nie pojechałam prosto do Torquay. Najpierw wyruszyłam do Plymouth, potem z powrotem do Newton Abbot, po czym do Kingswear. Gdy szłam Cuthbert Avenue, mogłam być pewna, że nikt mnie nie śledzi.

Odwiedzałam je po raz pierwszy od momentu przeprowadzki, więc Lucy Nye, moja *nieżyjąca* ciotka, stała na stopniach, by ułatwić mi znalezienie domu.

Przez ostatnie dwa tygodnie łamałam sobie głowę nad tym, co powiedzieć mamie. Oczywiście, mogłam jej nic nie mówić — albo przedstawić wersję ocenioną, Ewangelię według świętego Marka w wersji Marnie — jeśli można uznać taki dowcip za zabawny. Mogłam jej też powiedzieć wszystko, ale to od samego początku nie wchodziło w grę.

\* miopia — krótkowzroczność.

Nie chciałam spędzić całego życia jako sekretarka pana Pembertona. I tak już zaczynał przeszkadzać. Jeśli powiedziałabym jej teraz, że wychodzę za mąż za kogoś, kogo właśnie poznałam, pana Rutlanda, właściciela drukarni, chociaż nie tak bogatego jak pan Pemberton, mogła to jako tako przyjąć.

Albo nie. Z mamą nigdy nic nie było wiadomo. Poza tym w tej sytuacji mogłaby chcieć poznać Marka. A do tego nie mogło nigdy dojść, ponieważ gdyby się spotkali, nawet jeśli Mark byłby na tyle delikatny, by nie opowiedzieć jej, jak to ukradłam z jego firmy pieniądze, mama z całą pewnością opowiedziałaby mu, jaką to byłam dobrą córką, ile pieniędzy jej dawałam przez ostatnie trzy lata, na co on zacząłby zadawać mi pytania, i zaraz by się oboje domyślili, co zrobiłam w Manchesterze, Birmingham, Newcastle, itd.

Zastanawiałam się, czy mogę podjąć ryzyko i powiedzieć jej o nim, nie narażając się jednocześnie na to, że kiedykolwiek się spotkają.

Gdy weszłam do domu, mama drzemała w saloniku. Wydało mi się, że śpiąca, wygląda młodziej. Po przebudzeniu przez chwilę nie mogła się zorientować, gdzie jest. Po chwili zwróciła się do mnie:

— Wiesz, poprosiłam Lucy, by na ciebie wyglądała. Nie czekałyśmy z podwieczorkiem, ale gotuje się właśnie kawałek pysznej szynki, zawsze dodaje liść laurowy, nadaje jej właściwy smak. Lucy, zamknij drzwi, w tym domu jest zimniej niż w poprzednim, ma więcej ścian szczytowych.

To było typowe dla mamy — nawet jeśli nie widziała cię pół roku, rozpoczynała rozmowę, jakbyś właśnie wpadła z sąsiedzką wizytą. Najpierw pokazała mi dom. Był o niebo lepszy od starego, miał salonik z tyłu, werandę i kuchnię, trzy sypialnie pomalowane na beżowo z nowymi zasłonkami oraz osobną toaletę, poza tym strych, z którego rozciągał się widok na zatokę.

Naprawdę był ładny, ale choć się starałam, nie mogłam go przestać porównywać z mieszkaniem pani Rutland, z lampami, obrazami, wnękami, tym wszystkim w piekielnie dobrym guście. Te dwa mieszkania były jak z różnych planet. Podobnie jak te dwie kobiety. Z nich dwóch moja matka wyglądała lepiej, ale to było jak porównywanie Foria do konia pociągowego. To nie było w porządku. To po prostu nie było sprawiedliwe. Ale nie mogłam nic zrobić ponad to, co robiłam od kilku lat, co zdaje się należało uznać za przeszłość.

— Podoba ci się ta czarna sukienka? — spytała matka. — Kupiłam na wyprzedaży, gotowy model, przeceniona na cztery gwinee, szyta jak na

mnie, co? Schudłaś, Marnie. Chyba kiepsko jadasz. Podobają mi się twoje włosy, są w lepszym stylu niż ostatnim razem.

— Wszystko w porządku — odparłam. — Mam się dobrze. Rozmawialiśmy przez chwilę, gdy nagle odpowiedziały mi na wszystkie pytania, które chciałam jej zadać,

— W zeszłym tygodniu była tu twoja kuzynka Doreen — pierwszy raz od dwóch lat — powiedziałam jej, że równie dobrze mogłabym dla niej nie istnieć. A chyba lepiej, żeby co jakiś czas o mnie pomyślała, skoro jej matka nie żyje, a ojciec jest w Hongkongu. Ale nic z tych rzeczy! Jest siostrą od czegoś tam, lepiej zarabia, i wiesz, z czym do mnie przyszła? Powiadomić, że bierze ślub. I to z lekarzem, co to wszystkich leczy. Musiałam udawać, oczywiście, tak, tak, no wyobraź to sobie, ale w końcu nie wytrzymałam i powiedziałam jej: „Marnie nawet nie myśli o ślubie ani o mężczyznach”. I zaraz dodałam: „Marnie to najlepsza córka na świecie”, i powiedziałam jej, że zarabia więcej w jeden miesiąc niż niektórzy przez cały rok. I wiesz, co ona na to? Że ma nadzieję, że to uczciwie zarobione pieniądze! O mało co nie dałam jej w twarz. Powiedziałam: nie wykopuj starych brudów sprzed trzynastu lat, Marnie jest czysta jak kryształ. Może i Bóg ciężko mnie doświadczył, ale dał mi też prawdziwy skarb, moją córkę!

— Istny klejnot — odparłam. — Prosto od Woolwortha.

— Nie, Marnie, to skarb największy na świecie. Jeśli w ogóle jakiś istnieje, to ty nim jesteś.

Otarła kącik prawego oka kawałkiem koronki. Nigdy nie widziałam, żeby mama płakała inaczej niż z kącika prawego oka. — Jak tam twój reumatyzm? — spytałam, aby zmienić temat.

— Cóż, mogłoby być lepiej. Pani Beardmore spod dwunastki poleciła mi kwaśne mleko. Mój Boże, powiedziałam jej, skoro mam wybierać mleko albo wykręcone palce, wolę to drugie. Pogoda oczywiście nie sprzyja, a kominek dymi. Jak się miewa pan Pemberton?

— Dobrze. Mamo...

Jej oczy patrzyły gdzieś w dal, ale nagle spojrzały na mnie bystro.

— O co chodzi?

— Powiedziałaś, że nigdy nie myślałam o małżeństwie. Cóż, może nie myślałam. Ale co byś powiedziała, gdybym kiedyś zmieniła zdanie?

Stałyśmy teraz na schodach prowadzących na strych. Na parterze Lucy Nye pobrzękiwała naczyniami, przygotowując kolację. Mama zapięła sweter.

— A co, musisz?

— Jak to, muszę?

— Wyjść za męża.

— Nie, ależ skąd! Dlaczego tak pomyślałaś?

— Powiedz mi, jeśli tak jest. Mów mi zaraz.

— Nie! — krzyknęłam.

— Niektóre kobiety mają tak jak pewnie ty, na początku chudną. Ja schudłam. Zawsze się tego bałam. Jesteś za bardzo atrakcyjna. Wielu mężczyzn musi się o ciebie starać.

— Nic im z tego nie przyjdzie — odparłam, wściekła na nią. — Zadałam ci tylko proste pytanie, oczekując prostej odpowiedzi. Kobiety wychodzą za męża. Zaskakujące, ale tak się dzieje. Nawet ty wyszłaś za męża, pamiętasz? Była zszokowana.

— Marnie, nie będziemy o tym rozmawiać!

— Dlaczego nie? — spytałam. — Mówisz tak, jakby zamążpójście to była jakaś hańba. Jeśli tak myślałaś, zastanawiam się, jak w ogóle do tego doszło, że pojawiłam się na świecie...

Nie mówiła nic, gdy schodziłyśmy ze schodów. Ale na dole zauważyłam, że trzęsie się jej dłoń oparta na lasce.

— Nie miałam o tym zielonego pojęcia — powiedziała. — Moim obowiązkiem było się podporządkować.

W ponurej ciszy schodziłyśmy na dół. Z kuchni dolatywało skwierczenie frytek. Matka weszła pierwsza do saloniku.

— Ten nowy telewizor coś szwankuje — powiedziała zmienionym głosem i widziałam, że cała się trzęsie. — Cały czas śnieży. Gdy kręcę gałką, obraz się kręci jak na losowaniu toto lotka. Wczoraj wieczorem pokazywali ślub w jednym z tych filmów. To jedna wielka lipa. Mówię do Lucy, całe to chichotanie, krzyki i śmiech, to nie małżeństwo, małżeństwo to jest to, co pod kołdrą, obmacywanie i stękanie, wcale wtedy nie jest do śmiechu. Nie zawiedziesz mnie, Marnie?

— Nie zawiodę cię? — krzyknęłam, bo naprawdę byłam wściekła, choć wciąż trzymałam jej trzęsącą się rękę. — O czym ty mówisz? Kto tu miałby cię zawieść?

— Ty, ty mówiłaś. Nawet w żartach tego nie mów. Marnie, liczę na ciebie, jesteś wszystkim, co mam. Jesteś wszystkim, co kiedykolwiek miałam.

— Dobrze już, dobrze, nie denerwuj się tak. Zadałam tylko zwykłe pytanie. Nie mogę ci już zadać pytania, żebyś nie uderzała w jakieś dramatyczne tony?

— Jeśli zadałaś pytanie, to znaczy, że o tym myślałaś.

— Daj mi spokój, przestań gadać głupstwa — pogłaskałam ją po twarzy. — Mieszkasz tu sama z Lucy i zaczynasz mieć zbyt bujną wyobraźnię.

Podeszłam do telewizora, włączyłam go i czekałam, aż się rozgrzeje.

— Posiedź tu do kolacji. A jeśli kiedykolwiek będę chciała wyjść za mąż, to poderwę milionera, który będzie w stanie utrzymać nas obie!

Matka usiadła w swoim ulubionym fotelu. Wyglądała już lepiej. Gdy na ekranie telewizora pojawił się obraz, powiedziała:

— Nie żartuj z tego, Marnie. Wolę, żeby zostało tak, jak jest. Nie mogę sobie wyobrazić mojej dziewczynki... w takiej sytuacji.

Następnego dnia w pociągu do Londynu zaczęłam się nad tym wszystkim zastanawiać. Byłoby sto razy lepiej, gdybym mogła zaryzykować i po prostu powiedzieć prawdę im obojgu. Przypuszczam, że w oczach Marka wyglądałoby to nawet lepiej — ja jako jedyna podpora starej wdowy, kradnąca dla niej pieniądze.

W pewnym sensie całe życie kradłam dla niej, choć może było to zbyt proste wytłumaczenie. Kradłam też dla siebie. Wszystko to było strasznie poplątane.

W pociągu myślałam o wujku Stephenie, który płacił za moje lekcje wymowy i rachunkowości, i o moich pierwszych posadach, kiedy jeszcze byłam w miarę uczciwa, choć, szczerze mówiąc, w ogóle się to nie opłacało. W sklepie z artykułami elektrycznymi nawet nie dostawaliśmy darmowych żarówek do domu. Potem praca w Bristolu, dwa funty tygodniowo więcej i dobre perspektywy na przyszłość, ale jak tylko zaczęłam, mama zachorowała na owrzodzenie żylakowe. Najpierw dostałam skrawek brudnego papieru, na którym Lucy napisała, że mama jest w szpitalu i chyba będzie miała operację. Czekałam na dalsze wiadomości, ale po tygodniu nie mogłam już dłużej czekać, wzięłam dwa dni wolnego i pojechałam ją odwiedzić.

Leżała w szpitalu South Western General, panowała epidemia grypy, a ją umieścili w korytarzu długim jak peron kolejowy, tuż koło drzwi. Właśnie też dostała grypy i była blada jak śmierć. Miałam jeden dzień na wizytę i chciałam się dowiedzieć, co było nie tak z jej zdrowiem, ale akurat nie było nikogo, kto mógłby mnie o tym poinformować. Matka powiedziała mi, że w ciągu ostatnich trzech tygodni wcale się nią nie zajmowano, a ona czuła się coraz gorzej, na korytarzu był straszny przeciąg, do tego drzwi koło niej trzaskały sto dwadzieścia razy dziennie, poczynając od piątej rano, i miała wrażenie, że pod opieką pielęgniarek mogłaby równie dobrze umrzeć, tak się o nią troszczyły.

Wymieniłam kilka słów z nieprzyjemną siostrą, potem porozmawiałam z matką przełożoną, która wyglądała tak, jakby właśnie co przybyła przed boskie oblicze. Wtedy straciłam panowanie nad sobą i zażądałam rozmowy z chirurgiem, z tego wywiązała się awantura, bo był właśnie zajęty, ale w końcu udało mi się do niego dostać. Powiedziałam mu, co myślę o jego szpitalu i o tym, jak traktują tu moją matkę, a on ledwo wykazywał skupienie, co doprowadzało mnie do furii. Patrząc wstecz, widzę teraz, jak mnie wtedy widział. Nie wiedziałam jeszcze, jak się ubierać, ani jak się wysłowić, nawet będąc zdenerwowaną. Pamiętam, że miałam na sobie różową sukienkę, która była trochę za krótka, i tanie pończochy, sięgające zaledwie za kolano, i nie pasujące do reszty stroju białe buty, na włosach miałam trwałą, w rękę małą plastikową torebkę. Pewnie myślał, że wyszłam właśnie z baru szybkiej obsługi albo z salonu gier, o ile nie jestem prostytutką.

Gdy urwałam, by wziąć oddech, rzekł do mnie:

— Rozumiem, że niepokoi się pani, panno — eee — Elton, ale mogę panią zapewnić, że pani matce na razie nie grozi śmierć. Być może nie wie pani, że owrzodzenie spowodowane jest przepracowaniem, zbyt długim stanieniem i ogólnym zaniedbaniem. Skóra jest w fatalnym stanie, pęka i powstaje wrzód. Nie możemy operować żyłaków, dopóki nie wyleczymy wrzodu. Pobyt pani matki w szpitalu, kiedy to, jak pani podejrzewa, nie opiekowaliśmy się nią, był konieczny, by mogła odpocząć, a jej wrzód zagoił się, dzięki temu, że dostawała odpowiednie wyżywienie. — Wspaniały to odpoczynek, kiedy nie może spać, bo drzwi ciągle koło niej trzaskają — odpowiedziałam. — Poza tym mówiła mi, że jedzenie jest okropne.

Nareszcie udało mi się sprawić, że stracił swą wyuczoną cierpliwość.

— Młoda damo — powiedział — nie wiem, czy pani wie, że w mieście panuje straszna epidemia grypy. Nie mamy wystarczającej ilości łóżek dla wszystkich chorych z różnymi dolegliwościami, a większość personelu dwoi się i troi, by podolać obowiązkowi. W idealnym szpitalu pani matka miałaby swój pokój, ale na razie się na to nie zanoszą, i nie będzie tak za mojego i za pani życia. Robimy więc co w naszej mocy, dysponując tym, co mamy, i w takich, a nie innych warunkach. Postaram się, żeby pani matkę przeniesiono z dala od drzwi. Mam nadzieję, że będę mógł ją zoperować w następnym tygodniu. Im szybciej zabierze ją pani do domu, tym lepiej dla nas. Ale — ona pracuje w sklepie, prawda? — ostrzegam panią, że w przyszłości powinna mieć pracę siedzącą. Jeśli nadal będzie stale na no-

gach, wróci tu za trzy miesiące w takim samym stanie lub gorszym. I choć na pewno nie grozi jej śmierć, to na pewno grozi jej trwałe kalectwo. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę wracać do obowiązków.

Poszłam do mamy, czując, że zrobiłam, co mogłam, ale w środku ciągle się we mnie gotowało.

— Nie martw się — pocieszyłam ją. — Przeniosą cię z dala od drzwi. Obgadałam to... Załatwiłam to z lekarzem.

Muszą cię tu trochę potrzymać, aż zagoi się rana, ale wszystko będzie dobrze, obiecuję ci.

Siedziałam na jej łóżku, myśląc o tym, co na końcu powiedział mi lekarz. Właśnie wtedy podeszła do nas pielęgniarka.

— Proszę już iść — rzekła. — To właściwie nie jest dzień wizyt. Zrobiliśmy wyjątek, wpuszczając panią.

— Dziękuję — odparłam, dodając do siebie: za nic. — Nie martw się — powiedziałam do matki. — Niedługo cię stąd zabierzemy. Mówiłam ci, że obiecano mi wspaniałą pracę?

— Tak? Gdzie?

— W Swansea. Nie znam jeszcze szczegółów. Słyszałam o tym w zeszłym tygodniu, ale myślę, że ją dostanę. Jeśli dostanę...

— To uczciwa praca?

— Oczywiście. Za kogo ty mnie masz? To posada sekretarki. Mogę całkiem nieźle zarabiać. Dzięki temu nie musiałabyś wracać od razu do pracy po powrocie ze szpitala.

Kiedy wróciłam do Bristolu, złożyłam wymówienie w Deloitte, Plen-der & Griffiths i przeniosłam się do Swansea.

Podjęłam pracę w sklepie pod nazwiskiem Maud Green. Trzy miesiące później zwałam z trzystu dziewięćdziesięcioma funtami. To był mój pierwszy łup i strasznie się denerwowałam. .

W tym czasie byłam całkowicie pewna, że robię to wyłącznie dla matki. Teraz wydaje mi się, że robiłam to głównie po to, by zaspokoić samą siebie.

## Rozdział 9

No tak, zawsze mówiłam, że jesteś jedną wielką zagadką — powiedziała Dawn, skubiąc małą brodawkę na policzku.

— A od jak dawna to wszyst

ko trwa? Nie mów mi. To była miłość od pierwszego wejrzenia, co? Najpierw myślałam, że to Terry, pamiętasz, wtedy po przyjęciu. Jestem pewna, że był tobą zainteresowany. Ale ty oczywiście lepiej wybrałaś. Mark — pan Rutland, jak powinnam zacząć go teraz nazywać — to cudownie, moja droga, tak tylko między nami — Mark to klasa sama w sobie. Poważny, jeśli wiesz, co mam na myśli. Terry, jak jest, to dobrze, jak go nie ma — to też dobrze. Gdzie będziecie mieszkać, w Little Gaddesden? Będziemy tutaj za tobą tęsknić... Powiedz mi, czy brodawka rośnie? Jestem pewna, że jest większa niż w zeszłym roku. Oczywiście niektórzy uważają je za urocze... Zapraszacie wszystkich na ślub? A, tylko skromne przyjęcie. Och, wiem, jak się czujesz. Oboje zresztą bierzecie ślub po raz drugi. Szczęściara z ciebie, wiesz, dwóch facetów przed skończeniem dwudziestu czterech lat, a niektórym dziewczynom wieki zajmuje znalezienie choćby jednego.

Sam Ward powiedział:

— Cóż, pani Taylor, w tej sytuacji powinniśmy chyba — hmm — pani pogratulować. Z pani zdolnościami zostanie pani na pewno wspaniałą gospodynią. Oczywiście mam nadzieję, że będzie pani bardzo szczęśliwa. Zresztą jestem pewien, że tak będzie. Czy może mi pani pokazać zestawienie kosztów za papier Kromecote? Chcemy zobaczyć, jakie jest ryzyko utraty połytku.

Moja droga — powiedział Terry, pocierając dłoń o swoją zamszową kamizelkę. — Moja droga, tym razem naprawdę przesadziłaś.

— Przesadziłam? Z czym?

— Czy musiałaś wybrać akurat Marka? On nie jest w twoim guście.

— A kto jest w moim guście?

— Hmm, ktoś skomplikowany, pokręcony, ze skazą na duszy. Mark jest zbyt szczerzy i otwarty.

— Powiedziłaś mu to?

— Jestem pewien, że wie, co myślę. Nie ma powodu, bym naprzykrzał mu się z wyłuszczeniem szczegółów.

Oddychał przez nos, jak to czasem robił podczas gry w karty. Poza tym zachowywał się w sposób kompletnie zniewieściały, co było dziwne, ponieważ w innych momentach w ogóle taki nie był. Pomyślałam sobie, że nie zależy mu tak bardzo na mnie, ale chodzi mu o to, że Mark będzie miał to, czego jemu nie udało się zdobyć.

— A tak poza tym — dodał — jesteś tajemnicza, Mary, a tajemnicze kobiety to zawsze wyzwanie. Dawn mówiła mi coś ostatnio na twój temat.

— Co mówiła?

— Nieistotne, moja droga. Nic, co przyniosłoby ci ujmę w moich oczach, zapewniam cię. Masz za sobą jakąś przeszłość, ale jaką, nie mam pojęcia. Oczywiście, jestem pewien, że nie jesteś, jak to mówią, kobietą z przeszłością...

— Szczerze mówiąc, Terry — odparłam — to mówienie zagadkami wcale mnie nie bawi. Wątpię, czy kogokolwiek to bawi. Jeśli chcesz coś powiedzieć, po prostu to powiedz.

— Nie, nie, moja droga. Nie myślę nic złego na twój temat. Wręcz przeciwnie, mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. W imieniu Hol-brooków mam przyjemność powitać cię w naszej rodzinie.

— Bardzo ci dziękuję w imieniu Rutlandów.

— Wesele będzie huczne?

— Nie. Będzie ciche i skromne.

Bardzo ciche. Tak ciche, jakby niemalże było tajemnicą. Tylko jego matka i dwóch świadków. Zbliżało się nieuchronnie i nie było żadnej ucieczki. Skradało się do mnie jak kot do myszy. Gdy od ślubu dzieliło mnie dziesięć dni, jeszcze się nie przejmowałam. Potem było tylko siedem, potem cztery, aż wreszcie miało się to stać jutro. Powinnam była uciec w nocy, zaryzykować wszystko i uciec. Ale nie uciekłam. Zostałam i poszłam do urzędu, gdzie rudowłosa i szerokoszczęki mężczyzna, w niebieskim lśniącem garniturze, powiedział coś do nas, my coś odpowiedzieliśmy, coś zostało zapisane na kartce papieru, a my się pod tym podpisaliśmy. Podpisałam się moim prawdziwym nazwiskiem, co mnie kompletnie przeraziło. Nie przejmowałabym się tak bardzo, gdyby chodziło o Mary Taylor albo Mollie Jeffrey. Niestety, Marnie Elmer nie była kolejną postacią z mojego fikcyjnego życia. Teraz też po raz pierwszy oficjalnie zmieniłam nazwisko. Odtąd nazywałam się Margaret Rutland. Mark pocałował mnie w usta wobec swojej matki, rudego urzędnika i dwóch świadków, a ja się zarumieniłam, co Mark wziął za dobry objaw, ja zaś odebrałam jako sygnał nadchodzącego zagrożenia.

Potem pojechaliśmy do jego matki, gdzie wypiliśmy koktajle, które nie za bardzo mi smakowały. Na szczęście nie mogliśmy zostać długo, bo o trzeciej mieliśmy samolot na Majorkę. Gdy tak staliśmy i rozmawialiśmy, starając się zachowywać naturalnie, żeby nie zwariować, zaczęłam rozmyślać o Foriu.

Gdy już mieliśmy wyjeżdżać, mama Marka wzięła mnie na stronę i powiedziała:

— Marnie, nie powiem ci: spraw, żeby Mark był szczęśliwy, ale: ty bądź szczęśliwa. Myślę, że stać cię na dużo więcej, niż ci się wydaje.

Spojrzałam na nią i uśmiechnęłam się półgębkiem.

— W przyszłym miesiącu minie dwadzieścia osiem lat od narodzin Marka. Czułam wtedy, że mam wszystko — i miałam to! Męża, ośmioletniego syna, matkę i ojca, i malutkiego synka. Czułam, że jestem pępkiem świata. Teraz wszyscy odeszli, prócz Marka. Przypuszczam, że dla ciebie to ogromny kawał czasu, ale mnie, patrząc wstecz, wcale nie wydaje się on tak długi. Czas tak szybko płynie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam.

— Życie przecieka nam przez palce. Korzystaj z niego, jak tylko możesz najlepiej. Chwytaj je i rozkoszuj się nim, kochanie. No, do widzenia...

Zatrzymaliśmy się w hotelu w „Cas Catala”, jakieś sześć kilometrów od Palma de Majorca. Przy kolacji zapytałam Marka, jak udało mu się mnie odnaleźć.

— Musimy dziś o tym rozmawiać?

— Obiecałeś.

— Tak, w czasie naszego miodowego miesiąca. Nie możesz się już doczekać?

— Nie, ale jestem ciekawa. Myślałam, że byłam sprytna.

— Bo byłaś.

Podrapał się po policzku. Wyglądał dziś całkiem nieźle, jak zawsze, gdy miał na sobie sportowe ubranie. Gdyby nie kształt kości policzkowych, można byłoby go wziąć za Hiszpana.

— Ta kradzież była przemyślana w najdrobniejszych szczegółach prawda? '

— Mówiłam ci już, jak było. Ale chcę się dowiedzieć, w jaki sposób mnie odnalazłeś.

Zupełnie zignorował moją prośbę.

— Wiesz, jak się czułem w piątek rano? Byłem w tobie zakochany, a tu nagle okazało się, że zrobiłaś ze mnie kompletnego durnia. Byłem tak zdenerwowany, że prawie nie byłem w stanie myśleć, wściekłem się na całego. Mógłbym cię udusić. — Tak właśnie wyglądałeś, jak mnie odnalazłeś.

— Mogłem to zrobić wcześniej, ale byłaś poza moim zasięgiem. Jedyne, co się dla mnie liczyło, to znaleźć cię, gdziekolwiek byłaś; Postanowi

łem zatuszować kradzież i jednocześnie zacząć cię szukać, nawet jeśli miałyby mi to zająć dużo czasu.

— Nie wiedziałeś wtedy, gdzie mogę być?

— Nie miałem zielonego pojęcia, gdzie jesteś. Cały czas, kiedy wkładałem pieniądze do kopert, myślałem nad tym, gdzie cię mogę znaleźć. To, co jest w tym wszystkim najbardziej zaskakujące, to fakt, że pomyliłem się tylko dwa razy w wypłatach. Dowodzi to, że umysł może pracować nad dwoma różnymi sprawami jednocześnie...

— Tak, i co było dalej?

Skrzywił się. — Chyba zachowam ten sekret jeszcze dzień lub dwa. Nie możesz po prostu siedzieć i podziwiać widoku?

— Nie. Chcę wiedzieć, Mark! Później będę podziwiać widoki.

— Ale to ci może popsuć przyjemność. To, że cię znalazłem, zawdzięczam głównie szczęściu.

Nalał resztkę wina do kieliszka i wypił ją.

— Zadziwiające, rioja\* smakuje tu znacznie lepiej niż w Anglii.

— To był zbieg okoliczności?

— Pomyślałem sobie, czym ona się naprawdę interesowała? Na pewno nie mną. Ale może naprawdę interesowała się końmi? Kolejna fikcja czy prawda, z tą całą jej wiedzą i entuzjazmem? Nie, to nie mogła być lipa. Pomyślałem więc o wyścigach. — A, rozumiem.

— Pomyślałem sobie, co ona zrobi z pieniędzmi? Pewnie pojedzie na wyścigi i postawi je na jakiegoś konia. Jakie są wyścigi w następnym tygodniu, za tydzień i za dwa tygodnie? Jeśli będę na każdym wyścigach w sobotę, w końcu ją znajdę, nawet jeśli miałyby mi to zająć rok.

— Ale zajęło ci tylko jeden dzień.

— Dwa.

Zaproponował mi papierosa. Pokręciłam głową.

— Przypomniałem sobie dokładnie wszystko, co mówiłaś podczas naszych spotkań. A jeśli się jest zakochanym w kobiecie, jak ja byłem w tobie, nie jest to wcale trudne, bo i tak sporo się o tym myśli, więc wszystko dobrze się pamięta. Nagle przypomniałem sobie coś, co powiedziałaś w Newmarket. Poradziłaś mi, żebym postawił na szarą klacz o imieniu Telepathy, i powiedziałaś, że widziałaś ją na padoku, jak miała rok.

— O matko — jęknęłam.

\* rioja (czyt. rioha) — czerwone wino hiszpańskie.

— Tak... Zresztą to był jedyny ślad, jaki miałem. Sprawdziłem Telepathy w przewodniku Ruffa i okazało się, że należała do majora Marstona z Newbury, ale była hodowana przez Arthura Fitzgibbona w Melton Magna koło Cirencester. W niedzielę rano zadzwoniłem do Marstona, który podał mi szczegóły, i pojechałem do Melton Magna. Niestety, Fitzgibbon przeprowadził się, więc niemal cały ranek zajęło mi odnalezienie go w Bath. Jednak nie był w stanie mi pomóc. Nie znał nikogo, kto by odpowiadał twojemu opisowi. Wróciłem więc do Melton Magna i dojechałem do Oak Leaf tuż przed zamknięciem, o drugiej. Saunders, właściciel gospody, też nie znał nikogo, kto by odpowiadał twojemu opisowi, zapytałem go więc, czy oprócz dawnej prywatnej farmy Fitzgibbona są tu jakieś stajnie, gdzie można wynająć konia. Podał mi trzy nazwy. Farma Garroda była trzecią z kolei, którą sprawdziłem.

— Och — ponownie ciężko westchnęłam.

— Gotów byłem już się poddać. Słońce zachodziło, czułem się zmęczony i oszukany.

Spojrzałam na niego.

— Zjawiłeś się jak spod ziemi.

— Jak twoje sumienie.

— Jak diabeł.

Zaśmiał się. Zapatrzyłam się w krajobraz, rozmyślając nad moim potknięciem. Siedzieliśmy na oszklonej małej werandzie, wychodzącej na niewielką zatoczkę. Światło księżyca odbijało się w wodzie, a małe łódeczki zakotwiczone w zatoce rozcinały jego blask na elementy niezwyklej układanki. Pewnie było to piękne. Ale ja myślałam jedynie o moim błędzie. Jak mogłam go popełnić? Gdybym bardziej uważała, nic z tego by się nie wydarzyło, a ja byłabym wolna i szczęśliwa. Spojrzałam na złotą obrączkę na moim palcu. Do tej pory byłam chora ze strachu, ale w tym momencie wstąpiła we mnie wściekłość.

— Być może byś mnie nie znalazł — powiedziałam. — Mogłeś mnie nigdy nie znaleźć. Co by się wtedy stało z twoimi pieniędzmi?

— Musiałbym pokryć stratę z własnej kieszeni, a całą historię dodać do mojego życiowego doświadczenia.

— Masz tyle pieniędzy?

— Nie. Ale czułem, że warto zaryzykować.

— Nie sądzę.

— A ja uważam, że tak.

— Nie, jestem pewna, że nie. Powinieneś był odebrać swoje pieniądze i pozwolić mi odejść...

Co ci jest, kochanie? — spytał później tego wieczoru. — Boisz się czegoś?  
— Tak. Nie mogę tego pokonać, Mark. Chyba umrę.  
— Nie wydaje się to prawdopodobne. Powiedz mi, o co chodzi. Nienawidzisz mnie?  
— Nienawidzę myśli o tym. Cała się trzęsę z obrzydzenia. Robi mi się niedobrze na samą myśl.  
Położył rękę na mojej gołej nodze tuż powyżej kolana. Ja szybko przykryłam nieosłoniętą część.  
— Dlaczego mnie tak odtrącasz? — spytał.  
— Nie odtrącam cię. Po prostu nie lubię twojego dotyku.  
— To nie to samo?  
— Niezupełnie.  
— Czy ty mnie kochasz, Marnie?  
— Nie lubię tego.  
— Czy ty przypadkiem nie walczysz z samą sobą?  
— Nie z samą sobą.  
— Akt fizyczny jest naturalnym dopełnieniem miłości. Tak to już jest.  
— Może dla niektórych.  
— Oczywiście, gdy nie ma uczuć, staje się zwykłym seksem. Ale bez seksu miłość pozostaje tylko uczuciem.  
Między mężczyzną a kobietą te dwa elementy łączą się w jedno.  
Wpatrywałam się w łukowato sklepiony kamienny sufit, który był dość niski w alkowie.  
— To takie upokarzające.  
— Dlaczego?  
— Nie wiem.  
— Podaj mi choć jeden powód.  
— To takie... zwierzęce.  
— Po części jesteśmy zwierzętami — odparł zniecierpliwiony. — Tego się nie da zmienić. Z chwilą gdy podejmiemy taką próbę, staniemy się bezradni jak dzieci. Tylko dzięki zaakceptowaniu naszego człowieczeństwa jesteśmy w stanie wznieść się ponad naszą zwierzęcość.  
— Ale...

— Oczywiście, wszystko można zdewaluować, to jest cena, jaką płacimy za posiadanie mózgu i inteligencji, ale jeśli tak robimy, to sami jesteśmy sobie winni. Równie dobrze możemy wszystko uwznioślić. Ten, kto nas stworzył, dał nam te dwie możliwości.

117

W kafejce na nabrzeżu ktoś grał na gitarze. Dla mnie brzmiało to jak z zaświatów. Staralam się opanować drzenie, bo wiedziałam, że jak tylko zacznę się trząść, zaraz to zauważy, a za żadne skarby nie chciałam się z tym zdradzić. Tak naprawdę nie trzęsłam się ze strachu, ale z nerwów. Nerwów, które udawało mi się trzymać na wodzy, gdy kradłam pieniądze. Moje mieszane uczucia wobec niego stały się jednoznaczne. Nie podobało mi się nic, czego był uosobieniem — męskiego ciała, męskiej dominacji, męskiej agresji, ukrytej za dobrymi manierami. Nienawidziłam go za to, że mnie poniżył, za to, że wszedł do mojego pokoju, gdy nie miałam nic na sobie, za to, że ciągle mnie dotykał, aż robiło mi się niedobrze i płonęłam ze wstydu za nas oboje.

Oczywiście, spodziewałam się tego wszystkiego. Wiedziałam to wszystko. Jeśli żyje się tak, jak ja żyłam, wie się o takich rzeczach. Ale to nie znaczy, że się tego pragnie. Przez cały wieczór starałam się patrzeć na to wszystko z dystansu, jakby nie przytrafiło się to mnie. Zupełnie, jakbym myślała na przykład o Mollie Jeffrey, która poszła do więzienia. Ale niestety, nie zawsze udaje nam się zrobić coś, czego pragniemy.

— Bardzo chciałbym wiedzieć, jak funkcjonuje twój umysł — odezwał się delikatnie.

— Mój umysł? Dlaczego?

— Za bardzo komplikuje wszystkie sprawy. Nigdy nie zmierza prosto do celu. Gmatwa wiele rzeczy i widzi wszystko na opak.

— Dlaczego tak mówisz?

— To dziwne nastawienie do seksu. Jeśli nie wynika z czegoś konkretnego, jest co najmniej staroświeckie.

— Nic na to nie poradzę.

— Jesteś bardzo piękną dziewczyną — wprost stworzoną do miłości. Jesteś jak pączek kwiatu, który mówi, że się nie otworzy, albo motyl, który nie chce wyjść z kokonu.

Spojrzałam na niego. Do tej pory myślałam, że jak przyjdzie co do czego i nie będzie można tego uniknąć, będę udawać, że mi się podoba. Ale teraz wiedziałam, że za nic w świecie mi się to nie uda. Nie odważyłam się jednak powiedzieć tego bez ogródek, a przynajmniej bardziej otwarcie niż do tej pory. Nie byłam go wystarczająco pewna.

— Naprawdę jest mi bardzo przykro, Mark — powiedziałam, ciężko wzdychając. — Może nie umiem tego dzisiaj jakoś wyrazić. Ale zapewniam cię, że to nie jest żaden błąd w moim rozumowaniu. To coś, czego się boję i co muszę... przetrwać. Daj mi trochę czasu.

Naprawdę łatwo dawał się zwieść.

— A to zupełnie inna sprawa — odpowiedział. — Może jesteś zmęczona i za bardzo podekscytowana. Być może zbyt dużo się dziś wydarzyło.

Sam podsuwał mi wymówki.

— W samolocie nie czułam się zbyt dobrze. Nie zapominaj, że to był mój pierwszy lot. I nie zapominaj, że to był mój pierwszy ślub. Naprawdę byłoby lepiej dla ciebie, gdybym była wdową.

— No cóż, wobec tego może jutro się nad tym zastanowimy.

Następnego dnia pogoda była ładna, choć trochę padało. Wynajęliśmy samochód i pojechaliśmy na drugi koniec wyspy, by zwiedzić jaskinie ze stalaktytami i stację hodowli pereł. Kupiłam parę kolczyków i kilka broszek.

Wieczorem poszliśmy do klubu nocnego, gdzie podziwialiśmy hiszpań-, skich tancerzy. Gdy najlepszą część pokazu mieliśmy już za sobą, zaczął mnie boleć brzuch, więc wróciliśmy taksówką do hotelu. Załatwiło to problem jednej nocy, ale wiedziałam, że ta wymówka nie wystarczy mi na długo. Następny dzień spędziliśmy w Palmie. Kupiliśmy karafkę i kieliszki w fabryce szkła, torebkę dla mnie, portfel i buty dla niego. Nawet mi się podobało, tak samo jak wspólny wypad z nim na wyścigi. Ta część była w porządku. Bawiłabym się tak samo dobrze, będąc sama. Gdy nadchodziła noc, byłam cała spięta, gotowa na kolejną kłótnię, ale ku mojemu zdziwieniu bardzo rzeczowo podszedł do tematu i nie próbował mnie dotknąć. Mieliśmy dwa pojedyncze łóżka i poza zakłopotaniem z powodu wspólnego pokoju, nie mogłam na nic narzekać. Tak samo było następnej nocy i jeszcze następnej. Byłam kompletnie zaskoczona.

W ciągu dnia zdarzało się, że mnie obserwował. Widać było, że stanowiłam dla niego zagadkę, którą nadaremnie starał się rozwiązać. Poza tym że wypoczywaliśmy bardzo intensywnie, był bardzo wyrozumiały.

Jestem wytrzymała jak koń, ale nawet mnie zmęczyły te ciągłe wycieczki i zwiedzanie. Mark może i był szczupły i blady, ale zdałam sobie sprawę, że jest równie delikatny jak koń, który zawsze wygrywa na krótkich dystansach. Być może starał się mnie zmęczyć.

Piątego dnia poleciliśmy na Ibizę, wypożyczyliśmy tam samochód i pojechaliśmy obejrzeć fiestę z okazji dnia jakiegoś świętego w jednej z malutkich wsi. Dziwna była to uroczystość, białe ściany kościoła odbijały słońce, a masy ubranych na czarno wieśniaków kłębiły się na placyku, jak rój pszczół. Koloru nadawała jedynie procesja świętych obrazów z pokłonami, przedzierająca się przez tłum, oraz dziewczynki, które miały na sobie kolorowe, odświętne sukienki, wykończone koronką i jedwabiem, z kolorowymi halkami pod spodem.

Spojrzałam na jedną z nich, która była szczególnie ładna i która stała obok Marka. Miała długi ciemny warkocz, dużą satynową kokardę. Rozmawiała z grupką starszych kobiet, całych ubranych na czarno, pomarszczonych i zniszczonych od słońca i niepogody, tak jakby spędziły czterdzieści lat, pracując na polu. Zauważył moje spojrzenie i uśmiechnął się. Myślę, że odgadł moje myśli, bo gdy odeszliśmy, powiedział do mnie:

— Młodość nie trwa tutaj długo, co? Jeszcze rok albo dwa, potem wyjdzie za tutejszego chłopa i będzie rodzić dzieci, i pracować w polu.

— To takie niesprawiedliwe — odparłam. — Ona nie ma innego wyjścia.

— Oczywiście, zgadzam się. Ale jeśli zaczniesz się nad nią użalać, musisz zacząć współczuć całemu światu.

Wszyscy jesteśmy w pułapce z chwilą, gdy przyjdziemy na świat — i pozostajemy w niej aż do śmierci.

Poczułam, że trywializuje. Jakby przytępiał to, co czułam wobec tej dziewczyny. Nie umiałam jednak znaleźć słów, by to wyrazić.

Potem usiedliśmy w kawiarni, pijąc koniak po cztery pensy za kieliszek, patrząc, jak Hiszpanie przepychają się do baru, by zostać obsłużeni. Sporo mężczyzn miało już nieźle w czubie, więc przez hałas prawie nie słyszeliśmy się nawzajem. Trzech młodzieńców przy drzwiach kafejki próbowało nawiązać rozmowę z trzema dziewczynami.

Dziewczyny chichotały, zasłaniając twarz rękami i zachowywały się tak, jakby tamtych w ogóle tam nie było.

— Mężczyźni chcą tylko jednego od kobiety, prawda? Po pięciu minutach jest już po wszystkim, a oni mogą zająć się czymś innym. Nie wydaje mi się, żeby miało znaczenie to, jaka to kobieta, chodzi tylko o to, by była kobietą.

Mark pił swoją brandy. Jak tylko spojrzałam w jego twarz, zdałam sobie sprawę, że powiedziałam coś niewłaściwego. Później zastanawiałam się, dlaczego to powiedziałam, skoro wiedziałam, że dotknie go to do żywego.

— Wszyscy istniejemy w jakimś systemie. Ten nie jest najlepszy, bo większość dziewczyn tutaj będzie nieźle zniszczona już w wieku trzydziestu lat. Ale to nie znaczy, że ich zasady są gorsze od naszych. Za to, co powiedziałaś, większość z nich gardziłaby tobą.

— Tak jak ty mną? — spytałam cicho. Wolno nabrał powietrza.

— Kochanie, jesteś dorosłą kobietą. Zabierając się do nowego systemu księgowania, opanowałabyś go szybciej niż ja. Staraj się więc mieć otwarty umysł i spróbuj nauczyć się nowych rzeczy.

- Takich rzeczy jak to, co mi powiedziałeś?
- Postaraj się porzucić te sztywne poglądy na temat miłości, które w dodatku nie są twoje. Dobiegł nas głośny rechot mężczyzn przy barze. Przypomniało mi to Keyham. Jeśli to była miłość...
- Doświadczenie każdego człowieka jest jedyne w swoim rodzaju, jest czymś nowym dla niego samego, prawda?
- Sądzę, że tak.
- Czy byłeś kiedyś przedtem na fiescie w Hiszpanii?
- Nie.
- Czy gdyby ktokolwiek ci o tym wcześniej opowiedział, czy byłoby to to samo?
- Nie.
- Więc przestań się przejmować tym, co ci ktoś kiedyś powiedział o seksie. Seks jest brudną, trywialną, nędzną przyjemnością tylko wtedy, gdy sami tak uważamy.
- Nikt mi tego nie mówił, ja to po prostu czuję!
- Nie możesz mieć żadnych pryncypów wobec czegoś, czego nie znasz. Postawiłam moją szklanekę w mokrej obręczy pozostawionej przez inne szklanki.
- Jeśli zapoznasz się z religiami Wschodu — ciągnął dalej — zauważysz, że akt miłości jest tam ściśle powiązany z aktem modlitwy. I nie mam tu na myśli orgii. Chodzi o to, że w tych rzadkich momentach, kiedy pomiędzy kobietą a mężczyzną panuje wielka miłość, na niższym, ludzkim poziomie stanowi to odbicie miłości człowieka do Boga i odwiecznej jedności człowieka z Bogiem.
- Przerwał na chwilę. I dodał:
- No dobra, możesz myśleć, że to jakieś wzniosłe idee. Ale lepiej myśleć o tym tak, niż redukować to do poziomu ścieków i burdelu. Zapłacisz pan, to se wybierzesz.
- Przy barze zaczęła się przepychanka, a trzech mężczyzn zaczęło coś sobie podśpiewywać. Inni zaczęli przytupywać i klaskać.
- Kochanie — powiedział Mark—jeśli masz jakieś złe wspomnienia, czy nie możesz o nich po prostu zapomnieć?
- Nie mam żadnych wspomnień, jeśli o to chodzi. Położył rękę na mojej dłoni.
- Wobec tego mam nadzieję, że sprawisz, że ja będę je miał.

Tę noc spędziliśmy w hotelu w San Antonio. Zamówił szampana, jakieś czerwone wino do obiadu, po czym wypiliśmy jeszcze jakieś trzy kieliszki po jedzeniu. Wszystko to razem z brandy wypitą podczas sjeisty mogłoby mnie nieźle ululać, gdyby nie to, że mam niezwykle mocną głowę. Pod koniec kolacji spojrzałam na siebie w lustrze i naprawdę wypity alkohol nie pozostawił większych śladów.

Miałam na sobie purpurową suknię z tafty, z dużym dekoltem i rękawami trzy czwarte. Wyglądało to bardzo dobrze. Przypuszczam, że ja też wyglądałam dobrze, choć było to z mojej strony szaleństwem, ponieważ teraz właśnie należałoby wyglądać niezbyt pociągająco.

Po kolacji poszliśmy na spacer, ale że okolica była nieciekawa, wróciliśmy zaraz do hotelu. Jak tylko weszliśmy do pokoju, wiedziałam, że nadszedł ten moment. A było za późno na symulowanie choroby. Dzisiaj nawet on przejrzałby moje sztuczki.

Podszedł blisko i próbował mnie pocałować.

— Kochanie, pamiętasz, co mi obiecywałaś, jak się pobieraliśmy? — spytał delikatnie.

— O tak.

— Czy zamierzasz wypełnić te obietnice?

— Może pewnego dnia.

— Uważam, że teraz jest odpowiednia chwila.

— Nie.

— Uważam, że teraz jest odpowiednia chwila — powtórzył. Poczulałam, że wpadam w panikę.

— Wiedziałaś, z kim się żenisz.

— Z kim?

— Z oszustką i złodziejką.

— Nawet w tych sprawach?

— Tak, nawet w tych sprawach.

— W jaki sposób okłamałaś mnie tym razem?

Spojrzałam poza nim na pokój, na amforę w rogu, na miedziany talerz na ścianie, na mój starannie powieszony płaszcz i na jego rzucony w nieładzie.

— Nie kocham cię — powiedziałam.

Odsunął się trochę i próbował spojrzeć mi w oczy. Ale miał przed sobą pustą twarz bez wyrazu. Takie przynajmniej miałam wrażenie.

— Marnie, spójrz na mnie. Czy ty wiesz, co mówisz? Czy wiesz, co oznacza miłość?

— Usilnie się starasz mi to wytłumaczyć.

116

— Może powinienem już przestać mówić.

— To i tak nic nie zmieni. Cały czas obstawał przy swoim.

— Dlaczego więc za mnie wysłaś?

Amfora w rogu została znaleziona w morzu, tak nam powiedziano, i była bardzo stara. Mark byłby nią na pewno bardzo zainteresowany.

— Bo wiedziałam, że jeśli tego nie zrobię, wydasz mnie policji.

— Naprawdę... Naprawdę w to wierzyłaś?

— Cóż, tak to wyglądało, prawda?

— Ech, Mamie, będąc z tobą, czuję się jak na ruchomych piaskach. Jak możesz wysuwać takie wnioski? Jak mógłbym wydać cię policji po tym, jak sam zatuszowałem sprawę? Jakby przyszło co do czego, moje słowo miałoby taką samą wagę jak twoje.

Nie mogłam wyjaśnić mu nic więcej, więc wzruszyłam ramionami. Pocałował mnie. Udało mu się to, bo mnie zaskoczył, ale tym razem nie wziął tego za dobrą monetę.

— Nie uważasz, że jestem okropna? — spytałam, gdy udało mi się odzyskać oddech.

— Nie.

Chciałam się od niego odsunąć, wpadałam w coraz większą panikę.

— W ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię! Czy zrozumiałeś chociaż jedno słowo z tego, co powiedziałam? Nic do ciebie nie czuję. Kłamałam od samego początku, po pierwsze, bo chciałam ukraść pieniądze, a potem, jak mnie złapałeś, musiałam coś powiedzieć, musiałam udawać, żebyś mnie nie wydał policji. Ale cały czas udawałam, tylko udawałam! Nie kocham cię! Nie chciałam wyjść za ciebie za męża, ale nie dałeś mi wyboru! A teraz daj mi spokój! Może mimo wszystko alkohol na mnie podziałał. Nawet mnie samej wydawało się, że mój głos był ostry i nieprzyjemny. Przynajmniej taką miałam nadzieję. Chyba mnie poniosło, bo nie miałam zamiaru wyskakiwać z tym właśnie teraz. Żałowałam, że nie brzmiało to mniej bezwzględnie. Ciągłe na mnie patrzył. Ja też na niego spjrzałam. Żrenice miał ogromne, a białka oczu lekko nabiegły mu krwią.

— Od jakichś dwóch, trzech dni właśnie tak mi się wydawało — powiedział. — Ale nawet to nie stanowi odpowiedzi na wszystkie pytania. — Jakie pytania?

— Nieważne. Gdy żeniłem się z tobą, nie byłem ślepy. Miłość nie zawsze jest ślepa.

— Zostaw mnie w spokoju.

— I nie zawsze jest cierpliwa. Ani delikatna.

Przypuszczam, że alkohol nie pozostał bez wpływu także na niego.

Próbowałam opanować strach. Od czasu gdy miałam trzynaście lat, nigdy tak naprawdę się nie bałam. Nigdy nikogo się nie bałam, nawet policji. Ale teraz wiedziałam, że nie postąpiłam, jak należało. Nie byłam pewna, czy mi wierzył, ale nawet jeśli tak było, działało to na moją niekorzyść. Czując, że jest już za późno, powiedziałam:

— Mark, oboje gadamy jakieś bzdury. Oboje za dużo wypiliśmy. Trochę kręci mi się w głowie. Porozmawiajmy o tym rano.

— Dobrze — odrzekł i spokojnie zaczął rozpinąć mi guziki na plecach.

Po chwili uwolniłam się i podeszłam do okna. Ale okno było bardzo wysoko, pod nim widać było skały i nie było innego wyjścia z pokoju. Gdy cofnęłam się, złapał mnie za ramię.

— Marnie!

— Zostaw mnie w spokoju! — warknęłam. — Nie rozumiesz, że mówię nie? Daj mi spokój!

Złapał moją drugą rękę, moja suknia opadła na ziemię. Poczułam przedziwną mieszankę wstrętu i zażenowania.

Niemal trzęsłam się ze złości. Raz wydawało mi się, że zaraz mu pozwolę kochać się ze mną, pozostając zimna jak lód, zdolna jedynie nienawidzić, żeby zobaczyć, co wtedy zrobi. Ale zaraz potem gotowa byłam z nim walczyć, drapać go po twarzy i parskać jak kotka napastowana przez kocura, na którego nie ma ochoty.

Zaprowadził mnie do łóżka i zdjął resztę ubrań. Gdy nie miałam już nic na sobie, zgasił światło. Tylko z łazienki przeświecał promień światła. Być może dzięki temu nie ujrzał łez, spływających po moich policzkach. W półmroku usiłował mi pokazać, czym jest miłość, ale ja leżałam sztywna, przerażona i pełna wstrętu, i gdy w końcu mnie posiadł, miałam wrażenie, że z moich ust wydobył się jęk klęski, który nie miał nic wspólnego z fizycznym cierpieniem.

Kilka godzin później do pokoju zaczęło się przesączać światło. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że Mark siedzi w fotelu przy łóżku. Musiał mi się przyglądać, bo od razu zauważył, że się obudziłam.

— Dobrze się czujesz? Wykonałam ruch głową.

— Nie było to dla ciebie przyjemne — powiedział. — Przepraszam. Spojrzałam na wzór, w jaki delikatne światło układało się na suficie.

— Dla mnie też nie było to przyjemne — rzekł. — Żaden mężczyzna nie chce tego robić w ten sposób, nawet jeśli mu się tak wydaje.

Oblizалам wargi.

— Może nie zdajesz sobie sprawy, co powiedziałaś, zanim się to zaczęło, i jak bardzo mnie to dotknęło. Odrzuciłaś moją miłość. Ona nie ma dla ciebie żadnego znaczenia, tak? Przynajmniej tak powiedziałaś.

Odczekał chwilę, ale ja się nie odezwałam, nie zaprzeczyłam.

— Jesteś zaskoczona, że mi się to nie spodobało? Nadal mnie to boli. Nadal usiłuję jakoś to przełknąć. Jeśli to prawda, to jest to straszna trucizna.

Znowu oblizалам wargi. Zapadła długa cisza. Trwała może z dziesięć minut.

— Chcesz papierosa? — odezwał się w końcu. Potrząsnęłam głową.

— Czegoś do picia?

— Nie.

Nachylił się, by przykryć mnie kołdrą, ale odsunęłam ją.

— Jest szósta — powiedział. — Postaraj się jeszcze zasnąć.

Znowu zaczęłam wpatrywać się w sufit. Mój umysł był zupełnie czysty, tak jakby wszystko to, co stało się ubiegłej nocy, zostało wymazane. Nie widziałam Marka, a jedynie jego rękę, spoczywającą na krawędzi łóżka.

Przypatrywałam się grze światła na suficie. To pewnie słońce odbijało się w wodzie i rzucało odblaski. Ale ja wpatrywałam się w nie, jakby miały jakieś szczególne znaczenie.

Minęła pewnie godzina, zanim ponownie zasnęłam, a gdy się obudziłam, był już dzień, a Mark spał na fotelu obok łóżka.

Podniosłam głowę i spojrzałam na niego. Wyglądał bardzo młodo, szczupły jak zawsze, z głową zwieszoną na piersi. Spojrzałam na jego szczupłe nadgarstki i przedramiona, nic nie zdradzało siły, jaka w nich drzemała. Przypomniało mi się, jaki był brutalny wobec mnie zeszłej nocy. Było w nim coś kociego, przebiegłego, bo tak jak u kota, jego siły wcale nie było widać. Znów wróciłam myślą do tego, co się stało, na początku obojętnie, jak ktoś po narkozie, ale nagle przebudziłam się — przed moimi oczyma pojawiła się, sekunda po sekundzie, cała zeszła noc, tak jakby nagle pusta klatka zaroila się od dzikich zwierząt. Wściekłość i strach podeszły mi do gardła, jak coś, co nadaremnie starałam się przełknąć. Wściekłość była jednak silniejsza. Przedtem czułam wobec Marka rodzaj wrogości, jaką czuje się wobec kogoś, kto nas przechytrył, swoistą mieszankę irytacji i zawodu. Ale nic więcej. Gdyby los bar-

dziej mi sprzyjał, w innych okolicznościach mogłabym go nawet polubić. Jednak teraz wszystko się zmieniło. Czułam się tak, jakby diabeł we mnie wstąpił. To było tak, jakby ktoś pchnął mnie nożem, a ja patrzyłam na lejącą się krew.

To była straszna mieszanka nienawiści i żądzy krwi. Gdybym mogła to zrobić, zabiłabym go.

Wróciliśmy do Palmy i następnego dnia pojechaliśmy do Camp de Mar. Choć był to najgorętszy dzień całych wakacji, my byliśmy zlodowaciałi, niczym Alaska zimą. Morze w zatoczce miało kolor butelkowej zieleni, a on zaproponował, żebyśmy popływali. Odpowiedziałam, że jest mi wszystko jedno, więc odparł: „dobrze, chodźmy”. Ale kiedy byłam już gotowa, stałam długo na brzegu, krzyżując ręce na piersiach, bojąc się zanurzyć. Wreszcie wziął mnie za rękę i weszłam.

Woda była cudowna, nie za zimna. Wkrótce wspięliśmy się na molo i wyciągnęliśmy na słońcu. Położyłam się na brzuchu, z głową poza krawędzią i spoglądałam w dół na wodę i na wodne roślinki, oblepiające słupy pomostu jak małże. Nie chciałam, żeby zepsuł mi ten moment, mówiąc coś do mnie, ale widać nie zamierzał tego zrobić. Siedział z jednym kolaniem przyciągniętym do piersi i mrużył oczy w słońcu.

Wstałam, zsunęłam się z mola do wody i zaczęłam płynąć z powrotem w kierunku piaszczystego brzegu. Było tak cudownie, że nie popłynęłam od razu do brzegu, ale wzdłuż niego, w kierunku skał naprzeciwko mola, mimo że nie jestem dobrą pływaczką i nie mam dobrej kondycji.

Po kilku minutach przekreśliłam się na plecy i unosiłam się na wodzie. Zauważyłam, że Mark nadal siedział na pomoście, tam, gdzie go zostawiłam. Pałące słońce opaliło mu skórę na brąz, i pomyślałam sobie, że siedząc tak, mógłby uchodzić za poławiacza pereł w Morzu Południowym. I przypomniałam sobie, że jego ciało robiło z moim, co chciało, dwa dni temu.

Leżałam tak na wodzie i nagle ogarnęło mnie znużenie. Poczułam, że nie mam siły go dłużej nienawidzić.

Zrozumiałam, że moje życie nie ma żadnego sensu. Być może nigdy nie było ze mnie wielkiego pożytku, ale przynajmniej przez jakiś czas pomagałam mamie i Lucy. Byłam tyle warta, ile wart był jakikolwiek protest. Ale teraz moje życie zatrzymało się w ślepej uliczce małżeństwa, i to był koniec. Byłam uwieczniona na dobre, przyszpilona jak motyl w szklanej gablocie. Jeśli skończę ze sobą teraz, pomoże to uporządkować ten totalny bałagan.

Mimo to wiedziałam, że nie będę w stanie tak po prostu opaść na dno. Jak tylko zaczynamy się krztusić wodą, zaczynamy walczyć o życie. Nie jest to zbyt logiczne, ale tak to już jest. Należało więc najpierw wypłynąć tak daleko, żebym nie miała siły wrócić, nawet jeśli bym chciała. Zmieniłam kierunek i zaczęłam spokojnie płynąć w kierunku morza.

Jak tylko podjęłam decyzję, wiedziałam, że była słuszna. Stanowiło to zgrabne zakończenie. Mark zostanie ponownie wdowcem w wieku lat dwudziestu ośmiu i cały szczęśliwy będzie mógł zacząć rozglądać się za kobietą w jego typie, która zrozumie jego brudne myśli na temat seksu. Mama jakoś sobie poradzi, po prostu będzie musiała. Wszystko to będzie smutne — ale takie, jakie być powinno.

Nie wiem, kiedy się zorientowałam, że płynie za mną. Najpierw zauważyłam, że nie ma go już na pomoście. Potem spostrzegłam coś na wodzie, przesuwaną się białą pianę daleko za mną. Cóż, chyba tym razem nie zdąży ze swoją pomocą.

Płyłam teraz trochę szybciej, kierując się na pewien punkt na brzegu zatoki. Na pewno nie dam rady tam dopłynąć. Byłam już bardzo zmęczona.

Pierwszy haust wody był szokiem. Woda morska smakuje okropnie, a gdy ją się łyka, ma się ochotę wymiotować. Nie zapowiadało się to zbyt różowo, całe to zakończenie, ale zaraz będzie po wszystkim. Przestraszyłam się tylko pierwszego haustu. Całe to łapanie oddechu i wymioty. Zaraz się to skończy.

I wtedy usłyszałam, że on woła mnie całkiem z bliska.

Nagle cały mój strach zniknął. Przestałam płynąć i zaczęłam tonąć.

Ale mimo że starałam się tego nie robić, cały czas wstrzymywałam oddech, tak jak wtedy, gdy jako mała dziewczynka skakałam z pomostu do wody w Hoe. Próbowałam się zmusić do zaprzestania walki, ale znowu wyskoczyłam jak korek, krztusząc się i kaszląc. I wtedy mnie złapał.

— Ty idiotko! — krzyknął. — Utopisz się! Mocno schwytał mnie za ramię. Szarpałam się, próbując się uwolnić.

— Zostaw mnie!

Spróbowałam zanurkować, ale trudno jest to zrobić, jak jest się już w wodzie, więc gdy się wyrwałam, złapał mnie za nogę, a potem chwycił w talii. Walczyliśmy przez kilka sekund, po czym prawie udało mi się uwolnić. Wtedy tak mi przyłożył w twarz, że poczułam w ustach smak krwi. Krzyknęłam i zadrapałam mu ramię. Ponownie zwinął dłoń w pięść

i uderzył mnie w zęby. Pamiętam, że zęby zadźwięczały mi tak, jak opadająca krata więzienia. I to było wszystko. Gdy się ocknęłam, leżałam na plecach na wodzie. Trzymał mnie za głowę i też leżał na plecach, płynąc, poruszając nogami, w kierunku brzegu. Chciałam uwolnić głowę, ale jak tylko spróbowałam, wzmocnił uścisk; i w ten sposób dotarliśmy do plaży.

Leżeliśmy razem, wykończeni, ale na szczęście oprócz nas nie było nikogo, a dwie kobiety w zasięgu wzroku, Hiszpanki zbierające wodorosty do koszyków po drugiej stronie, nic nie widziały i wyglądały tak, jakby w ogóle nic poza tym ich nie obchodziło.

Jak tylko odzyskał oddech, zaczął na mnie krzyczeć. Udało mu się użyć większości słów, jakie zwykle słyszy się w portach i jeszcze paru innych. Wyglądało na to, że nic, co do tej pory zrobiłam, nie zraniło go bardziej niż to. Bardziej nie mogłam go już urazić.

Przez jakiś czas to znosiłam, gdy nagle na dźwięk jednego ze słów histerycznie się roześmiałam.

Przerwał i spytał:

— O co chodzi?

— Ten wyraz nie ma formy żeńskiej.

Znów zachichotałam, potem odwróciłam głowę i zwymiotowałam. Gdy przyszłam już do siebie, powiedział:

— Nie wiedziałem, że istnieje taka forma żeńska jak ty, ale człowiek uczy się przez całe życie.

— Niezła odmiana, co? Założę się, że Estelle nigdy się tak nie zachowywała.

— Nie, ty pieprzona kretyńko! Tak bardzo chciała żyć, a nie mogła.

— Podczas gdy ja chcę umrzeć i nie mogę.

— Nie ma niczego gorszego, co by mogła powiedzieć dwudziestotrzy-letnia kobieta.

Leżeliśmy w ciszy, zbierając siły.

— Jeśli zostaniemy tutaj — powiedział po chwili — zaraz zaczniemy się trząść z zimna. Chodź, pomogę ci dojść do hotelu.

— Dzięki, poradzę sobie — odparłam i wstałam.

Szliśmy więc w niewielkiej odległości od siebie, on kilka kroków za mną, jak strażnik, któremu o mało co nie uciekł więzień.

## Rozdział 10

Ogródnik w Little Gaddesden nazywał się Richards. Przychodził trzy dni w tygodniu, w poniedziałki, środy i piątki. Był spokojnym, drobnym mężczyzną, miał słabowitą żonę i troje bladych dzieci. Zajmował się ogrodem z prawdziwym entuzjazmem, czego nie mogłam do końca zrozumieć, gdyż ogród nie był jego własnością. Zdawało się, że mnie lubi. Zwracał się do mnie „Madame”, tak jakbym była z rodziny szlacheckiej albo coś w tym stylu.

„Mamy piękne tulipany, o tam, Madame, za jakieś dwa tygodnie powinny już zacząć wschodzić”. „Chciałbym dziś rano uporządkować te ścieżki, Madame, będą ładnie wyglądały aż do wiosny”. Z pewnością sprawiało mu to jakąś przyjemność. Jego życie nie było usłane różami — żona cierpiąca na bronchit, praca w deszczu i zimnie, a w domu trójka dzieci, którą należało się zająć. Czasami najstarsze z nich, dziewczynka o imieniu Ail-sa, wpadała do ogrodu po drodze ze szkoły do domu. Była zupełnie inna niż ja, gdy miałam jedenaście lat. Wydaje mi się, że ja w tym wieku byłam już harda i nieustępliwa. Ciągle włóczyłam się gdzieś z dziećmi. Ailsa była delikatna i łagodna, jak jej tata. Wiedziałam, że prędzej czy później ktoś to wykorzysta. Richards mówił mi, że na Gwiazdkę poprosiła o Biblię ilustrowaną, a pan Mark obiecał mu załatwić przez firmę jeden egzemplarz po kosztach. Pomyślałam sobie, czemu Mark nie da mu sześciu egzemplarzy za darmo, ale jak wspomniałam mu o tym, odparł:

— W ten sposób nie da rady. Nie przyjąłby jałmużny. Chyba nie za bardzo to rozumiałam.

Ogród w Little Gaddesden miał niespełna pół hektara. W rogu, z dala od pola golfowego, znajdowała się stara szopa, garaż i mały padok. Wiodła do nich ścieżka po dwóch stronach obrosnięta czymś, co wzięłam za żywopłot z cisów, ale Richards grzecznie mnie poprawił:

— To suchodrzew, Madame. Hoduję go w moim własnym ogrodzie, można go kształtować, jak się chce. Mam przepiękny krzew w kształcie kościoła. Mam nadzieję, że któregoś dnia, Madame, przyjdzie go pani obejrzeć. Poszłam więc tam któregoś dnia. Poznałam panią Richards i dwójkę młodszych dzieci. Nie wiedziałam, jak rozwiązać kwestię ewentualnej dobroczynności, ale zaryzykowałam i kupiłam trochę słodyczy, poza tym upiekłam drożdżówki i wszystko to im zaniiosłam. Miałam wrażenie, że nie poczuli się urażeni.

Problem z Richardsem, jak się wkrótce przekonałam, polegał na tym, że był zbyt sumienny. Jaki jest pożytek z sumienności, jeśli nakazuje ona stać w strugach deszczu, podczas gdy można krzątać się po szklarni, symulując pracę. Wraz z panią Leonard zaczęłyśmy więc opracowywać strategie, jak zatrzymać go w domu w deszczowe dni. Mieszkanie z Markiem nie stwarzało mi większych problemów. Gdy wróciliśmy z podróży poślubnej, dał mi osobną sypialnię, ale choć tylko drzwi dzieliły ją od jego pokoju, z rzadka do mnie przychodził, a jeśli już, to zawsze przedtem pukając.

Przestał mnie dotykać. Przypuszczam, że moje zachowanie zahamowało wszelkie próby z jego strony, przynajmniej na razie. Odnosiliśmy się do siebie uprzejmie, tak jak podczas ostatnich dni naszego potwornego miodowego miesiąca. Gdy wracał wieczorem do domu, opowiadał mi, co wydarzyło się w pracy. Raz czy dwa poszliśmy do teatru w Londynie, nigdy jednak nie zaproponował wyścigów, ja zaś nie prosiłam. Nigdy nie wiedziałam, co tak naprawdę myśli.

Na szczęście moje stosunki z panią Leonard układały się bardzo dobrze. Od razu na początku powiedziałam jej, że nigdy jeszcze nie prowadziłam domu i umiem przygotować tylko bardzo proste dania, a ona była zadowolona, że może pracować nadal tak samo, jak przed naszym ślubem. Świetnie znałam jej język, orientowałam się też, jakiego typu jest osobą. Może powinnam była udawać, że jestem kimś innym, ale nie chciałam, tak więc wkrótce zaczęła mówić do mnie „kochanie” zamiast „pani Rutland”.

Pod jednym względem mieszkanie w Little Gaddesden było trochę dziwne — co i rusz natrafiałam na jakieś rzeczy Estelle. Para kapci w szafce, dwie stare bluzki, para nowych rajstop jeszcze w opakowaniu — były na mnie za małe — książki, notes, kalendarz. I oczywiście zdjęcia w salonie i sypialni Marka. Widziałam, w jaki sposób można wzbudzić zazdrość w drugiej żonie. Nie, żeby to na mnie działało. Chciałam tylko, by wróciła i zabrała swojego męża z powrotem. Ani przez chwilę nie czułam się żoną Marka. Być może bycie żoną nie jest czymś, co się czuje, ale czymś, co z czasem staje się jakąś dodatkową rolą. Cóż, w moim przypadku tak nie było.

Jedną z rzeczy, którą znalazłam w garażu, był stary dwuosobowy samochód. Należał do niej, używała go, wyjeżdżając na te swoje wyprawy archeologiczne, a bagażnik dobitnie o tym świadczył. Mark powiedział jednak, że mogę go używać, jeśli chcę, więc kilka razy wybrałam się na przejażdżkę, by zwiedzić okolicę.

Po paru tygodniach, gdy nadal trzymał się ode mnie z daleka, zaczęłam czuć się swobodniej. Nie było sposobu się od niego uwolnić — oczywiście oprócz metody, którą wypróbowałam w Camp de Mar, a tej nie zamierzałam już stosować — należało więc cieszyć się obecną sytuacją, jak tylko się dało.

Pewnego wieczoru, po kolacji, zaczęłam trochę mu się zwierzać, a on nagle zapytał mnie:

— Marnie, dlaczego nie robisz tego częściej?

— Co masz na myśli?

— To, że mówisz o sobie. Mogłoby ci to pomóc.

— Pomóc w czym?

— Mogłoby ci to pomóc uwolnić się od... Od tego, co ci przeszkadza. Mogłoby to nawet nam pomóc lepiej się zrozumieć.

— Nie rozumiem, w jaki sposób.

— Cóż, po pierwsze, zależy mi na tym. Dobrze jest ze sobą rozmawiać. Inaczej człowiek zamyka się w sobie. Każdy psychiatra ci to powie. I każdy katolicki ksiądz.

— Nie jestem zbyt rozmowna.

— Wiem. Właśnie o to mi chodzi. Opowiedz mi na przykład, jak straciłaś brata.

— A co cię w tym interesuje? — spytałam ostro.

— Przecież straciłaś go, prawda? To było zaniedbanie, tak? Opowiedziałam mu więc wszystko.

— Jeśli skończyło się to aż w sądzie, lekarz miał szczęście, że udało mu się z tego wywinąć. Przypuszczam, że stało się tak z powodu wojny. To dlatego nienawidzisz lekarzy?

— Nie wydaje mi się, żeby winna była wojna. Myślę, że doszło do tego, bo byliśmy biedni.

— Cóż, to nie powinno mieć dla ciebie teraz żadnego znaczenia.

— No tak, ale mogłoby. Nie rozumiesz, Mark, nigdy nie byłeś biedny. Kiedy moja... — urwałam.

Przyjrzał mi się uważnie.

— Kiedy twoja co?

— Kiedy moja ciotka miała owrzodzenie żyłaków — powiedziałam ostrożnie — wiesz, ta, która mnie wychowywała, leżała w szpitalu i poszłam ją odwiedzić. Pracowałam wtedy w Bristolu w firmie rachunkowej, przyjechałam więc, żeby się z nią zobaczyć, i okazało się, że wcale się o nią nie troszczą. Zrobiłam awanturę, co trochę pomogło, ale widać było, że traktują ją źle, bo jest biedna i nie potrafi się bronić.

— Z moich doświadczeń ze służbą zdrowia wynika, że nie jest to powszechne. Bywa, że traktuje się pacjentów byle jak, szczególnie jeśli nie są poważnie chorzy, to mogę potwierdzić, ale jak się jest już w szpitalu, to czy się jest biednym czy bogatym, nie stanowi żadnej różnicy. Oczywiście, jeśli jesteś w stanie upomnieć się o swoje prawa, tym lepiej. Jednak teraz w szpitalu liczy się to, czy cierpisz na jakąś interesującą, rzadko spotykaną chorobę. Jeśli tak, traktują cię z wielkimi honorami. Jeśli nie, musisz liczyć na szczęście...

— Po co więc pytasz mnie o takie sprawy, skoro jeśli ci odpowiadam, w ogóle mi nie wierzysz?

— Nie chodzi o to, że ci nie wierzę. Staram się tylko spojrzeć na te sprawy z twojej pozycji i zastanawiam się, czy sam patrzyłbym na to w ten sposób...

— Oczywiście, że nie. Ja...

— Zresztą, nieważne. Mów dalej.

— Myślisz, że jestem przewrażliwiona na punkcie biedy i bycia biedną? Cóż, być może jestem. Ale nikt, kto nie był biedny, nie ma prawa mnie za to krytykować.

— Jesteś przewrażliwiona na tym punkcie, Marnie, jak nie wiem co, ale wątpię, czy chodzi tu tylko o biedę. Nie umiem ci powiedzieć, co to jest, choć bardzo chciałbym to wiedzieć. Może pomógłby tu psychiatra. Ale załóżę się, że nie chciałabyś spróbować.

— Spróbować czego?

— Dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.

— Nie.

— Bałabyś się?

— Czego?

— Spotkać z kimś takim.

— Z psychiatrą? Dlaczego miałabym się bać? To byłaby tylko strata czasu.

— Może tak, a może nie.

— Czy ty idziesz do lekarza, kiedy się dobrze czujesz?

— Myślisz, że stwierdziłby, że wszystko jest z tobą w porządku?

— Och, oni zawsze mogą coś znaleźć, jeśli chcą zarobić.

Milczał przez chwilę. Potem wstał, podszedł do regału z książkami i zaczął wertować jedną z nich. Ale nie patrzył w książkę.

— Marnie, powiedz mi coś... Może nie wiesz tego, ale... Jak tylko się pobraliśmy, pokazałaś mi wystarczająco jasno, że nie cierpisz miłości fi-

126

zycznej. Chciałbym wiedzieć, czy chodzi ci o uprawianie miłości jako takiej, czy o niechęć do mnie?

Wzięłam jedną z kartek świątecznych ze stolika i przeczytałam podpis. Nazwisko nic mi nie mówiło.

— Postaraj się jak najdokładniej powiedzieć mi, jak jest naprawdę. Czy myślisz, że mogłabyś to polubić, będąc z innym mężczyzną? — Nie.

— W takim razie wydaje mi się, że psychiatra mógłby ci pomóc.

— Nie sądzę. Dobrze mi tak, jak teraz.

— Naprawdę?

— Tak. Nie wszyscy są tacy sami! Niektórzy ludzie kochają muzykę. Inni nienawidzą. Świat byłby strasznie nudny, gdyby wszyscy chcieli tego samego.

— Tak, ale...

— Jedynym błędem, jaki popełniłeś, Mark, było zmuszenie mnie do poślubienia ciebie. Mój błąd polegał na tym, że dałam się złapać. Po raz pierwszy tak bezpośrednio rozmawialiśmy o tych potwornych rzeczach, które powiedzieliśmy sobie podczas naszego miodowego miesiąca. Miałam wrażenie, że udało mu się już to wszystko przetrwać i chciał iść za ciosem. — Jeśli o to chodzi, masz całkowitą rację. Ale to niczego nie wyjaśnia.

— Dlaczego? Dlatego, że myślisz, że powinnam być jak Estelle?

— Dlatego, że seks jest podstawowym instynktem, którego nie można porównać do miłości do muzyki. Jeśli go brak, coś jest nie w porządku. — Nie jestem jedyną kobietą, która tego nie cierpi.

— O Boże, oczywiście, że nie. Niektórzy mówią, że dotknięta jest tym jedna trzecia kobiet. Jednak istnieją różne tego stopnie. Twój jest ekstremalny. Anie masz ani twarzy, ani figury kobiety oziębłej...

— Jest coś takiego?

— O ile wiem, to tak.

— Przykro mi. Przykro mi, że się na mnie zawiodłeś.

Następnego ranka, w niedzielę, padało, więc Mark spędził go na porządkowaniu greckiej ceramiki Estelle. Podczas lunchu powiedział:

— Myślałem o tym, o czym mówiliśmy wczoraj wieczorem. Znam takiego człowieka, nazywa się Charles Roman. Chciałbym, żebyś go poznała.

— Co to za człowiek?

— Jest psychiatrą. Ale z tych, co stoją nogami na ziemi. Bardzo dobrze się z nim rozmawia.

— No nie.

— Myślę, że mógłbym go kiedyś zaprosić na obiad. Ma około pięćdziesiątki, jest bardzo mądry i otwarty. A do tego rzeczowy. — To zaproś go, jak nie będzie mnie w domu. Jadł przez chwilę w ciszy.

— Może zawarlibyśmy układ.

— Układ?

— Tak. Zrobię coś dla ciebie, jeśli ty zrobisz coś dla mnie. Przypuśćmy, że obiecuję ci przywieźć tutaj Foria. Przekształcenie garażu w stajnię nie będzie kosztowało zbyt wiele, a padok z tyłu ogrodu jest nieużywany. Mógłby zostać tu na stałe, a ty mogłabyś na nim jeździć, kiedy tylko byś chciała.

Miętosилаm chleb w rękach, czekając na haczyk.

— Tak? A co ja miałabym zrobić w zamian?

— Zgodzić się chodzić do Romana na godzinę, powiedzmy dwa razy w tygodniu, żeby sprawdzić, czy może ci jakoś pomóc. — Nie potrzebuję pomocy — odparłam, ale w głowie aż mi huczało od myśli. Oczekiwałam, że Mark postawi warunek, którego spełnienie nie wchodziło w grę. Ale to... Cóż, należało to przemyśleć.

— Chcesz, żeby Forio tu był? — spytał.

— Oczywiście, że tak.

— Czy uczyni cię to szczęśliwszą?

— Tak, z pewnością.

— Wobec tego taka jest moja propozycja. Przemyśl ją, proszę. Powiedziałam:

— Miałabym... lepsze mniemanie o tobie, gdybyś pozwolił mi go sprowadzić bez żadnych warunków, Mark.

— Rozumiem. Ale obawiam się, że inaczej nie da rady. Potem, po lunchu zwróciłam się do niego:

— Chodzi o to, że mogłabym zatrzymać Foria na stałe? Mogłabym na nim jeździć, gdy tylko będę chciała? Płaciłbyś za jego utrzymanie?

— Oczywiście.

— A jak długo miałabym spotykać się z tym człowiekiem?

— Zależałoby to od jego opinii w tym względzie. Być może będzie uważał, że nie jest w stanie ci pomóc. Ale jeśli będzie chciał spróbować, w grę wchodzić może dość długa terapia. Takie sprawy zwykle wymagają sporo czasu.

— Co on będzie robił?

— Głównie zachęcał cię do mówienia.

— Nie jestem zbyt rozmowna, mówiłam ci już.

— Wiem, ale to już jego problem.

Nie powiedziałam nic więcej, ale cały poniedziałek mój umysł pracował na pełnych obrotach. Jeśli nie mogłam uciec od Marka całkowicie, mogłam od niego uciec chociaż w pewnym stopniu dzięki moim przejazdkom na Foriu.

Gdyby tylko tutaj był, mógłby być jak wierny przyjaciel, u którego się szuka zrozumienia.

Pomysł mi się podobał. Im więcej się nad nim zastanawiałam, tym większy budził we mnie entuzjazm. Ale żeby dopiąć swego, musiałam zaryzykować. Już Mark by tego dopilnował! Ludzie tacy jak ten Roman umieją przejrzeć cię na wylot, tak więc w końcu musisz się z czymś zdradzić. Nie mogłam sobie na to pozwolić.

Z drugiej strony to tylko dwie godziny w tygodniu. Nie byłam w stanie grać przed jakimś doktorem przez dwie godziny w tygodniu?! To, że ich nienawidziłam, dodatkowo upraszczało sprawę. Zapowiadała się walka dwóch przebiegłych zawodników, czujnych na każdy, najmniejszy nawet sygnał. Czy Forio był wart tego ryzyka?

Nic nie mówiłam na ten temat aż do wtorkowego ranka.

— Mark, zastanawiałam się nad twoją propozycją — zaczęłam.

— Taak? — Zbyt obojętny głos, daremna próba ukrycia błysku w oczach.

— Jeszcze nie podjęłam decyzji, ale jeśli mógłbyś zaprosić tego doktora Romana na obiad, to przyjrzałabym mu się i zdecydowała, czy mi się podoba, czy nie. Ale pamiętaj, jeszcze się na nic nie zdecydowałam.

— On też z pewnością będzie cię chciał zobaczyć, zanim podejmie decyzję. Jest dość wybredny.

— Co mu powiesz na mój temat?

— Nie myślałem jeszcze o tym. Generalnie, że chciałabyś rozpocząć terapię. Reszta należy do niego.

— Jeśli — zaznaczyłam— jeśli zamierzasz zacząć od tego, że kradłam pieniądze, to nie zgadzam się na to.

— Kochanie, od ciebie zależy, co mu zamierzasz powiedzieć. Ja nie będę mu nic mówił. Zresztą, jak pewnie wiesz, nie to mnie martwi.

— To już mi mówiłeś.

Widziałam, że Mark był zadowolony, ale nie sprawiło mi to żadnej przyjemności. Mimo to postanowiłam się zgodzić. Czy on naprawdę myślał, że z tego wyniknie dla niego coś dobrego? Czy naprawdę wierzył, że kilka rozmów z psychiatrą zmieniają mnie w dobrą i kochającą żonę? Jak wielką można mieć nadzieję?

Chociaż żyjąc z Markiem, nie musiałam się martwić o pieniądze, nie oznaczało to, że moje kłopoty z pieniędzmi się skończyły. Przez ostatnie trzy lata nie dawałam mamie mniej niż czterysta funtów rocznie, a zwykle było to więcej. Ona i Lucy żyły tak, jak żyły, tylko dzięki temu, co dostawały ode mnie. Wzięłam na siebie ten obowiązek, kiedy namówiłam matkę, by zostawiła tę okropną posiadłość w Plymouth i wynajęła pierwszy dom w Torquay. Czuła się o niebo lepiej, od kiedy rzuciła pracę. W tym właśnie tkwił cały szkopuł. Gdyby poszczęściło mi się w Rutland, miałabym spokój przez co najmniej następne osiemnaście miesięcy. A tak, miałam tylko jakieś drobne sumki rozsiane po całym kraju. Razem dwieście dziewięćdziesiąt jeden funtów dziesięć szylingów.

W czwartek zjawił się Terry. Właśnie siedziałam przy biurku, rozpisując to wszystko, więc schowałam kartkę i poprosiłam panią Leonard, by go wprowadziła.

Miał na sobie tweedową kurtkę do konnej jazdy, żółty jedwabny szalik i jasnobrązowe spodnie z diagonalą.

Zabawne, że znowu uderzył mnie najpierw jego ubiór. Nie wyglądał na tak ostrego, jakim w rzeczywistości był. Nie wydawał się też oślizgły. Za to sprawiał wrażenie pewnego siebie, choć taki nie był. Daleko mu było do pewności siebie Marka, który prezentował się tak skromnie.

Gawędziliśmy minutę czy dwie, zrobił jedną czy dwie głupie uwagi, ale wiedziałam, że nie przyszedł tylko po to, żeby się wygłupiać. Po jakimś czasie wstał, przeszedł się po pokoju i zatrzymał, wskazując na jedną z greckich waz.

— Jak to jest być żoną Marka?

— W porządku.

— Jest lepszy niż twój poprzedni mąż? Wiesz, że to nie może się udać.

— Co się nie może udać?

— Twoje małżeństwo z Markiem, kochanie. Mówiłem ci to już wcześniej. Za bardzo przypominasz łódź podwodną. Nie wszyscy możemy być tacy jak on, szybki okręt, mknący przez wzburzone fale jak błyskawica. Zresztą, do czego to prowadzi?

— Czy myślisz, że ja ci na to odpowiem?

— Nie, ja to zrobię. Prowadzi to do jednej z tych modnych chorób nerwowych przed pięćdziesiątką — oraz góry pieniędzy, których nie masz czasu wydawać.

— Nie wydaje mi się, żeby Mark był taki.

— Ach, ta wspaniała małżeńska lojalność. Poczekaj, aż będziesz umierać tu z nudów przez następne kilka lat. Dziewczyny takie jak ty czeka tylko życie w złotej klatce. Czego tak naprawdę kobiety chcą od życia? Powiem ci. Mnóstwa nowych ciuchów, dużo zabawy, uwielbienia i seksu. Ale przekonasz się sama, że nie da się wymienić tych dwóch pierwszych rzeczy na adorację i seks. Kobiety są tak samo niemonogamiczne jak mężczyźni.

— No cóż, dziękuję, że mnie oświeciłeś. Uśmiechnął się krzywo.

— A tak przy okazji, przykro mi, że nie będzie cię u mnie na przyjęciu w sobotę.

— Na jakim przyjęciu?

— Mark nic ci nie mówił? Zaprosiłem was oboje po kolacji na drinka i może jakąś partyjkę. Niestety, powiedział, że nie może przyjść.

Podwinęłam pod siebie nogi, ale widząc wzrok Terry'ego, obciągnęłam spódnicę.

— Przypuszczam, że mówił za siebie — powiedziałam.

— Chcesz powiedzieć, że przyszłabyś bez niego?

— Nie, tego nie powiedziałam.

— Szkoda. Ostatnio tak się wspaniale spisałaś.

— Wspaniale?

— Przy pokerze. Będą Macdonaldowie i jeszcze trzy, cztery inne osoby. Jesteś urodzonym graczem. Alistair mówił mi to zaledwie tydzień temu.

Milczeliśmy przez jakąś minutę. Terry przyglądał się kawałkowi pękniętej miseczki.

— Nie rozumiem, co ludzie w tym widzą — powiedział wreszcie. — W każdą niedzielę możesz kupić takie same na Hampstead Heath.

Ostatnim razem, jako początkująca, wygrałam dwadzieścia dwa funty.

— W ogóle tego nie rozumiem — powtórzył. — Wszystko to jakieś podróbki. Ta Estelle była taka pretensjonalna, całe to jeżdżenie na wykopaliska, jakieś beczki z epoki brązu. Co to za zajęcie dla dziewczyny?

— Opowiedz mi o Estelle — poprosiłam.

— Proszę bardzo. Snuła się cały czas w spodniach, a szminkę nakładała tylko po zachodzie słońca. Wydaje mi się, że nawet Mark musiał jej mieć to za złe. Co to za przyjemność chodzić do łóżka z epoką brązu.

— Uważasz, że mężczyznom chodzi tylko o jedno?

— Nie jest to takie złe, prawda?

Oczywiście, dwadzieścia dwa funty to nie była wielka suma. Nie rozwiązałyby to niczego.

— Prawda?

— Prawda, że co?

— Mniejsza z tym, moja droga, nie słuchaj tego, co mówię. Powiedz mi tylko, czy przyjdiesz do mnie w sobotę. Z drugiej strony nienawidziłam hazardu. Sprawiał, że serce waliło mi jak oszalałe.

— Nie wiem jeszcze. Zobaczę. Zobaczę, jak to się wszystko ułoży.

— No dobrze, jak będziesz mogła, wpadnij o dziewiątej w sobotę. Zaraz potem zebrał się do wyjścia.

Odprowadziłam go do drzwi.

— Jeśli mnie lubisz, nie mów Markowi, że wpadłem. Wyszedłem w sprawach służbowych, a nie sądzę, żeby aprobował moje spotkania z tobą. Zresztą on w ogóle mnie nie aprobuje, wiesz, jak jest.

Gdy patrzyłam za nim, pomyślałam sobie — ja również nie, jest w tobie coś złego, ale ja jestem inna. Jeśli o to chodzi, to się mylisz.

Wydało mi się, że ma taki sam stosunek do seksu, jak ja do pieniędzy. Przynajmniej pod tym względem był do mnie podobny.

Tego wieczoru Mark powiedział:

— Dzwoniłem do Romana, przyjdzie na obiad w piątek.

— Och... Tak szybko? Co powiedział?

— Niewiele. Z początku w ogóle nie chciał słyszeć o tym pomysle.

— Dlaczego?

— Zdaje się, że uważa, że lepiej jest poznać pacjenta jako pacjenta, bez żadnych dodatkowych spotkań.

— Co mu o mnie powiedziałaś?

— Jak mogłem najmniej. Ale powiedziałem mu, że chętniej zgodzisz się na terapię, jeśli będziesz mogła go poznać tutaj. Teraz, kiedy przyszło co do czego, zaczęłam się tym martwić. Chyba się zorientował, o co mi chodzi, bo dodał:

— Zadzwoń też do miejscowej firmy budowlanej, żeby przyszli jutro rano. Chciałbym, żebyś im powiedziała, jak mają przerobić garaż. Ten nasz Forio powinien tu być za tydzień.

Ten nasz Forio. Nie podobało mi się, że Mark mówił o nim w ten sposób. Forio był moją własnością, moim towarzyszem i przyjacielem. Chciałam, żeby tu był, ale chciałam go mieć tylko dla siebie.

— Przyjdzie sam? — spytałam. — Mówię o tym człowieku.

— Pomyślałem, że zaprosimy też mamę. Nie była u nas, odkąd wróciliśmy, a poza tym dzięki temu będzie to wyglądało bardziej jak spotkanie towarzyskie.

— Świetne spotkanie towarzyskie, będę się czuła jak owad pod mikroskopem.

— On wcale taki nie jest.

— Żałuję, że w ogóle obiecałam, że się z nim spotkam.

— Cóż, jeśli ci się nie spodoba, możemy spróbować z kimś innym.

Spojrzałam na niego, zastanawiając się, czy mam mu to wyperswadować, mówiąc: „Chyba nie chcesz, żebym cały dzień rozmyślała o moich symptomach. Ludzie tacy jak Roman zawsze bardziej szkodzą, niż pomagają”. Ale wiedziałam, że on przypomni mi wtedy nasz układ.

— Mark, chciałabym wyjść sama w sobotę wieczorem... Z Dawn Wi-therbie. Przyjaźniłyśmy się, zanim wyszłam za ciebie. Nie mogę tak nagle przestać się z nią spotykać.

— Nie ma powodu, żeby tak było. Gdzie chcecie iść?

— Jeszcze nie zdecydowałyśmy. Być może zostaniemy u niej w domu. Umówiliśmy się wieczorem. Ale mogę wrócić późno.

— Odrzuciłem jedno zaproszenie na sobotę. Od Terry'ego. Zapraszał nas do siebie.

— Dlaczego? Nie chcesz iść?

— Niewiele osób mnie drażni, ale Terry jest zdecydowanie jedną z nich. Nie czujesz tego? A może na ciebie to działa? Ja w każdym razie nie mogę znieść nawet jego widoku, a stanowczo mam go aż nadto codziennie w biurze i poza nim, żeby chcieć jeszcze go znieść wieczorem.

Podszedł do stolika i nalał sobie drinka.

— Można by też zaprosić Rexa z matką na piątek, jeśli się zgodzisz. Potrzebujemy ich moralnego wsparcia w firmie, więc zaproszenie ich będzie zarówno strategiczne, jak i uprzejme z naszej strony.

— W firmie?

— Tak. Newton-Smithowie mają spory udział mniejszościowy, więc z ich pomocą udaje mi się zwykle przeprowadzić to, co chcę. Zaledwie osiemnaście procent udziałów należy do drobnych akcjonariuszy, a ci zwykle nie pojawiają się na zebraniach i nie korzystają z prawa do głosu. Reszta, około trzydziestu pięciu procent, należy do Holbrooków.

— Skoro tak, to możesz czuć się bezpiecznie — powiedziałam.

— To się może zmienić. Ostatnio jest duży ruch na giełdzie, więc ceny akcji nieźle podskoczyły. Wiem, że rodzina Newton-Smith dostała ofertę zakupu części akcji od banku, więc stoją przed sporą pokusą. Staram się

ich odwieść od tego pomysłu. Jeśli to tylko bank, nie ma się czym martwić, ale równie dobrze może on działać w imieniu jakiejś innej firmy czy osoby.

— Czy Holbrookowie o tym wiedzą?

— Oczywiście! Zasiadają w zarządzie i stanowią część rodziny, nawet jeśli czasami wolałbym, żeby tak nie było...

W piątek byłam cała w nerwach. Moje dzieciństwo nie przygotowało mnie należycie do życia towarzyskiego.

Denerwowałam się bardziej obiadem dla kilku starszych osób niż kradzieżą siedmiuset czterdziestu sześciu funtów z kina Roxy w Manchesterze.

To drugie robi się w tajemnicy, a gdy już wszyscy o tym wiedzą, możesz się tym nie przejmować. A tu? Wszyscy cię widzą. Mam podejść do drzwi, jak tylko wejdą, czy poczekać, aż zdejmą płaszcze? O czym można rozmawiać, przecież pogoda to nie jest temat na cały wieczór? Kto ma zaproponować coś do picia i kiedy? Jak już usiądziemy do stołu, mam pierwsza zacząć jeść, czy poczekać na panią Rutland?

W końcu jakoś to przeżyłam. Jak zwykle większość rzeczy przygotowała pani Leonard. W ostatniej chwili zaciął mi się zamek w sukience, gdy ktoś już dzwonił do drzwi, a nie chciałam prosić Marka o pomoc. Musiałam więc jakoś wydostać się z sukienki, zapiąć ją do połowy, a potem wcisnąć się w nią z powrotem. Potem zupa okazała się za słona, a kominek zaczął dymić.

To wszystko nie byłoby tak trudne, gdyby chodziło tylko o rodzinę Marka. Ale dodatek w postaci doktora Romana znacznie pogarszał sprawę. Po raz pierwszy miałam grać rolę gospodyni wobec trzech wysoko postawionych członków rodziny i jeszcze uważnie się przyjrzeć jemu.

Jak się jednak okazało, doktor Roman nie był taki straszny. Oczekiwałam kogoś w typie Drakuli, tak więc ulżyło mi, kiedy ujrzałam łysiejącego, zmęczonego mężczyznę w brązowej marynarce, która wymagała prania, i w za długich, powypychanych na kolanach spodniach. Mówił o swoich dzieciach, które chodziły do szkoły koedukacyjnej, o wakacjach za granicą i o swej diecie, ale nie po to, by zmylić moją czujność, ale jakby były to sprawy, które on sam uważał za zajmujące. Podczas całego wieczoru wymieniliśmy różne opinie parę razy, ale nie wykazywał szczególnego zainteresowania moją osobą. Miało się wrażenie, że przyszedł sobie po prostu na dobry obiad, i w pełni też z tego korzystał.

Jeśli oczekiwałam pełnego empatii, rozumiejącego ojca-spowiedni-ka, Romana należałoby z pewnością skreślić. Ale jako osoba, która miała mi pomóc spełnić warunek Marka, nadawał się wyśmienicie.

Nie mogłam nic poradzić na to, że polubiłam panią Rutland, mimo że miała jedną wadę, a mianowicie była mamą Marka. Wspierała mnie akurat tyle, ile było potrzeba, przy czym nigdy się nie wymądrzała, i mimo że było jasne, że jest damą, nie była nadęta i sztywna, jak wiele innych starszych kobiet z jej klasy społecznej. One naprawdę często są wstrętne — wysokie, z dużym biustem i zgrabnymi kostkami i nigdy nie zadają się z nikim spoza ich własnego kręgu. Rozmawiają o zakupach w Fortnums i u Harrodsa, i zawsze są strasznie biedne, to znaczy nie stać ich na kawior, a mówią głosami z górnej oktawy walijskiego tenora. Starsza pani Newton-Smith była właśnie trochę taka, i była to ciężka próba, kiedy musiałam zabrać obie panie na górę, żeby mogły sobie przypudrować nosy. Boże, jaka byłam szczęśliwa, że brałam te lekcje wymowy, nawet jeśli przez to byłam najbardziej fałszywa z nas trzech. Gdy zeszliśmy na dół, Mark uratował trochę sytuację, gdyż opowiedział wszystkim o moim koniu, i okazało się, że Rex ma bzika na punkcie koni, więc zaraz zaczął mnie wypytywać o Foria. Oczywiście cała ta historia, jak kupiłam go po wyścigach i trzymałam na farmie w Gloucestershire, była jak znalazł, bo ustawiała mnie razem z nimi w szeregach wiejskiej szlachty. Zresztą zaraz wyszło na jaw, że Rex regularnie poluje w Thorn — nie wiem, jakich rozmiarów koń byłby w stanie przeskoczyć z nim przez przeszkodę — ale że mieszkał niecałe trzydzieści kilometrów od Little Gaddesden, spytał nas, czy nie mielibyśmy z Markiem ochoty wybrać się kiedyś na polowanie. Z grzeczności przyjął zaproszenie, myśląc, że później jakoś się wymigam, bo nigdy nie byłam na polowaniu, a sama myśl o tym budziła we mnie niechęć.

Gdy wszystko się już skończyło i wyszli ostatni goście, Mark powiedział: — Bardzo dobrze ci poszło, Marnie.

— Dobrze? — spytałam, oczekując raczej sarkazmu czy krytyki.

— Tak, myślę, że nie mogło być lepiej. A ty co myślisz?

— Byłam kłębkiem nerwów.

— Nie było tego w ogóle widać.

— Musimy wyczyścić kominek — orzekłam, grzebiąc w popiele.

— Wiesz — powiedział po chwili — przyjęcia nigdy nie były mocną stroną Estelle. Tak się cieszę, że ty sobie z tym radzisz.

Przeciągnęłam się i przez chwilę zdawało mi się, że zaraz mnie obejmie. Odsunęłam się więc i spytałam:

— Czy doktor Roman coś powiedział?

Oczywiście jak zwykle dostrzegł mój manewr i twarz mu stężała.

— Wyznaczył wizytę we wtorek na drugą.

— Tylko tyle?

— Właściwie tak. Pójdiesz?

— Jeszcze się nie zdecydowałam.

— Zaproponował, żebyś pochodziła do niego przez jakieś pięć czy sześć tygodni. Potem będzie mógł stwierdzić, czy jest w stanie ci pomóc.

Poprawiłam fotografię Estelle na pianinie. Nawet jeśli jej mąż mnie nie pociągał, miło było wiedzieć, że nie była ideałem.

— A co z akcjami? — spytałam. — Udało ci się przekonać Rexa i jego matkę, by ich nie sprzedawali?

— Namówiłem ich, żeby wstrzymali się jeszcze przez chwilę. Myślę, że jeśli naprawdę postanowią je sprzedać, być może ja sam będę musiał je kupić. Ale przy obecnej wywindowanej cenie musiałbym wziąć na to sporą pożyczkę z banku.

— Powiedziałaś, że ceny akcji idą w górę. Dlaczego, skoro w zeszłym roku ponieśliście stratę?

— Stratę ponieśliśmy dwa lata temu. Niedawno opublikowane raporty wykazują pokaźny zysk. Jednak wartość naszej siedziby i magazynów została znacznie zaniżona, to jest cała prawda. Ludzie kupują te kilka akcji, które są na rynku, by je odsprzedać za ładnych parę lat.

Może nie będą czekać tak długo, pomyślałam, przypominając sobie listy, które przeczytałam kiedyś w biurze.

Gdy dotarłam do Terry'ego około dziewiątej w sobotę, właśnie leciały te same hity co ostatnim razem, ale towarzystwo było zupełnie inne. Oprócz Macdonaldów nie znałam tam nikogo. Gail rzuciła obojętnie:

— Och, kochanie, tak dawno się nie widziałyśmy. — I przyglądała swoją chłopięcą fryzurę. AHstair. uniósł zaś brwi sponad mnóstwa butelek i stosów kanapek.

Terry przedstawił mnie pozostałej szóstce. Stanowili przedziwną grupę. Jeden z nich był zblazowanym żydowskim reżyserem, który wyglądał tak, jakby osiągnął wszystko i nie miał już nic do roboty. Były też dwie cyniczne kobiety pod czterdziestkę z idiotycznymi, cienkimi liniami zamiast brwi. Widać było, że starają się wyglądać młodo, ale to je jeszcze bardziej postarzało. Pozostała trójka to mężczyźni z niezłymi pieniędzmi. Widać to było na pierwszy rzut oka.

Jak tylko zaczęliśmy grać, czyli około dziesiątej, zorientowałam się, że była to zupełnie inna gra niż poprzednio.

Ostatnio przypominało to raczej typową rozrywkę klasy średniej, która chciała pobawić się w hazard. Tym razem gra była na serio. I nie było żadnych początkujących oprócz mnie.

Maksymalne podniesienie stawki wynosiło jeden funt. Miałam przy sobie pięć funtów, ale z tego, jak grali inni, wywnioskowałam, że nie dam rady się z tego wypłacić, jeśli przegram. Zaczęłam więc bardzo ostrożnie, pasując, jak tylko słabo mi szło, i w ogóle nie blefując. Obserwowałam pozostałych i starałam się uczyć od nich. Próbowałam też oszacować szansę wygranej, tak jak poprzednio. Jednak zjadały mnie nerwy i gdyby nie trafiły mi się dobre karty, przegrałabym. Musiało mi nieźle odbić, bo nagle zaczęłam grać sama przeciwko reżyserowi, i choć czułam, że miałam lepsze karty niż on, to bałam się zmusić go do pokazania kart.

O pierwszej byłam dwa funty do przodu, a około trzeciej doszłam prawie do dziewięciu. Potem miałam dwie wpadki. Przy drugiej z nich byłam pewna, że reżyser znowu blefuje, okazało się jednak, że nie, i straciłam jedenaście funtów przy jednym rozdaniu. Dalej grałam więc bardzo ostrożnie i kiedy skończyliśmy o czwartej, byłam tylko trzydzieści szylingów do tyłu. Mdliło mnie jednak strasznie, a trzydzieści szylingów wydało mi się naraz fortuną.

Straciłam zupełnie rachubę czasu i zapomniałam o Marku, więc gdy zerknęłam na zegarek, wstałam i powiedziałam, że muszę natychmiast wyjść.

Terry obrzucił mnie jednym z tych swoich spojrzeń z ukosa.

— Stary może się wściec, co? Cóż, mam nadzieję, że było warto.

— Tak, bardzo dobrze się bawiłam. Dzięki, Terry.

— Przyjdź jeszcze kiedyś. Organizuję takie przyjęcia raz w tygodniu. Żadna osoba w potrzebie nie będzie odprawiona.

Może i nie, pomyślałam, ale czasem można stąd wyjść, będąc w potrzebie.

Wróciłam do domu samochodem Estelle, powtarzając sobie, że to nieważne, że przegrałam.

## Rozdział 11

Proszę usiąść, pani Rutland — powiedział doktor Roman. — Tutaj, jeśli pani pozwoli. Mogę wziąć pani płaszcz?

Tak jest o wiele lepiej. Mamy dzisiaj nie najprzyjemniejszy dzień. Przyjechała pani samochodem?

Mieszkał w jednym z tych wąskich domów przy Regent's Park. Każdy wariuje na ich punkcie, ale nie mam pojęcia dlaczego.

— Chciałbym, żeby traktowała pani nasze spotkania niejako konsultacje, ale jako przyjacielską pogawędkę. Zresztą, jak pewnie się pani orientuje, nasze spotkania będą miały swobodny charakter.

Roman zachowywał się teraz nieco inaczej. Przypuszczam, że miał swego rodzaju „model postępowania”, który zdejmował z wieszaka i zakładał przed wejściem pacjenta. Z tabliczki na zewnątrz wynikało, że dzielił ten dom z innym lekarzem, chirurgiem. Do środka wprowadził mnie służący. Zaczęłam się zastanawiać, ile to wszystko kosztowało Marka.

— Co panu powiedział mój mąż?

— Niewiele, pani Rutland. Właściwie tylko to, że uzgodniliście razem, że będzie pani do mnie przychodzić.

— Przyszłam tu do pana tylko dlatego, że on tego chce.

— No cóż, zrozumiałem, że to był jego pomysł. Ale zakładam, że nie jest pani temu zupełnie przeciwna?

W weekend pojechalśmy po Foria.

— Nie.

— Oczywiście zaraz na początku powinniśmy to ustalić. Niewiele jestem w stanie zrobić, jeśli nie będzie pani chciała ze mną współpracować. Odruchowo poprawiłam bluzkę.

— Będę siedział tuż za panią — ciągnął. — Nigdy nie notuję, więc nic z tego, co pani powie, nie zostanie zapisane. Dzisiaj chciałbym, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, żeby podała mi pani ważniejsze fakty z pani życia, to znaczy, gdzie się pani urodziła i tego typu rzeczy. Dzięki temu zyskam szerszy obraz pani osoby.

Byłam pewna, że w którymś momencie będzie chciał uzyskać szerszy obraz. Wszystkim teraz o to chodzi.

Siedziałam na zwykłej czarnej kozetce. Była jednak dość szeroka i leżały na niej dwie zielone poduszki, by nadać jej bardziej wykwintny charakter.

— Mam zacząć teraz? — spytałam.

— Jak tylko będzie pani gotowa. Proszę się nie spieszyć.

Oczywiście, bez pośpiechu, przy takiej stawce za godzinę.

Pomyślałam o Foriu. W niedzielę rankiem pojechalśmy na farmę Garroda, choć oczy kleiły mi się niemiłosiernie.

(Mark musiał się domyślić, że wróciłam późno, ale nie powiedział ani słowa). Mieliśmy piękną przejażdżkę, świeciło słońce, a w każdym z mijanych kościołów rozbrzmiewały dzwony. Tak jakbyśmy szli w uroczystej procesji.

— Mam dwadzieścia trzy lata — powiedziałam. — Urodziłam się w Devonport. Mój ojciec był kreślارzem w stoczni. Gdy wybuchła wojna, zaciągnął się do marynarki i zginął na morzu. W tym samym roku moja matka zginęła podczas nalotu w Plymouth, byłam więc wychowywana przez przyszywaną ciotkę Lucy Nye. Chodziłam do Szkoły dla Dziewcząt na North Road. Potem mój wuj Stephen opłacił mi technikum St Andrew's, gdzie nauczyłam się stenografii, pisania na maszynie, księgowości i rachunkowości.

Nie bardzo podobało mi się to, że za mną siedział. Przedstawiałam mu tę samą mieszaninę prawdy i fałszu, jaką podałam Markowi, ale nie widziałam, w jaki sposób ją przyjmował. Gdy przerwałam, nic nie mówił, więc czekałam. Czekałam, aż jakiś zegar wybił kwadrans i pomyślałam: uff, minęło już piętnaście minut pierwszej wizyty.

Trochę mnie to pocieszyło, więc dokończyłam swą opowieść, jak to poszłam do pracy, Lucy Nye zmarła i zostawiła mi dom, i jak potem dostałam posadę w Bristolu. Potem powiedziałam, że wydałam wszystkie pieniądze i znalazłam pracę w Londynie. Następnie, że przeniosłam się do Rutland, poznałam Marka i pobraliśmy się. Wszystko to brzmiało tak szczerze, że sama zaczęłam w to wierzyć.

Gdy skończyłam, powiedział:

— Wspaniale. To jest właśnie to, czego oczekiwałem — krótki rys biograficzny. Teraz chciałbym, żeby w ciągu następnych kilku minut opowiedziała mi pani o jakichś osobach z pani życia.

— Co ma pan na myśli?

— No cóż, zacznijmy może od pani matki i ojca. Czy dobrze ich pani pamięta? Jak wyglądali, na przykład.

— Mój ojciec był wysoki, miał szarawe włosy i cichy głos. Miał bardzo silne dłonie z krótko przyciętymi paznokciami, bystre zielone oczy, które zdawały się wiedzieć, co myślisz, nim samemu zdążyło się to powiedzieć. To on pierwszy nazwał mnie Marnie i potem to jakoś do mnie przylgnęło.

— A pani mama?

Wszystko było bardzo dobrze, gdyby nie to, że gdy przestałam na chwilę mówić, zorientowałam się, że w ogóle nie opisałam mojego ojca, ale brata matki, Stephena.

Zapadła długa cisza.

— Nie pamiętam mojej matki zbyt dobrze.

— Nic pani nie pamięta?

— Tylko trochę. Była nieduża, miała wystające kości policzkowe, była dość surowa. Zawsze ciężko pracowała. Gdy byliśmy biedni, odmawiała

sobie, żeby starczyło dla mnie. Ja zawsze byłam dla niej na pierwszym miejscu. Zawsze musiałam zachowywać się jak należy. To było najważniejsze. Zabierała mnie do kościoła trzy razy w każdą niedzielę. Po krótkiej przerwie spytał:

— To wszystko?

— Tak.

— I tak opowiedziała mi pani więcej o swojej matce niż o ojcu. Następna przerwa.

— Nie rozumiem tylko jednej rzeczy. Dlaczego byliście biedni?

— Bo nie mieliśmy pieniędzy. Wtedy jest się biednym.

— Ale ojciec pani pracował, prawda?

— O ile pamiętam, tak. Byłam za mała, żeby wszystko pamiętać.

— Ale jako dziecko marynarza, który zginął na wojnie, powinna była pani dostać rentę.

— Nie pamiętam tego. Pewnie Lucy Nye pobierała ją za mnie.

— Ile czasu po śmierci ojca zginęła pani matka?

— Jakies dziewięć miesięcy.

— I wtedy ta ciotka, pani Lucy Nye, wzięła panią do siebie?

— Tak, panna Nye.

— Może mi pani o niej opowiedzieć? Opowiedziałam mu.

To opowiadanie nie było w sumie takie złe. Trzy czwarte z tego było prawdą, a pozostała jedna czwarta była już tak zafiksowana w moim umyśle, że mogłam manipulować nią, jak tylko chciałam.

Jeśli nie miałam ochoty odpowiedzieć na jakieś pytanie, mówiłam po prostu, że nie pamiętam.

Gdy się zatrzymywałam, nie poganiał mnie, a raz czy dwa razy udało mi się uciec myślami do niedzieli. Gdy dojechalśmy do farmy, boks zamówiony przez Marka już tam czekał. Pobiegłam przez podwórze na pole, nawołując Foria, który przygalopował zaraz na dźwięk mojego głosu. Mark naprawdę starał się być bardzo miły i zauważyłam, że Garrodowie go polubili. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział coś na temat koni i w ogóle mnie nie poganiał. W końcu wyjechaliśmy o trzeciej, jadąc powoli za samochodem z koniem. Dotarliśmy do domu tuż przez zmrokiem i zaraz wypuściliśmy Foria na padok, pojeździłam na nim trochę wkoło na oklep, tak dla samej przyjemności.

Chciałam, żeby zrozumiał, że już zawsze będziemy razem.

— Nie była więc pani jedynym dzieckiem?

Wróciłam do rzeczywistości i usłyszałam bicie zegara. Oznaczało to koniec na dzisiaj, mogłam nie myśleć o tym aż do piątku.

— Miałam brata, ale zmarł przy narodzinach.

— Ile miała pani wtedy lat?

— Nie pamiętam.

— Nie pamięta pani nic na ten temat?

— Nie.

— A pamięta pani coś dotyczącego dnia, kiedy zginął ojciec? Pamięta pani moment, kiedy przyniesiono tę wiadomość?

Musiałam się nad tym zastanowić. Gdy skończyłam sześć lat, mój ojciec jeszcze żył. To znaczy, dowiedziałam się, że zginął, po tym, jak po nalocie musieliśmy uciekać z Keyham i przenieśliśmy się do Sangerford, ponieważ zginął w czerwcu 1943 roku, a mój brat urodził się we wrześniu, ale zupełnie nie pamiętałam, żeby ktoś powiedział mi o tym po powrocie ze szkoły albo żebym widziała moją matkę, mdlejącą z telegramem w rękę, czy nawet żeby powiedziała mi o tym Lucy Nye.

— Nie — odparłam, nadal się zastanawiając.

— Nie ma w tym nic dziwnego. Pani pamięć jest zdumiewająco dobra. Jej wyjątkowość polega na tym, że nie zawahała się pani ani razu, wymieniając jakąś datę czy inny szczegół.

— Nie? — spytałam. Czyli byłam za dokładna.

— Czy pamięta pani śmierć matki?

— Pamiętam, jak mi o tym powiedziano. Ale nie było mnie przy tym. Przeniesiono mnie do domku w Sangerford, koło Liskeard, gdzie mieszkała moja ciotka Lucy. Mama miała... Miała do nas dołączyć, ale wyszła za późno...

— No dobrze — powiedział, wstając. — Myślę, że było to bardzo dobre wprowadzenie. W piątek być może zajmiemy się dokładniej pewnymi szczegółami. Pomógł mi założyć płaszcz i odprowadził mnie do drzwi. Ciągle padało, ale poszłam do metra, zamiast wydawać pieniądze na taksówkę. W następną sobotę znowu poszłam grać w pokera. Byli tam mniej więcej ci sami ludzie. Wygrałam sześć funtów. Szybko się uczyłam. Większość osób, poza reżyserem i Alistairem Macdonaldem, wcale nie była taka mocna w grze. Nie podchodzili do niej logicznie. Kierowali się „przeczuciami” i tym, ile kart pobrał ich sąsiad. W ten sposób nie mogli dojść do niczego. Mimo to nie miałam żadnej przyjemności z grania. Kosztowało mnie to za dużo nerwów.

Piątkowa wizyta u doktora Romana przebiegła podobnie jak poprzednia. Ja mówiłam, on zadawał pytania. Były to pytania, które mogłabym zadać komukolwiek, i to zupełnie za darmo. Jedno wielkie oszustwo. Całą sprawę mogliśmy załatwić przy kawie za osiem pensów. Atu proszę, facet umieścił sobie nazwisko na mosiężnej tabliczce, a ludzie mu płacili za to, że mogli siedzieć na kozetce i mówić o sobie. Dawało to niezłe do myślenia. Może byłam tak naprawdę uczciwym obywatelem, kradnąc pieniądze po prostu z kasy...?

Gdy skończyliśmy, zaproponował mi papierosa i powiedział:

— Jak do tej pory, świetnie pani sobie radzi, pani Rutland. Zawsze podnosi mnie na duchu, kiedy mogę pomóc człowiekowi tej klasy co pani.

— Klasy takiej jak ja?

— Cóż, żeby pacjent mógł skorzystać z terapii, musi być inteligentny. Leczenie głabów to zwykła strata czasu.

— Dziękuję.

— Niech pani mnie dobrze zrozumie, nie mówię tego z wyższością. Po prostu widzę, że jest pani niezwykle bystra. Praca z panią jest dla mnie stymulująca.

Posłałam mu jasny uśmiech. — Do następnego wtorku?

— Tak, do następnego wtorku. Jeszcze tylko jedno... — przerwał i podrapał się po niezbyt gładko ogolonej brodzie.

— Inteligencja w terapii może być zarówno trampoliną, jak i przeszkodą. Na pewnym etapie będzie musiała się pani zdecydować, jaką rolę będzie pełnić w pani przypadku...

— Zastanowię się nad tym — powiedziałam, ale wcale o tym nie myślałam, aż przypomniało mi się to przy następnej partii pokera. Coś powiedziało mi wtedy, że zdanie to kryło więcej treści, niż mi się wydało za pierwszym razem.

Było coś szczególnego w sposobie, w jaki to powiedział. Nie należało lekceważyć Romana i mieć nadzieję, że uda się go zwieść. Nigdy nie należało być zbyt pewnym. Życie nauczyło mnie tego dość wcześnie.

Po Bożym Narodzeniu między mną a Markiem zaczęło się chwilowo lepiej układać. Sądzę, że Roman powiedział mi, że gram w otwarte karty, zaczął więc mieć nadzieję, że zostanę wyleczona, z czegokolwiek, według niego, należało mnie wyleczyć. Zwykle też szybko rejestrował poprawę mojego nastroju.

Nigdy nie czułam się lepiej od momentu, kiedy odnalazł mnie w Gloucestershire. Codziennie też jeździłam konno, co dawało mi namiastkę wolności.

Mark nadal zachowywał dystans. Jeśli byłam taka bystra, jak to się niektórym wydawało, mogłam była się domyślić, ile go to musiało kosztować. Jednak im dłużej się do mnie nie zbliżał, tym mniej o tym myślałam.

Kwestia pieniędzy dla matki nadal była nierozwiązana. Na Gwiazdkę przesłałam jej dwadzieścia funtów, przeprasząc, że nie będę mogła, niestety, przyjechać do domu na święta. Jednocześnie pomyślałam sobie, że w nowym roku zacznę szukać jakiejś pracy na pół etatu w sklepie. Mogłabym dojeżdżać samochodem, a Mark nie musiał nic o tym wiedzieć. Mogłabym pracować pod przybranym nazwiskiem. Wszystko jednak wskazywało na to, że trudno mi będzie znaleźć coś ciekawego. Oczywiście, mogłabym się jakoś przebierać, ale byłoby to bardzo niebezpieczne, skoro każdego wieczora musiałam wracać do domu jako pani Rutland.

Zastanawiałam się także, czy nie umieścić prośby w specjalnej rubryce w „The Times”. Zredagowałam nawet treść ogłoszenia. „Czy kilka hojnych osób dobrej woli zechce wspomóc wielebnego ojca pracującego wśród biedoty na East Endzie, aby mógł kupić mały, używany samochód do pracy w parafii? Z góry dziękuję za wszelkie datki.

Skrzynka pocztowa, itd.”

Było to bardzo łatwe: można było podać wyłącznie do wiadomości „The Times” jakikolwiek adres do korespondencji, na który miały być przekazywane listy. Łatwo było też zdobyć papier z nagłówkiem „Parafia Św. Zbawiciela” na listy z podziękowaniami. Ale pomyślałam, że ktoś w redakcji mógłby zauważyć, że adres docelowy nie miał w nazwie nic kościelnego i mogliby zacząć zadawać pytania. Należało dłużej się pozastanawiać i wymyślić coś lepszego.

W święto Trzech Króli mama Marka miała przyjechać do nas na obiad. Rankiem byłam bardzo zajęta. Nie przepadam za gotowaniem, naprawdę. Jednak ciasta wychodzą mi całkiem nieźle. Postanowiłam więc upiec wielki urodzinowy tort dla Ailsy Richards. Pani Leonard pomagała mi go lukrować. Wiem, że to brzmi patetycznie, ale czasami ma się większą frajdę, jak się zrobi coś dla kogoś niż dla samego siebie. Nawet to, że zrezygnowałam z porannej przejażdżki było niczym w porównaniu z przyjemnością, jaką czułam, niosąc im tort i widząc radość na ich twarzach.

Czułam się wspaniale. Gdy wróciłam do domu, Mark odpoczywał po partii golfa. Cały czas namawiał mnie, bym też spróbowała, bo obecnie jedliśmy podwieczorki na tyłach ogrodu, blisko pola golfowego. Ja jednak cały czas odmawiałam, mówiąc, że na pewno pójdzie mi fatalnie. Śmiałyśmy się z tego. Niezbyt często śmiałyśmy się z czegoś razem, więc była to pewna odmiana. Mark rzadko ze mną żartował. Przez te kilka minut było tak, jakby ta straszna noc w San Antonio nigdy się nie wydarzyła.

Jakoś tak pod koniec lunchu rozmowa zeszła na temat firmy i pomyślałam sobie, że nie jestem w porządku, nie mówiąc mu o tych dwóch listach, które przeczytałam. Powinnam mu powiedzieć, co wiem, a on już zadecyduje, co z tym zrobić. No i powiedziałam mu o tym.

Słuchał mnie w milczeniu. Potem wzruszył ramionami, jakby miał na sobie niewygodny płaszcz, i spojrzał na mnie.

— Glastonbury Investment Trust. To Malcolm Leicester. Zastanawiam się, o co chodzi Chrisowi. Chce pozbawić mnie całkowicie kontroli nad firmą? Czy chce ją sprzedać? Jeśli zamierza sprzedać, to dlaczego chce kupić udziały?

— To wszystko, co wiem. Terry nigdy mi o tym nie wspominał.

— Zanim się pobraliśmy, oczywiście?

— Tak, oczywiście — nie chciałam mu mówić o naszych spotkaniach przy kartach.

— W każdym razie byłoby lepiej, gdyby przedstawili całą sprawę zarządowi, cokolwiek to jest. Teraz będą musieli to zrobić. — Nie mów, w jaki sposób się o tym dowiedziałeś. Zmarszczył czoło.

— Nie... Z drugiej strony lepiej by było, gdyby na razie nie wyszło to na jaw. Spróbuję za to dowiedzieć się czegoś na ten temat... Jestem ci bardzo wdzięczny, że mi to powiedziałaś.

— Ależ proszę cię bardzo — odpowiedziałam równie uprzejmie jak on, co zabrzmiało wyjątkowo sztucznie.

Podniósł głowę i uśmiechnął się lekko.

— Czy czujesz się moją żoną, Marnie?

— Nie.

— Ja też nie czuję się twoim mężem. Być może to kwestia czasu... Byłaś kiedyś na koncercie?

— Na jakim koncercie?

— Muzyki poważnej. Wiesz, w takiej wielkiej sali koncertowej.

— Nie.

— Może pójdziemy w następnym tygodniu? Miałabyś ochotę?

— Przypuszczam, że to ten rodzaj muzyki, którego można posłuchać w radiu...

— Dokładnie tak. Ale brzmi to zupełnie inaczej.

— No dobrze... Jesteś bardzo cierpliwy, Mark, prawda?

— Zauważyłaś to dopiero teraz?

— Jesteś cierpliwy — powtórzyłam — ale nie dajesz za wygraną.

— Gram o dużą stawkę.

— Chcesz mieć ładną, miłą żonkę, która każdego wieczoru będzie na ciebie czekać, grzejąc ci kapcie i takie tam. Mogłabym ci wybrać takich z sześć.

— Dzięki, sam wybieram sobie żonę.

— Tak — odpowiedziałam i wstałam. — Ale jak widać, nie zawsze się to sprawdza. Na jaki koncert mnie zabierasz? Miałam wrażenie, że rozmowa zaczynała schodzić na poważniejsze tematy. Udało się ją jednak skierować na inne tory.

## Rozdział 12

W następnym tygodniu Roman zmienił taktykę. -Jak tylko usiadłam, powiedział:

— Myślę, pani Rutland, że przez ostatnie dwa tygodnie pracowaliśmy na tyle dobrze, że możemy przejść do kolejnego etapu. To bardzo proste i zarazem bardzo podobne do tego, co robiliśmy do tej pory. Przestanę pani zadawać pytania na temat pani życia, chciałbym, żeby to pani mówiła przez cały czas. W ciągu godziny rzucę pani trochę innych haseł, i prosiłbym, żeby mówiła pani, cokolwiek przychodzi pani do głowy w związku z nimi. Proszę się nad niczym nie zastanawiać, proszę mi po prostu mówić, co pani przychodzi na myśl, nawet jeśli jest to bezsensowne — a nawet zwłaszcza wtedy, jeśli jest to bezsensowne. Rozumie pani, o co mi chodzi?

— Tak, tak sędzę.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, po czym spytał:

— Czy jest pani zadowolona z naszych spotkań?

— O tak... Raczej tak.

— Przyjeżdża pani metrem?

— Tak, z reguły.

— Deszcz. Z czym się pani kojarzy deszcz?

— Zawsze pada, jak tu przychodzę. Jak do tej pory, za każdym razem. Mój parasol robi kałużę w pana stojaku. Koła autobusów wydają dźwięk jak woda gotująca się w czajniku. Ssz... Ssz...

Według mnie brzmiało to całkiem tak, jakbym mówiła pod wpływem nagłego impulsu.

— Woda — podsunął znowu.

— Czy to nie to samo? Nie, chyba niezupełnie. — Spojrzałam na moją kostkę. Ta baba zahaczyła mi o rajstopy swoją głupią laską. Niektóre kobiety nie powinny wychodzić w domu, nie patrzą, gdzie stoją, i nawijają cały czas o kamieniach żółciowych jakiegoś Charlesa.

Pomyślałam, że tak łatwo mu się nie dam. Zagram posłuszną pacjentkę.

— Woda? W Plymouth, gdzie się urodziłam, ciągle pada. Wszędzie wokół jest woda. To miasto portowe. Wody tam się burzą. Jak ta w czajniku. Uwielbiam herbatę, a pan? To najprzyjemniejszy napój na świecie. W domu zawsze piło się herbatę. Wejdz, kochanie, napijesz się herbaty. Właśnie zaparzyliśmy. Chcesz cukru? Nie, przestałam słodzić w czasie wojny. Racjonowanie żywności, to było coś strasznego.

Odczekał chwilę, ale nic nie mówiłam.

— Kąpiele.

— Kąpiele?

— Tak.

Zamilkłam na dłuższy czas. Oparłam się wygodnie i przymknęłam oczy. Pomyślałam, że nie jest źle. Czeka, aż coś powiem, a czas leci.

— Kąpiele — powiedziałam. — Bierze pan kąpiele, panie Roman? Nie odpowiedział.

— Czasami, jak mam ochotę — podjęłam — biorę dwie lub trzy dziennie. Niezbyt często, czasami. Mark mówi, na co ja tracę czas, ale odpowiadam mu, że chyba lepiej wziąć ich za dużo niż za mało, prawda? Jak się człowiek nie myje, to śmierdzi. Chciałby pan, żebyś śmierdziała?

— Co się pani kojarzy z kąpielami? Co pani od razu przychodzi na myśl?

— Mydło, korek, woda, deszczówka, burowie, baptyści, krew, łzy, znój... — Przerwałam, bo mój język zaczął mi się wymykać spod kontroli. Co ja wygadywałam?

— Baptyści — powtórzył.

— Krew Baranka — powiedziałam. — Aby mnie oczyścić. A jego łzy zmyją twoje grzechy i narodzisz się na nowo

— urwałam i zachichotałam. — Moja matka prowadziła mnie do kaplicy trzy razy każdej niedzieli i myślę, że to teraz wychodzi.

— Zna to pani od dziecka?

— Lucy Nye też — dodałam pospiesznie. — Lucy robiła to samo po śmierci mojej matki.

I tak przez całą godzinę. Przez większość czasu kręcił się wokół tematu wody. Nie wiem, o co mu chodziło, ale po jakimś czasie przestało mi się to wszystko podobać, i pomyślałam sobie, niech sam się kręci w kółko wokół swoich myśli. Bo niby dlaczego miałam tak ciężko pracować? W końcu to jemu płacono, nie mnie.

Zatrzymaliśmy się przy tym chwilę dłużej, aż do momentu, gdy spytał

O burzę, pomyślałam sobie: o, świetnie, to mu ubarwi życie — i opowiedziałam mu o Lucy Nye i jak mnie nią straszyla. Ale nawet wtedy miałam dziwne przeczucie, że ani trochę nie wierzy w to, co mówię.

Gdy spotkanie się skończyło, miałam wrażenie, że jak na milczka mówiłam zdecydowanie za dużo...

Tak więc w piątek postanowiłam, że nie odezwę się ani słowem.

Nie było to jednak takie proste, bo niemal zaraz na początku zapytał mnie:

— Niech mi pani opowie o swoim mężu. Kocha go pani?

— Ależ oczywiście — odpowiedziałam pełnym uczucia głosem, gdyż milczenie w tym wypadku mogłoby oznaczać więcej niż słowa.

— Co oznacza dla pani słowo „miłość”? Nie odpowiedziałam.

Po jakichś pięciu minutach zaczęłam:

— Och, uczucie, pocałunki... Ciepło, objęcia... Kuchnia, w której pali się ogień, wchodzenie do domu, gdy pada...

Bóg tak umiłował świat, że swego jedynego Syna dał... Forio, który rozpoznaje moje kroki. Kocia mama niosąca kocięta. Wujek Stephen idący mi na spotkanie. Wystarczy?

— A seks? Ziewnęłam.

— ...Męskie i żeńskie różnice. Mężczyzna i kobieta... Adam i Ewa.

1 podszczypywanie. Brudne chłopaki. Jak jeszcze raz zbliżysz się do mnie, dostaniesz po gębie... — Urwałam.

Znowu nastąpiła cisza.

No dobra. Ja tam mogę poczekać.

Minęło jakieś pięć minut.

— Czy seks kojarzy się pani z czymś jeszcze? — spytał.

— Tylko jakiś oślizgły psychiatra może się tym interesować — odparłam.

— Z czym się pani kojarzy małżeństwo?

— O rany, po co to wszystko? — krzyknęłam już zirytowana. — Nudzi mnie to. Rozumie pan? Nudzi!

Było tak cicho, że słyszałam tykanie mojego zegarka.

— Z czym się pani kojarzy małżeństwo?

— Dzwony kościelne. Szampan. Stare botki. Stare śmierdzące botki. Coś pożyczonego, coś niebieskiego. Druhny. Konfetti.

— Pani mówi chyba o ślubie i weselu, a nie o małżeństwie.

— Powiedział mi pan, żebym mówiła to, co mi przychodzi do głowy! — Wybuchnęłam. — Więc to mówię! Czego pan jeszcze ode mnie chce? Jeśli to panu nie wystarcza, ja... ja...

— Proszę się uspokoić. Jeśli to panią denerwuje, możemy zmienić temat.

I tak się to toczyło. W kolejny wtorek ostro się posprzeczałyśmy. Zamilkłam więc i nie odzywałam się przez następne pół godziny. Udawałam, że zasnęłam, ale nie dał się na to nabrać. Potem zaczęłam liczyć po cichu. Doliczyłam do tysiąca siedmiuset.

— Z czym się pani kojarzy słowo „kobieta”?

— Kobieta?... Cóż, po prostu z kobietą.

Odetchnęłam i zaczęłam sobie wyobrażać, że biorę przeszkodę na koniu.

— Kobieta — odezwał się jakiś czas później. — Z niczym się pani nie kojarzy?

— Tak... Wenus z Milo. Suka. Krowa. Raz widziałam przejechanego psa. Zobaczyłam go jako pierwsza, skamlał jeszcze, przegryzł rękaw mojego zimowego palta, na chodniku była krew, a chłopak prowadzący samochód z chlebem powiedział, że to nie jego wina, a ja krzyknęłam, że owszem, twoja, trzeba było, cholera, bardziej uważać. A to biedne stworzenie zdechło na moich rękach, to było okropne, jak jego ciało stało się nagle bezwładne, po prostu bezwładne, jak stary, ciężki dywan. Nie wiedziałam, co robić, więc zostawiłam go za śmietnikami, zamierzając zaraz po niego wrócić, ale jak weszłam do domu, zrobiła się awantura o pogryzioną rękę i zniszczony płaszcz... Dziwne, zupełnie o tym zapomniałam. Dziwne, jak pan potrafi odgrzebać stare rzeczy.

Milczał. Na każdym kolejnym spotkaniu mówił coraz mniej.

— Pytał mnie pan o seks — powiedziałam. — Całe to bicie piany to z tego powodu, prawda? To jedyna rzecz, która interesuje wszystkich psychiatrów. Wszystko, co mogę powiedzieć, to tyle, że mnie to nie interesuje! Mark chciał, żebym chodziła na spotkania z panem, bo z nim nie sypiam! To właśnie panu powiedział, prawda? Tak czy siak, to prawda! Ale nie zamierzam pozwolić wsadzić się do terrarium albo pod mikroskop, żeby mi się przyglądano jak jakiemuś dziwolągowi, tylko dlatego, że coś lubię,

a czegoś nie, i tego się trzymam! Rozumie pan? Wszystko, co powiedziałam, próbuje pan sprowadzić do tej jednej sprawy, co? Znam takich jak pan. Większość mężczyzn ma brudne myśli, ale psychoanalitycy, zdaje się, biją rekordy w tej dziedzinie! O Boże, nie chciałabym być pana żoną! Ma pan w ogóle żonę?

Po chwili powiedział:

— Proszę mówić dalej, co pani myśli. Proszę się rozluźnić. Niech się pani nie napina. Nie jest mnie pani w stanie zszokować.

Czyżby? Pomyślałam. Mogłabym, gdybym naprawdę poszła na całość. Wszystkie te świńskie wierszyki, których nauczyła mnie Louise. Jego dzieciak nie zna nawet połowy z nich.

— Niech mi pani powie jedną rzecz, pani Rutland — odezwał się znowu po chwili. — Poza tymi pytaniami dotyczącymi... tego, czy chce pani sypiać z mężem, czy mówienie sprawia pani przyjemność?

Tym razem nie otworzyłam ust.

— Chodzi mi o to, czy czuje pani, że w pełni korzysta z życia i cieszy się nim?

— Dlaczego miałoby być inaczej?

— Cóż, byłbym zaskoczony, gdyby tak było.

— Ale to tylko pana zdanie, prawda?

— Wydaje mi się, że przez większość czasu żyje pani jak pod szklanym kloszem, nie doświadczając prawdziwej radości czy innych głębokich przeżyć. Być może czuje je pani, ale wtórnie. Dlatego, że myśli pani, że powinna, a nie dlatego, że je pani odczuwa.

— Wielkie dzięki.

— Proszę się nie obrażać. Chcę pani pomóc. Czy nie jest pani czasem dumna z tego, że jest pani taka *wycofana!* Czy nie czuje pani wyższości wobec ludzi, których uczucia pozwalają im się rozwijać? Albo zawstydzona, kiedy je pani do siebie dopuszcza?

Wzruszyłam ramionami i spojrzałam na zegarek.

— I czy to poczucie litości czy wyższości nie jest próbą racjonalizacji jakiegoś głębszego uczucia, czy jak pani woli, odreagowaniem zazdrości?

— Lubi pan histeryków? Ja nie.

— Nie mówię o histerii, ale o głębokich, naturalnych uczuciach, które są niezwykle istotne dla każdego zrównoważonego człowieka.

Podciągnęłam ramiączko, które tak naprawdę wcale się nie obsunęło.

— Jednak nawet z histerii można łatwiej kogoś wyciągnąć niż ze stanu zamrożenia. Wytworzyła pani grubą skórę do obrony przed uczuciami.

159

Jeśli nie spróbuje pani z niej wyjść, skóra zamieni się w pancerz, a wtedy pani prawdziwe ja skurczy się i umrze.

— I myśli pan, że całe to gadanie może mi pomóc?

— Pomoże, obiecuję to pani. Ale tylko pod pewnymi warunkami. To dlatego łamię moje zasady i diagnozuję pani problem o wiele za szybko. Do tej pory, pani Rutland, poza jednym czy dwoma wybuchami jak dzisiaj, cały czas się pani kontrolowała. Za każdym razem, kiedy już ma wyjść z pani ust coś w rodzaju wolnego skojarzenia, o które mi chodzi, odbiera pani temu ostrość, łagodzi to pani. Cóż, to normalne na samym początku, zwłaszcza w przypadku tak inteligentnej kobiety jak pani — ale należy rozróżniać pomiędzy stłumieniem mimowolnym a świadomym.

Psychoanalityk może jedynie pomóc pacjentowi, który chce pomóc sobie sam.

— Czego pan ode mnie oczekuje? — spytałam obrażona.

— Chciałbym, żeby się pani przestała bać tego, co może pani powiedzieć.

Tego samego wieczoru poszliśmy na koncert. Nie byłam w odpowiednim nastroju, by spędzić na siedząco dwie godziny, słuchając muzyki klasycznej w wykonaniu grupy sztywnych, smutnych kobiet i mężczyzn. Przypuszczam, że dobrze mógłby zrobić mi jedynie jazz, który przynajmniej pobudzał rytm serca i sprawiał, że ręce i nogi mimowolnie zaczynały wybijać takt.

Ziewałam przez całą pierwszą część koncertu — lub, jak wolicie, starałam się przed tym usilnie powstrzymać.

Światła i muzyka usypiały mnie i zarazem drażniły. Myślałam, że druga połowa nigdy się nie skończy, dłużyło mi się strasznie, poza ostatnim utworem. Wtedy, być może za sprawą muzyki, udało mi się wejść w odpowiedni nastrój. To chyba był Brahms, czwarta symfonia... Ale równie dobrze mogła być jakaś inna.

W każdym razie to, co Mark mówił o różnicy między koncertem a muzyką z płyty, całkowicie się zgadzało. Rogi dawały prawdziwie „metaliczny” dźwięk, a skrzypce miały trochę piskliwy ton, jak wiatr wśród traw, jak chyłące się łany pszenicy, jak płacz drzew. W końcu to poczułam — jakby muzyka wślizgnęła się pod moją skórę i dotykała samych nerwów. Nie widziałam już smutnych ludzi, Marka siedzącego koło mnie i przejścia naprzeciwko mnie, światła, nieruchomych twarzy muzyków. Czułam za to, że stoję samotnie na szczycie góry i nagle zdałam sobie sprawę, że całe moje dotychczasowe życie było snem, a prawdziwe życie trwało właśnie te kilka sekund.

Jednak nie mogłam tam dłużej zostać, było za zimno albo za jasno, albo coś jeszcze innego; nagle muzyka skończyła się, ludzie zaczęli wstawać i wychodzić. Starłam pot z czoła i skinęłam w stronę Marka, po czym razem z innymi wyszliśmy na styczniowy wiatr. Przed filharmonią stały sznury samochodów.

Później poszliśmy do klubu nocnego. Nie był to mój pomysł, ale Marka. Do tego czasu jednak ochota na taniec mi przeszła, gdyż w jej miejsce pojawiło się coś nowego. Jednak to coś wkrótce zniknęło, pozostawiając pustkę, i już niewiele mnie obchodziło. Wróciliśmy do domu koło pierwszej. Nie wiem, czy uznał ten wieczór za udany, ale dla mnie za dużo było w nim wzlotów i upadków. Jakoś tak się stało, że tylko przez te kilka minut byłam w odpowiednim nastroju — ale nawet przez te kilka minut nie byłam w świecie realnym, ale unosiłam się nad nim w powietrzu.

Gdy dotarliśmy do domu, powiedziałam, że jestem zmęczona, szybko położyłam się do łóżka i zgasłam światło.

Widziałam, że u niego jeszcze się paliło, przerażona, że zamierza do mnie przyjść.

Wymyśliłam więc dwie czy trzy różne wymówki, w tym jedną najbardziej oczywistą. Nigdy jej nie użyłam, nawet podczas naszej podróży poślubnej, bo nie umiałam o tym mówić wobec mężczyzny. Pomyślałam jednak, że mogę ją zachować jako ostatnią deskę ratunku na dzisiejszy wieczór.

Przez dłuższy czas słyszałam, jak chodzi po pokoju. Była trzecia, kiedy zgasił światło. Ale nie przyszedł do mnie. Przepuściłam dwa sobotnie spotkania przy pokerze, ale kolejnej soboty już poszłam, i tym razem grałam ostro. To nie było w moim stylu. Traciłam trzeźwy osąd sytuacji. Mimo to wygrałam dwadzieścia funtów. Tak to właśnie czasami bywa: los nam sprzyja, kiedy na to nie zasługujemy. W tamtym tygodniu posłałam matce sto funtów w dwóch przekazach, tak więc byłam na etapie wykrobywania kompletnych resztek. W niedzielę rano Mark zwrócił się do mnie:

— Te sobotnie wypadki z Dawn Witherbie kończą się coraz później. Co wy robicie, chodźcie tańczyć?

— Nie, poszliśmy do kina, a potem do niej, jej matka nie czuła się zbyt dobrze, zostałam więc do czasu, aż przyjechał lekarz... Skąd wiesz, że późno wróciłam?

— Wydawało mi się, że słyszałam samochód koło drugiej, poczekałem więc, potem poszedłem do twojej sypialni, ale okazało się, że musiało mi się coś pomylić.

- Tak, wróciłam później.
- Była prawie czwarta. Położyłam się spać dopiero, kiedy usłyszałam twój samochód, tym razem naprawdę. Potarłam małą płamkę na moich spodniach do jazdy konnej.
- A tak poza tym, to zwykle wracasz w niedzielę świeża i rozpromieniona... Jak ci idzie z Romanem?
- Nic ci nie mówił?
- Nie, na razie nic mi nie powiedział.
- Chciałabym z tego zrezygnować. Denerwują mnie te spotkania.
- Przykro mi.
- Chodzę już tam i chodzę. To o wiele więcej, niż obiecałam. Nie chcę tego dalej robić. Wracam zmęczona i przygnębiona.
- Czy mam zadzwonić do niego w przyszłym tygodniu i zapytać, jaka jest jego opinia?
- Och, wiem, co on powie. Dla niego to załedwie początek. Wychodzi przecież na tym całkiem nieźle.
- Jest za bardzo uczciwy, żeby to ciągnąć tylko z tego powodu. Zorientowałam się, że Mark nie zamierza ustąpić, więc wysłałam do ogrodu. Akurat tym razem Forio do mnie nie podszedł. Było to tak dziwne, że nie mogłam w to uwierzyć. Pozwolił mi się zbliżyć prawie na wyciągnięcie ręki, ale zaraz potem potrząsał łbem i odchodził. Przez cały tydzień wszystko układało się wspaniale, pomyślałam więc, że to z powodu niewystarczającej ilości ruchu. Po czterech czy pięciu próbach poddałam się i wróciłam do domu. Kawałek jabłka na pewno go skusi.
- Gdy weszłam, usłyszałam, jak pani Leonard woła:
- Nie wiem, gdzie są panie Rutland, w każdym razie nie w tym tygodniu. Nie było mnie, pani Rutland musiała je gdzieś odłożyć. — O co chodzi? — spytałam.
- O moje nowe koszule — krzyknął Mark.
- A, położyłam je w twojej szafie. Poczekaj chwilę.
- Pobiełam na górę do jego pokoju. Stał przed lustrem z chusteczką w ręku. Miał na sobie parę starych, szarych flanelowych spodni i nic poza tym.
- Przepraszam, myślałem, że wyszłaś z domu — powiedział.
- Tak, byłam w ogrodzie, ale właśnie wróciłam. Twoje koszule wyjęłam z pudełka i położyłam je razem z innymi. Podeszłam do szafy.
- Proszę bardzo.

— Dzięki. Pomyślałem, że sobie jedną przymierzę.

Wzięłam pierwszą z brzegu i w tym momencie zobaczyłam jakieś drobiazgi na stoliku. Leżały tam jego klucze, książka, notatnik i trochę drobnych. Zawsze je tam kładł, gdy się rozbierał.

— Do tej pory nie znałam ludzi, którzy kupują sześć koszul naraz. Zaśmiał się.

— To żadna ekstrawagancja, po prostu starczą na dłużej.

Gdy nie miał na sobie ubrań, widać było, że nie jest ani delikatny, ani nawet szczupły. Miał bladą i gładką skórę, ale kryły się pod nią mięśnie, czekały w pogotowiu.

Powiedziałam do niego:

— Forio jest jakiś dziwny. Przyszłam po coś, czym będę mogła go przekupić.

Odsunął chusteczkę od twarzy.

— Jak już tu jesteś, czy mogłabyś wyjąć mi rzęsę z oka? Chyba wtarłem ją ręcznikiem.

Podeszłam do niego, a on schylił głowę. Jestem pewna, że w tym momencie byliśmy najbliżej siebie, od momentu kiedy wróciliśmy do domu. Awyjmowanie rzęsy z oka to akcja w dużym zbliżeniu. Twoje oczy wpatrują się w oczy tej drugiej osoby, z odległości mniejszej niż podczas uprawiania seksu. Widać różowość pod powieką i malutkie naczynka krwionośne. Jednak wszystko to nic w porównaniu ze źrenicą, przez którą, jak mówią, można zajrzeć do czyjś wnętrza. Tym razem sytuację dodatkowo utrudniało to, że musiałam położyć rękę tam, gdzie mi się wcale nie uśmiechało, w końcu więc oparłam ją o jego ciepłe ramię, a moje ciało dotknęło jego.

Spostrzegłam rzęsę i zaczęłam ją przesuwać w kierunku kącika oka. Nagle, opierając się o jego ciało, poczułam się tak, jakbym sama była naga. Poczułam to tak wyraźnie, jakby tak było naprawdę.

W samą porę wyjęłam rzęsę i odsunęłam się od niego, czując, że robi mi się niedobrze i brak mi tchu.

— Proszę bardzo. Dla ciebie usługa gratis. Wziął ode mnie chusteczkę.

— O niebiosy, gdyby tylko w twoim była drzazga...

— Co?

— A nic. To tylko cytat. Podeszłam do drzwi.

— Marnie.

— Tak?

Uśmiechnął się. — Dziękuję.

Wyszłam z pokoju i zbiegłam po schodach, weszłam do kuchni i przez dobrą chwilę starałam się uspokoić i zignorować to, co się stało. Gdy wyszłam potem do Foria, zdałam sobie sprawę, że nie mam dla niego jabłka. Ale nie miało to żadnego znaczenia, bo tym razem podszedł do mnie potulny jak baranek.

Jeździłam aż do lunchu i nawet się trochę spóźniłam. Cały dzień czułam się potwornie. Byłam tak przygnębiona, że chciało mi się wyć. To będzie coś nowego do rozszyfrowania dla mojego doktora.

Byłam przybita cały tydzień, a to, co mi się śniło, mogłoby zapewnić zajęcie wszystkim psychiatrom w Londynie. W środę pojechałam odwiedzić matkę. Zorientowałam się, że spokojnie mogę to zrobić w jeden dzień, więc wymyśliłam wymówkę, że muszę coś załatwić z Garrodem.

Matka wyglądała znacznie lepiej. Miała tu lepsze towarzystwo, jak mówiła, a nowy dom całkiem się jej podobał. Tym razem jednak mnie zdenerwowała. Może dlatego, że ciągle byłam przygnębiona. Pomyślałam sobie: proszę bardzo, jak ona się dobrze bawi za moje pieniądze, nie przejmując się tym, skąd je mam. Ale zaraz sobie przypomniałam, jak się czuła cztery lata temu i ile zmian zaszło dzięki pieniądзом.

Obraziła się trochę, kiedy powiedziałam, że nie mogę zostać nawet na jedną noc, ale machinalnie spytała o pana Pembertona i zdawało się, że uważa za oczywiste, że wszystko toczy się nadal tak jak do tej pory. Zaraz po podwieczorku, kiedy Lucy poszła zmywać, spytałam:

— Mamo, kiedy zmarł tata?

— Zmarł? Zabili go, utopił się. W czterdziestym trzecim. A dlaczego pytasz?

— Tak się tylko zastanawiałam. Myślałam o tym któregoś dnia. W ogóle tego nie pamiętam. Wiesz, nie pamiętam, kto i w jaki sposób mi to powiedział.

— A dlaczego niby miałabyś pamiętać? Miałas wtedy zaledwie sześć lat. Dlaczego miałabyś to pamiętać?

— Cóż, pamiętam inne rzeczy. Sześć lat to w końcu nie tak mało. Pamiętam, jak miałam pięć lat, któregoś razu przyszedł wujek Stephen i przyniósł mi parę futrzanych rękawiczek. Pamiętam dziewczynę z sąsiedztwa...

— No dobrze, dobrze, pewne rzeczy się zapamiętuje, inne rzeczy ulatują. Tak to już jest. Jeśli chcesz wiedzieć, jak było naprawdę, to powiem ci, że nie mówiłam ci nic na ten temat przez parę miesięcy. Nie wiedziałam, jak to przyjmiesz. Myślałam sobie, Marnie nie może się o tym dowiedzieć. No i w końcu nie zrobiło to na tobie jakiegoś wielkiego wrażenia.

Poprawiłam się w fotelu.

— Kiedy to było dokładnie? Byliśmy wtedy w Sangerford, prawda? Odwiedzał nas tam? Oczywiście wcześniej. Chodzi mi o Gwiazdkę. Wydaje mi się, że pamiętam coś takiego. Przyniósł mi w prezencie pudełko czekoladek, prawda? I migdały w cukrze. Pamiętam migdały w cukrze...

— Czekaj — powiedziała i wstała, opierając się na lasce. Pokuśtykała w stronę starego taboretu, który mieliśmy od zawsze, podniosła wieko i wyjęła swoją czarną torebkę. — Pokażę ci. — Zaczęła grzebać w jakichś papierach. — Trzymam to tutaj. Wszystko tu trzymam... — Podała mi pożółkły wycinek z gazety.

Pochodził z „Western Morning News”, z 14 czerwca 1943, z rubryki „Polegli na służbie”: „Frank William Elmer, na okręcie Jego Królewskiej Mości «Cranbrook», 10 czerwca, w wieku lat 41, zamieszkały na Mulberry Street numer 12 w Keyham. Ukochany mąż Edith i ojciec Margaret”.

Oddałam wycinek matce.

— Nie pamiętam, żebyś mi to wcześniej pokazywała. Dzięki. Matka potarła nos.

— Opublikowali to w drugi dzień Zielonych Świątek. To był piękny dzień. Wszyscy mieli wolne, nawet na wojnie. Wycięłam to na pamiątkę. To wszystko, co mi po nim zostało.

— Od lat nie widziałam jego zdjęcia — dodałam. — W Plymouth stało na kominku, wiesz, o którym mówię?

— Proszę, to to samo, tylko bez ramki.

Spojrzałam na jego twarz. To od niego pochodziłam. Wydał mi się obcy, bo znałam go tylko z fotografii. To on był moim ojcem. Był zupełnie inny, niż go opisałam Romanowi. Miał jasne, gęste, krótko obcięte włosy, okrągłą twarz, małe niebieskie lub jasnoszare oczy, które zdawały się błyszczeć. Najdziwniejsze było to, że wyglądał młodo. Matka się zestarzała, a on pozostał młody.

— Ile miał wtedy lat?

— Około trzydziestki.

— Mogę je zatrzymać, czy to jedyne, jakie masz?

— Możesz je wziąć, jeśli będziesz je szanować.

Stara Lucy weszła z jakimiś naczyniami, więc schowałam fotografię do torebki, żeby nic nie zauważyła. Ale zaraz gdy wyszła, spytałam:

— Mamo, jak nazywał się lekarz... Wiesz, ten, który ci nie pomógł podczas porodu?

— Dlaczego o to pytasz? Po co ci to? Nazywał się Gascoigne, niech mu Bóg wybaczy, bo ja nie jestem w stanie.

— Czy ze mną wszystko było w porządku? — spytałam. — Znaczy, jak się urodziłam. Nie było ze mną żadnych problemów?

— Oczywiście, że nie! Ale to było przed wojną. Ty... Ty mi nigdy nie dałaś żadnego powodu do zmartwień. Znaczy, aż do momentu, jak skończyłaś dziesięć lat. Ale to wszystko przez złe towarzystwo, z którym musiałaś się zadawać. Co się dziś z tobą dzieje, Marnie? Pytasz i pytasz.

— Sama nie wiem. Czasem mi się wydaje, że jestem jakaś dziwna.

— Dziwna? Dziękuj Bogu, że nie jesteś taka, jak inne dziewczyny. Ladaczniczki uganiające się za facetami. Malujące paznokcie u nóg. Jesteś warta trzy razy tyle, co zwykła dziewczyna, Marnie, i nie pozwól sobie nikomu wmówić, że jesteś dziwna. Jesteś taka mądra... I taka dobra.

— A ty byłaś trochę dziwna, jak byłaś mała? — zapytałam.

— Zawsze wolałam się trzymać z dala od innych, może byłam zbyt dumna. Twój ojciec zwykł mawiać, że byłam dla niego zbyt dobra. Ale nigdy nie byłam tak mądra jak ty, kochanie.

— Nie jestem pewna, czy to' dobrze być zbyt inteligentnym — odparłam. — Czasem można się co do siebie przeliczyć. W niedzielę przy śniadaniu Mark powiedział do mnie:

— Nigdy ci się nie znudzą te twoje partie pokera? Przełknęłam coś, co nie było jedzeniem, i odpowiedziałam:

— Moje co? — Partie pokera u Terry'ego.

— Czy ty mnie... śledzisz?

— Nie.

— No to jak się...

— Parę tygodni temu spytałem Dawn Witherbie, jak się poprawiło jej matce, a ona mi powiedziała, że wcale nie była chora. Po tym bez problemu dośpiewałam sobie resztę.

Ułamałam kawałek chleba.

— Dlaczego mam nie chodzić, skoro to lubię?

— Wydaje ci się, że o to tu chodzi? Najważniejsze dla mnie jest to, dlaczego mnie okłamałaś?

— Bo myślałam, że się nie zgodzisz.

— Rzeczywiście, nie zgadzam się na to. Ale tylko dlatego, że chodzi o Terry'ego. W innym przypadku pozwoliłbym ci robić to, na co masz ochotę.

Zacząłam się bać. Co by było, gdyby mnie śledził do Torquay?

— No dobrze, chodzi o Terry'ego. Ale dlaczego mam się z nim nie spotykać, skoro mam na to ochotę?

— Z dwóch powodów. Może obydwa są osobiste i uznasz, że ciebie nie dotyczą. Ja uważam, że Terry jest typem odmieńca. W jednej trzeciej mu współczuję, a w dwóch trzecich go nienawidzę. Mam wrażenie, że nie jest na właściwym miejscu, a drukarstwo zupełnie nie jest jego żywiołem. Jednocześnie nie znam zawodu, który mógłby być jego pasją. A ty? Jest — przynajmniej dla mnie — sumą ambicji i frustracji, które w efekcie nie tworzą kompletnej osoby. Chce być wspaniałym biznesmenem, ale nigdy nim nie będzie. Chce być świetnym kochankiem, i cały czas się stara, ale nie sądzę, by nim był. Ciągłe się dobrze zapowiada, pięknie się ubiera, podchwytuje nowinki i modne wyrażenia, urządza te swoje małe partyjki pokera i jazzowe wieczorki. Widzisz, Marnie, gdyby on miał naprawdę podły charakter, mógłbym jakoś to wszystko zrozumieć, ale on nawet nie ma na tyle osobowości, by być kompletnie złym. A co gorsza, te wszystkie jego porażki wraz z pewnego rodzaju oślizgłością, która być może właśnie z nich się bierze, cholernie mnie irytują. Ma swego rodzaju wybitną zdolność psucia wszystkiego, czegokolwiek nie dotknie.

— Być może to dlatego, że jest odmieńcem, tak dobrze się z nim dogaduję...

— Nie zaniżaj swojej wartości. Pomyśl o tej sprawie z Glastonbury Investment Trust — a to dzięki tobie się o tym dowiedziałem. Jeszcze go nie wypytałem, ale wydaje mi się to typowe dla niego. Nie chodzi o to, że jego wrogie zamiary budzą we mnie niechęć, ale o ten pokretny sposób ich okazywania.

— Co zamierzasz zrobić?

— Nie wiem. To drugi powód, dla którego nie powinnaś chodzić na te przyjęcia. W tym momencie nie wydaje mi się, żebyś jako moja żona mogła w uczciwy sposób przebywać w obozie wroga. Mogłoby to być bardziej dopuszczalne, gdyby cały ten konflikt ujrzał światło dzienne. Na razie jednak tak nie jest.

Zacząłam układać jakieś przedmioty na stole.

— Nienawidzę takich sytuacji — dodał. — A uczucie, że ta wrogość cały czas sączy się podskórną, zatruwa mi każdy dzień pracy. Powiedziałem

Rexowi o Glastonbury Trust, a on wpadł na jakiś dziwny pomysł, żeby zaprosić Holbrooków i nas któregoś dnia na obiad i zobaczyć, czy wyjdą z inicjatywą i zagrają w otwarte karty. Powiedziałem mu, że chyba zwariował, ale on odparł, że byłoby przykre, gdyby rodzinna firma rozpadła się tylko dlatego, że on nie zrobił nic, żeby temu zapobiec.

— Kiedy chce nas zaprosić?

— Nie wiem. Myślę, że za dwa tygodnie. W każdym razie, widzisz teraz, jak to wszystko wygląda. Sama widzisz, że to niemożliwe, byś spędzała całe noce u Terry'ego, prawda? Ustawiłam brudne talerze na wózek. Zawsze, kiedy ktoś mi coś logicznie tłumaczył, udawało mi się zrozumieć, o co chodzi. Tym razem jednak nie zamierzałam ustąpić. Musiał zauważyć zacięty wyraz mojej twarzy, bo zwrócił się do mnie:

— Nasz model życia jest najdziwniejszy, jaki sobie można wyobrazić, nie uważasz? Jeśli w ogóle można to nazwać życiem.

— To nie był mój pomysł.

— Nie, ale się na niego zgodziłaś.

— Wiesz, jaka jest tego przyczyna.

Podszedł do mnie. Jego oczy były bardzo ciemne.

— Robię co mogę, żeby zostawić cię w spokoju. I wcale się przy tym dobrze nie bawię, zapewniam cię. Czasami mnie to załamuje. To jest ta druga udreka, czuć, że własna żona traktuje cię jak strażnika więziennego. To i inne problemy z tym związane... W pracy idzie mi przez to gorzej, nie mogę spać. Łatwo się denerwuję i jestem rozdrażniony. Czasami mam ochotę cię zabić. Ale nie robię nic. Zostawiam cię w spokoju. Poza doktorem Romanem robisz to, na co masz ochotę. Prowadzisz własne życie. Mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Cały czas mam nadzieję. To jedyna rzecz, dzięki której jakoś toleruję stan obecny. Ale jeśli zaczniesz uwodzić Terry'ego, będę musiał to wszystko jeszcze raz przemyśleć.

— Nie uwodzę go! Nie mogłabym znieść jego dotyku!

— Wiem, że nie byłby sobą, gdyby nie spróbował.

— Naprawdę mam wrażenie, że jesteś o niego zazdrosny.

Złapał mnie za ramiona i próbował obrócić mnie twarzą do siebie. Jednak ja nie ruszyłam się z miejsca.

— To boli, Mark. Nie puszczał mnie.

— No więc jestem zazdrosny, Marnie. Jestem zazdrosny o mężczyzn, z którymi rozmawiasz, z którymi się spotykasz, o godziny, które spędzasz tu sama, podczas gdy ja jestem w drukarni. Muszę być nawet zazdrosny

o mojego nędznego, sprytnego, dowcipnego kuzyna. Najbardziej zwłaszcza o niego, bo zdaje się, że to jedyny mężczyzna, którego wolisz ode mnie. Całe to ohydne uczucie jest czymś, czego nigdy do tej pory nie czułem i nigdy nie musiałbym czuć, bo w żadnej normalnej relacji między nami ono by się nigdy nie pojawiło.

— To boli.

Puścił mnie i wzruszył ramionami.

— Nie chcę być melodramatyczny... To ja podjąłem decyzję co do mojej obecnej sytuacji — i twojej też. I na razie, jak by nie było, musimy jakoś w niej funkcjonować. Staram się pozwolić ci żyć własnym życiem i własnym rytmem. Co do tego, w porządku, tak się umówiliśmy, i jeśli mi to nie odpowiada, to mam problem. Ale ten układ nie przewiduje tego, żebyś spotykała się z Terrym. Przykro mi, jeśli myślałaś, że to możliwe, ale tak nie jest. Tak po prostu nie jest, Marnie.

Wyrwałam rękę z jego uścisku i wyszłam z pokoju, zostawiając go samego.

## Rozdział 13

Czasami wracałam myślami do kluczy, które Mark wyjmował każdej nocy z kieszeni i kładł na toaletce w sypialni, ale dopóki byłam z nim, nie mogłam nic kombinować.

W tym czasie radość czerpałam głównie z przyjaźni z Richardsami i ich sąsiadami. W sąsiedniej chacie mieszkało dwóch staruszków. Jeden z nich był niewidomy, a drugi widział tylko na jedno oko. Chodzili pod rękę na spacer — mawiali, że jedno oko starcza im na dwóch. Zdumiewające, jacy byli szczęśliwi! W ich domu panował jednak straszny bałagan, którego nie mogłam znieść. Tak więc pewnego dnia przyszłam z panią Leonard i urządziłyśmy tam wielkie wiosenne porządki. Znalazłam też u siebie stare zasłony, sto razy lepsze niż zużyte pieluchy czy to, co tam wisiało w oknach. Staruszkowie byli zmieszani, ale wdzięczni. A potem się okazało, że lubią także moje ciasta.

W kolejnym tygodniu doktor Roman powiedział:

— Niedługo zaczniemy trzeci miesiąc terapii, pani Rutland. W styczniu zrobiliśmy spory krok naprzód, ale teraz, mam wrażenie, tkwimy

w martwym punkcie. Zastanawiałem się, czy nie zechciałaby się pani poddać hipnozie.

— Chodzi panu o... Ale kto miałby mnie zahipnotyzować?

— Ja. Ale muszę pani od razu powiedzieć, że jeśli się pani temu nie podda, próba ta będzie daremna. Nikogo nie można zahipnotyzować wbrew jego woli.

— Dobrze — odparłam. — Dlaczego uważa pan, że nie możemy nadal pracować jak do tej pory?

— Myślę, że dzięki temu moglibyśmy pokonać te przejściowe trudności. Nie zrobiliśmy żadnego postępu w ciągu ostatnich pięciu spotkań. Brzmiało to dość bezpiecznie. .

— Kiedy mielibyśmy to zrobić?

— Teraz, jeśli pani pozwoli.

— W porządku. Czy mam zamknąć oczy?

— Nie. Za chwilę poproszę, żeby patrzyła pani na srebrną obrączkę, którą będę trzymał przed pani oczami. Ale najpierw przymknę trochę okiennice...

Dwadzieścia minut później odezwał się suchym głosem:

— No tak, to było do przewidzenia.

— Co?

— Cóż, robi pani wrażenie, jakby się pani poddawała, ale tak naprawdę opiera się pani z całej siły.

— Nieprawda! Zrobiłam wszystko, zgodnie z pana poleceniem!

Było lepiej, jak siedziałam z nim twarzą w twarz, tak jak teraz. Przecierał okulary szmatką i wyglądał na zmęczonego. Gdy był bez okularów, widać było, że ma worki pod oczami.

— Pani *zawsze* wykonuje polecenia, pani Rutland, ale zawsze z ogromnym wewnętrznym oporem. Gdyby miała pani mniej interesującą osobowość, już dawno bym zaniechał spotkań z panią.

— Przykro mi.

— Naprawdę?

Powiedział to tak, jakby było w tym coś, czego mógłby się chwycić.

— Skoro jest pani przykro, mogę zaproponować coś innego? Efekt hipnozy można uzyskać sztucznie za pomocą zwykłego zastrzyku. Słyszała pani zapewne o pentothalu. Nie daje żadnym przykrych efektów ubocznych i może nam bardzo pomóc. Spojrzałam na moje paznokcie.

— Myślę, że najpierw powinnam zapytać Marka.

Westchnął. — W porządku, pani Rutland. Będę czekał na odpowiedź do piątku.

W piątek powiedziałam:

— Jest mi niezmiernie przykro, ale Markowi nie podoba się pomysł wstrzykiwania mi czegokolwiek. Jest trochę śmieszny pod tym względem, ale jest przeciwny jakimkolwiek zastrzykom.

— Rozumiem.

— Proszę mi jednak pozwolić mówić. Od naszego ostatniego spotkania miałam niesamowite sny...

— Myślę, że to pani nie chce się zgodzić na pentothal. Czy nie taka właśnie jest prawda?

— Mark i tak by się nie zgodził — odparłam.

— Pani też.

— Cóż, właściwie dlaczego miałabym się zgodzić? To nie w porządku, traktować ludzi w ten sposób. To jak znęcanie się — to jak rozłożenie kogoś na łopatki i przytrzymanie go. Nie oddam się nikomu na świecie. To zupełnie tak, jakbym oddała swoją duszę.

Jakiś czas później zwrócił się do mnie:

— Proszę mi powiedzieć, co oprócz tego, co pani ma, pragnie pani jeszcze w życiu?

— Dlaczego pan pyta?

— Proszę odpowiedzieć. Jakie ma pani plany na przyszłość? Ma pani dwadzieścia trzy lata. Większość kobiet w pani wieku chce wyjść za męża. Pani ma już męża, ale nie umie go zaakceptować.

— Nie przeszkadza mi bycie z mężczyzną, jeśli tylko trzyma się z dala ode mnie.

— Czy chce pani mieć dzieci?

— Nie!

— Dlaczego? To naturalny instynkt, prawda?

— Nie dla każdego.

— Dlaczego pani ich nie chce?

— Wydaje mi się, że nie warto ich powoływać na ten świat.

— To może być powód, dla którego ich pani teraz nie ma. Ale to nie powód, dla którego pani ich nie chce.

— Nie widzę żadnej różnicy.

— Próbuje pani zracjonalizować uczucia, które to w pani budzi.

— Być może.

— Czy kocha pani swoją matkę?

— Tak... Kochałam — dodałam rychło w czas. — Kocham wspomnienie o niej.

— Czy nie wydaje się pani logiczne, że na świat powinien przyjść ktoś, kto będzie czuł to samo do pani, co pani do swojej matki?

— Możliwe.

Boże, w tym momencie poczułam się dziwnie. Równie dobrze mógłby mi zaaplikować ten swój lek. Czułam pot na plecach i u nasady włosów — zupełnie jakbym była w łaźni tureckiej.

— Gdyby można było począć dziecko poprzez zastrzyk, bez stosunku z mężczyzną, czy miałaby pani coś przeciwko temu?

— A jakie ma to, do diabła, znaczenie?! — krzyknęłam. — Nie chcę mieć dzieci, nie chcę mieć z nimi do czynienia! Rozumie pan? Rozumie mnie pan, do diabła, czy nie?

— Rozumiem, że jest pani na mnie wściekła, bo zadaję pani pytania, które są dla pani niewygodne.

— No właśnie, widzi pan! Mówił pan, że nigdy nie zmusza pan pacjentów do niczego, więc niech pan, z łaski swojej, zmieni temat.

Przez jakieś dziesięć minut żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Problem polegał na tym, że nie mogłam ukryć przyspieszonego oddechu. Widziałam, jak broszka na mojej sukni podnosi się i opada. Przypomniało mi to starą Lucy. Nie to, żeby miała dużo z przodu do oddychania, ale zawsze, jak była wściekła, prychała. Jeśli ja...

— Czy to myśl o porodzie tak panią przeraża?

— Co?

— Czy myśl o rodzeniu dziecka panią przeraża?

— Mówiłam już panu! W ogóle mnie to nie obchodzi!

— Czy może mi pani podać wolne skojarzenia, jakie pani ma w związku ze słowem „poród”?

— Półsen. Chciałabym, żeby mój terapeuta przedawkował. Zastanawiam się, dlaczego w ogóle się urodziłam.

Zastanawiam się, dlaczego ja się urodziłam. Byłoby lepiej wybić wszystkich lekarzy na świecie. Może wkrótce się to uda. Stront 901. Po nim zdeformowane dzieci. Potworki. Ten przeklęty zegar wybijający jedenastą. Jeśli pan...

— Jaki zegar?

172

— Ten w kuchni mojej matki. Nie cierpię jego skrzynki. Wygląda jak mała cholerna trumna. Ma front ze szkła. Górna połowa to tarcza, a na dolnej połowie są namalowane papużki nierozłączki. To był prezent...

— Proszę powiedzieć mi o nim coś więcej.

— O czym?

— O zegarze.

— Czajnik na piecu. Gotująca się woda. Prawie nie ma już węgla. Lucy Nye. Zimno na dworze. Potrzeba więcej kocy. Może gazety wystarczą.

Wydałam z siebie zduszony płacz, który natychmiast obróciłam w kaszel.

— Było pani bardzo zimno? — spytał po chwili.

— Zimno? Kto mówił o zimnie?

— Powiedziała pani, że potrzeba więcej kocy.

— Nie. Było mi bardzo ciepło... Zawsze do momentu, kiedy ktoś pukał w okno.

Pot spłynął nagle strużką w dół moich pleców i zadrżałam. Naprawdę było mi zimno. Przez chwilę zdawało mi się, że nigdy nie przestanę się trząść.

— Dlaczego tatuś stukał w okno? Dlaczego nie wchodził normalnie drzwiami? Dlaczego mnie wyganiano?

Zaczęłam płakać. Wierzcie lub nie, ale zaczęłam płakać jak dziecko. Naprawdę, płakałam tak, jak płaczą dzieci, nie wydawałam dźwięków jak dorośli. Aż prawie sama się przestraszyłam. Starłam się więc powstrzymać. Ale jedyne, co udało mi się zrobić, to zakrztusić się, zakasłać i zacząć na nowo.

Ciągle płakałam i znów poczułam się jak dziecko, przekładane z ciepłego do zimnego łóżka. A tuż przedtem słychać było pukanie. Czasami brzmiało jak stukanie paznokciem, a czasem jak walenie pięścią, ale zawsze znaczyło to samo. I zawsze było jednocześnie z godziną wybijaną przez zegar. Stałam plecami przy ścianie, po przeciwnej stronie łóżka niż lampka, zza zamkniętych drzwi dochodziło ich stękanie, i wiedziałam, że zaraz drzwi się otworzą i ci, którzy się tam torturowali, zaczną to robić mnie. I Boże dopomóż, w tym momencie drzwi zaczęły się otwierać, a ja stałam tam w koszulce nocnej ze sztucznego jedwabiu, wciśnięta w ścianę, patrząca na to wszystko. Kto stanął w szeroko otwartych drzwiach? Oczywiście mama.

Ale to nie oznaczało żadnego końca okropności, ale zaledwie ich początek, bo ona weszła do pokoju, i to w ogóle nie była mama, ale jakaś podobna do niej kobieta, starsza i niechlujna, w koszuli nocnej i z włosami skoł-

tunionymi jak u czarownicy, i trzymająca w rękach coś, co chciała mi dać, ale czego ja nie byłam w stanie wziąć... Roman zatrzymał mnie, gdy szłam do drzwi.

— Pani Rutland, proszę usiąść.

— Zegar właśnie bije! — krzyknęłam. — Koniec spotkania!

— Tak, ale proszę się nie spieszyć. Mam jeszcze trochę czasu.

— Muszę iść! Przykro mi, ale Mark na mnie czeka na stacji.

— To proszę zostać jeszcze chwilę i ochłonać. Chce pani umyć twarz?

— Nie, wychodzimy dziś wieczorem. Naprawdę muszę już iść.

— Proszę poczekać pięć minut.

— Nie! Muszę iść.

Jakoś udało mi się odmówić mu, ale mimo to towarzyszył mi aż do hallu. Tam uspokoiłam się nieco, usiadłam, otarłam twarz chusteczką i przypudrowałam ślady łez. Kiedy wyszłam na ulicę, wyglądałam jak każda normalna kobieta. Płakałam po raz pierwszy od chwili, kiedy skończyłam dwanaście lat.

Oczywiście, nigdzie wieczorem nie wychodziliśmy, a do domu wróciłam ponad pół godziny przed Markiem.

Wyszłam do Foria pasącego się w rogu przy polu golfowym. Musieliśmy podnieść w tym miejscu ogrodzenie, bo kiedyś przedostał się na drugą stronę i w samą porę zdążyliśmy go okrążyć i powstrzymać przed zniszczeniem kolejnej części pola golfowego. Było dość ciemno, ale wcale nie zimno, podeszłam do niego z kawałkiem jabłka, a on wziął je delikatnie, bez dotykania mojej dłoni zębami. Tego wieczoru był niespokojny, ciągle strzygł uszami, przebierał nogami i parskał. Jeździłam na nim poprzedniego dnia, ale nasza ostatnia porządna przejażdżka odbyła się jakiś tydzień temu. Zastanawiałam się czasem nad polowaniem. Dwóch czy trzech naszych sąsiadów polowało w okolicy. To mogło być naprawdę ekscytujące.

Któregoś dnia w ubiegłym tygodniu Mark wypożyczył konia i wybrał się razem ze mną na przejażdżkę.

Wyruszyliśmy na pół dnia, zatrzymaliśmy się na lunch w małym pubie, i przez chwilę było tak, jakby wszystkie kłótnie i cały chłód gdzieś zniknęły. Nie chcę przez to powiedzieć, że zaczęłam go kochać, ale poczułam się przy nim bardziej swobodnie. Można było na chwilę o wszystkim zapomnieć i zachowywać się tak, jakby był zwykłym znajomym.

Zaprowadziłam Foria z powrotem do stajni, włączyłam światło i podniosłam jego przednie lewe kopyto. Wczoraj wbił mu się kamień, który wszedł na tyle głęboko, że trudno go było wyciągnąć. Kulał w drodze do

domu i zastanawiałam się, czy nie będzie miał dzisiaj opuchlizny, ale nic tam nie było. Zaczęłam szczotkować jego długą grzywę, która urosła za długo, ale tak mi się podobało. Była tak delikatna i jedwabista, jak kobiece włosy. Konie nie mruczą, ale potrafią wydawać odgłos, który oznacza to samo.

Szczotkując go, myślałam o małym domku, w którym mieszkaliśmy w Sangerford, koło Liskeard. Nagle przypomniało mi się, jak kuśtykałam do pojemnika na śmieci na podwórku z liśćmi kapusty, które mama dała mi do wyrzucenia. Zapach liści kapusty był tak wyraźny, jakbym nadal je trzymała. Przypomniało mi się, że muszla klozetowa była pęknięta, a tanie płytki tak fatalnie ułożone, że można sobie było na nich skrócić nogę. A stół w kuchni ciągle się chwiał na nierównej podłodze. Tandeta, jak mawiała matka.

Wkrótce zmęczyłam się oporządzaniem Foria i weszłam do domu. Dzwonił telefon. To był Terry.

#### Rozdział 14

W następnym tygodniu miało być przyjęcie u Newton-Smithów. Tego wieczoru Mark wrócił wcześniej z pracy i jak zwykle wypiliśmy razem drinka, co było najłatwiejszą rzeczą w naszym pożyciu małżeńskim. Jednak tego dnia wydawało mi się, że coś go dręczy, i zastanawiałam się, czy to dlatego, że nie ma ochoty tam iść. Od początku nie chciał, ponieważ uważał, że jeśli Holbrookowie knują coś za jego plecami, to przyjęcie w tym względzie nic nie zmieni, i że Rex był naiwny, sądząc, że towarzystwo kobiet powstrzyma ich przed zachowaniem się, jakby byli w sali konferencyjnej w firmie.

Ale przy drugim drinku Mark powiedział:

— Dzwonił dziś do mnie Roman. Powiedział, że przestałaś przychodzić. Ostatni raz byłaś u niego w zeszły wtorek.

— Tak... To prawda.

— Z jakiegoś szczególnego powodu?

— Nie wydaje mi się, by to dokądkolwiek prowadziło.

— Martwi się o ciebie. Pytał, czy dobrze się czujesz.

— A dlaczego niby miałabym czuć się źle?

— Powiedział mi, że byłaś zdenerwowana, wychodząc ostatnim razem.  
— Zdenerwowana? Nie... Po prostu miałam dość tych przesłuchań. Podał mi szklanę.  
— Mam nadzieję, że nie zamierzasz na tym zakończyć — rzekł.  
— Obawiam się... Obawiam się, że tak to właśnie wygląda. Popijał drinka w milczeniu. Gdy na niego spojrzałam, zrozumiałam, jak wiele to dla niego znaczyło, jak wielką w tym pokładał nadzieję.  
— Jest mi strasznie przykro, Mark. Próbowałam.  
— Roman jest przekonany, że cierpisz na głęboką neurozę, z której może cię wyleczyć tylko długa i cierpliwa terapia. Uważa, że wiele mógłby dla ciebie zrobić, gdybyś do niego wróciła.  
— To mnie strasznie przygnębia, Mark. Chyba nie chcesz, żebym była przygnębiona, prawda?  
— W żadnym wypadku nie zamierza cię tak zostawić. Nalegał, żebym cię skłonił do powrotu. Ale... Podkreśla, że jeśli miałabyś do niego wrócić, to wyłącznie z własnej woli.  
— Aha.  
— Nie sądzę, żebym mógł cię czymś przekupić czy zaszantażować. Mogę cię jedynie poprosić — tak jak on cię prosi — żebyś teraz nie rezygnowała ze spotkań.  
Miałam wrażenie, że nie jestem w stanie powiedzieć nic sensownego, więc milczałam.  
— Jestem tym wszystkim bardzo rozczarowany, Marnie. To jak szukanie drogi wyjścia po omacku z nadzieją, że się ją w końcu znajdzie, i nagle znalezienie się w ślepej uliczce. Jeśli nie wrócisz do niego, nie będzie już dla nas żadnej nadziei.  
Poszliśmy na górę się przebrać i wyszliśmy na przyjęcie w minorowych nastrojach. Przez całą drogę nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem. Od czasu do czasu zerkałam na niego i myślałam sobie, jest uparty, umie walczyć o swoje, ale tym razem musi się poddać.  
Newton-Smithowie mieszkali w dużym domu na wsi. Po przyjeździe zaskoczyło nas, że nie byliśmy jedynymi gośćmi. Na obiad zaproszono dwanaście osób. Pomyślałam, cóż, śmieszny pomysł gościć nas razem z Holbrookami, żeby porozmawiać o interesach, i zaprosić poza tym jeszcze inne osoby. Ale może to właśnie mieściło się w ich koncepcji zorganizowania wieczoru towarzyskiego. Mieli dobre intencje, choć nie byli zbyt inteligentni. Terry był tam przed nami, ogolony i żółtowołosy, ale tak podejrzanie podekscytowany, jakby coś ułożyło się po jego myśli. Byli też Mac-

Donaldowie, przedstawiono mi państwa Leicesterów, a ja nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie już słyszałam to nazwisko. Ale to wszystko nagle przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, bo przez otwarte drzwi salonu zobaczyłam, jak wchodzi kolejna para — mężczyznę znałam na pewno. Nazywał się Arthur Strutt.

Był partnerem w firmie Crombie & Strutt, która miała swoje przedstawicielstwo w Birmingham. To właśnie w tym przedstawicielstwie Marion Holland pracowała kiedyś jako księgowa.

Czułam, jakby ktoś wymierzył we mnie z pistoletu. Z początku to nie dotarło, bo jak zwykle miałam wrażenie, że mierzy nie do mnie, ale do Marion Holland. Byłyśmy różnymi osobami.

Jednak mogło się okazać trochę kłopotliwe, gdyby wyszło na jaw, że obie mamy tę samą twarz.

Pan Strutt przyjeżdżał raz w miesiącu z Londynu, gdy Marion Holland pracowała w firmie. Oznaczało to, że spędził z nią wystarczająco dużo czasu, by się jej uważnie przyjrzeć. Zwykle siedział cały dzień w biurze, omawiając sprawy z szefem oddziału, panem Pringlem. Dwa razy spędził ponad godzinę w towarzystwie Marion Holland.

Gdy udało mi się odkleić język od podniebienia, schwyciłam kurczowo Marka za ramię. Rozmawiał właśnie z panem Holbrookiem, mój gest chyba go zaskoczył.

— Mogę... Mogę zamienić z tobą kilka słów? Właśnie mi się coś przypomniało — zwróciłam się do niego.

Gdy przeprosił rozmówcę, ciągnęłam:

— Właśnie mi się przypomniało, że zostawiłam włączony piecyk.

— Jaki piecyk? W domu?

— Tak — zaśmiałam się cicho. — Włączyłam go koło piątej i jakoś o tym zapomniałam. Myślę, że będzie lepiej, jak wrócę i...

— Och, wiesz, myślę, że to nic takiego.

— Nie, Mark, to ważne. Włożyłam coś do piecyka i owinęłam w pergamin. Pieklam ciasto, to był eksperyment. Jak zrobi się za gorące, może się zapalić. Od tego może spłonąć dom.

— Jeśli tak bardzo się tym martwisz, zadzwoń do pani Leonard i poproś ją, żeby przyszła do domu. Zajmie jej to najwyżej dziesięć minut.

— Ale ona nie wejdzie do domu.

— Ależ oczywiście, że tak. Wiesz, że ma zapasowy klucz.

— Mówiła mi wczoraj, że go zgubiła. Naprawdę, Mark — myślę, że będzie lepiej, jak pojedę.

— Kochanie, nie możesz. Droga w obydwie strony zajęłaby ci z półtorej godziny. To niemożliwe. Dlaczego...

— Mark, ja muszę wyjść.

— Dlaczego...

— W tej chwili. Za pięć minut będzie za późno. Wyjaśnię ci to później. Proszę, zaufaj mi.

Podszedł do nas Terry.

— Witaj, moja droga, wyglądasz znakomicie. Choć jesteś blada. Tak, blada. Czy Mark źle cię traktuje?

— Nie. Bardzo dobrze — odpowiedziałam, przeszłam dwa kroki i zobaczyłam, że było już za późno.

Pan i pani Strutt weszli do pokoju.

Rex przedstawiał ich wszystkim. Widziałam, jak Arthur Strutt uśmiechał się do Gail MacDonald, i pomyślałam sobie, że może wystarczająco się zmieniłam. Nigdy nie wiadomo. Oczywiście miałam inny kolor włosów i zupełnie inny styl ubierania się. Inną fryzurę — wtedy czesałam włosy za uszy. Poza tym minęły dwa lata. Może on mi się nigdy naprawdę nie przyglądał. Był małym, grubym mężczyzną, a jego żona była szczupła i nijaka, a...

Spojrzał na mnie i jego wyraz twarzy nagle się zmienił. Rex przedstawił nas:

— A to jest mój kuzyn i jego żona, państwo Rutland.

Wymieniliśmy zwyczajowe grzeczności. Staralam się na niego nie patrzeć, ale zauważyłam, że mruga oczami zza swych małych okularków, jak robił to zwykle, gdy był podekscytowany.

Po chwili, która wydała mi się godziną, odchrząknął i zwrócił się do mnie:

— Chyba się już kiedyś spotkaliśmy, nieprawdaż?

Spojrzałam na niego zaskoczona i uśmiechnęłam się. — Nie wydaje mi się. Przynajmniej ja tego nie pamiętam.

Gdzie to było?

— W Birmingham. U pana Pringle'a.

Potrząsnęłam głową. — Niezmiernie mi przykro. Niezbyt często bywałam w Birmingham. A jak dawno temu?

— Dwa lata. A właściwie to niecałe dwa. Jego żona przyjrzała mu się podejrzliwie.

— Nie — odparłam. — Dwa lata temu mieszkałam w Cardiff. Przykro mi.

— To mnie jest przykro — powiedział, ale na szczęście odszedł. Miał być przedstawiony temu Malcolmowi Leicesterowi i jego żonie.

Wypiłam łyk drinka, którego właśnie podała mi służąca. Był to mocny gin, ale tego właśnie było mi trzeba. Ręka trzęsła mi się tak bardzo, że musiałam odstawić szklanekę, zanim ktokolwiek zdołał to zauważyć.

Wtem ktoś chwycił mnie za ramię.

— Możesz odetchnąć — powiedział cicho Mark. — Poszedł sobie. Mam ci jakoś pomóc?

Nic nie mogło wzbudzić we mnie większej sympatii dla niego jak to, że tu był. Jego obecność podziałała na mnie lepiej niż gin. Uśmiechnęłam się tylko i potrząsnęłam głową.

Jednak Strutt nie był usatysfakcjonowany. Widziałam, jak rozmawia z żoną, ale nie podszedł do mnie ponownie, bo pani Leicester zaczęła coś do niego mówić, a jak skończyła, trzeba już było siadać do stołu.

Był to jeden z tych dobrych obiadów z dużą ilością znakomitego jedzenia przygotowanego zgodnie z zasadami sztuki kulinarnej. Widać było, jak Newton-Smithowie podtrzymują swoją pozycję. Markowi mogło się wydawać, że to strata czasu, ale teraz zrozumiałam, że tak naprawdę nie był to taki zły pomysł, a to przez obecność Malcolma Leicesterera. Zapraszając go razem z Markiem i Holbrookami, w pewien sposób Rex demaskował posunięcie Holbrooków. To był nowy rodzaj pokera i nie byłam pewna, czy chciałabym grać w tę grę z grubym Rexem.

Po jednej mojej stronie siedział Terry, a po drugiej mężczyzna, którego nazwiska zapomniałam. Mimo że jedzenie było naprawdę dobre, wszystko leżało mi na żołądku niczym grudy żelaza.

W połowie obiadu usłyszałam, że na drugim końcu stołu rozmawiają o firmie. Leicester pochylił się i odezwał do Marka, Mark mu odpowiedział coś, co ich obu rozśmieszyło. Jednocześnie zauważyłam, że Mark przyjął jego argumentację.

Spojrzałam przez stół i zauważyłam, że pan Strutt mnie obserwuje. Szybko spuściłam oczy, a on odwrócił wzrok. Jego żona siedziała obok Ter-ry'ego, ale ten nie poświęcał jej zbyt wiele uwagi.

— Chcesz powiedzieć, że tak już będzie zawsze — wołał zwrócić się do mnie — że już nigdy, moja droga, nie przyjdiesz na jedno z moich małych przyjęć?

— Niczego takiego nie powiedziałam.

— W następną sobotę mamy coś specjalnego. Żadnych ograniczeń. Myślisz, że mogłabyś przyjść?

— Terry, powiedz lepiej, czy to jest Malcolm Leicester z Glastonbury Investment Trust?

Na jego twarzy pojawił się niepewny uśmiech. — Tak. Skąd wiesz? Mark ci powiedział?

— Nie, wyczytałam to z herbacianych fusów.

— Czy z listów? Ojciec mi mówił, że kiedy u nas pracowałaś, pewnego razu przeczytałaś jakieś poufne listy.

To jedyna rozmowa, którą zapamiętałam z tego obiadu. Czekałam, aż wreszcie się skończy. Potem wszystkie kobiety poszły na górę. Wiedziałam, że czekają mnie kolejne tarapaty, ale nie spodziewałam się ataku ze strony pani Strutt.

Podeszła do mnie, podczas gdy wszystkie kobiety paplały ze sobą, i powiedziała:

— Domyślam się, że znała pani mojego męża kilka lat temu?

— Nie — odpowiedziałam. — Przykro mi, ale pani mąż bierze mnie za kogoś innego.

Spojrzała na mnie w lustrze, kiedy malowałam usta. Trudno mi było się skoncentrować. Wyglądała mizernie, była niezbyt stara, ale już przywidła.

— Arthur nigdy nie zapomina twarzy.

— Nie uważam, żeby zapomniiał jakąś twarz, pani, eee... Stott. Myślę po prostu, że pomylił mnie z kimś innym.

Zresztą, jakie to ma znaczenie?

Przez ramię spojrzała na pozostałe kobiety.

— Wiem, że durzył się w jakiejś kobiecie przez cały tamten rok — powiedziała cicho.

— Przykro mi.

— Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, jak się nazywała. Zwykle wyjeżdżał w te podróże służbowe... Czy pani go zostawiła?

Schowałam szminkę do etui, a następnie włożyłam do torebki.

— Szczerze mówiąc, pani Stott...

— Strutt, jak pani dobrze wie. Opowiada mi teraz, jak to pracowała pani w biurze w Birmingham. Jednak wiem, że nigdy by mu się to nie wyrwało, gdyby go pani nie zaskoczyła. Jest zawsze taki ostrożny...

Kobiety obok wybuchnęły głośnym śmiechem.

— Czasami sprawdzam jego walizki, kieszenie... Tylko raz, dawno temu udało mi się go złapać. Ale nawet wtedy...

Cóż, spojrzałam na nią ponownie w lustrze, a w jej oczach zbierały się łzy. I nagle zrobiło mi jej strasznie żal, więc powiedziałam:

— Proszę zrozumieć, pani Strutt, pani mąż nigdy się we mnie nie kochał. Naprawdę, moja droga. Myli się, podobnie jak pani. Nigdy wcześniej się nie widzieliśmy. Nie wierzy mi pani? Podeszła do nas pani Newton-Smith.

— Jak tam, dziewczyny, gotowe do zejścia?

— Tak — odpowiedziała pani Strutt i odwróciła się, ale nie wiem, dla której z nas przeznaczona była odpowiedź. Oczywiście wiedziałam, że pan Strutt zamierzał zaatakować ponownie. W tych dziwnych okolicznościach jego biedna podejrzliwa żona niemalże zmuszała go do udowodnienia tego, że ma rację. Poza tym nie był typem mężczyzny, który łatwo rozstaje się z pieniędzmi. Przypuszczam, że panu Pringle'owi mogło się nieźle dostać za to, że nie sprawdził dokładnie moich referencji.

Cały czas trzymałam się blisko Marka. To może się wydawać głupie, ale czułam się przy nim bezpieczniej. Czułam, że jest po mojej stronie. Nigdy wcześniej tak nie było.

Przyjęcie trwało, a my w nieskończoność rozmawialiśmy i piliśmy. Rex podszedł do mnie i zaczął coś o polowaniach. Nie miałam jednak pojęcia, co do mnie mówi. Minęła dziesiąta trzydzieści i jedenasta. O wpół do dwunastej MacDonaldownie zaczęły zbierać się do wyjścia, co spowodowało ogólne przetasowanie gości. Jak pies spuszczonej ze smyczy Arthur Strutt podszedł do mnie, tuż po nim nadeszła jego żona.

Zamrugnął nerwowo i powiedział:

— Przepraszam, że tak się tego uczepliłem, pani Rutland, ale przed ślubem nazywała się pani Marion Holland, prawda?

Nie brzmiało to wcale jak pytanie. Po prostu stwierdził fakt, który uważał za prawdziwy.

— Nie — odpowiedziałam niezbyt grzecznie. — Nie nazywałam się Holland.

Strutt spojrział na Marka, a potem na żonę.

— Owa Marion Holland, o którą mi chodzi, zatrudniona była przez moją firmę między wrześniem 1958 roku a lutym 1959. To było w Birmingham, gdzie szefem jest George Pringle.

Westchnęłam. W sumie miałam powody, by być teraz naprawdę zniecierpliwiona.

— Mam jeszcze raz powtórzyć? Moje panięskie nazwisko brzmi Elmer. A w 1958 i 1959 roku mieszkałam z mężem w Cardiff. Zmarł pod koniec 1959 roku. Nazywał się Jim Taylor. W Birmingham byłam tylko raz, i to pięć lat temu.

Wpatrywał się we mnie, jakby zaraz miał mnie nazwać oszustką. Nagle odezwał się Mark:

— Mogę to potwierdzić, panie Strutt, jeśli to pana zadowoli. Jednak zupełnie nie rozumiem, dlaczego robi pan wokół tego takie zamieszanie. Znałem już wówczas moją żonę. To było jeszcze przed naszym ślubem.

To ostatnie zdanie wprawiło mnie w osłupienie.

— Kiedy — spytał Strutt — w 1959?

— Tak. A po raz pierwszy spotkałem ją w Cardiff w czerwcu 1958 roku. Od tego czasu trwa nasza znajomość. Nie wiem, dlaczego robi pan tyle szumu wokół zwykłego podobieństwa, ale zapewniam pana, że to tylko podobieństwo. To go kompletnie rozzłościło. Widać było, jak z jego twarzy znika całkowita pewność, a na jej miejscu, po raz pierwszy, powoli pojawia się prawdziwa wątpliwość.

— Cóż, jestem naprawdę zdumiony... Nigdy nie spotkałem się z takim podobieństwem, naprawdę. Przyznaję, że Marion Holland była blondynką, ale wie pan, jak to kobiety zmieniają kolor włosów...

Ktoś za nami się zaśmiał. To był Terry. Pan Strutt spojrzał na mnie.

— Proszę mi wybaczyć, pani Rutland. Z pewnych powodów chciałbym ponownie zobaczyć się z panną Holland. Ona... No cóż, chyba wyszedłem na kompletnego głupca. I nie ma pani siostry bliźniaczki, jak sądzę?

— Nie mam żadnej siostry — odparłam, uśmiechając się z ulgą, bo już zaczynał się wycofywać.

Jednak nagle w jego oczach, jak ciekła rtęć, zaczęły krążyć podejrzenia.

— Pani się nawet uśmiecha jak ona... Cóż, obiecuję, że teraz będę już wierzył w historie typu „Więzień Zandy”<sup>2</sup>. Zaraz potem wyszli, a my wkrótce po nich.

Terry zszedł z nami na dół, ale zamiast pójść do swojego samochodu, towarzyszył nam do naszego. Mówił o tym i owym, ale jednego byłam pewna — myślał o czymś innym. Cały czas rzucał spojrzenie to na mnie, to na Marka.

— Nie wiedziałem, że Leicester przyjaźni się z Rexem, a ty, Mark? — spytał.

— Też nie.

182

---

<sup>2</sup>„Więzień Zandy” — powieść Anthony'ego Hope'a. Akcja powieści rozgrywa się w fikcyjnym królestwie. Aby uchronić króla Rudolfa V przed planowanymi zamachami, jego miejsce na tronie zajmuje niezwykle do niego podobny kuzyn.

— Nigdy go wcześniej nie widziałem, ale to miły facet. Zdecydowany na swój sposób. Ale przy okazji, nie wiedziałem, że wy oboje znaliście się już w 1958 roku. Chyba nie żartowaliście, co?

— Raczej nie — odparł Mark. — Pamiętasz, jak byłem w Walii w czerwcu 1958 na rozprawie z Verekersami? Wtedy poznałem Marnie.

— Kiedy Estelle jeszcze żyła? Mark zawahał się.

— Nie znałem Marnie dobrze. Wymieniliśmy korespondencję raz czy dwa razy.

Terry zaśmiał się.

— Nieźle żeście sobie to obmyślili, nie ma co. Cała ta heca z przyjmowaniem do pracy. Dlaczego tak naokoło, co? Mark znów się zawahał.

— Ludzie gadają, Terry. Nawet ty. Nie chciałem jakiegoś głupiego skandalu.

— Ha, ha, ha. No i widzisz, jak twoje występki wyszły na jaw. Zatrzasnął drzwi z mojej strony i ruszyliśmy.

Jechaliśmy w nieznośnym milczeniu. Czekałam, aż Mark się odezwie, ale nic nie mówił, a z jego twarzy nic nie dawało się wyczytać.

W samochodzie było lodowato, nachyliłam się więc, żeby włączyć ogrzewanie. Zaczęło warczeć, ale silnik był na razie zimny i nawiewało zimne powietrze. Omiotło moje nogi i zadrżałam. Postawiłam kołnierz palta. Przed nami był jeszcze jeden samochód, który wyjechał od Newton--Smithów, ale nie pamiętałam, kto wychodził chwilę wcześniej. Na drodze były dwie czy trzy zamrożone kałuże i nagle tamten samochód wpadł w mały poślizg. Potem wolno jechał przed nami przez połowę drogi do domu. Księżyc wschodził i od czasu do czasu wyglądał jak reflektor pojawiający z naprzeciwka. Nawiew stał się odrobinę cieplejszy.

— Mark, chcę ci podziękować za to, co dzisiaj zrobiłeś. Zachowałeś się jak prawdziwy przyjaciel, trzymając moją stronę cały czas — nigdy tego nie zapomnę.

— Nie?

— Nie. To... To naprawdę było cudownie czuć, że mnie obronisz. Jestem ci ogromnie wdzięczna.

— Hmm, a czy nie uważasz wobec tego, że nadszedł też czas, byś zaczęła być szczerą? — spytał.

— Co do... dzisiejszego wieczoru?

— A czegożby innego? — odpowiedział spokojnie.

— Jesteś na mnie zły? Obrzucił mnie spojrzeniem.

— Zły to nieodpowiednie słowo. Niepewny i, powiedzmy, niespokojny.

— To było cudowne, że tak mnie wspierałeś.

— Już to powiedziałaś. Nie róbmy z tego czegoś wielkiego. Mnie nadal nie podoba się to, że miałabyś pójść do więzienia.

Westchnęłam.

— Dzięki ci za to, Boże.

— Szczerze mówiąc, Marnie, uważam, że nadszedł czas, abyś przestała dziękować Bogu czy mnie, czy komu innemu, i stanęła twarzą w twarz z faktami swego dotychczasowego życia.

— Takimi jak?

— Będziesz musiała powiedzieć mi o wszystkich swoich kradzieżach.

— O co ci chodzi? Kto powiedział, że tu chodzi o jakieś pieniądze?

— Spytałem Strutta.

— Co?

— Spytałem go. Miałem powody, by zapytać go, czemu tak go wzburzyła myśl, że spotkał Marion Holland. Tysiąc sto funtów wzburzyłoby każdego faceta. — Ale on będzie myślał...

— I tak już ma pewne podejrzenia. Moje pytanie niczego nie zmieniło. Sadzę, że całkiem nieźle udało nam się go spławić kosztem tego, że Terry będzie teraz myślał, że uganiałem się za tobą jeszcze za życia Estelle. Niestety, akurat ten rodzaj wyjaśnienia Terry jest w stanie bardzo łatwo kupić.

— Cóż, przykro mi z tego powodu...

— Nie musi ci być przykro.

Minał nas jakiś samochód. Długi czas jechaliśmy w milczeniu.

— Muszę wiedzieć — odezwał się w końcu — tu i teraz, po prostu muszę wiedzieć, jak dużo tego było. Pomaganie ci może nie przynosić żadnych korzyści, ale wspieranie cię w oszukiwaniu samej siebie to kompletna głupota.

— Pewnie wygląda to tak, jakbym cię oszukała. Ale rozumiesz, nie chciałam, żebyś się dowiedział...

— W to mogę uwierzyć.

— Pozwól mi skończyć. Nie chciałam, żebyś się dowiedział, bo czułam, że mi ufasz, a jeśli bym ci powiedziała, to by wszystko zniszczyło. Może ci się wydawać, że mam cię za nic, ale... — głos mi się załamał.

— Cokolwiek się wydarzyło tego wieczoru — powiedział łagodnie — na litość boską, nie top wszystkiego w krokodylich łzach.

Skreśliśmy na podjazd do domu i wjechaliśmy do garażu.

— Pamiętasz, jak mnie przyłapałeś? Gdy mnie tutaj przywiozłeś, podczas kolacji powiedziałam ci, że jestem złodziejką i oszustką. Powiedziałam ci to wprost. Powiedziałam: wybacz i pozwól mi odejść. I powtarzałam to później. Nie chciałeś, żebym odeszła.

— Aha, więc to, co się wydarzyło teraz, to moja wina?

— Tego nie powiedziałam...

— Ale muszę ponosić za to część odpowiedzialności? Czy o to chodzi? Cóż, pewnie masz rację.

Wyłączył silnik i chwilę siedzieliśmy w ciemności. Wyjęłam chusteczkę i wydmuchałam nos. W ogrodzie słychać było, jak wiatr wzdycha wśród gałęzi ogołoconych drzew.

— Pewnie masz rację — powtórzył. — Chciałem wierzyć w to, co powiedziałaś mi przed ślubem. Część z tego sprawdziłem, a resztę wziąłem za dobrą monetę. Zresztą, byłem w tobie zakochany, a kiedyś musiałem zacząć ci ufać. Prawdę mówiąc, bałem się nawet zbyt w to zagłębiać, gdyby jakimś trafem coś się tam nie zgadzało. Pomyślałem — co było, to było. Kochamy się. Pewnie możemy zacząć właśnie od tego. Jeśli zwodziłaś mnie, byłem bardzo podatną ofiarą. Tak więc, jeśli o to chodzi, masz całkowitą rację. — Mark...

— Ale w gruncie rzeczy to było bardzo złe rozumowanie. Co było, nie przeminęło. Muszę znać twoją przeszłość, Marnie.

— Powiem ci wszystko, co chcesz...

— Masz na myśli, że powiesz mi wszystko, czego nie możesz pominąć. Obawiam się, że tym razem to nie wystarczy. Naprawdę musisz być bardziej szczerą.

Otworzyłam drzwi i wysunęłam nogi, by wysiąść.

— Marnie...

— Dobrze.

— Nie, tym razem musi być lepiej niż dobrze. Nie jestem już mężczyzną, którego poślubiłaś. Przy twojej wydatnej pomocy stałem się cyniczny i utraciłem złudzenia. Tak więc, mimo że nadal chcę ci pomóc, przysięgam na Boga, że jeśli przyłapię cię dziś na jakimś kłamstwie, pójdę do pana Arthura Strutta i powiem mu o pomyłce, jaką popełniłem. Potem nic już cię nie obroni przed policją. Miej to na uwadze, dobrze?

Tej nocy położyliśmy się spać dopiero o piątej rano. Poza tym że był uprzejmy, zachowywał się jak inkwizytor. Godziny mijały, a on stawał się coraz bledszy na twarzy. Wyglądał jak diabeł. Czasem płakałam, czasem krzyczałam na niego. Ale on był konsekwentny.

W końcu powiedziałam mu wszystko o Birmingham, wszystko o Manchesterze, wszystko o Newcastle. Pod koniec byłam tak wyczerpana, że nie mogłam stać. I nienawidziłam go bardziej niż kiedykolwiek. Wszystko, co dobrego zrobił, stając w mojej obronie u Newton-Smithów, nagle zniknęło.

Jednak nawet wtedy nie powiedziałam mu o matce i o Swansea. Myślał, że już wszelkie sekrety ze mnie wycisnął, ale tak nie było. Kurczowo trzymałam się moich jedynych tajemnic.

Trzy kradzieże to i tak było za dużo. Nigdy nie myślałam, że ktokolwiek zmusi mnie do powiedzenia aż tyle.

Słyszałam o więźniach przesłuchiwanym podczas wojny— jak zaczynali mówić, nie mogli się już zatrzymać.

O piątej zrobił herbatę i wypiliśmy po filiżance. Cały czas siedzieliśmy w kuchni, bo w nocy było to najcieplejsze miejsce w domu. Okna były zaparowane jak w łaźni.

Gdy popijaliśmy już jakiś czas, zagadnął mnie:

— Nadal nie wiem, dlaczego to robiłaś, jak to wszystko się zaczęło.

— Jeśli zapytasz mnie o coś jeszcze, zemdleję.

— Nie po wypiciu gorącej herbaty... Zresztą myślę, że gonimy już resztkami sił. Jesteś pewna, że niczego nie zapomniałaś?

Potrząsnęłam głową.

Sięgnął po więcej cukru. — Teraz chodzi o to, co my z tym zrobimy. Wzruszyłam ramionami.

— Cóż, kochanie — rzekł — nie możemy tego tak zostawić.

— Dlaczego nie? Nie odpowiedział.

— Dlaczego kłamałeś dla mnie, skoro nie chcesz tego zostawić tak, jak jest?

— Kłamałem, żeby uratować cię z opresji i zyskać na czasie. Ale tak nie może być stale. Nie możesz wieść normalnego życia, skoro jesteś poszukiwana przez policję w trzech różnych miastach?

— Nie ja jestem poszukiwana...

— Nie jako Marnie Elmer, nie jako pani Rutland. Ale jesteś na łasce losu. Następnym razem może mnie tam nie być.

Następnym razem możesz nie mieć tyle szczęścia.

Przeszył mnie dreszcz, jakbym miała straszną gorączkę.

— Proszę, pozwól mi się położyć.

— Może i jest jakieś wyjście, ale ja go nie widzę. Nie możesz przeżyć całego życia jako poszukiwana kryminalistka.

— Zastanówmy się nad tym jutro rano. Odstawił filiżankę i spojrzał na mnie.

— Zastanawiam się, czy właśnie to jest twój sposób życia — kiedy tylko pojawia się coś trudnego, mówisz sobie, pomyślę o tym jutro rano, Albo może tak długo żyjesz w ten sposób, że niebezpieczeństwo nie wydaje ci się zbyt duże. Cóż, dla mnie ono jest spore. Nie mówiąc o tym, że moim zdaniem nie można w sobie tego nosić całe życie. Patrzyłam, jak w tę i z powrotem przemierza kuchnię. Krawat przekrzywił mu się, a włosy sterczały na wszystkie strony.

— Za każdym razem, idąc do kogoś z wizytą — pomyśl o tym — poznając nowych ludzi, jesteśmy narażeni na niemiłą niespodziankę. Potem zaprzeczenia, ohydne kłamstwa i cała reszta... Aż któregoś dnia to przestanie działać i zostaniesz przyłapana...

— Nie ma innego wyjścia — odparłam.

— Ale poza tobą, choć to ty stanowisz główny problem, również ja ponoszę odpowiedzialność moralną i prawną, jako współsprawca. Nie chcę iść do więzienia, Marnie.

— Pozwól mi odejść — poprosiłam. — Nie ma innego wyjścia.

— Do więzienia?

— Nie, po prostu pozwól mi odejść. Dyskretnie się ulotnię. Ludzie wkrótce zapomną.

— Wątpię. Zresztą, to i tak niczego nie rozwiązuje... — Podszedł do mnie. — W sumie może ten twój pomysł nie był taki zły. Wymyślimy coś jutro rano.

## Rozdział 15

Rano niczego nie wymyśliliśmy, ani nazajutrz, ani następnego dnia. Nie rozmawialiśmy o tym, ale widziałam, że Mark nie przestał się nad tym zastanawiać. Jednak gdy nic o tym nie wspominał i nic nie robił, czułam się coraz bardziej bezpiecznie.

Zresztą, tak szczerze mówiąc, co mogliśmy zrobić? Mógł albo mnie wydać policji, albo nie. Nie wierzyłam, by kiedykolwiek miał mnie wydać — a z każdym dniem, kiedy nic z tym nie robił, coraz bardziej się w to wplątywał. Poza tym cały czas mnie kochał, czy czymkolwiek było to, co do mnie czuł — to się nie zmieniło — a sposób, w jaki się za mną ujął u New-ton-Smithów, dobitnie mnie w tym utwierdził.

Nagle, któregoś dnia, jakiś tydzień później, wspomniał, że dzwonił do niego Roman, i spytał, czy naprawdę zamierzam porzucić terapię na dobre? Od razu zrozumiałam, że jeśli tam wrócę, sprawię mu przyjemność, więc powiedziałam, że spróbuję jeszcze pochodzić przez kilka tygodni. Mam dosyć tych spotkań, powiedziałam, bo strasznie mnie przygnębiają, ale zrobię to, skoro sobie tego życzysz.

Chciał tego i wróciłam do Romana. Poczulałam, że Mark uznał to za jedyne wyjście z sytuacji.

Mniej więcej w tym samym czasie jeden z dwóch niewidomych starszków — ten mniej niewidomy, Riley — zachorował na serce i leżał przez dwa tygodnie w łóżku. Był to także dosyć trudny okres dla pani Richards, bo miała bronchit, więc nie bardzo mogła mu pomóc, wobec czego szłam tam każdego ranka, po wyjściu Marka do pracy, i opiekowałam się chorym. Czasami spędzałam tam w sumie trzy godziny dziennie, z jedną i drugą rodziną. Dziwne było, jak tych dwóch mężczyzn razem funkcjonowało. Nawet jak pan Riley leżał w łóżku, cały czas mówił panu Davisowi, gdzie co jest, tak żeby pan Davis mógł mimo wszystko jakoś „widzieć”. Byli sobie bliźsi niż bracia bliźniacy.

Pan Davis miał piękny walijski akcent, a jego odpowiedzi na instrukcje pana Riley'a brzmiały jak śpiewane odpowiedzi podczas mszy.

— Trochę w twoje lewo, David — mówił pan Riley.

— Teraz trochę w moje lewo, John — odpowiadał pan Davis.

— Uważaj na ten stółek przy twojej lewej kostce, David.

— Ominąłem go, John.

Pod koniec trzeciego tygodnia pan Riley był znowu na nogach i starszkwowie mogli powrócić do swoich spacerów. Bałam się, żeby ich kiedyś nie przejechali motocykliści.

Mając tyle spraw na głowie, właściwie nie miałam czasu, żeby się zastanawiać, czy ten fatalny obiad przyniósł jakieś korzyści, czy Mark jeszcze był w jako takich stosunkach z Holbrookami, czy też Glastonbury Trust nadal namawiał Rexa, by sprzedał część swoich udziałów. Zauważyłam jednak, że Mark był czymś bardzo zajęty i wracał do domu później niż zwykle. Zawsze byłam w stanie się zorientować, czy myśli o mnie, czy

o czymś innym. W pewnym sensie cieszyłam się, że ma jakieś inne powody do zmartwień. Mógł wówczas mniej martwić się mną.

Potem, w kolejny weekend, powiedział, że musi wyjechać. Miał spędzić sobotę wieczór i część niedzieli ze swoją matką w domu kogoś, kogo nazwisko wyleciało mi z pamięci. Powiedział mi, że to jakiś kuzyn czy coś takiego, i czy nie będzie mi przykro, jeśli nie pojedę, ale muszą omówić jakąś sprawę rodzinną.

Odparłam, że oczywiście, że nie. I oczywiście poszłam do Terr^ego.

Może kusiłam los, idąc tam, ale niestety, kończyły mi się pieniądze.

Gdy dotarłam na miejsce, było tam już pięć osób. Jak oznajmił Terry, tego wieczoru wszystkie chwyty były dozwolone, co oznaczało przebicie bez limitu. Przez jakiś czas sobie radziłam, ale potem zaczęłam przegrywać.

Tego wieczoru łatwo było przegrać sporą sumę, dwa razy pożyczalam od Tenyego. A potem trafiło mi się okropne rozdanie z Alistairem MacDo-naldem. Reszta odpadła już wcześniej, licytowaliśmy się już tylko we dwoje. W rękę miałam fulla. Wnosząc z odrzucanych przez niego kart, sądziłam, że ma trójkę. W końcu Alistair mnie sprawdził i gdy pokazał swoje karty, okazało się, że ma cztery siódemki.

Tej nocy straciłam czterdzieści siedem funtów. To był ostatni raz, powiedziałam sobie. Nigdy więcej, to mnie wykańcza. Gdy skończyliśmy, żydowski reżyser podszedł do mnie, mówiąc:

— Wiesz, Mary, jesteś najlepszym pokerzystą wśród kobiet, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

- — Kpisz ze mnie? — spytałam.

— Nie. Masz tylko jedną wadę.

— Jaka?

— Twój problem nie polega na tym, że nie rozumiesz gry. Brakuje ci jednak wyczucia, kiedy sprzyja ci los. Jak gram, czuję to. To niczym łagodny powiew. Jeśli wieje mi w plecy, wiem, że mając przyzwoite karty, wygram jakieś pieniądze, mając dobre karty, wygram zaś całkiem spore pieniądze. Jeśli wieje mi w twarz, muszę odpowiednio nastawić kołnierz. Wiem, że je"śli ja mam dobre karty, to ktoś inny, przeciwnie do prawa rozkładu, może mieć jeszcze lepsze.

— No cóż — powiedział wtedy Terry, podchodząc do nas — na pewno ma szczęście w miłości.

— Oddam ci w przyszłym tygodniu, Terry — zapewniłam go. — Albo wyślę ci czek.

— Weź to z pieniędzy na utrzymanie domu. Jeśli oczywiście Mark ci je daje.

— Jeśli o to chodzi, jest dość hojny.

— U Rexa było całkiem interesująco, co? — odezwał się Terry, gdy reżyser poszedł odebrać swoją wygraną.

— Tak? — odparłam obojętnym tonem.

— Tak, tak mi się przynajmniej wydaje. Cała ta sprawa z facetem, który znał cię sprzed kilku lat... Co tak naprawdę myśli o tym Mark?

— Mój drogi — odpowiedziałam — on wcale mnie nie znał. Myślałam, że było to całkowicie jasne.

— Cóż, i tak, i nie, moja droga. Było jasne, że w twoim życiu pojawił się przedtem jakiś mężczyzna. Nie jest jednak jasne, kto to był: Strutt czy Mark? Zdawało się, że obaj rościli sobie do tego pretensje.

— Naprawdę, Terry, twoja głupota...

— I ta żona Strutta, gotowa cię niemal zabić. Nigdy nie widziałem tak zabawnej sytuacji. A kiedy pojawił się twój pierwszy mąż? Szczerze mówiąc, uważam, że powinnaś mi to wszystko opowiedzieć.

— Nie ma nic do opowiadania. Poznałam Marka. Byliśmy tylko przyjaciółmi. Gdy w Rutland zwolniło się miejsce, Mark, wiedząc, że jestem wdową, powiadomił mnie o tym.

— Dobranoc, Tommy! Dobranoc, John! — zawołał szybko do wychodzących właśnie Terry, ale kiedy chciałam pójść po płaszcz, położył mi tę swoją dłoń na ramieniu. Jego oczy znowu przybrały kolor kleju. — Dlaczego tu przychodzisz, Marnie? — spytał, dość szorstko jak na niego.

Spojrzałam na jego palce, ale nie odpowiedziałam.

— Wiem, że Mark nie chce, żebyś tu przychodziła. Nasze stosunki są ostatnio dość napięte. Mam ci powiedzieć, dlaczego przychodzisz? Bo jesteś bardziej podobna do mnie niż do Marka. Tu możesz czuć się swobodnie. Nie musisz zachowywać się tak, jak on by chciał, żebyś się zachowywała. Tu nie ma żadnego „wojskowego drylu”. Nikt nie karze cię za to, że szepczesz, kiedy obok przechodzi admirał. Po co udawać przed samą sobą? Powinnaś go zostawić, moja droga.

Prawie wszyscy już wyszli, oprócz MacDonaldów, którzy cały czas byli jeszcze w sypialni. Zaskoczyły mnie emocje w głosie Terry'ego. Nie było w nich lekceważenia.

— Wiem, że jesteś oszustką, moja droga. Nie zadałem sobie trudu, żeby dowiedzieć się o tym czegoś więcej, chociaż mogłem. Dlaczego miałbym to robić? Nie obchodzi mnie, kim byłaś i co robiłaś. Dla mnie mogłaś nawet otruć swojego pierwszego męża. W gruncie rzeczy wydałabyś mi się nawet przez to bardziej interesująca. Chciałbym, żebyś to sobie uświadomiła.

Przyciągnął mnie do siebie, zanim zdążyłam zareagować. Gdybym chciała, mogłam powstrzymać go przed pocałunkiem. Ale pozwoliłam mu się pocałować. Może potraktowałam to jako zaliczkę na poczet kwoty, którą od niego pożyczyłam. Jednak głównie chodziło mi o sprawdzenie, czy się zmieniłam, czy nie. Przez ostatnich kilka miesięcy tyle się wydarzyło w moim życiu i zastanawiałam się, czy spowodowało to jakąś zmianę w moim podejściu do niego. Czy do mężczyzn w ogóle.

Nic się nie zmieniłam. Wyszarpnęłam się.

Uśmiechał się.

— Nie przychodź tu, jeśli nie chcesz, ale nie odrzucaj zaproszeń tylko z powodu Marka. Zrozum, dla mnie nie ma zła i dobra. Liczy się tylko przetrwanie. Ty przetrwałaś. I dlatego cię lubię.

Od momentu gdy wróciłam do Romana, starałam się być wobec niego uczciwa. Ze względu na Marka, od którego dobrej woli zależało, czy zrobi coś w sprawie Strutta, czy nie, musiałam zdobyć się na wysiłek. Wiedziałam, że Roman powie Markowi, jeśli będę mu się opierać i odmawiać przyjęcia pomocy. Czułam się jak uczennica, która dostała już jedną uwagę i nie może sobie pozwolić na następną, przynajmniej aż do swoich urodzin. Tak więc przez dwa tygodnie przeżywałam coś w rodzaju miodowego miesiąca. Ja starałam się być pomocna, a on zbyt mocno mnie nie naciskał. Posunęłam się do tego, że wyznałam mu, że raz ukradłam pieniądze i martwiłam się, że nie mogę ich zwrócić, ale zdaje się, że nie zrobiło to na nim większego wrażenia.

Mimo to, z biegiem czasu, choć Mark mnie do tego nie zmuszał, sama zaczęłam mówić. Zaczęłam nie tylko mówić o wielu sprawach. Wiele rzeczy zaczęło mi się także przypominać. Dziwne skrawki wydarzeń — całkowicie od siebie oderwane. Przypomniało mi się, jak patrzyłam przez kuchenne okno w Sangerford na wodę spływającą rynną. W ustach miałam smak rurek w czekoladzie, więc pewnie musiałam je wtedy jeść. W uszach miałam ciężki stukot wagonów towarowych (okna wychodziły na bocznice kolejową, na którą wjeżdżały pociągi, na szczęście tylko dwa razy dziennie). W kuchni jakiś mężczyzna rozmawiał z mamą, a ona była dla niego bardzo nieprzyjemna. Usiłował ją przekonać, żeby coś zrobiła, ale ona nie chciała. Powtarzała w kółko: „Rozstać się z nią? O nie, nawet jeśli miałyby to być ostatnia moja decyzja na tym świecie!” Słyszałam jej głos bardzo wyraźnie, ale nie mogłam sobie przypomnieć, kto to był i z kim miałyby się rozstać.

Innym razem była to jakaś bójka. Nie wydaje mi się, że bym była jej świadkiem, ale pamiętałam ciężkie uderzenia pięści i stękanie jakiegoś

mężczyzny. Bardzo wyraźnie pamiętałam, że była tam też jakaś mniej więcej czterdziestoletnia kobieta. Chyba pielęgniarka, co wywnioskowałam z jej stroju, ale bałam się jej. Miała jasne włosy zaplecione w warkocz, które utraciły już swoją barwę, i zaciśnięte usta, i czuć od niej było stęchły krochmal.

Pewnego dnia, kiedy spotkanie wlokło się niemiłosiernie, Roman zapytał:

— Czy oboje pani rodzice żyją, czy tylko jedno? Aż mnie zatkało.

— O co panu chodzi? Wie pan przecież, że od siedemnastu lat oboje nie żyją.

— Przepraszam panią.

— Myśli pan o swoim kolejnym pacjencie, nie o mnie.

— Nie — odparł — myślałem o pani.

— Więc nie wierzy pan w nic, co do tej pory panu powiedziałam?

— Owszem, w większość tego wierzę... — Zawiesił głos.

— Proszę, niech pan dokończy!

— Nie, to niech pani dokończy, pani Rutland.

— Mówiłam już to panu setki razy! Tata umarł, jak miałam sześć lat. Pamiętam, że nosił mnie na rękach. Potem nikt mnie już nie nosił. O matko! Chciałabym mieć znowu sześć lat, a nie tracić tu czas na czczej gadaninie. Wtedy może pan mógłby mnie ponosić na rękach, zamiast kazać mi się męczyć na tej leżance niczym face na tafli lodu!

— Chciałaby pani tego?

— Może bym i tego chciała, gdybym naprawdę miała sześć lat i lepiej pana znała. Nic o panu nie wiem, podczas gdy pan cały czas wtyka nos w moje sprawy. Siedzi pan tak sobie po prostu za mną jak... jak ojciec, z którego nie ma pożytku. Jaki jest z pana pożytek, dla mnie czy dla kogokolwiek?

— Dlaczego z pani ojca nie było pożytku?

— Nie powiedziałam tego! Powiedziałam, że z pana nie ma żadnego pożytku. Nigdy mi pan nic nie radzi! Nigdy mi pan nic nie mówi. Nigdy mi pan nie sugeruje, co powinnam zrobić.

— Tak jak powinien to robić dobry ojciec?

— No tak.

— Ale pani ojciec tego nie robił?

— Kto powiedział, że nie? Teraz wkłada mi pan w usta jakieś słowa, których nie powiedziałam! Kiedy umarł, miałam taką książeczkę z obrazkami, na jednym z nich był słoń, nie powiedziałam ani słowa, po prostu po-

łożyłam głowę na książce, a łzy spływały na słońce. To była tania książka, bo za słońcem było słońce, a przez moje łzy kolor się rozmył i wyglądało to tak, jakbym płakała krwią.

— Kto pani o tym powiedział, Margaret?

— Lucy Nye. Matki wtedy nie było i Lucy mi powiedziała. Bawiłam się z kotkiem u sąsiadów — była tam stara balia w ogrodzie i połamany wózek — zawołała mnie, a ja nie chciałam przyjść, i obraziłam się, ale nie powiedziała mi od razu, dlaczego mnie zawołała, więc usiadłam i zaczęłam czytać książkę.

Łzy spływały po mojej twarzy, sięgnęłam po torebkę i wyjęłam chusteczkę. Po raz drugi płakałam podczas sesji i był to prawdziwy płacz, nie dla efektu. Czułam się tak głupio, siedząc tam i płacząc, bo przypominałam sobie coś, o czym zapomniałam, i dlatego, że znowu czułam w środku straszny smutek, mając przed oczami ten dzień, i to, jak zdałam sobie sprawę, że już nigdy nie będę się czuła w pełni bezpieczna i kochana.

Mark zaprosił na obiad jakiegoś pana Westermana. Powiedział, że to stary przyjaciel jego ojca, więc domyśliłam się, że ma to coś wspólnego z podziemną walką o Rutland. Był szczupłym mężczyzną około sześćdziesiątki, miał ostry nos i siwe włosy zaczesane do tyłu. Pewnie mogłam była się czegoś domyślić ze sposobu, w jaki zapinał swoją kurtkę. Po obiedzie Mark powiedział:

— Mam do omówienia pewną sprawę z Humphrym, przejdę więc z nim na chwilę do gabinetu. Nie masz nic przeciwko temu, Marnie?

Odpowiedziałam, że nie, i po przypudrowaniu nosa pomogłam pani Leonard sprzątnąć ze stołu. A przechodząc koło biblioteki, usłyszałam ciche głosy, na przemian tubalny głos Watermana i cichszy Marka.

Gdy wycierałam naczynia z panią Leonard, odezwała się do mnie:

— Pierwsza pani Rutland była niezwykle miła, prawdziwe słoneczko, ale nigdy mi nie pomagała jak pani, a to taka różnica, prawda, ten mały gest. Jak to się mówi, była typem samotnika. Często mówiło się coś do niej, a ona myślami była gdzie indziej. Pan Rutland śmiał się z niej — naprawdę. Teraz niezbyt często się tak śmieje. Często śmiali się razem. Czasami słyhać ich było rankiem, jak przychodziłam przygotować śniadanie. To było cudowne... Ale codziennie około południa była już zatopiona w pracy. Książki piętrzące się na biurku w bibliotece prawie do sufitu. Nagle wyjeżdżała na trzy czy cztery dni — nie przejmując się wyglądem — a on dojeżdżał do niej na weekend.

Wykopywali jakieś bożki, czy jak im tam. Niektórzy ludzie to mają śmieszne zainteresowania.

Odstawiłam kieliszki do wina na miejsce. Śmieszne? Zastanawiałam się, jakiego rodzaju komitywy Mark oczekiwał ode mnie. Oczywiście, śmialiśmy się czasem i w naszym domu toczyło się codzienne, zwyczajne życie. Ale nie było w tym prawdziwej wspólnoty, nie takiej chyba, jaka mogłaby zaistnieć. Często robił jakiś ruch, ale zaraz potem się wycofywał.

— Czy jagnięcina była naprawdę dobra? — spytała pani Leonard.

— Tak, wspaniała.

— Powiedziałam pani Rogers, że chcemy na dzisiaj to, co ma najlepsze. To poważna sprawa, bo przychodzi poważna osoba, która wykryje, jeśli sprzeda mi pani starego barana zamiast jagnięcia — pani Leonard zaśmiała się z własnych słów.

— Ma pani na myśli pana Westermana?

— Ależ tak, oczywiście. Szef policji czy jak mu tam. O to mi się rozchodzi.

— Szef... Pan Westerman jest szefem policji? W Hertfordshire?

— Dokładnie tak. Wydaje mi się, że odszedł na emeryturę w zeszłym roku. Pewna to nie jestem, ale tak mi się coś zdaje. Ale, jak ja to mówię, policjantem zostaje się aż do grobowej deski. Nie żebym to ja była na bakier z prawem. A tej wielkiej anteny telewizyjnej to się i tak nie da postawić w sekrecie, zaraz trzeba płacić abonament...

Mówiła i mówiła. Wycierałam noże i widelce. Mark i ten Humphry Westerman siedzieli w gabinecie.

Poczułam, jakby ktoś założył mi na głowę żelazną obręcz i powoli ją zaciskał. Nadal wycierałam nakrycia, choć wszystko było już suche. Spojrzałam na zegar i zorientowałam się, że są w gabinecie już od piętnastu minut.

Pomyślałam, że mogłabym wejść i zapytać, czy chcą jeszcze kawy, ale jeśli bym to zrobiła, przerwaliby rozmowę i zaczekaliby, aż wyjdę. A jeśli nie wyjdę, jeśli nic nie uda mi się wywęszyć, podejmą tę rozmowę, czegokolwiek ona dotyczyła, innym razem.

Bo jeśli Mark chce mnie zdradzić, nic go przed tym nie powstrzyma, prędzej czy później.

Pani Leonard mówiła dalej:

— Naprawdę, chciałabym tam wtedy być. Oczywiście pani Bond, która pracowała kiedyś u państwa Heaton, przysięgała, że prawie każdej nocy wracał do domu pijany, a one...

Jeśli wyszłabym z kuchni i stanęła w korytarzu, mogłabym podsłuchać ich rozmowę. Ale wtedy na pewno pani Leonard wyszłaby na korytarz i przyłapałaby mnie.

— Jagnięciny starczy na jutrzejszy lunch. Można będzie zrobić casserole. Prawie nie mamy już kawy, tej świeżo mielonej — kontynuowała swój monolog.

Było za dwadzieścia dziesiąta. Drzwi balkonowe gabinetu wychodziły na trawnik.

— Wyjdę na chwilę i zajrzę do Foria — powiedziałam. — Był jakiś niespokojny dziś po południu.

— Dobrze, niech pani tylko założy płaszcz, moja droga. Na dworze jest mokro.

Gdy się podczołgałam i przyłożyłam ucho do szyby, słyszałam wszystko.

Mówił Mark — chyba nie mówił długo na ten temat, sądząc ze słów. Gdy doszedł do sedna, własnym uszom nie wierzyłam. Pomimo tego wszystkiego, co słyszałam, nadal uważałam, że to nieprawda. Trudno uwierzyć, kiedy się słyszy, że własny mąż cię zdradza.

— ...Oczywiście nie miałem o tym pojęcia, kiedy się pobieraliśmy. Mimo to jednego jestem pewien — kiedy popełniała te kradzieże, miała rozstrój nerwowy, była chwilowo nie zrównoważona. To jej jednak minęło. Sam zresztą widziałeś.

— Na pewno jest wyjątkowo atrakcyjną młodą kobietą, ale...

— To jeden z powodów, dla których cię tutaj zaprosiłem, żebyś sam ją zobaczył. Zmieniła się od czasu, jak ją poślubiłem. Jestem całkowicie pewien, że w miarę upływu czasu, jeśli nie zostanie postawiona w stan oskarżenia, dojdzie do równowagi, nawet jeszcze lepszej niż obecnie.

— Czy były jakieś...

— Zaczekaj chwilę, zanim coś powiesz. Proszę, pozwól mi skończyć. Moja żona jest prawdopodobnie poszukiwana przez policję pod trzema różnymi nazwiskami. Z pewnością wydano już nakazy aresztowania. Jednak policja nie ma pojęcia, co łączy te osoby z Marnie. Więc jeśli zgłosiłaby się i złożyła pełne i szczerze zeznanie, postąpiłaby całkowicie dobrowolnie. To po pierwsze. Dopóki się sama nie zgłosi, policja nawet nie ma co liczyć na to, że uda im się ją wytropić. Po drugie, jestem gotowy zwrócić wszystko z własnej kieszeni okradzionym osobom lub firmom. Po trzecie, jak ci już mówiłem, jest własni\* w trakcie leczenia psychiatrycznego. Ale jeśli by policja czy policyjny lekarz, którzy na pewno zetknęli się z takimi przypadkami, zalecili jakąś dodatkową terapię, z pewnością by się na nią zgodziła.

Nastąpiła przerwa, skuliłam się, widząc nagle jakiś cień, ale to tylko jeden z nich zmienił pozycję.

— Na tym etapie jednego jestem pewien — ciągnął Mark — w przypadku oskarżenia czy procesu skutki będą fatalne. Oczywiście ja sam chciałbym tego uniknąć, ale nie to jest najważniejsze. To jej interes należy tu uwzględnić. W tym momencie bardzo łatwo może utracić równowagę. Jeśli będzie żyła tak, jak do tej pory, jestem pewien, że stanie się — i pozostanie — całkowicie normalną, uczciwą kobietą. Ale jeśli zostanie oskarżona i osadzona w więzieniu, będzie przestępcą...

Krew dudniła mi w uszach, jak ekspresowy pociąg. Pomyślałam: Mark naciąga moją historię do swoich potrzeb, jak do tej pory skłamał dwa razy.

— Nie, dziękuję — odparł Westerman — poproszę tylko wody... Muszę powiedzieć, że to dość skomplikowana sprawa, Mark.

— Przykro mi, że cię w nią wplątałem. Mogłem oczywiście pójść do dobrego adwokata. To by nawet było lepsze. Ale tak się składa, że cię znam, i to od dziecka, więc pomyślałem, że dzięki tobie mógłbym zaczerpnąć wiadomości z samego źródła. Nikt nie wie lepiej od ciebie, jakie będzie nastawienie policji i sądu do tej sprawy.

— Przynajmniej w tym punkcie się zgadzamy, Mark.

— We wszystkich pozostałych nie?

— Och, tego nie powiedziałem. Ale wydaje mi się, że nie znam jeszcze wszystkich faktów. Muszę wiedzieć znacznie więcej o twojej żonie, zanim będę mógł się wypowiedzieć na jej temat.

— Na przykład co?

— Widzisz... Nie, teraz weź jednego ode mnie — takie tam zwykłe fajki... Widzisz, ty pewnie chcesz, żebym przedstawił ci, jakie byłoby nastawienie sądu i policji, prawda? Przypuśćmy, że przyszedłbyś do mnie w zeszłym roku, przed moim przejściem na emeryturę. Wtedy musiałbym ci od razu zadać kilka pytań.

— Cóż, zadaj mi je teraz.

— Kiedy przez piętnaście lat byłem szefem policji, często stykałem się z przypadkami konfliktu między oficjalnym nastawieniem urzędników a ludzkim podejściem i często nie było satysfakcjonującego rozwiązania. Policjant jest przyzwoitą istotą ludzką, ale w nieunikniony sposób z czasem obojętnieje na ludzkie dramaty. Widzisz, taki ktoś wie, że zasadniczo są trzy kategorie złodziei. Kategoria pierwsza stanowiąca ogromną większość, to ludzie bardzo głupi i nieostrożni. Popołniają kradzież z reguły bez premedytacji, zwykle bez prawdziwego motywu. Łatwo ich znaleźć w naszych więzieniach, nieszczęśliwych mężczyzn i kobiety, nie mogących utrzymać rąk przy sobie, kleptomatów w różnym stadium zaawansowa-

nia schorzenia, zamkniętych w imię obrony prawa własności i zdrowego rozsądku. Potem jest druga kategoria: ludzie, którzy kradną — albo częściej — defraudują pieniądze jedynie raz czy dwa razy w życiu. To ci, którzy mają do czynienia z pieniędzmi w pracy albo mogą sfałszować zapisy księgowe. Zaeksperymentują raz czy dwa i kiedy się nie wyda, ulegają ogromnej pokusie i znikają z wypłatami albo z pieniędzmi, wyciągniętymi z banku. Ich kradzieże nie są tak pozbawione sensu i takie niezaplanowane, jak te ludzi należących do pierwszej kategorii, ale często, a właściwie z reguły ci kierują się impulsem, nie przygotowują się starannie i nie patrzą perspektywicznie.

Czekałam, wiedząc, co teraz nastąpi.

— Trzecia kategoria to spryciarze, złodzieje inteligentni. Są z gruntu pozbawieni zasad moralnych, to znaczy, od razu na początku postanawiają, jakie życie zamierzają wieść, i zgodnie z tym postępują. Zwykle wypracowują sobie jakąś metodę i potem zawsze z grubsza się jej trzymają. I to dlatego właśnie wpadają. Ale czasem są dla nas zbyt sprytni, więc kradną i kradną. Pierwszym pytaniem, jakie policjant sobie zadaje, brzmi — do jakiej kategorii należy dany przypadek?

— Tak, rozumiem to wszystko — odrzekł Mark. — Klasyfikacja przestępców jest całkowicie zrozumiała i potrzebna. Jednak uważam, że próbując zaklasyfikować Marnie do którejkolwiek z tych kategorii, popełnia się ogromny błąd.

— Może tak być. Jestem gotowy się z tym zgodzić. Ale mówiłeś coś o leczeniu psychiatrycznym. Wiesz, byłem świadkiem, jak psychiatrzy pomagali kleptomankom, kobietom, które wchodziły do sklepu i kradły dwadzieścia trzy butelki sosu pomidorowego albo dwanaście ubijaczek do piany, albo coś równie bezsensownego. Taka kobieta jest chora, nieźrównoważona umysłowo. Może to być nieuleczalne, ale na pewno warto spróbować. Jak to się twoim zdaniem ma do pani Rutland? Jak wpadłeś na to, zanim usłyszałeś o tych kradzieżach, że potrzebna jest jej terapia? Ponownie zaczęło padać, a zimny wiatr niósł kropelki delikatnej mgły.

— Po ślubie — odezwał się Mark — była strasznie... Przypuszczam, że „niespokojna” będzie tu odpowiednim słowem. Wydawało się, że czuje się przytłoczona winą i przerażona. Czasami, w całym tym chaosie, niemalże zwracała się przeciwko mnie. Wszystko to musiało ją dręczyć, bo stale mi powtarzała, że nie powinienem być jej poślubić. Myślę, że jej szczere wyznanie pewnej nocy to bezpośredni efekt wizyt u psychoanalityka.

Cóż, pomyślałam, całkiem nieźle sobie radzi. Ale ten facet nic z tego nie łyknie...

- Ile wiesz o jej przeszłości, Mark? Mówi o tym otwarcie?
- Coraz więcej. Oboje jej rodzice zmarli podczas wojny, cóż, nikt właściwie o nią nie dbał. Jeśli...
- A jakieś wyroki?
- Nic mi o tym nie wiadomo. A byłem dość dociekliwy, jeśli o to chodzi.
- Oczywiście, byłaby to pierwsza rzecz, którą należałoby sprawdzić. Ona nie wie, że dziś o tym ze mną rozmawiasz?
- Na razie nie.

Cień znowu przesunął się po oknie. Westerman chodził tam i z powrotem.

— Widzisz, to, co mnie martwi w całej tej historii, i co zmartwiłoby z pewnością mojego następcę, gdybyś przedstawił mu tę sprawę, to fakt, że te defraudacje, wszystkie trzy, były wykonane z premedytacją. To nie jest przypadek kasjerki, która nie może się oprzeć banknotom szeleszczącym w jej rękach. W każdym z tych przypadków podjęła pracę pod fałszywym nazwiskiem. Inaczej mówiąc, zatrudniała się w jednym jedynym celu.

- Mówiłem ci, że była wtedy umyślowo niezrównoważona. Jeśli...
- Z jakiego powodu? Czy są jakieś powody, dla których mogłaby być niezrównoważona?
- Tego jeszcze nie wiem. W odpowiednim czasie psychiatra odpowie nam na to pytanie.
- Trapi mnie, Mark, jeszcze jedno — jak bardzo ty dajesz się oszukiwać...
- To ryzyko, które muszę podjąć.
- Jednak inni, a zwłaszcza policja, na pewno go nie podejmą.
- Wiem o tym, jednak dzisiaj mówię ci o tym jako zaufanemu przyjacielowi.
- Zgadzam się, jednak jako twój przyjaciel muszę pomóc ci przyjrzeć się temu bez złudzeń.
- A myślisz, że daję się zwodzić?
- Tego nie wiem. Istnieje jednak ryzyko, że tak jest. Nastąpiła cisza. Wydawało się, że zamilkli, żeby ochłonać.
- Humphry, powiedz mi taką rzecz: Przypuśćmy, że byłbyś na moim miejscu i byłbyś przekonany o prawdziwości faktów, które ci przedstawiłem. Co byś zrobił?
- Są tylko dwie rzeczy, które możesz zrobić... Oczywiście, sprzeniewierzenie to nie jest najcięższa zbrodnia. Ale to ciężkie przestępstwo.

Wiesz, gdyby tylko nie zrobiła tego trzy razy... To jest właśnie najgorsze.

— Wiem.

— Cóż, jak mówię, masz do wyboru dwa wyjścia. Najprostsze i najbardziej uczciwe to zgłosić się z żoną w naszej siedzibie w Hertford. Poprosić inspektora Brewarda — to bardzo rozsądny i kulturalny człowiek — i poprosić żonę, by złożyła przed nim szczegółowe zeznanie. Jednocześnie musisz zapewnić, że jesteś gotów zwrócić pieniądze. Zostanie oskarżona według normalnej procedury i stanie przed sędzią pokoju, który może zająć się jej sprawą w trybie doraźnym, lub, jeśli zażąda tego prokurator, wyznaczyć sprawę w następnym kwartale. W każdym razie weź naprawdę dobrego adwokata. Kiedy twoja żona sama się zgłosi, będzie mógł się powołać na całą masę okoliczności łagodzących. Dobrowolne złożenie zeznań na policji, gotowość zwrotu wszystkich pieniędzy, głęboka i prawdziwa skrucha oskarżonej, młoda mężatka, pierwsze przestępstwo itp. Będzie to całkiem nieźle brzmiało. Jeśli trafi się przyzwoity sędzia — a większość z nich jest bardzo zadowolona, mogąc pokazać swoją ludzką twarz — twoja żona, uznając się winną zarzucanych jej czynów, dostanie wyrok w zawieszeniu i zostanie od razu wypuszczona.

— Jakie jest prawdopodobieństwo?

— Hmm... Więcej niż pięćdziesiąt procent. Ale jeśli do tego momentu udałoby ci się zakręcić wokół tego, żeby miała dziecko, to przynajmniej osiemdziesiąt, a obeszłoby się może i bez wyroku.

Byłam cała zdrętwiała i sztywna z zimna.

— To sprawi, że wszystko wyjdzie na jaw — odezwał się Mark. — Będzie musiała znieść cały stres związany z procesem. Jaka jest alternatywa? W ogóle jest jakaś?

— Cóż... Tak tylko między nami, to jest, choć jest to bardzo skomplikowane. Możesz udać się z nią do wszystkich firm, które straciły pieniądze, wyrazić szczerzy żal za wszystkie problemy, które spowodowała, i zapewnić o jej prawdziwej skruszce itp., i podczas tej rozmowy wcisnąć im w rękę czek na skradzioną sumę, i poprosić o przysługę dla troskliwego męża, by wycofali swoją skargę.

— To brzmi mniej skomplikowanie.

— Być może. Ale to wbrew pozorom nie jest wcale takie proste. Jeśli postąpisz według pierwszego planu, dalszy los tej sprawy zależy będzie tylko od decyzji i poglądów jednego człowieka, sędziego, który będzie orzekał w jej sprawie. Zgadzam się, że to ryzyko, gdyż może okazać się człowiekiem, który będzie chciał zrobić z tej sprawy przypadek modelowy. Ale

osobiście podjąłbym takie ryzyko. Według drugiego schematu, wasz los zależeć będzie od trzech grup ludzi — być może trzech zarządów. Jeśli są rozsądnymi ludźmi, wezmą pieniądze i zapomną o sprawie — choć i w tym tkwi mały haczyk — jeśli znajdzie się wśród nich choć jedna mściwa osoba, nic nie powstrzyma jej przed powiedzeniem: „Dzięki, pieniądze wezmę, ale nie wycofam oskarżenia. Przez tę kobietę naraziliśmy się na koszty i kłopoty, i przez wzgląd na inne osoby, naszych klientów, resztę personelu, musimy doprowadzić do procesu”. Na tym świecie jest mnóstwo ludzi święcie przekonanych o swojej racji. A jeśli się taki trafi, jeśli ona wtedy stanie przed sądem, już nie zrobi tak dobrego wrażenia ani na nas, ani na sędzi.

— ...a ten haczyk?

— Nakazy aresztowania złodziejki zostały już wydane. Firmy będą musiały zgłosić się na policję i poprosić o unieważnienie nakazów. A to już będzie zależało od tego, czy policja zechce te nakazy wycofać.

— Mogą nie chcieć?

— Cóż, oni też zostali narażeni na koszty i kłopoty. Nie zapominaj, że muszą wypełniać swój obowiązek wobec społeczeństwa. Z początku mogą odmówić zwrócenia się o unieważnienie nakazów przez odpowiednich sędziów... Choć przypuszczam, że w końcu po jakimś czasie by się zgodzili.

Byłam przemoczona i cała się trzęsłam.

— No cóż, dziękuję ci, Humphry. Muszę to trochę przetrwać, potem muszę usłyszeć zdanie żony. Cokolwiek zamierzam zrobić, musi się to odbyć przy jej dobrowolnej współpracy.

— ...Może ten psychiatra mógłby wam coś podpowiedzieć? Oczywiście, jest jeszcze jedna sprawa.

— Chyba wiem, co chcesz powiedzieć.

— No cóż, mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, że mówiąc mi to wszystko o twojej żonie, uczyniłeś mnie uczestnikiem tego „spisku”. Fakt, że nie sprawuję już żadnej oficjalnej funkcji, nie zmienia sytuacji. Jeśli nie zrobię nic w sprawie, którą mi przedstawiłeś, będę winny zatajenia ciężkiego przestępstwa — podobnie jak ty.

— Co proponujesz?

— Oczywiście, nie ma żadnego pośpiechu, poza tym potraktuję to, co usłyszałem tutaj, jako sprawę w najwyższym stopniu poufną. Ale jeśli mógłbyś mnie zapewnić, że zrobisz coś w tej sprawie w rozsądnym czasie...

— Od razu zamierzam coś zrobić — powiedział Mark.

Weszłam do domu, a pani Leonard krzyknęła, co ja robiłam, że przemokłam aż do kości, i ta piękna sukienka, o mój Boże! Powiedziałam, że Fo-rio nie czuł się dobrze i że może trzeba będzie wezwać weterynarza jutro rano, i poprosiłam ją, żeby nie mówiła nic panu Rutlandowi o tym, że zmokłam, „przepróż ich w moim imieniu i powiedz, że bolała mnie głowa i poszłam się położyć”.

Wdrapałam się na górę, zrzuciłam ubranie, napuściłam wodę do wanny i leżałam w niej kilka minut, starając się opanować i zacząć myśleć. Ale tym razem nawet leżenie w wodzie mi nie pomagało. Miałam naprawdę spory problem. Po kąpieli okręciłam się ręcznikiem i przeszłam do sypialni. Spojrzałam w lustrze na swoje półnagie ciało, wilgotne włosy, nieproporcjonalnie wielkie oczy, drobną, skurczoną twarz. Zrzuciłam ręcznik, posypałam ręce i plecy talkiem. Wytarłam wilgotne nogi. Usłyszałam głosy na dole. Pan Westerman wychodził.

Przeszłam przez pokój i zaczęłam manipulować przy małym przenośnym radjku. Złapałam radio Luksemburg, ale nagle jakiś głos powiedział, że powinnam nastawić się na Boga. Jednak zamiast tego nastawiłam radio na falę z muzyką latino. Ale nie słuchałam jej. Tak jakbym podsłuchując, nabawiła się jakiejś nieuleczalnej choroby.

Chciałam założyć koszulę nocną, ale moje plecy musiały być jeszcze mokre, bo przykleiła się do nich, i pociągając, urwałałam ramiączko. Gdy tak się szamotałam, mój wzrok padł na walizkę na szafie.

Musiałam wyjechać. To było rozwiązanie. I nie było żadnego innego.

Stałam na stołku i zdjęłam walizkę. Nie było w niej nic, poza czepkiem i olejkiem do opalania, których nie wyjęłam od czasu powrotu z Majorki.

Usłyszałam, jak rusza samochód. Tak więc odjechał. Być może mimo wszystko nam nie uwierzył i zaraz zadzwoni do któregoś ze swoich inspektorów.

Zacząłam wyjmować rzeczy na toaletkę i wrzucać je do walizki. Po chwili przestałam. To na nic. Nie mogłam dzisiaj wyjechać. To zbyt ni pośpiech. Zamknęłam walizkę, zatrzasnęłam zamki i wsunęłam ją pod łóżko.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Kto tam?

— Mark!

— Chwileczkę — zamknęłam szuflady i założyłam szlafrok. — Wejdz.

— Westerman właśnie odjechał — powiedział, wchodząc do pokoju. — Dobrze się czujesz?

— Trochę... Rozboliła mnie głowa.

— O co chodzi?

— O nic nie chodzi.

— Jesteś jakaś blada.

— Źle się czuję.

Zawahał się. Jego wzrok krążył po pokoju i zatrzymał się na mojej sukience.

— Twoja sukienka jest mokra?

— Wyszłam do Foria.

— Bez płaszcza?

— Bez.

Po chwili zapytał:

— Wiesz, o czym rozmawialiśmy?

— Tak — usiadłam na łóżku. Zaskrzypiało, jakbym ważyła co najmniej dwa razy tyle, niż normalnie.

Zamknął za sobą drzwi. — Podśluchiwałaś?

— Jak się czujesz w roli Judasza?

— Właśnie tak to rozumiesz?

— A niby jak mam rozumieć?

Przyciągnął krzesło i usiadł na nim, dość blisko, patrząc na mnie w milczeniu. Naciągnęłam szlafrok na kolana.

— Marnie, nie mogłem już tego z tobą omawiać. Sam musiałem podjąć decyzję, po rozważeniu ryzyka i różnych możliwości. — Co do tego, jestem całkowicie pewna. Donosząc na mnie szefowi policji...

— Nie jestem ani zarozumiała, ani zadufany w sobie, po prostu staram się kierować zdrowym rozsądkiem.

Chciałbym, żebyś też zaczęła się nim kierować. — Może bym i zaczęła, gdyby chodziło o twoją wolność.

— Gdyby chodziło o moją wolność, zrobiłbym dokładnie to samo. Nie rozumiesz, że nie możesz żyć w jakimś nierealnym świecie, aż dojdzie do kolejnej niespodzianki? Wcale nie jestem pewien, że Štrutt jest usatysfakcjonowany tym, co mu powiedzieliśmy. Co go powstrzyma przed dalszym dochodzeniem? Wtedy już nie mamy co liczyć na sędziego, a na proponowanie pieniędzy będzie już za późno. To my musimy zrobić pierwszy krok. W innym razie dostaniesz trzy lata, to równie pewne jak to, że siedzisz tu teraz zraniona i piękna. Nie będziesz tam brała trzech kąpielii dziennie,

nie będzie tam codziennych przejazdów i partii pokera u Terry'ego. Być może też twoja jędrna skóra źle zniesie trzy lata w więzieniu...

— Myślisz, że o tym nie wiem? — krzyknęłam, wstając z łóżka. — Nie widzisz, co robisz... Nie widzisz, że właśnie wszystko zepsułeś! Jeśli pójdę do więzienia, to z twojej, cholera, winy, nikogo innego! Zdradziłeś mnie — jak jakiś podły szczur — wstrętny, przebiegły szczur — parszywy, ohydny szczur...

Złapał mnie za ramiona i potrząsnął mną. Trząśł mną tak, aż zadzwoniły mi zęby.

— Jesteś przerażona, wariatko. Wiem o tym! Też byłbym przerażony. Ale czy nie możesz wreszcie zacząć myśleć!! Tylko w ten sposób masz szansę wyjść z tego kompletnie bez szwanku. Jeśli zaczniemy działać teraz i tylko jeśli coś zrobimy, tylko jeśli udaremnimy im atak, kontynuując to, co dzisiaj zacząłem, będziesz mogła być wreszcie wolna. Próbowałam uwolnić się z jego uścisku. Od dziecka musiałam sobie radzić, więc umiałam się bić. Zaczęłam się szarpać. Biliśmy się, wymyślając sobie nawzajem.

Kiedy wykręcił mi ręce na plecach, poddałam się i stałam nieruchomo, a on powiedział:

— Wiesz, naprawdę lepiej cię rozumiem, kiedy na powrót stajesz się dzieckiem ulicy...

— Ty parszywy...

Pocałował mnie. Mogłam była go opluć, ale nie zrobiłam tego.

— Posłuchaj mnie — powiedział potem. — Zgadzam się z Westermanem, że dobrowolne przyznanie się to najbezpieczniejsza droga. Ale wiem, że ty na to nie przystaniesz. Ja też tego nie chcę. Aby cię uwolnić od oskarżeń, bez narażania na publiczne potępienie, należy zwrócić się do tych ludzi prywatnie. Na początkują się do nich zwrócić, nie ty. Jestem pewien... Słuchasz mnie?

— Westerman pójdzie prosto do jednego ze swoich ludzi jeszcze dzisiaj.

— Nie, nie pójdzie. Nie zrobi nic nawet w ciągu miesiąca—jestem tego pewien. Ale my musimy. Nie jesteś przekonana?

— A dlaczego niby miałabym być? To tylko podły...

— Nie chcesz mi zaufać?

— Nie!

Podczas naszej szamotaniny szlafrok zsunął mi się z ramienia, było więc nagie, bo ramiączko koszuli już wcześniej się zerwało.

Położył dłoń na moim ramieniu, a potem, wzbudzając moje obrzydzenie, nagle zsunął materiał i położył dłoń wprost na mojej piersi. Po prostu zamknął ją w dłoni. Tak jakby trzymał coś, co stanowiło jego własność.

— Zostaw mnie — powiedziałam.

Zdjął rękę. Podciągnęłam szlafrok pod samą szyję. Spojrzał na mnie ze smutkiem, jakby jego żelazna determinacja nagle go opuściła.

Zatrzymał się w drzwiach, kręcąc gałką i wpatrując się w nią dobrą chwilę.

— Marnie, zapytałaś przed chwilą, czy zrobiłbym to samo, gdyby chodziło o moją wolność. Cóż, tu chodzi też o moją wolność. A jeśli nie wolność, to na pewno o moje szczęście. Ryzykuję je tak samo jak twoją wolność. Widzisz, nie potrafię się od ciebie uwolnić, mimo że próbowałem.

Znów usiadłam na łóżku.

— To także moja przyszłość — rzekł. — Jeśli tobie się nie uda, to mnie też. Zapamiętaj to, dobrze?

Gdy nie odpowiadałam, dodał:

— Postaraj się, proszę. Nie chcę z tobą walczyć. Nadal jestem po twojej stronie. Chcę walczyć o ciebie. W gruncie rzeczy będą to robił, czy tego chcesz, czy nie. Jesteśmy w tym razem.

Gdy wyszedł, pomyślałam, jakie to wszystko szalone — nawet gdy mnie zdradzał, nadal mnie pragnął. On mnie pragnął, Terry mnie pragnął, policja mnie poszukiwała, matka mnie potrzebowała, każdy mnie chciał na swój sposób. Nie miałam im nic do zaoferowania, ani Terry'emu, ani policji, ani nawet matce. Najlepiej było odejść.

## Rozdział 16

We wtorek po drodze do Romana wstąpiłam do agencji Cooka i spytałam, jakie są najlepsze połączenia z Torquay na kontynent.

— Muszę tylko wiedzieć — odparł młody człowiek — jakim środkiem transportu i dokąd chce się pani dostać?

Odparłam, że do Francji, może do środkowej Francji, albo do Paryża. Przewertował jakieś ulotki i powiedział, że najłatwiej byłoby wyjechać z Londynu, ale skoro chciałam wyruszyć z Torquay, najlepiej będzie pole-

cieć z lotniska Exeter na Jersey. Tam przenocować, a następnego dnia polecieć do Francji lub Hiszpanii.

— Nie ma nic z Plymouth?

— Jakiegoś statku? Pewnie tak. Jest French Line.

— Co to takiego?

— Liniowce atlantyckie. Przyplývają do Plymouth mniej więcej dwa razy w tygodniu i zabierają pasażerów do Hawru. Możemy pani zarezerwować miejsce od razu do Paryża. Wsiada pani w Plymouth koło południa, spędza noc na statku i jest pani w Paryżu następnego dnia w porze lunchu. — W jakie dni tygodnia odpływa statek?

— We wtorki i soboty.

— A czy jest coś w najbliższy piątek?

— Tak, w następny piątek, osiemnastego. „Flandre”. To za dziesięć dni. Mam pani zrobić rezerwację?

— Nie znam języka — powiedziałam — ale chyba będę sobie w stanie jakoś poradzić, prawda?

Uśmiechnął się. — O tak, proszę pani. Z angielskim poradzi sobie pani wszędzie w Paryżu. Ale może życzy sobie pani, aby nasz kurier wyszedł po panią na stację? — Nie, dziękuję.

Pozostawała jeszcze kwestia wymiany pieniędzy i paszportu. Podał mi adres głównego biura paszportowego.

Wysłałam z agencji i od razu skierowałam się do jednego z tych miejsc na Oxford Street, gdzie można zrobić zdjęcie i dostać odbitki w przeciągu kilku godzin. Powiedziałam, że później przyjdę je odebrać. Jednak martwiło mnie trochę, jaki sędzia pokoju, adwokat czy dyrektor banku albo doktor będzie mógł potwierdzić, że znał mnie od wielu lat i że dane, które wpisałam na swój temat, są prawdziwe? Spóźniłam się dziesięć minut do Romana, ale gdy weszłam, zaraz mu to wynagrodziłam. Tego dnia byłam w wyjątkowym nastroju. Podawałam wolne skojarzenia niczym naćpany narkoman. Staralam się przypomnieć sobie wszystkie brudne historie, które usłyszałam szeptane na ucho w ciemnych bramach, na strychach i wysypiskach śmieci w Plymouth. Opowiedziałam mu też mnóstwo zmyślonych snów pełnych odpowiednich symboli. Oznajmiłam mu, że śniło mi się, że jestem trzecim co do wielkości łososiem na świecie, i że pływałam w kółko w ogromnym akwarium, a na zewnątrz było mnóstwo mężczyzn, którzy sięgali i chcieli mnie złapać, ale ja ciągle im się wymykałam. (A mówiąc to, pomyślałam, że prze-

cież nie muszę znajdować nikogo, kto potwierdzi prawdziwość moich danych na papierze. Sama mogę poświadczyć. Kto zna mój charakter pisma?)

Powiedziałam mu, że śniło mi się, że szłam ulicą, elegancko ubrana, ale nie miałam na sobie bielizny, więc pomyślałam, że muszę ją sobie kupić, na wypadek gdyby potracił mnie samochód. Skierowałam się do sklepu, ale kiedy weszłam, okazało się, że wszyscy sprzedawcy to szczury. Czułam, jak biegają po moich nagich stopach. (A w tym czasie myślałam — klucze Marka, klucze do drukarni i sejfu, te, które zostawiał na toaletce każdego wieczoru. Dwa klucze yale i jeden zwykły duży, dwa małe jak do walizki i klucz mosiężny...)

Powiedziałam mu, że śniło mi się, że siedzę w celi, czekając na śmierć przez powieszenie, za coś, czego nie zrobiłam, i myślę, że na pewno zostanę ulaskawiona. Nagle słyszę pukanie do drzwi, wchodzi strażniczka i mówi: „Lepiej będzie, jak skończę z tobą od razu”, chwyta ogromny nóż i zbliża się do mnie, a ja nie mam nic do obrony, walczę z nią, łapię ostrze noża, czuję, jak wbija się głęboko w moje dłonie i czuję, jak ostrze przesuwają się po kościach moich palców. (A w tym czasie myślę, że w przyszłym tygodniu jadę z Markiem i Rexem na polowanie. Do tego czasu muszę dorobić klucze. Mogę wyjechać w czwartek wieczorem, dzień później odwiedzić mamę, a potem wyruszyć do Francji. Tak to muszę zrobić).

Gdy sesja dobiegała końca, doktor Roman zwrócił się do mnie:

— W zeszłym tygodniu naprawdę posunęliśmy się do przodu. Co się z panią dzisiaj dzieje?

— Nic. Jestem raczej zadowolona.

— Myślę, że należy rozróżniać zadowolenie od tego, co Amerykanie nazywają podekscytowaniem. Czy stało się coś, co panią zaniepokoiło?

— O Boże, nie, w przyszłym tygodniu po raz pierwszy jadę na polowanie, jestem tym dość podekscytowana, to wszystko. Słyszał pan o polowaniach w Thorn? Mówi się, że to jedno z najpopularniejszych. Dzień wcześniej będę tam jeździć na moim koniu, a Markowi wierzchowca pożyczycy prowadzący polowanie. Zaprosił nas kuzyn Marka, Rex Newton-Smith. To dla mnie nie lada atrakcja. Czy nie tak nazywają to właśnie dobrze wychowani ludzie — atrakcją?

Wstał i zaczął krążyć po pokoju. Jego garnitur był wyświecony na łokciach.

— Gdy opiera mi się pani z taką determinacją, opiera się pani tylko swojemu wyleczeniu. Opóźnia to nasze postępy. Ale oczywiście to tylko kolejna forma protestu tej pani części, która opiera się leczeniu.

— Jaka to część?

Spojrzał na mnie. — Tego typu protesty nie powinny całkowicie zniechęcać, bo dobitnie świadczą o tym, że rdzeń pani oporu reaguje na wywierany nacisk. Następnym razem być może uda nam się nadrobić straty.

— Przy pięciu gwineach za godzinę, jak sądzę, nie ma pośpiechu.

— W żadnym wypadku. Ale mam długą listę oczekujących. Powinna pani przychodzić tak długo, jak pani sama zechce.

Udałam się do Petty France<sup>3</sup> i porozmawiałam z jednym z urzędników. Powiedział, że jeśli mam wypełniony i podpisany formularz, to szybko dostanę paszport. Potem poszłam do wielkiego sklepu z artykułami żelaznymi i poprosiłam o kilka kluczy. Mieli duży wybór. Te yalowskie to prosta sprawa, każdy wygląda tak samo. Kupiłam kilka kluczy mosiężnych i kilka różnych kółek, bo nie mogłam sobie przypomnieć, jak wyglądało to Marka. W sklepie powiedziałam, że klucze potrzebne mi są do teatryku amatorskiego.

Tego wieczoru pokłóciłam się z Markiem. Poprosiłam go, żeby jeszcze się wstrzymał z odwiedzaniem tych ludzi i proponowaniem im pieniędzy jakiś tydzień lub dwa. Powiedziałam mu, że to mnie zaskoczyło i że muszę się z tym oswoić. Dodałam, że dwa tygodnie to chyba żadna różnica — przynajmniej niezbyt duża. Być może w ciągu dwóch tygodni mogłabym zmienić zdanie i zgodzić się odwiedzać ich razem z nim. Gdybym to ja poszła do tych ludzi, a oni zobaczyliby, jak bardzo jest mi przykro...

Trudno go było przekonać, ale w końcu zgodził się poczekać jakiś czas...

Moim największym problemem był Forio. Nie mogłam go ze sobą wziąć, i to mnie bolało najbardziej. Był moim najwierniejszym przyjacielem, a w pewnym sensie, jedynym. Po prostu, rozumieliśmy się bez słów. Byliśmy ulepieni z jednej gliny. Mogłam na nim jeździć gdziekolwiek tylko chciałam, niemal nim nie kierując. Gdy przytulał swój łeb do mojej głowy, czułam, że to gest przyjaciela, który w zamian oczekuje tylko mojej przyjaźni.

Nie mogłam go nawet sprzedać komuś, co do kogo mogłam być pewna, że dobrze się nim zaopiekuje, bo wyjazd musiałam zachować w tajemnicy. Najlepsze, co mogłam zrobić, to dzień przed wyjazdem napisać do państwa

---

<sup>3</sup>Petty France — nazwa dzielnicy Londynu, gdzie do niedawna mieściło się główne biuro paszportowe.

Garrod, załączając pieniądze, prosząc o przyjęcie go z powrotem. Jeśli ofiarowałabym im go, byłoby to najlepsze rozwiązanie, ale nie mogłam znieść myśli, że ktoś inny mógłby go używać jako konia wierzchowego.

W tym tygodniu dwa razy zajrzałam do sypialni Marka, podczas gdy się ubierał, aby uważnie przyjrzeć się kluczom i kółeczku. We wtorek w ogóle nie poszłam do Romana, za to ponownie pojechałam do miasta i kupiłam jeszcze kilka kluczy. Jedyne, co musiałam zrobić, to podmienić klucze z kółeczkiem, tak by się nie zorientował. Nie było to trudne. Odebrałam paszport. Pastor w Berkhamsted nazywał się Pearson. Nikt w biurze paszportowym nie zakwestionował jego podpisu. Kupiłam bilet u Cooka i wymieniłam trochę funtów na franki. Byłam przerażona całą tą eskapadą, pobytem w obcym kraju z zaledwie kilkuset funtami, bez znajomości języka. To wszystko mogło się źle skończyć. Zastanawiałam się, co powiedziała by matka, gdybym przyjechała z wizytą i oznajmiła jej, że przez ostatnie cztery lata żyła z kradzionych pieniędzy.

Była chyba silniejsza, niż się wydawało. Zresztą, musiałam to zrobić. Będzie lepiej, jeśli usłyszy to od córki, a nie od policji. W poniedziałek Terry zadzwonił do mnie z biura.

— Robisz dziś coś po południu?

— A czemu pytasz?

— Chcę z tobą porozmawiać.

— O co chodzi?

— Możemy się umówić na kawę? Na neutralnym gruncie.

— Skoro ci zależy... St Albans? Jest tam kawiarnia, Lyonesse.

— Dobrze. Spotkajmy się tam o czwartej.

Gdy weszłam, już na mnie czekał. Jego oczy miały ten śmieszny gniewny wyraz, jak zwykle, kiedy mówiliśmy o Marku. Bałam się, że będzie chciał pieniędzy, które byłam mu winna, ale nawet o nich nie wspomniał. Gdy zamówił herbatę, zapytał:

— Jak wiele wiesz o tym, co dzieje się w Rutland? Jesteś w to zamieszana?

— Zamieszana w co?

— No cóż, to wpadanie do mnie na pokera, rzecz jasna wbrew woli Marka... Czy, wiedziona lojalnością, przychodziłaś wyłącznie po to, by mnie szpiegować?

— Szpiegować cię? Jak śmiesz!

— Chcesz powiedzieć, że nic ci nie wiadomo o tym, że Mark sprzedał swoje udziały w Rutland?

— Sprzedał? O czym ty mówisz? Nigdy tego nie zrobi!

— Ależ tak, właśnie to zrobił — albo robi to niebawem. Poinformował nas o tym dzisiaj na posiedzeniu zarządu. On i Rex sprzedali swoje udziały Glastonbury Trust.

Wpatrywałam się w niego oniemiała.

— Myślałam, że tobie o to właśnie chodzi. Zaśmiał się.

— No cóż, niezupełnie. Wycięłaś nam niezły numer, co? Podano herbatę. Nalałam do filiżanek.

— Przeczytałaś kiedyś jakieś listy do ojca. Powiedział mi o tym. Przypuszczam, moja droga, że powiedziałaś Markowi, co w nich było...

— Nadal nic nie rozumiem.

— Rutlandowie zawsze mieli kontrolę nad firmą, i to skuteczną, przy współpracy Rexa. To nie jest dobre dla żadnej firmy. Ale kiedy Tim Rutland zginął, senior, ojciec Marka, wypuścił wodze z rąk, i przez lata całe to mój ojciec faktycznie kierował tym interesem. Nadal sprawowali całkowitą kontrolę, ale nigdy jej nie wykorzystywali. Byłem coraz mocniej przekonany, że budujemy coś wartościowego, że te wszystkie nasze wysiłki coś znaczą. Ale nagle pojawił się ten kapitan w stanie spoczynku, który od razu chciał mieć wpływ na wszystko, przekształcił firmę w sklep detaliczny i zabrał się do tego z takim zapałem, jakby brał udział w bitwie pod Tra-falgarem. Szczególnie nie mógł tego znieść mój ojciec, który ma trzydzieści lat doświadczenia w drukarstwie i więcej wiedzy w małym palcu niż cały ród Rutlandów razem wzięty.

Jego głos był pełen jadu.

— Myślałam, że to ty właśnie zwróciłeś się do Malcolma Leicestera, by nakłonił Rexa do sprzedaży?

— Tak było. Wiedzieliśmy, że Newton-Smithowie nie sprzedają udziałów nam, ale mogą je sprzedać komuś z zewnątrz. Pomyśleliśmy, że Glastonbury Trust będzie ogromnym atutem jako ważny udziałowiec mniejszościowy. Wraz z ich przedstawicielem w zarządzie moglibyśmy wspólnie stanowić przeciwwagę dla Rutlandów i zachować spory wpływ na losy firmy.

Biorąc pod uwagę wszystko to, co się wydarzyło w zeszłym tygodniu, i to, czym zajmowałam się wczoraj i dzisiaj, sprawa, o której mi mówił, zdawała się mnie w ogóle nie dotyczyć. Była jakaś odległa, jakby się wydarzała w życiu jakiejś Mollie Jeffrey. Czułam się tak, jakbym już uciekła.

— Ale co złego jest w tym, że Mark sprzedał te udziały — choć nadal nie mogę uwierzyć, że to zrobił?

— Zamierza to zrobić. Glastonbury Trust, zamiast być znaczącym udziałowcem mniejszościowym, który miał do wyboru współdziałać z nami albo w ogóle się nie liczyć, teraz stanie się właścicielem, a ja i mój ojciec zostaniemy zdegradowani do roli pionków.

Moja herbata była za słodka. Dolałam sobie wody.

— Ale czy nie to właśnie chciałeś zrobić wobec Marka?

Terry bawił się krawatem. — A więc jesteś po jego stronie. Chciałem to po prostu wiedzieć.

— Nie jestem po niczyjej stronie. To mnie nie dotyczy. Dlaczego miałoby mieć ze mną cokolwiek wspólnego? To pieniądze Marka. Robi z nimi, co chce... Zresztą, właściwie po co mi to wszystko opowiadasz?

— Masz na niego jakiś wpływ? Utkwiłam w nim wzrok.

— W tej sprawie? Nie mam żadnego.

— Nie jestem tego taki pewien. Widzisz, Mary, to jest tak. Glastonbury zaproponował po siedemdziesiąt dwa szylingi za wszystkie nasze akcje. Mark powiedział nam o tym dziś rano. Drukujemy teraz obiegówkę, która ma być wysłana do wszystkich naszych akcjonariuszy, aby zaakceptowali ofertę. Wyślemy ją w przyszły poniedziałek. Jest jeszcze czas, żeby się wycofać, moja droga.

Znowu zaczęłam się zastanawiać — przecież właściwie mnie to nie obchodziło. O kim on mówił?

— Myślisz, że mogę go powstrzymać? Chyba zwariowałaś. Dlaczego miałoby mi na tym zależeć?

Terry przechylił się do tyłu i patrzył za dziewczyną wychodzącą z kawiarni. Jego wzrok wędrował w górę, poczynając od nóg.

— Dlaczego wyszłaś za Marka? Wzruszyłam tylko ramionami.

— Nie jesteś w jego typie. Mówiłem ci to już. Jesteś bardziej w moim typie. Zawsze miałem jakieś problemy. Wiesz, jak na mnie wołali w szkole? Indyk. Bo miałem czerwoną szyję. To z miejsca sprawia, że masz fatalny start, no nie?

— Może.

— W pewnym sensie ja sam miałem fatalny start. Nie wiem, jak to działa, ale potem człowiek nie czuje się dobrze nastawiony do życia. Nie jest pewny siebie. Nigdy nie jestem pewny siebie, nawet jeżeli tak się zachowuję. Wiesz, jak byłem z moją pierwszą dziewczyną, cały czas byłem pewien, że się mnie brzydzi i jest znudzona. To zniechęca, takie przekona-

nie, że jest się odmieńcem, i to odrażającym. To tak, jakby zgubić krok od razu na początku marszu.

— Robisz z igły widły.

— Tak ci się tylko wydaje. Co dziwne, dobrze dogaduję się z ojcem. Współczuję mu, a czasem nawet go podziwiam. Trzymał firmę w garści. Inaczej rozleciałaby się w drobny mak. Ale reszta ludzi... Musisz nimi pogardzać, zanim oni zaczną pogardzać tobą.

Mówił jeszcze przez jakiś czas, wciąż krążąc wokół tego samego. Nie miał za wiele do powiedzenia, ale ponownie czułam, że istnieje między nami jakaś więź, którą on starał się umocnić. Nie chodziło o to, co mówił, bo prawie go nie słuchałam. Gdybym mogła usłyszeć to, co naprawdę chciał powiedzieć, musiałabym pomyśleć, że jest głupi, jeśli sądzi, że nie widzę, jak sytuacja wygląda naprawdę. Przecież w pewnym sensie Mark zrobił dokładnie to, co Terry zamierzał zrobić jemu. Nie bardzo rozumiałam, jak to zrobił, ale nie obchodziło mnie to. Problemy Terry'ego czy Marka były odległe, a firma Rutland & Co. znaczyła dla mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg.

Może powinnam była zwrócić większą uwagę na to, że przychodził z tym do mnie. Skierowanie do mnie prośby o pomoc było jak chwywanie się ostatniej deski ratunku, a przysłowie mówi, że tonący... To do mnie nie docierało. Wiedziałam jedynie, że odwoływał się do czegoś znacznie głębszego niż coś, co można by nazwać logicznym rozumowaniem. Byliśmy jak dwa domy po przeciwnych stronach ulicy połączone linią naziemną.

Nie wspomniałam o tym Markowi ani tego wieczora, ani następnego dnia. Przez większość czasu byłam zajęta swoimi sprawami. A część wtorku spędziłam galopując na Foriu do Newton-Smithów na środowe polowanie. Była to fatalna przejażdżka, gdyż wiedziałam, że to ostatni raz, kiedy będę z nim sam na sam. W środę, w tłumie, to już nie będzie to samo.

Zdałam sobie sprawę, że czegoś jeszcze będzie mi brakować. Rodziny Richardsów i niewidomych starszków. W tak krótkim czasie udało mi się z nimi zaprzyjaźnić bardziej niż z kimkolwiek wcześniej. Poza tym przyjemnie jest być panią samej siebie, mieć swój dom, i to nie byle jaki.

Przy śniadaniu w środę Mark był rozmowny. Mieliśmy zaraz wyruszyć, zbiórkę wyznaczono na dziesiątą. Patrząc na Marka, zdałam sobie sprawę, że w ciągu ostatnich tygodni był raczej milczący i rozdrażniony. Poza tym było to przedostatnie nasze wspólne śniadanie. Nazajutrz miałam wejść do jego sypialni, jak się będzie rozbierał, i gdy nie będzie patrzył, podmienić klucze i...

— Czy to prawda, że sprzedałeś swoje udziały w Rutland? — spytałam.  
Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.  
— Prawie. Oferta została złożona. Będziemy zachęcać udziałowców, żeby ją przyjęli.  
— Ale dlaczego? Sądziłam, że nigdy tego nie zrobisz.  
— Tak samo jak ja parę miesięcy temu. Ale potem pomyślałem, że jak długo tam będę pracował i czego bym tam nie robił, nigdy nie zniknie napięcie, które zatrulo pół życia mojemu ojcu. I pomyślałem sobie, po co to wszystko? Lepiej z tym skończyć.  
— Ale co będziesz teraz robił?  
— Prawdopodobnie wejdę w spółkę z kimś innym. Jest jedna czy dwie interesujące drukarnie, prowadzące jednocześnie działalność wydawniczą. Wydaje mi się to bardziej atrakcyjne. Chciałem ci powiedzieć, ale czekałem, aż będzie po wszystkim.  
— A co zrobią inni?  
— Rex? Wycofuje się, podobnie jak ja. Zresztą, on ma mnóstwo pieniędzy. A Holbrookowie? Jeśli chcą zostać, jestem pewien, że będą mogli zatrzymać swoje stanowiska w zarządzie.  
— Nie podoba im się to?  
— Moje posunięcie? Nie. Ale szczerze mówiąc, nie widzę powodu do narzekań. Oni sami pierwsi zwrócili się do Malcolma Leicestera. Oczywiście organizatorem całej tej akcji był Rex.  
— Jest inteligentniejszy, niż na to wygląda.  
— Oprócz dwóch pierwszych spotkań z Leicesterem starałem się działać w jawny sposób. Teraz udziałowcy zostali postawieni przed jasnym wyborem.  
— Tak. Tak, rozumiem. Podniósł się.  
— Czas już jechać... To było naprawdę bolesne, ale teraz, kiedy podjąłem już decyzję, czuję się, jakbym rzucił Włosienicę. To naprawdę nieprzyjemne, Marnie, zмагаć się z tym miesiąc w miesiąc. I jestem przekonany, że Holbrookowie, po przełknięciu gorzkiej pigułki, też będą zadowoleni. Zazdrość to paskudna rzecz — okropnie jest ją znosić, a równie okropnie jest ją samemu odczuwać.  
Powoli podniosłam się.  
— Marnie — dodał — mam nadzieję, że już wkrótce pozwolisz mi zwrócić się do Strutta i do dwóch pozostałych firm. Chcę pojechać i zobaczyć się z nimi sam. Myślę, że mógłbym się potargować.

— W jaki sposób?

— No cóż, jest to coś, czego Westerman nie mógł zaproponować, bo to nielegalne. Ale mógłbym powiedzieć, że oddam im pieniądze, pod warunkiem, że zgodzą się wycofać zarzut.

Potrząsnęłam głową. — Nie masz w ręku zbyt mocnej karty przetargowej. Na pewno byli ubezpieczeni.

— Być może. Ale nie ma takiej pewności. Nie zawsze się robi to, co należy. Zresztą, zawsze warto spróbować... Słońce przebijało się przez delikatne chmury, gdy byliśmy już w drodze. Tuż przed dotarciem na miejsce spytał mnie:

— Skąd się dowiedziałas o tej sprawie z Rutland?

— Dawn mi powiedziała.

— Ona nic o tym nie wie. Nikt z personelu nie ma o tym na razie zielonego pojęcia.

Milczałam.

— Gdy kłamiesz w tak głupi sposób — powiedział — na powrót ogarnia mnie kompletne zwątpienie.

Jechaliśmy teraz za jakąś przyczepą z koniem, która zapewne zdążała w tym samym kierunku co my

— Gdybyś mi tylko zaufała, mielibyśmy przed sobą wspaniałą przyszłość, moglibyśmy być naprawdę szczęśliwi.

Jeśli mi nie ufasz, nie stąpamy po solidnym gruncie. Ciągłe grzęźniemy w tym samym bagnie co na początku.

Wyprzedził chłopca jadącego na gniadoszu, co to może i nie był za szybki, ale za to wyglądał tak, jakby miał żyć wiecznie.

— Czy powiedział ci o tym Terry?

— Tak.

— A więc ciągle się z nim widzisz?

— Nie. Zadzwoił i poprosił o spotkanie. Poszliśmy do kawiarni w St Albans.

— Dlaczego chciał się z tobą zobaczyć?

— Zdaje się, że myślał, że będę mogła cię odwieść od tego pomysłu.

— I zamierzasz to zrobić?

— Nie. Wiem, że to daremne.

— Ale spróbowałabyś, gdyby była taka szansa? Po czyjej jesteś stronie, Marnie?

Wyrzłam przez okno. Znowu wydało mi się to obojętne. To nie była moja sprawa.

— Czy to nie tutaj mamy skręcić w lewo?

— Jeśli jesteś po przeciwnej stronie, po prostu to powiedz.

— Nie — powiedziałam. — W tej sprawie jestem po twojej stronie, Mark.

Jednak zdaje się, że zabrakło przekonania w moim głosie, bo spojrział na mnie, jakby wiedział, że to nieprawda. Wszyscy mieli się spotkać na terenie należącym do dużego domu o nazwie Thornhill. Był to chyba budynek z epoki wiktoriańskiej, zbudowany z brązowej cegły, porośnięty bluszczem, z kominami przypominającymi rząd ołówków. Z boku widać było ogromną oranżerię z dachem w kształcie przykrywki, jaką nakłada się na ciasta, by osłonić je przed muchami.

Gdy dotarliśmy na miejsce, razem z Rexem, zebrało się tam już sporo ludzi. Było dziesięć samochodów, cztery przyczepy dla koni, dwie zwykłe przyczepy i jakiś tuzin ludzi konno lub pieszo, kilku chłopów z rękami w kieszeniach sztruksowych spodni. Zanim zgodziłam się przyjechać, poprosiłam Marka o sprawdzenie, czy Arthur Strutt przypadkiem nie poluje, ale okazało się, że nie, więc mogłam czuć się bezpiecznie.

Mark dosiadał dużego, brązowego konia, który był dosyć narowisty, więc odsunęłam się z Foriem na bok, bo choć był najłagodniejszym koniem na świecie, łatwo się denerwował. Po chwili pojawił się mężczyzna w aksamitnej czapce i purpurowej kurtce, a Rex przedstawił go nam jako jednego z prowadzących polowanie, takich mistrzów ceremonii. Zeszliśmy z koni i porozmawialiśmy trochę, ale nie bardzo przysłuchiwałam się rozmowie, bo wszystko to było dla mnie nowe i, mimo że nadał myślami byłam już przy dniu jutrzejszym, cieszyłam się, że będę mogła tego doświadczyć tuż przed moją ucieczką. Widywałam wcześniej konie i psy ciągnące przez pola Gloucestershire, ale jakoś nigdy nie udało mi się tego spróbować. Z pewnością też wcześniej nie miałabym szans w tym uczestniczyć. W tym momencie zjawiły się psy, skakały, wydawały dziwne dźwięki, machały ogonami we wszystkie strony. Nagle, jakby spod ziemi, pojawiło się mnóstwo ludzi, rozmawiających, ściągających popręgi, dosiadających koni, myśliwych mówiących do psów, trzech mężczyzn w melonikach i żółtych bryczesach, mnóstwo koni grzebiących kopytami w miękkiej darni. Zobaczyłam też dziewczynę w niebieskim kostiumie — chciałabym taki mieć — na koniu z białymi skarpetkami na przednich nogach i starszego człowieka z rumianą twarzą. Forio był podekscytowany — nigdy nie stał w tak liczonym towarzystwie. Staralam się go trzymać z całej siły jedną ręką. Polowanie rozpoczęło się w samą porę.

Całe towarzystwo ruszyło, rozmawiając, plotkując jak na niedzielnym pikniku, czekając na swoją kolej przy bramie, z której trafiało się na błotnistą, pełną kolein dróżkę. Wyglądali dziwnie, niektórzy byli nawet brzydcy, nawet kobiety, i w pewnym sensie hardzi, jacyś tacy surowi. Mogłabym się założyć, że nigdy im niczego nie brakowało. — Niezły tłum — powiedział do mnie Rex swoim skrzeczącym głosem. — Więcej niż zwykle w środy. Pewnie to kwestia pogody.

Słońce ciągle starało się przebić przez chmury, ale widać je było słabo, miało kolor jajka w koszulce. Mark był zaraz za mną, ale jego koń wyrwał do przodu. Należał do tych zwierząt, co to zawsze muszą przewodzić stadu, jak niektórzy mężczyźni. To kwestia temperamentu. Forio cały czas był podenerwowany, próbował stawać dęba.

— Cześć, Mark — odezwał się ktoś. — Dawno się nie widzieliśmy. Dotarliśmy do końca alejki, tuż przy młodniku. Ktoś z przodu zatrzymał się i wszyscy zaczęli na siebie wpadać.

— Znaleźli! — krzyknął męski głos, a przez wszystkich jakby przebiegł prąd. Mężczyzna koło mnie przygryzł dolną wargę i próbował przepchać się bliżej, mimo że nie było miejsca. Nagle coś ruszyło się na przedzie, wszyscy przejechali przez bramkę i zaczęli wspinać się po wzgórzu koło młodnika.

Wtem usłyszeliśmy róg. Słyszałam go już kiedyś z daleka, ale to jest zupełnie inaczej, gdy się jest na polowaniu. Psy musiały pobiec już na wzgórze, bo wszyscy udawali się w tamtym kierunku. Jednak nie było to wcale łatwe, panował tłok i ścisk jak na Oxford Street. Miałam wrażenie, że prędzej uda mi się kiedyś perfekcyjnie pojechać cwałem, niż dopchać na górę w takich warunkach.

Mark mnie dogonił, ciągle ściągając wodze swego konia.

— W porządku? — spytał, choć z jego oczu widać było, że nadal jest mu przykro z powodu rozmowy w samochodzie. Skinęłam głową.

Nagle wolna jazda się skończyła i ruszyliśmy przez pola galopem. Po jakichś zaledwie dwustu metrach dogoniliśmy przewodników, którzy tropili, czy jak to się tam nazywa. Dobrze nam zrobił galop, wiatr bił w twarz. Poczułam też złośliwą satysfakcję, że Forio wyprzedził konia Marka.

— Myślę, że lis skręcił na lewo do Cox Wood — orzekł mężczyzna w meloniku, lustrując mnie z góry na dół, jakby mój widok sprawiał mu przyjemność. — Jeśli tak, zgubimy go. W Cox Wood psy z trudem łapią woń.

Przez jakieś pół godziny jechaliśmy truchtem, to z góry, to pod górę, przez pola, ścieżki, przez błoto i kałuże, czekając na swoją kolej, potraça-

jąc się, i pomyślałam sobie — jest tu nas o wiele za dużo. Brawo, lisie, nieźle nas wykiwałeś, zostań w swojej norze, nie bądź głupi, niech psy pokażą, jakie to są sprytne.

Ale o dwunastej znaleźli drugiego lisa, i tym razem wydawało się, że nieszczęsne zwierzę nie było już tak sprytne. Ktoś dał w róg jak szalony, przeskoczyłam przez płot za Markiem, zauważając, że jego koń zrobił to z łatwością. Nagle przed nami rozpostarło się pole, ścigaliśmy się ze sobą na otwartej przestrzeni wzdłuż nasypu kolejowego. W oddali widać było psy i człowieka zwanego zdaje się szczwaczem, myśliwego, i jeszcze trzech innych jeźdźców, potem jechał prowadzący i dwóch ludzi, potem jakieś sto metrów za nimi Mark i ja, ale ja znów go wyprzedzałam, i jeszcze grupka jakichś dziesięciu osób. Reszta nie miała szczęścia i zablokowała się na moście.

Musieliśmy zwolnić przy kolejnej bramie, a po zaoranym polu nie można było jechać inaczej niż truchtem. Pot ze mnie spływał i czułam się w swoim żywiole. Różnica pomiędzy tym galopem a zwykłą jazdą polegała na tym, że ktoś mówił ci, co masz robić, co było ekscytujące, i przez chwilę można było zapomnieć, o co to całe zamieszanie i jaki jest cel polowania.

Zjeżdżaliśmy ze wzgórza w wielkim pędzie i prawie dogoniliśmy psy, które kotłowały się i przepychały przez ogrodzenie z drutu. Część jeźdźców przede mną robiła objazd, aby dostać się przez bramkę, ale zobaczyłam, że prowadzący przeskoczył przez ogrodzenie i wyszedł z tego bez szwanku, więc spięłam Foria i przeskoczyliśmy. Nawet się nie potknął, więc udało mi się wyprzedzić resztę uczestników. Usłyszałam za sobą trzask i łoskot, ale to nie był Mark, tylko mężczyzna w meloniku. Mark przeskoczył bardzo dobrze i był tylko jakieś dwadzieścia metrów za mną.

Skręciłam w złym momencie, bo niska gałąź prawie ściągnęła mi z głowy kapelusz, podrapała też trochę ucho i szyję. Przede mną było tylko trzech jeźdźców. Ogarnęło mnie podniecenie. Psy trochę powęszyły i zaraz rzuciły się szeroką aleją, mijając wiejską chałupę, gdzie mały chłopiec wychylał się przez bramę, i dalej przez smołowaną drogę i wąską ścieżką, mijając trzech rowerzystów, którzy krzyczeli i machali do nas, przez gęsty żywopłot z tarniny i przez las, skąd słychać było gruchanie gołębi i szczekanie psa. Potem znowu na otwartą przestrzeń.

Oczy mi łzawiły od szybkiego pędu, Forio był spieniony od wysiłku, a jego boki unosiły się i opadały. Dotarliśmy do kolejnego wielkiego płotu i tym razem też skoczyliśmy czysto. Trzej mężczyźni byli nadal przede

mną, ale udało mi się trochę zmniejszyć do nich dystans. Nagle zobaczyłam psy. A potem lisa.

Teren znowu się wznosił, zobaczyłam czarnego lisa na tle krótkiej zielonej trawy i zauważyłam, że jest ledwo żywy. Widziałam, jak odwrócił głowę, dał susa i znów rzucił się do ucieczki. Goniły go jakieś cztery tuziny psów. Tropiąc go, wydawały dziwne dźwięki. Jednak teraz ich szczek był inny. Widziały lisa i prawie już go miały, ujadały teraz inaczej, sierść im się zjeżyła, a ogony zesztyniały. Pomyślałam, że chyba im się nie wymknie. W jakąkolwiek nie ruszy się stronę, będzie miał przed sobą otwartą przestrzeń. Całkiem nieźle do tej pory sobie radził, ale teraz jest już zmęczony i wycieńczony, i nic go innego nie czeka, jak potworna śmierć. Może ma jakieś małe w norze i nigdy ich już nie zobaczy. Pomyślałam sobie, że nikt mu nie pomoże. Nikt.

Smagnełam Foria batem, starając się go pospieszyć, z jakąś mętną, szaloną myślą, że mogłabym powstrzymać to, co się działo. Ale oczywiście, jedynym efektem było to, że Forio wyskoczył do przodu i mogłam lepiej się wszystkiemu przyjrzeć. Psy były teraz zaledwie kilka metrów za lisem, a on całkiem już nie miał energii ani siły, w ostatniej próbie obrony zaczął charczeć. Był to pojedynek pięćdziesiąt do jednego. Trwało to zaledwie chwilę, gdy tak stał samotny naprzeciw ogromnej grupy, i nagle utonął w masie warczących, gryzących go psów, które wydierały z niego ostatnie tchnienie.

W jakiś sposób udało mi się zatrzymać Foria, czy to Forio sam się zatrzymał. Myśliwy podszedł do psów ze swoim batem i odgonił je od konającego lisa, aby nie zniszczyły kity. Jedynie to go obchodziło. I zaraz nadjechało trzech jeźdźców, którzy zasłonili mi widok, i nic więcej nie udało mi się zobaczyć. A potem dotarła reszta, Mark razem z nimi, i teren wypełnił się dyszącymi końmi, rozmawiającymi i śmiejącymi się ludźmi, ktoś wymachiwał lisim ogonem, słyhać było chóralne okrzyki radości, i wszyscy mówili, jaka to była wspaniała gonitwa. Całe popołudnie aż huczało tu od śmiechu, zadowolenia, okrucieństwa i śmierci.

— Dobry Boże, nieźle pani pognęła — powiedział do mnie jakiś mężczyzna. — Jeśli będzie pani chciała kiedyś sprzedać tego konia, niech mi pani da znać. Porządnie mnie pani wyprzedziła.

Nie odpowiedziałam. Mark uśmiechnął się do mnie.

— Wspaniale jechałaś — rzucił.

Odwróciłam się, bo miałam ściśnięte gardło, chciało mi się płakać, choć tak naprawdę nie mogłam. Bo ci wszyscy ludzie byli szczęśliwi z tego powodu, że psy goniły i goniły bezbronne zwierzę, a potem z okrucień-

stwem rozerwały je na strzepy. Spojrzałam na nich wszystkich, tak jak patrzyłam na nich, gdy zaczęło się polowanie. Wszyscy byli dobrze odżywieni, dobrze ubrani. Ale teraz byłam w stanie zobaczyć coś więcej w ich sposobie postępowania. Byli osobnikami, którzy mogli spokojnie siedzieć na widowni i patrzeć na torturowanych ludzi albo zarzynane konie czy równie okrutne widowisko, i nie czuć w ogóle nic. Nie mieli żadnych prawdziwych uczuć. Chcieli jedynie własnej przyjemności.

Mark rozmawiał z Rexem, który właśnie nadjechał. Twarz Rexa była znacznie bardziej czerwona niż słońce, cały czas ocierał sobie pot z czoła.

I wtedy chyba stało się ze mną coś dziwnego. Po prostu wszystko nagle przybrało niesamowite rozmiary. Myślę, że właśnie w tym momencie czułam więcej niż kiedykolwiek w całym moim życiu. Zamiast zdystansować się do tego, co się działo, jak to robiłam przez całe moje życie, poczułam to jak dźgnięcie nożem w brzuch. Czułam, jak strasznie mocno mnie to boli.

A wtedy ci ludzie, niezaspokojeni jedną ofiarą, przygotowywali się do kolejnej gonitwy. Kolejny lis miał być zagoniony na śmierć. I naszła mnie taka myśl, że gdyby znali prawdę, że ja polowałam na nich jak lis na kurczęta, kradnąc funty z ich banków i ich firm, w jednej chwili rzuciliby się na mnie. Ten gruby, pomarszczony mały mężczyzna w kurtce z mosiężnymi guzikami, białym halsztukiem i aksamitnej czapce z daszkiem, ten człowiek od psów ze swoim batem i rogiem mógł równie dobrze poszczuć je na mnie. A gdy raz polowanie się zacznie, gdy psy zaczną mnie gonić i osaczać, mogę galopować co siłą, dwoić się i troić, ale nigdy mi się nie uda im wymknąć, aż będę kompletnie wykończona, a one rzucą się na mnie, by mnie rozedrzeć na strzepy. Ale tak zwane istoty ludzkie mogłyby to powstrzymać. Wkroczyłyby do akcji, ostrożnie usunęłyby mnie na bok i spokojnie postawiły mnie przed sądem, i ktoś by udawał, że przedstawia moją sprawę, mimo że cały czas by wypychał policzek językiem, a potem będzie mówił ktoś w imieniu policji, i zostanę wezwana do odpowiadania na pytania. A to wszystko będzie zgodne z tak zwanym prawem dowodowym i nigdy nie dadzą mi szansy na wyjaśnienie, a przecież mogłabym wszystko wyjaśnić, gdyby ktoś zapewnił mi prywatność i dał wystarczająco dużo czasu. A potem sędzia podsumowałby wszystko w kilku słowach i powiedziałaby: „Margaret Elmer, została pani uznana winną trzech aktów sprzeniewierzenia i nielegalnego przywłaszczenia dóbr, wobec czego skazuję panią na trzy lata więzienia”, i zostanę ostrożnie, lecz zdecydowanie wyprowadzona.

To wszystko to była część życia w społeczeństwie — podział na to, co dozwolone, a co niedozwolone. Więzienie było dozwolone, ale nikt mnie nie pytał o zdanie. Polowanie było dozwolone, ale nikt nie zapytał lisa.

Tak więc wszyscy zbierali się do ponownego polowania, a ja nie mogłam znieść widoku plam krwi lisa na nisko skoszonej trawie. Jednak Fo-rio jakoś sam obrał kierunek i ruszył za wszystkimi. Nie wiem, jak długo trwała ta droga, ale zamiast czuć się lepiej, czułam się coraz gorzej. Wszystkie uczucia wzbierały we mnie jak gotująca się woda w szczelnie zamkniętym garnku. Przepychanie się, rżenie, skrzypienie skóry popręgów, wysokie ostre głosy kobiet, mlaskanie błota, skowyt psów — od tego wszystkiego czułam się coraz gorzej. „Należy rozróżnić zadowolenie od tego, co Amerykanie nazywają podekscytowaniem”, powiedział Roman. „Przy pięciu gwineach za godzinę”, powiedział więzień, „mam długą listę oczekujących”.

— No dobra, do diabła z tobą, rób sobie, co chcesz — powiedział mężczyzna koło mnie, zawracając swego konia. Forio zarżał cicho i o mało co mnie nie zrzucił.

— Znowu znalazły! — pisnęła dziewczyna koło mnie. — Ale mamy szczęście!

„Ile wiesz o jej przeszłości, Mark?“, zapytał Westerman. „Cóż, nikt właściwie o nią nie dbał”. Czy o lisa też nikt nie dbał? Czy on albo ja byliśmy bardziej zaniedbani niż pies myśliwski? Czy jego matka była mniej kochająca? Czy moja matka była mniej kochająca niż matka Marka? Do diabła z ich cholernym, wyniosłym okrucieństwem!

Wszyscy tacy sami. Krwiożerczy, okrutni myśliwi. Co ja zrobiłam takiego, co było choć w połowie tak okrutne, jak zabicie lisa?

Znowu ruszyliśmy. Cała nasza cholerna zgraja, galopująca z wrzaskiem, ryk rogu, wbijające się ostrogi, pryskające błoto, twarze rozognione żądzą krwi. Dotarliśmy do płotu, Forio przygotował się i skoczył bez najmniejszego błędu. A może to ja mu pomogłam, sama nie wiem. Potem galopem przez następne pole, przez rów, lądowanie na jakichś połamanych gałęziach, omal nie zwaliliśmy się na ziemię. Cała zgraja skreśliła na prawo, pod górę w kierunku lasu. Pociągnęłam ostro głowę Foria w lewo. Nie spodobało mu się to. Wbiłam ostrogi i pogalopowaliśmy, oddalając się od reszty. Usłyszałam jeszcze głos Marka:

— Marnie! Tędy!

Nie zawróciłam. Forio rozpędził się, jego kopyta niemal dudniły, gdy zbiegał w dół zbocza. Miałam wrażenie, że już nigdy go nie zatrzymam.

Nie chciałam. Skoczyliśmy przez żywopłot z tarniny, niemal frunąc nad nim.

— Marnie!

Usłyszałam stukot kopyt. To Mark jechał za mną.

Popuściłam cugli. Forio był wykończony, kiedy dotarliśmy do lisa, ale przez pół godziny wrócił do formy i był cały napięty z podniecenia. Nigdy nie biegł tak szybko. Mimo to Mark był tuż za nami. Zachęcał albo zmuszał swojego konia, by dał z siebie wszystko.

Cały czas jechaliśmy w dół wzgórza. Przed nami wiła się mała dróżka z otwartą bramką po naszej stronie, po drugiej był rząd wierzb. Jakoś prześlizgnęliśmy się przez bramę, spod kopyt trysnęły iskry, po drugiej stronie nie było już bramki, na szczęście płot był niski. Zresztą i tak nie mogłabym w tym miejscu zatrzymać Foria. Przeskoczyliśmy i dostaliśmy się na kolejne pole. Mark ciągnął za nami i zbliżył się do nas. Usłyszałam, jak znowu krzyczy:

— Marnie!

Pozwoliłam Foriowi biec dalej, przez następne pole. Było tak, jakby nie tylko Mark mnie ścigał, ale wszystko to, co sobą reprezentował, tak, jak to przed chwilą ujrzałam w mojej wyobraźni.

Następny płot był wyższy niż poprzednie. I w mgnieniu oka, jak to zwykle bywa, spostrzegłam, że wierzby rosną wzdłuż rzeki czy strumienia. Nie widziałam, czy pomiędzy drzewami a wodą było wystarczająco miejsca, ale wiedziałam, że Forio spróbuje, i wiedziałam, że mu na to pozwolę. Mark krzyknął za mną i skoczyliśmy.

W połowie drogi wiedziałam, że już po nas. Brzeg rzeczki, piaszczysty i pełen kamieni, był jakieś półtora metra niżej, a przy zakręcie rzeczka niemal podchodziła pod samą ścianę płotu. Forio spostrzegł niebezpieczeństwo i zdawało się, że próbuje się przygotować. Wylądowałby dobrze, gdyby nie wysokość. Upadł na przednie nogi i przekoziółkował w powietrzu. Wyskoczyłam w górę i gdy spadałam, spostrzegłam, jak Mark upada zaraz za mną. Nieomal wpadłam do rzeki, zahaczyłam o niskie gałęzie wierzb, upadłam na ziemię głową na dół, ale delikatnie, łamiąc i gnąc gałęzie, a kapelusz zamortyzował mój upadek. Na chwilę straciłam oddech. To był właściwie na początku jedyny zły objaw. Musisz gorączkowo łapać oddech i ze wszystkich sił walczyć o życie. Nagle usłyszałam jakiś przeraźliwy dźwięk. Podciągnęłam się i usiadłam. Marka ani śladu. Koń Marka w wodzie aż po pęciny trząsł się, ale nie był ranny. Forio ciągle leżał. Dźwięk, ten nieznośny dźwięk, dobywał się z Foria.

Starał się stanąć na nogi, ale nie mógł. Wierzgał i próbował się podnosić, ale nie był w stanie. Wyprostowałam się i upadłam z powrotem, znowu wstałam i zataczając się, podeszłam do niego. Wtedy spostrzegłam Marka. Leżał bez ruchu. Podbiegłam do Foria. Leżał i przewracał oczami jak jakiś wściekły koń, a piana ściekała mu z pyska. Gdy byłam już blisko, zobaczyłam jedną z jego przednich nóg. Coś białego przebiło się przez skórę.

Gdy podeszłam, uklękłam przy nim i spróbowałam odzepić mu uzdę. Wijąc się w konwulsjach, ugryzł mnie, a wtedy przypomniałam sobie tego przejechanego psa w Plymouth, kundla, który przegryzł mi rękaw na wylot. Jakoś udało mi się zdjąć uzdę. Ktoś jeszcze wydobywał z siebie jakieś dziwne dźwięki. Tym razem to byłam ja. Płakałam w głos, jakbym to ja była zraniona. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Mark się nie rusza. Jego głowa była niemal cała w błocie. Znowu wstałam i przypatrzyłam się wszystkiemu wokół. Czułam się tak, jakby ciągnięto mnie linami w dwóch przeciwnych kierunkach, jak ta tortura ze średniowiecza, rozciąganie na ziemi. Ale to nie moje ciało cierpiało. Gdyby tylko Forio przestał tak przeraźliwie zawodzić. Cały czas próbował stanąć na nogach. Mark chyba nie żył. Forio żył i mnie potrzebował. Gdybym mogła potrzymać jego łeb, jakoś go pocieszyć, trzymać go, dopóki nie nadejdzie pomoc. Mark mnie nie potrzebował, Mark nie żył. O Boże, pomóż mi, pomóż mi pocieszyć mego przyjaciela! Na kolanach przyczołgałam się w kierunku Marka.

Żył jeszcze. Jedna strona jego twarzy była całkowicie zalepiona błotem, podobnie jak usta. Odwiązałam mu szalik czy halsztuk, cokolwiek to było, i zaczęłam ścierać błoto z jego ust. Wtedy też zaczął normalnie oddychać. Tak naprawdę to dusił się, bo błoto zalepiło mu też nos.

— Jezu Chryste, stało się pani co? — odezwał jakiś głos. — Tak sobie pomyślałem, że wywineła pani niezłego kozła!

To był jakiś miejscowy wieśniak czy ktoś taki.

— Sprowadź pan pomoc! — krzyknęłam.

— Niech no spojrzę — powiedział. Ześlizgnął się do nas, spojrzał na Foria.

— Jezu, ale rzeźnia, co panią podkusiło tędy jechać, co?

— Niech pan coś zrobi, żeby przestał jęczeć! — powiedziałam. — Na litość boską, niech on przestanie jęczeć. Niech pan pójdzie sprowadzić karetkę! Zadzwoń na pogotowie!

Wskazał na Marka.

— A ten tu, co z nim? Nie za dobrze wygląda. Ma coś złamane?

— Nie wiem, nie mogę go zostawić. Niech się pan zajmie moim *koniem!* Niech pan idzie po pomoc! I skończy z tymi pytaniami!

Podrapał się w głowę i zaczął gramolić się z powrotem na górę. Zaczęłam wyciągać Marka z błota. Był nieprzytomny i blady jak ściana, może i tak miał umrzeć. Wiedziałam, co się stanie z Foriem, wiedziałam, i na samą myśl o tym czułam, że ja też powinnam umrzeć, i z jakiegoś powodu ważne było, żebym żyła, dopóki nie nadejdzie pomoc.

Zaciągnęłam Marka aż do kamieni, dyszałam i jęczałam, nie rozglądałam się dokoła, ale na szczęście Forio trochę się uspokoił. Rozpięłam kołnierzyk Marka, przyciągnęłam moją podartą kurtkę i podłożyłam mu pod głowę. Nagle usłyszałam dźwięk, którego już nigdy nie spodziewałam się usłyszeć, tętent kopyt. Zostawiłam Marka, wstałam i oparłam się o gałąź drzewa, zrobiło mi się niedobrze, znów spojrzałam na Foria, który ucichł, jakby wiedział, że już nigdy nie będzie chodził. Usłyszałam głos Rexa zza płotu:

— O Boże, ale jatka. Jack, pędź po doktora!

— Ktoś już poszedł go sprowadzić — powiedziałam i chciałam zemdleć, ale nie mogłam. Teraz, kiedy oni tu byli, chciałam zemdleć i stracić przytomność, zemdleć i stać się kolejnym ciałem, którym trzeba się zająć. Ale tak się nie stało. Stałam i patrzyłam na to, przyglądałam się temu wszystkiemu, aż do nieuniknionego, gorzkiego, strasznego końca. W końcu to wszystko była moja wina, więc może tak było sprawiedliwie.

## Rozdział 17

Patrzyłam, jak zastrzelili Foria, potem pojechałam karetką z Markiem do szpitala, gdzie opatrzyli mi zadrapania i dali coś na uspokojenie, po czym odesłali do domu. To wszystko naprawdę było łatwe. Każdy mówił:

— Biedna dziewczyna, koń ją poniósł, naprawdę jest bardzo dzielna. Mark na pewno jakoś z tego wyjdzie.

— Kochanie, najlepiej będzie, jak od razu pójdiesz do łóżka. Jest ktoś w domu? Nie martw się o Marka, jest w bardzo dobrych rękach, na pewno poczuje się lepiej jutro rano.

Chirurg powiedział:

— Nic na razie nie możemy pani powiedzieć, pani Rutland. To poważny wstrząs mózgu. Ramię zostało nastawione, poza tym nie ma innych złamań. Jutro rano będziemy mogli lepiej zorientować się w sytuacji.

Pojechałam więc do domu. I nikt mnie nie winił.

Wróciłam tam. Małe pęcherzyki bólu, smutku i prawdziwej rozpaczyny wzbierały na dnie mojego serca, unosiły się do góry i pękały. Pani Leonard, po którą posłano, przyszła i strasznie się wszystkim przejęła, a potem zadzwoniła pani Rutland. Pani Rutland zachowała się dokładnie tak, jak musiały się\* zachowywać wszystkie matki podczas wszystkich wojen, w których uczestniczyła Anglia, na wieść o tym, że ich syn został ranny, i gdy miały pocieszyć zaniepokojoną synową, mimo że same martwiły się o niego o wiele bardziej. Zrobiła to tak, jak należało, i nie można było mieć jej nic do zarzucenia. Mnie też nie można było niczego zarzucić. Zresztą, o co miano by mnie obwiniać?

— W końcu tam był też twój koń — dodała po namyśle. — To był naprawdę fatalny zbieg okoliczności.

Pomyślałam sobie o tych ludziach, że byli tak brutalni i okrutni wobec lisa, a tak łagodni i pełni współczucia wobec konia.

Tej nocy zastanawiałam się nad tym, gdzie mogłabym się powiesić. Niestety, pani Leonard została ze mną na noc i nie miałam żadnych szans.

Następnego ranka pojawiły się siniaki. Cały bok miałam czarno-niebieski, nie mogłam ruszyć ani ręką, ani nogą. Ciągle spałam, jakbym nie spała przez co najmniej rok. Lekarz przyszedł raz, ale mogłabym przysiąc, że nie dał mi nic na sen. Może był to po prostu szok.

Czasem wydostawałam się z czarnego obłoku snu, a ból czaił się, jak choroba, gdzieś w zakamarkach mojego umysłu. Jednak nie był to ból mojego zwichniętego ramienia i podrapanych pleców. Był o wiele głębszy. Jakby część serca biła, część mózgu pracowała, ale coś zgrzytało w mechanizmie. Czasem budziłam się, czułam się potwornie zraniona, patrzyłam na zegarek, było pięć po trzeciej i ponownie z ulgą zapadałam w długi, głęboki sen. Lecz zaraz potem otwierałam oczy, widziałam, że jest dopiero dziesięć po trzeciej, czułam zgrzytający mechanizm i patrzyłam w głąb długiego, ciemnego korytarza, w którym echem odbijały się same potworności — tak miało wyglądać całe moje przyszłe życie.

Co jakiś czas piłam coś, co przyniosła pani Leonard. Już prawie świtało, kiedy zobaczyłam przy łóżku panią Rutland. Spytałam ją:

— Jak się czuje Mark? — jakbym pytała o godzinę.

— Trzyma się dzielnie — odpowiedziała.

Powinnam była zapytać o więcej szczegółów, ale znowu odpłynęłam. Przyśnił mi się jakiś szalony sen, jak to matka powiedziała mi, że musieli zastrzelić Foria, bo to niestosowne trzymać konia na Cuthbert Avenue. Nagle znalazłam się w sądzie, byłam chyba sędzią i oskarżonym w jednej osobie. Był tam też doktor Roman, który zaświadczył, że nie jestem w stanie się bronić. Raz czy dwa w ciągu dnia próbowałam podnieść się z łóżka, ale za każdym razem budził mnie potem ból, a ja leżałam znowu w łóżku, dysząc, z szeroko otwartymi oczami.

Za oknem były trzy drzewa, teraz bezlistne szkielety. Przez całe popołudnie przywoływały mnie i złowrogo na mnie patrzyły. Potem widziałam rzekę, do której wpadliśmy, woda była węzem, który wślizgiwał się do łóżka. Dopiero w piątek koło południa, dobre czterdzieści osiem godzin po wypadku, obudziłam się z zupełnie jasnym umysłem, przejrzystym jak szklanka, którą opróżniono i wytarto do sucha. Przypomniałam sobie, że tego dnia miałam jakiś ważny termin. „Flandre” odpłynął beze mnie.

Od tego momentu część spraw toczyła się już normalnie. Nie mogłam spać od bólu w ramieniu i plecach, nie mogłam nawet zamknąć oczu z powodu Foria. Jak tylko je zamykałam, stawał przede mną jak żywy. Może to bez sensu tak opisywać wszystko to, co się we mnie działo. Jednak jakiś czas później do mojego pokoju weszła znów pani Rutland, więc spytałam ją ponownie:

— Jak się czuje Mark?

— Cały czas tak samo. Nadal jest nieprzytomny.

— Co mówią lekarze?

— Mówią, że można tylko czekać.

Weszła dalej do pokoju. Włosy miała w nieładzie.

— A ty, jak się czujesz?

— Teraz mi już lepiej.

— Jesteś w stanie coś zjeść?

— Nie. Nie, dziękuję. Lepiej nie będę na razie jadła.

Potem, tego wieczoru Mark odzyskał świadomość i pani Rutland wróciła ze szpitala w lepszym nastroju. Lekarze powiedzieli, że jego stan nadal jest poważny, ale myślą, że z tego wyjdzie.

— Od razu spytał, gdzie jesteś, Marnie, i zdaje się bardzo mu ulżyło, kiedy mu powiedziałam, że nie jesteś ciężko ranna.

Następnego dnia wstałam, kiedy pani Rutland nie było w domu, ubrałam się i zaczęłam kuśtykać dookoła. Moje plecy i biodro wyglądały tak, jakby ktoś namalował na nich stalowe, deszczowe chmury, ale ból już ustawał. To znaczy ból fizyczny. Pani Leonard odnalazła mnie

225

w stajni i próbowała zmusić do powrotu do łóżka, ale się nie dawałam. Siedziałam w stajni cały ranek, aż do powrotu pani Rutland, a wtedy, utykając, powlokłam się do domu i zjadłam z nią lunch. Pani Rutland powiedziała, że obiecała Markowi przywieźć mnie do niego, jak tylko poczuję się lepiej. Odpowiedziałam, że chętnie pojedę następnego dnia. Nie bardzo mogłam powiedzieć coś innego. Tego wieczoru, przed posiłkiem, musiałam wejść po coś do jego sypialni, a jego klucze były w rogu górnej szuflady toaletki...

Podczas obiadu pani Rutland powiedziała:

— Te kwiaty są od ogrodnika, Richardsa. Przyniósł je dla ciebie i bardzo mu zależało na tym, żeby ci powiedzieć, że są z jego własnego ogrodu.

Dwa żonkile, kilka laków i fiołków.

— Poza tym wczoraj przyszedł taki niewidomy staruszek z kłosem winogron. Pozdrawia cię gorąco. Znasz tego staruszkę?

— Tak.

Przez długą chwilę nic nie jadłyśmy. W każdej innej sytuacji skręcałoby mnie na samą myśl o posiłku z nią samą na sam, ale teraz nie było na to miejsca. To, co się stało, tkwiło we mnie jak jakiś talizman, odpędzający złe moce. Poza tym nie czułam nic.

Po jakimś czasie odezwała się:

— Przypomina mi to obiad, jaki kiedyś zjadłam z Estelle. Nie przeszkadza ci, że mówię o Estelle?

— Nie...

— Marka nie było, wyjechał do Walii w interesach. Ojciec Marka nie żył wtedy od osiemnastu miesięcy. Sprzedałam właśnie nasz wspólny dom oraz większość mebli i przeprowadzałam się do mieszkania w Londynie. I nagle uświadomiłam sobie, że dłużej już nie mogę. Nagle poczułam się tak, jakbym zerwała moje ostatnie więzy z przeszłością. I to, wraz ze śmiercią George'a, tym, że mój syn poległ na wojnie, było więcej, niż byłam w stanie znieść. Nie mogłam mieszkać w Londynie, nie mogłam nigdzie dalej żyć. Wszystko, czego chciałam, to ciepłego, przytulnego miejsca, gdzie mogłabym umrzeć. Wprosiłam się na obiad do Estelle, bo pragnęłam za wszelką cenę jakiegoś towarzystwa, odrobiny współczucia i zrozumienia.

W pokoju było za ciemno. Żałowałam, że nie zapaliłam lamp. Należało naprawić zasłonę, pani Leonard nigdy o tym nie pamiętała. Palce pani Rutland były małe i spiczaste, zupełnie inne niż Marka. Wodziła nimi po krawędzi stołu.

— Czy Estelle pani to dała?

— Nigdy nie poprosiłam o to tak wyraźnie. Gdy tu przyjechałam, zrozumiałam, że bywają takie załamania, z których można się podnieść jedynie samemu. I to był właśnie taki przypadek. Nie można prosić dwudziestopięcioletniej kobiety o zrozumienie straszliwej samotności, która dopada nas dopiero, jak mamy ponad pięćdziesiąt lat...

Mówiła dalej. Patrzyłam na nią i słuchałam, myśląc sobie, że być może wtedy Estelle jeszcze nigdy nie doświadczyła samotności, choć na pewno musiała ją odczuwać, gdy już wiedziała, że umrze.

— To nie jest kwestia wieku — powiedziałam.

— Słucham? — zaczęła już mówić o czymś innym.

— To nie tylko kwestia wieku. Nigdy nie była pani samotna jako dziecko?

Zastanowiła się. — Tak. Ale wtedy jest zupełnie inaczej, prawda? Gdy jesteśmy młodzi, mamy dużo energii, mamy swego rodzaju żelazną rezerwę, która daje nam siły. Kiedy jest się starszym, kiedy życie już przeminęło, ten zapas jest już wyczerpany, pozostaje po nim tylko pustka. Nie chciałam jej pytać, dlaczego ten wieczór przypomniał jej właśnie o tamtym obiedzie. Zaraz zmieniła temat, jakby się obawiała, że uznam jej Skojarzenia za niezdrowe.

Spytałam ją:

— Czy Mark rozmawia z panią o mnie?

— Masz na myśli, czy mówi o tobie? Nie, raczej nie.

— Czy kiedykolwiek wspomniał pani, że nie układa nam się zbyt dobrze?

— Nie... A tak jest?

— Tak.

Obróciła w rękę kieliszek do wina, ale nie spojrzała na mnie.

— To głównie moja wina — dodałam.

— Brzmi to jak dobry wstęp do pogodzenia się.

— Och, tu nie chodzi o jakąś kłótnię. Obawiam się, że chodzi tu o coś poważniejszego...

Weszła pani Leonard. Gdy wyszła, pani Rutland powiedziała:

— Mam nadzieję, że uda wam się to naprawić, Marnie, niezależnie od tego, czy to jest twoja wina, czy jego. Myślę, że kolejna porażka załamałaby go kompletnie.

— Porażka?

— No cóż, w pewnym sensie tak. Czy śmierć w wieku dwudziestu sześciu lat to nie porażka? To nawet jest przeciwne naturze. To klęska życia

i witalności, a myślę, że Mark przyjął to także jako swoistą klęskę miłości...

Jej wzrok spoczął teraz na mnie i nie czułam się z tym zbyt dobrze. Przewiercał mnie na wylot. Miała jasne spojrzenie, ale płytkie, tak jakby przynajmniej próbowała się powstrzymać.

— Być może, jako jego matka, niesłusznie uważam go za nadzwyczajnego człowieka. Staram się jednak znaleźć uzasadnienie dla tego bałwochwalstwa. Widzę też, że jest człowiekiem, który przez całe swoje życie będzie podejmował ryzyko — być może związane z prostymi sprawami, ale przede wszystkim z ludźmi. Jest niesamowicie uparty, ale też niesamowicie wrażliwy. Śmierć Estelle mocno go dotknęła. Zakochać się ponownie w tak krótkim czasie... To się tak często nie zdarza.

Spytałam z pewnym wahaniem:

— Czy Mark mówił pani... O tym, co zamierza zrobić z drukarnią? Nadal obracała kieliszek w rękę.

— O przyjęciu oferty Glastonbury? Tak. Namawiałam go, żeby ją przyjął.

— Namawiała go pani? Dlaczego? Czy nazwisko nic nie znaczy?

— Nazwisko znaczy niewiele, gdy się je porówna do innych rzeczy. Mark nigdy nie dogada się z Holbrookami. Nie jest tak elastyczny jak jego ojciec. Będzie lepiej dla wszystkich, jeśli ich drogi rozejdą się teraz.

— Holbrookom się to nie spodoba.

— Nie w takiej formie, jak obecna, to fakt. Ale jest to właściwie jedyny powód. Mark nie chciał, aby skończyło się to w ten sposób. Mówił, że czuje się odpowiedzialny za pracowników. Zrobił pewne zastrzeżenia przy transakcji, żeby ich położenie się nie zmieniło. Z tego, co wiem, nikt nie powinien na tym ucierpieć.

*Nikt nie powinien ucierpieć.* Pomyślałam, że to taki rodzaj epitafium. Nikt nie ucierpi poza mną, Foriem, Markiem, moją matką, i w następnej kolejności, jego matką...

We wtorek pani Rutland zawiozła mnie do szpitala. O Boże, jak ja nie chciałam tam jechać! Nie miałam Markowi nic do powiedzenia. Oprócz rzeczy, których nie mogłam mu powiedzieć. Takich jak — „przepraszam” i „niedługo odejdę”, czy wreszcie „żegnaj”.

Miał własny pokój — jak przypuszczam, był prywatnym pacjentem — z ogromnym oknem, blask słońca padał na róg łóżka. Dzięki Bogu, jego matka została na korytarzu. Zaskoczyło mnie, że nie miał nawet zabandażowanej głowy, wydawał się jednak bardziej słaby niż kiedykolwiek tą

swoją słabością, która tak mnie zwiodła na początku naszej znajomości. Wyglądał, jakby schudł dobrych kilka kilogramów. Nie wiedziałam, w jaki sposób mnie przywita, ale uśmiechnął się i powiedział:

— Cześć, Marnie.

— Cześć, Mark — odpowiedziałam.

Staralam się nie kuleć, podchodząc do krzesła przy łóżku, ale jak już miałam usiąść, przypomniałam sobie, że przy drzwiach nadal stoi pielęgniarka, więc schyliłam się i pocałowałam go.

— Jak się czujesz? — spytał pierwszy.

— Ja? W porządku. Jestem trochę zeszywniała. A ty?

— Boli mnie głowa i ręka, to wszystko. Chcę wrócić do domu.

— Pozwolą ci?

— Dopiero za parę dni. Strasznie mi przykro z powodu Foria...

— To mnie jest strasznie przykro z powodu tego wszystkiego.

— Wiem, ile dla ciebie znaczył.

— To i tak była moja wina.

— Albo moja. Nie powinienem był cię gonić. Zapadło milczenie.

— Tak przy okazji — odezwał się pierwszy — dzięki, że wyciągnęłaś mnie z błota.

— Kto ci powiedział?

— Tyle sam pamiętam. Przypominam sobie, jak wyjmowałaś mi błoto z oczu i uszu.

— Sama nie bardzo pamiętam, co robiłam.

— Ja za to pamiętam to dość dobrze.

I to było wszystko. Nie mieliśmy sobie nic więcej do powiedzenia. Pielęgniarka niezbyt dobrze go ogoliła, więc jego skóra za jakąś godzinę stanie się ciemniejsza od zarostu. — Powiadomiłaś Romana o wypadku? — spytał.

— Nie.

— Zadzwoń do niego, dobrze? Inaczej może sobie pomyśleć, że ponownie przerywasz terapię.

— Co dzieje się z koniem, jak go zastrzela, Mark? — spytałam. — Chowają go, czy jak?

— Nie wiem.

— Nie mogłabym znieść myśli, że na przykład sprzedali...

— Nie wydaje mi się, żeby to było prawdopodobne.

Przy łóżku na stoliku były kwiaty, winogrona, jakieś czasopisma i kilka książek. Powinam chyba była i ja mu coś przynieść.

— Może to na razie trochę za wcześnie, ale... Są jeszcze inne konie. Na wiosnę możemy się wybrać i spróbować znaleźć jakiegoś dobrego rumaka.

— Chyba nie chcę nowego.

— Zobaczmy. Poklepał moją dłoń.

Muszę powiedzieć, że było to przedziwne. Czasem, od naszego ślubu, patrzył na mnie, jakby mnie nienawidził. Dostawał białej gorączki na myśl o tym, że spotykałam się z Terrym, był wściekły, gdy czasem uciekałam przed jego dotykiem. Ale po tym, jak przeze mnie gnał w szaleńczym tempie przez chaszczę i wykroty, co zakończyło się dla niego niemalże pęknięciem czaszki, wyglądało na to, że nie miał mi nic za złe.

Pani Rutland wyjechała w środę. Codziennie odwiedzałam Marka. W szpitalu orzekli, że będzie mógł wrócić do domu w następny poniedziałek.

W środę, tuż przedtem gdy miałam się położyć, zadzwonił Terry. Powiedział, że jest mu przykro z powodu wypadku i że ma nadzieję, że Mark ma się już dobrze, że dowiadywał się o mnie kilkakrotnie przez Newton-Smithów, i to musiało być straszne, prawda?

Przytaknęłam.

Mówił tak przez jakąś minutę czy dwie i nagle powiedział:

— Wiesz zapewne, że przejęcie Rutland wkrótce dojdzie do skutku?

— Nie... Nie miałam czasu w ogóle o tym myśleć.

— Na to wygląda. Nie myślałaś również o mnie.

— Ani o tobie. Przykro mi.

— No cóż, chyba nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Trzeba pogodzić się z tym, co jest. Kiedy Mark wraca do domu?

— Chyba w poniedziałek.

— To spotkamy się w piątek?

— Och nie, Terry, nie mogę.

— Źle się czujesz?

— Jestem w fatalnym nastroju.

— Tym bardziej powinnaś się ruszyć.

— Nie, dzięki. Nie mogę. Nie mogłabym, naprawdę. W piątek powinno mnie tu już nie być.

— Wiesz co? — powiedział. — Zadzwoń do ciebie jutro, jak wrócę z pracy, i sprawdzę, czy przypadkiem nie zmieniłaś zdania.

219

— Dobrze.

Jutro wieczorem też już mnie tu nie będzie.

— Wspaniale, moja droga. A tak przy okazji, słuchałaś wiadomości o szóstej?

— Nie, a co?

— Ostrzegali przed huraganowymi wichurami na południowym wschodzie. Zamknij okna i trzymaj się. Czy pani Leonard mieszka z tobą?

— Tak, będzie tu aż do powrotu Marka.

— No dobrze... Słuchaj, liczę na ciebie w piątek, kochana. Święci pańscy nie wiedzą, jak to będzie z tym przejęciem firmy. Mnie samemu dobrze by zrobił odprężający wieczór, a tylko ty możesz mi to zapewnić. Mamy to nazwać randką?

— Zadzwoń do mnie jutro wieczorem — odparłam szybko. — Do tego czasu podejmę ostateczną decyzję...

Pojechałam do Marka w czwartek rano. Siedział w fotelu, choć nadal wyglądał na osłabionego. To było tylko kolejne zwykłe spotkanie i nie mogłam uwierzyć, że miało być ostatnie. Powiedziałam mu, że wygląda na zadowolonego, a on odrzekł: — Mam przecucie, że to może być dla nas szansa, żeby zacząć wszystko od początku.

Gdy spojrzałam na niego, podjął myśl:

— Nie ma w tym żadnej logiki, tak jakoś... Czuję, że zaczynam od początku, jeśli chodzi o moją pracę, i prawdopodobnie — jak tylko zostaną załatwione pewne formalności — będę mógł zacząć od początku, jeśli chodzi o moją żonę.

— Nadał jesteś gotowy spróbować?

— Tak, jeśli i ty tego chcesz.

Wolałam go takiego, jakim był teraz — chociaż może to taki śmieszny ludzki mechanizm, że zaczyna się bardziej lubić kogoś, kogo ma się właśnie opuścić. Mimo wszystko przez chwilę poczułam żal za tym całym życiem, które było przed nami. Nagle wydało mi się, że patrzę na nie tak, jakbym przez drzwi zaglądała do jakiegoś pokoju.

Wydało mi się, że jestem w obcym kraju i stojąc w drzwiach, oglądam życie, o którym nie mam żadnego pojęcia i którego nigdy nie doświadczę. Zajrzałam, westchnęłam i musiałam ruszać dalej. Może przez chwilę chciałam tam być. Ale cóż, tak naprawdę to była jakaś sentymentalna pułapka, bo nigdy nie będę mogła wieść takiego życia.

Kiedy dotarłam do domu, próbowałam coś do niego napisać, kilka słów pożegnania. Mimo że zaczynałam sześć razy, nie udało mi się wymyślić

nic, co warto byłoby mu zostawić, więc wszystko to spaliłam. Może milczenie było najlepsze. W ten sposób będzie myślał o najgorszym, co było mi na rękę.

Powiedziałam pani Leonard, że zamierzam zostać u przyjaciół, którzy mieszkają koło szpitala, i że wrócę razem z Markiem w poniedziałek. W ten sposób mogłam wynieść walizkę do samochodu bez większego kombinowania. Patrzyła za mną, jak odjeżdżałam.

Tuż przed wyjazdem poszłam do stajni i po raz ostatni rozejrzałam się po niej. Cały czas czuć było w niej zapach Foria. Przypomniało mi się jak przez mgłę, że gdzieś czytałam, iż ludzie często zabijają to, co kochają. To właśnie przytrafiło się mnie.

Tego dnia Richards nie przychodził do pracy w ogrodzie, nie musiałam więc nic mu mówić. Jadąc, minęłam jednak dwóch niewidomych staruszków na jednym z ich spacerów. Zwykle zatrzymywałam wtedy samochód, albo przynajmniej naciskałam klakson, a oni machali w odpowiedzi, tym razem jednak przemknęłam koło nich, nie zwracając na siebie uwagi. Czułam się paskudnie. Czułam się jak złodziejka. Znowu to samo uczucie.

Na dojechanie do Barnet wystarczy mi godzina, pół godziny na wejście do fabryki, otwarcie sejfu, wyjście, i jakieś cztery czy pięć godzin jazdy do Torquay. Oznaczało to przyjazd do mamy o północy. Zwykle późno się kładły i późno wstawały, więc, mając szczęście, mogłam do nich dotrzeć, zanim zamkną dom na klucz. Prześpię się u nich i rano powiem wszystko mamie, Boże dopomóż! Koło południa, albo wcześniej, będę już w drodze. Pojadę na lotnisko Exeter i tam spróbuję dostać się na jakiś samolot.

Ruszyłam do Barnet.

Jadąc, czułam się coraz bardziej słabo. Nie fizycznie, ale psychicznie. Tak jakby śmierć Foria, sposób, w jaki zginął, fakt, że to ja go zabiłam, na nowo do mnie docierał. Dwa czy trzy razy podczas jazdy musiałam ocierać oczy rękawiczką, a raz o mało co nie potrafiłam rowerzysty. Żałowałam, że nie mam wycieraczek na oczach.

To był paskudny wieczór. Cienka mgła pojawiała się, jak tylko z głównej drogi wjeżdżałam na otwartą przestrzeń, nawet jeśli to były niewielkie pola. Raz pomyliłam drogę i musiałam zawracać, w związku z czym trasa do Barnet zajęła mi więcej niż godzinę.

Nie pojechałam do fabryki, ale zaparkowałam na wąskiej uliczce za sklepem należącym do Rutland.

W tym momencie oczywiście mgła mi sprzyjała, nawet żałowałam, że nie jest gęstsza. Najtrudniejszą sprawą było niepostrzeżenie dostać się do fabryki. W dodatku nie byłam pewna, który z trzech kluczy pasował do ze-

wnętrznego zamka. Jak zacznę majstrować, zawsze może nadejść policjant. Niestety, nie miałam wyjścia, musiałam zaryzykować.

Frontowe drzwi do zakładów znajdowały się na rogu, naprzeciwko stała latarnia. Przechodząc obok, widziało się każdego, kto wchodził do budynku.

Przeszłam na drugą stronę i weszłam na dwa schodki, nie rozglądając się. W gruncie rzeczy byłam żoną dyrektora.

Pierwszy klucz wszedł do zamka, ale nie mogłam go obrócić. Utknął w zamku i nie mogłam go wyciągnąć.

Szarpałam się z nim i mocowałam, podczas gdy ulicą przejechały dwa samochody. Udało mi się w końcu wydostać klucz i wypróbować drugi. To był ten. Weszłam do środka.

W środku było zupełnie ciemno, jedyne światło dostawało się przez okienko nad drzwiami. Zaraz za wejściem znajdowały się drugie drzwi. Gdy je otworzyłam, pozostawiłam je otwarte, żeby wpuścić tę odrobinę światła.

Korytarz za drzwiami był ciemny, ale znałam go centymetr po centymetrze. Trzeba było pójść prosto, skrócić w prawo i już było się na schodach.

Przy podeście schodów znajdowały się drzwi wiodące do drukarni. Zwykle były zamykane na wieczór, ale tej nocy były otwarte. Zatrzymałam się w drzwiach i zajrzałam do wnętrza.

Przez okna przesączało się światło, kładąc się smugami na maszynach i belach papieru. Jednak najbardziej uderzyła mnie panująca tu cisza. Nigdy przedtem nie byłam w fabryce po zamknięciu. Cisza wydawała się potężniejsza przez porównanie z hałasem, jaki tu zwykle panował.

Nagle, w śmiertelnej ciszy, usłyszałam szelest. Stałam bez ruchu i nasłuchiwałam. Dochodził ze stosu papieru.

Poczułam, że tak mocno ściskam klucze, aż wbiły mi się w dłoń. Rozluźniłam rękę. Weszłam na górę po schodach.

Miałam przy sobie latarkę, ale nadal jej nie zapalałam, po omacku idąc korytarzem. Wpadłam na wiadro, które musiała zostawić jedna ze sprzątaczek.

Ogarnęło mnie przerażenie, że za chwilę, zamiast pod dłońmi poczuć drzwi lub szafę na dokumenty, poczuję ciepłe ramię, ciało albo twarz. To pewnie ciemność wprawiała mnie w taki stan. Ten strach i szok, z którego się jeszcze nie otrząsnęłam. Myślałam, że jak się zatrzymam, tuż za plecami usłyszę oddech.

Dotarłam do biura, gdzie była centralka, i szłam przez nie po omacku. Tym razem na drodze stanęło mi krzesło.

Jednak taki mały hałas był nie-

szkodliwy, nikt i tak by go nie usłyszał. Za to z ulicy ktoś z łatwością mógł dojrzeć palące się światło. Drzwi do mojego dawnego pokoju, pokoju księgowych, były zamknięte. Znalazłam jednak odpowiedni klucz i weszłam. Moją pracę wykonywała teraz jakaś panna Pritchett. Mark mówił, że była w średnim wieku, staranna, ale dość powolna. Zastanawiałam się, ile kopert z wypłatami zdołałaby przygotować wraz z Susan Clabon. W pokoju były dwa okna, jednak bez porządných żaluzji, nadal więc musiałam częściowo poruszać się po ciemku. Podeszłam do sejfu i włożyłam klucz do zamka. Wszedł gładko i obrócił się tak łatwo, jakby był w wazelinie. Pociągnęłam drzwi do siebie i zaświeciłam latarką do środka. Jeżeli chodzi o tryb pracy, nic się nie zmieniło. Koperty były ułożone w odpowiednim pudełku, reszta pieniędzy leżała w szufladzie pod spodem. Włożyłam je do mojej torebki. Oczywiście, wzięłam banknoty i srebrne monety, a zostawiłam miedziaki. Potem wyciągnęłam pudełko i zaczęłam przekładać koperty. Pomyślałam, że to prawie to samo, co zamierzałam zrobić sześć miesięcy temu. Zabieram te same pieniądze, z tego samego sejfu. Interwencja Marka opóźniła tę operację tylko o pół roku. Sprawiała także, że teraz byłam znana pod moim własnym nazwiskiem i pod moim własnym nazwiskiem będę teraz poszukiwana, więc muszę wyjechać z kraju, dla pewności. Oznaczała też to, że byłam zameżna, a nie wolna, Forio nie żył, Mark był w szpitalu, a jutro albo następnego dnia zaskoczyć go miała wiadomość o moim odejściu. Zgarnęłam część kopert do mojej torby i znów się zatrzymałam. Właśnie w tym momencie, z jakiejś nieznannej mi przyczyny, załała mnie znowu fala żalu za Foriem, smutek wzbierał we mnie, aż zaczęłam się trząść. Trzęsłam się, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Czułam się strasznie dziwnie, bo czułam się słaba. Czułam się tak słaba, że niemalże nie byłam w stanie wyjść stąd z pieniędzmi i pojechać do Torquay. Nie byłam jednak słaba tylko fizycznie, to moja wola osłabła, i to właśnie było takie dziwne. Spojrzałam na pieniądze, na moją torebkę i upuściłam wszystko na podłogę, usiadłam i zaczęłam wszystko zbierać. To okropne, jak tak cię zakręci, że nie wiesz, gdzie jesteś. Wiesz, powiedziałam sobie, to drugi albo trzeci raz, jak się tak czujesz. To przez śmierć Foria, to głównie przez to. Czułam już kiedyś coś takiego. Musi to coś znaczyć, ale Bóg raczy wiedzieć co.

Zebrałam więc pieniądze, włożyłam je do torebki i zgarnęłam następną partię kopert. A wtedy powiedziałam sobie, że chyba coś naprawdę mi się stało, bo nie mogę wziąć tych pieniędzy.

Musiałam tam siedzieć jakieś pół godziny w ciemności, walcząc sama ze sobą. W końcu zrozumiałam, że nawet w najmniejszym stopniu nic mi nie robi kradzież tych pieniędzy — tak nagle nie stałam się aż tak wrażliwa — ale poczułam, że są rzeczy, których się po prostu nie robi. Można zostawić męża — a myśl o zostawieniu Marka nadal była chwalebna — ale okraść go, zwinąć mu klucze, gdy jest w szpitalu, zabrać może z jakiś tysiąc funtów, zostawić na jego głowie wszystkie wyjaśnienia, cóż, wierzcie mi lub nie, tego się nie robi.

Czasem można sobie wszystko teoretycznie zaplanować i wygląda to idealnie, ale potem, kiedy to już się dzieje, wszystko idzie zupełnie inaczej, i jest się w kropce. Nie była to jednak kwestia tego przypadku i właśnie przez to sytuacja była jeszcze dziwniejsza. Wszystko szło zgodnie z planem — poza mną, bo to ja nawaliłam. Albo może zaplanowałam wszystko tydzień temu, a teraz raczej na ślepo wykonywałam kolejne punkty planu, ale przez ten czas coś się zmieniło? Siedziałam tam, z tymi pieniędzmi naokoło mnie, w sejfie, w mojej torebce, na podłodze i żałowałam, że w ogóle się urodziłam, że morze mnie nie zabrało na Camp de Mar. Starłam się myśleć o wszystkich złych rzeczach związanych z Markiem i naszym małżeństwem — przyszło mi ich na myśl całkiem sporo — i raz udało mi się nawet zamknąć torebkę. Jednak nawet wtedy nie udało mi się siebie oszukać.

Otworzyłam torebkę i zaczęłam odkładać pieniądze z powrotem do sejfu, a każdy stos kopert bolał tak, jak wrywany ząb. Klęłam raz za razem. Nawet jak je odkładałam, nie mogłam się powstrzymać od żalu. Banknoty były w paczkach po pięćdziesiąt funtów, a koperty z wypłatami, cóż, mogłam zgadnąć ich zawartość co do funta.

Myślałam sobie, że każda odkładana paczka to paczka odejmowana matce (zamierzałam spróbować ją przekonać, aby zatrzymała te pieniądze, starczyłyby jej na trzy lata). Ale nawet to nie działało. Bo jak dwa razy dwa, odmówiłaby przyjęcia nawet pensa, gdyby się dowiedziała, że te pieniądze były kradzione.

Tak więc, jeśli pójdę do niej z niczym, nie sądzę, żeby była to dla niej jakaś różnica. Ale dla mnie była.

Wszystko, co teraz miałam, to było dwieście funtów. Musiałam się za to utrzymać do czasu, aż nie znajdę sobie jakiegóś pracy we Francji czy gdziekolwiek się zatrzymam.

Gdy odłożyłam już wszystkie pieniądze, zaczęłam zasuwać drzwi sejfów, a wtedy znowu musiałam stać tam kilka minut, zanim podjęłam decyzję i zamknęłam je. Oddychałam tak ciężko, jakbym przebiegła kilka kilometrów. Brzmiało to jak oddech starej umierającej kobiety, którą kiedyś widziałam. Czułam się potwornie. Kiedy wszystko było skończone, przekreśliłam klucz i po omacku wyszłam z biura. Jakoś udało mi się zejść po schodach, znowu zajrzałam przez otwarte drzwi do drukarni, nasłuchując szelestu papieru, jak pół godziny wcześniej.

Tym razem panowała tam absolutna cisza.

Wyszłam z budynku i odjechałam.

W Newton Abbot byłam o jedenastej trzydzięci. Mgła nie stała się gęstsza. Nie zatrzymywałam się w ogóle po drodze. Na szczęście miałam wystarczająco benzyny.

Jedno było jasne — im bliżej byłam Cuthbert Avenue, tym mniej podobał mi się pomysł wyznania prawdy matce. Mogłam sobie wyobrazić wyraz jej twarzy. Byłam jej oczkiem w głowie, wszystkim, co miała. Ale jeśli ja jej nie powiem, wkrótce zrobi to policja. Gdy ja jej powiem, będę mogła przynajmniej spróbować jej to wytłumaczyć. Ale co wytłumaczyć? Że zaczęłam kraść, zamiast cieszyć się ze sprzedawania własnej wolności za comiesięczną wypłatę przez całe moje życie? Że zorientowałam się, że jestem sprytniejsza od większości ludzi i zaczęłam to wykorzystywać? Że przekonałam się, że łatwo jest prowadzić podwójne życie i stale mnożyć fikcyjne życiorysy, jeśli tylko się podejmie odpowiednie środki ostrożności? Że wyszłam za męża i jej o tym nie powiedziałam?

Cóż, pomyślałam, na wyjaśnienie tego wszystkiego potrzeba dużo czasu, może całej nocy. Wyjaśnij to sobie sama, zanim zaczniesz wyjaśniać to

jej-

W Torquay padało. Zaparkowałam samochód na miejskim parkingu i wzięłam taksówkę.

Gdy płaciłam, wysiadając przed domem, we frontowym pokoju było ciemno, ale w holu przebłyskiwało jakieś światło, dochodzące z tyłu. Wniosłam walizkę na trzeci stopień i zadzwoniłam do drzwi. Poczekalam niezłą chwilę, zanim usłyszałam kroki. Lucy otworzyła drzwi. Jej twarz była cała czerwona i spuchnięta.

Wydała z siebie krótki pisk i zarzuciła mi ramiona na szyję.

— Och, Marnie! Marnie! Nareszcie! Ale żeśmy się ciebie naszukali! Nie wiedzieliśmy, gdzie mogłaś się podziać. Niedobrze, że nie zostawiłaś adresu. Mówili mi: przecież ona musi mieć jakiś adres. Sprawdź w książce telefonicznej, mówili...

— Chwilę, Lucy, co się dzieje? O co ci chodzi? Co się stało?

— Och —jęknęła, patrząc na mnie, i nagle z oczu trysnęły jej łzy. Potem za nią pojawiła się Doreen, córka wujka Stephena.

— Marnie — powiedziała Doreen — twoja mama zmarła wczoraj.

## Rozdział 18

W kuchni była długa plama na ścianie. Wyglądała jak mapa Nilu. Kiedyś miałam narysować mapę Nilu i dobrze ją zapamiętałam. W ścianie był gwóźdź, mniej więcej w miejscu, gdzie powinien być Kair.

— To przez tę burzę — wyjaśniła Lucy. — Pamiętasz. Zerwało dachówkę i woda dostała się do środka. W pierwszym tygodniu stycznia. Posłaliśmy po Marleya, ale w ogóle nie przyszli.

Jeden z podłokietników fotela na biegunach miał zmienione obicie. Nie pasowało do reszty, a ktoś, to musiała być Doreen, powiesił ręczniczek kuchenny do wyschnięcia na stojaku na fajki w geometryczne wzory.

— Zaczęło się w poniedziałek wieczorem — ciągnęła Lucy. — Wylew, powiedział doktor. Sparaliżowało jej całą jedną stronę. Potem już się nie odezwała, Marnie. Ale wiesz, kim dla niej byłaś. Pomyślałam sobie, muszę ją znaleźć. Przejrzałam twoje listy. Żadnego adresu. Znalazłam tylko Doreen, to wszystko. Doreen zadzwoniła do Manchesteru i Birmingham, prawda, Doreen?

— Tata przyjeżdża jutro na pogrzeb — powiedziała Doreen. — Jest w Liverpoolu, na szczęście. Dlaczego nie zostawiłaś adresu, Marnie? Dzwoniliśmy do pół tuzina Pembertonów, ale żaden nie był ten twój.

— Wczoraj rano doktor powiedział, że długo już nie pożyje — dodała Lucy. — Poszliśmy więc na policję. A ci tu mówią, że nie mogą nam pomóc cię znaleźć, ale dlaczego by nie nadać komunikatu w BBC? No i tak żeśmy zrobili. Ale odeszła w pokoju wczoraj o piątej po południu. Oddychała ciężko, tak od wtorku wieczorem, jakby nie mogła złapać tchu. Siedziałam przy niej, Doreen też.

— Pogrzeb jest jutro o drugiej — odezwała się Doreen. — Zaraz potem muszę wracać, bo zostawiłam męża, a on ledwo co się teraz wyrabia. Teraz jest najwięcej pracy, wszyscy chorują na bronchit. Mam nadzieję, że wszystko dobrze pozalatawiałam, ktoś musiał przecież to zrobić. Jest polisa. United Insurance. Składka była tylko kilka pensów tygodniowo, ale pokryje koszty. Nie wiedziałam, czy się pojawisz, czy nie.

— Myślałam, że słyszałaś — opowiadała dalej Lucy. — Przyjeżdżając, o tak, myślę, musiałaś się dowiedzieć. Była zdrowa jak rydz aż do poniedziałku, do obiadu. Wtedy powiedziała, że boli ją głowa, że musi się położyć. Wstała potem na podwieczorek i zabrała się za ciasto. Uwielbiała ciasto z szafranem. Powiedziała do mnie: „Lucy, czuję, że Marnie przyjedzie w tym miesiącu”. A potem upadła na podłogę, w tym miejscu, gdzie teraz stoi Doreen. Chciałam ją wciągnąć na fotel, ale zrobiła się strasznie ciężka, więc pobiegłam po pana Warnera.

— Ciocia Edie miała kuzynkę Polly, prawda? Wiecie, gdzie ona mieszka? — wtrąciła Doreen. — Wysłałam telegram na adres w Tavistock, ale powiedzieli mi, że przeprowadziła się zaraz po wojnie... Och, jaka jestem zmęczona. Wstałam dziś o szóstej rano.

Laska matki stała w rogu, oparta o kredens, stały tam też jej buty na specjalne okazje, bardzo wąskie z cienkimi czubkami. Zawsze miała wąskie stopy i nosiła pantofle z wąskimi noskami na długo przedtem, zanim stały się modne.

— Wiecie, aż jakoś tak trudno uwierzyć — odezwała się znowu Lucy. — Nadal mi się wydaje, że ją słyszę, schodzącą po schodach. Chciałabys ją teraz zobaczyć, Marnie? Nieźle żeśmy się spisały, razem z pielęgniarką. Wygląda tak, jakby spała.

Dla mnie jednak nie wyglądała tak, jakby spała. Wyglądała na bardzo bladą i bardzo, bardzo drobną. W ogóle nie wyglądała tak, jak moja matka. Podeszłam do niej i im dłużej jej się przyglądałam, tym bardziej zdawała się wyglądać jak coś, co po niej pozostało. Tyle przypominała moją matkę, co buty na dole czy laska, i szlafrok zawieszony za drzwiami. Wszystko, na czym mi zależało, odeszło, a resztę można było wyrzucić na śmietnik. Może to brzmi bezdusznie, ale to niezupełnie tak. Po prostu tak czułam.

Spałam z Doreen, choć dokładniej to dzieliłam z nią łóżko. Leżałam, wpatrując się w zasłony, jak ciemnieją, a potem jak jaśnieją w ciągu nocy, gdy pojawił się księżyc i zaczął je oświetlać. Wstałam o szóstej i zrobiłam herbatę, nie budząc nikogo. Czułam się jak ktoś na ringu bokserским, który dostał pierwszy cios w splot słoneczny, a potem oberwał prawym

sierpowym. Raz czy dwa byłam na meczu bokserskim w Plymouth i widziałam, jak przydarzyło się to jednemu facetowi. Wstał do szóstej rundy, wyszedł ze swojego rogu jakby nigdy nic, ale stałam blisko i widziałam po jego oczach, że tak naprawdę zupełnie nie wie, co się dzieje. Dalej boksował, wykonywał machinalne ruchy, ale to była tylko kwestia czasu, zanim dostał trzeci cios, który rozłożył go na łopatki.

Ja mój trzeci cios dostałam za piętnaście siódma.

Siedziałam przy mamie jakieś pół godziny, ale jak już mówiłam, nie myślałam o niczym specjalnym, ani też nie czułam, że ona tam była. Siedziałam po prostu koło łóżka blisko niej, gdy nagle promień słońca przebił się przez zasłony, i przyszło mi do głowy, że to niemożliwe, że nie mogę jej podać filiżanki herbaty. Usłyszałam brzęczenie muchy, a wiedziałam, że ona nie cierpiała much. Czasami zgniatała je palcami na oknie. Nienawidziłam, kiedy to robiła. I nagle zauważyłam tę wiekową czarną torebkę z imitacji skóry krokodyla, którą nosiła wszędzie ze sobą. Stała na szafie. Widziałam tylko jej róg. Pomyślałam, że być może jest tam to drugie zdjęcie taty, i że może byłaby zadowolona, gdybym włożyła je do trumny.

Wiecie, jak to jest, można być kompletnie oszołomionym, a za chwilę stać się sentymentalnym, cikliwym i płaczkliwym jak nie wiem co. Zdjęłam więc torebkę i otworzyłam podłużne, zaśnieżone zapięcie. Pierwsze, co znalazłam, to było moje zdjęcie w wieku osiemnastu lat, i pomyślałam, że to też można będzie włożyć. Potem wyciągnęłam kilka starych wycinków z gazet. Ten z wierzchu był z „Western Morning News”, chodziło o narodziny dziecka. Frankowi i Edith Elmer urodziła się córeczka. I znowu moje zdjęcie.

Znalazłam też buteleczkę z tabletkami węgla, które matka brała na reumatyzm, a potem, Boże dopomóż, pamiątkową kartę chrztu. Był tam jeszcze wycinek informujący o śmierci ojca, który mi już kiedyś pokazała. Zaproszenie na ślub, jej ślub, aż coś ścisnęło mnie za gardło; a dopięty był stary karnet tańców, od czego zrobiło mi się jeszcze gorzej.

Potem wyciągnęłam kolejny wycinek. Był z listopada 1943 roku, ale nie wiadomo było, z jakiej gazety. Tytuł głosił: „Wyrok w zawieszeniu dla mieszkanki Plymouth oskarżonej o morderstwo”.

Pomyślałam, że to musiał być ktoś, kogo matka знаła, aż do chwili, gdy zobaczyłam słowa „pani Edith Elmer”.

Zacząłam przelatywać tekst wzrokiem tak szybko, że do tej pory nie mogę sobie przypomnieć, jak się układał.

„Dziś w Bodmin Assizes pani Edith Elizabeth Elmer (lat 41), zamieszkała w Kersey Bungalow, Sangerford, w Liskeard, została oskarżona

o morderstwo noworodka... Otwierając proces, oskarżyciel podał, że pani Elmer, rozwódka ewakuowana z terenu zagrożonego nalotami, żyjąca samotnie ze swoją pięcioletnią córką... Jej sąsiadka, panna Nye, pomagała przy przyjsciu dziecka na świat, jednak istnieją pewne niejasności, co do przebiegu wydarzeń przed przybyciem pielęgniarki środowiskowej... Siostra Vannion stwierdziła, że przybywszy na miejsce, znalazła panią Elmer w stanie skrajnego wyczerpania. Pani Elmer poinformowała siostrę Van-nion, że poroniła, ale wzbudziło to podejrzenia siostry. Weszła do sąsiedniego pokoju, gdzie pod łóżkiem znalazła ciało prawidłowo rozwiniętego noworodka zawinięte w gazetę. Dziecko było martwe, a dostarczone dowody potwierdzą, że zmarło w wyniku uduszenia..." Upuściłam wycinek, a ten sfrunął na podłogę niczym serpentyna. Schyliłam się po niego i wtedy spadła torebka. Wszystkie drobiazgi wypadły z niej i potoczyły się pod łóżko. Szpulka nici, moneta dwuszylingowa, naparstek, pudełko zapalek. Pochyliłam się i zaczęłam je zbierać na kolanach, przy świetle, wnikającym przez szparę między zasłonami, ale nie mogłam nic utrzymać, tak bardzo trzęsły mi się ręce.

Znalazłam wycinek, usiadłam na piętach, a niecałe pół metra od mojej twarzy na krawędzi łóżka zwisała ręka. To była szczupła, powykręcana dłoń, i gdy tak na nią patrzyłam, zsunęła się trochę niżej.

Jakoś udało mi się wyprostować. Nie czułam ani stóp, ani kolan. Siedziałam, unosząc się na falach zimnej wody. Spojrzałam na twarz mojej matki. Patrzyłam i patrzyłam. Wcześniej siedziałam już z pół godziny i nie poczułam żadnych wyrzutów sumienia. Teraz zaś byłam sparaliżowana strachem. A potem wydało mi się, że westchnęła. Za chwilę, pomyślałam, ta stara twarz się poruszy, powieki zamrugają i ukażą kontur patrzącego na mnie diabła, który spoglądał na mnie u Romana, kiedy na powrót stałam się dzieckiem, kiedy lodowatymi plecami opierałam się o ścianę.

Przesunęłam się w kierunku drzwi, ale coś ciągnęło mnie nadal w tył. Nie mogłam oderwać od niej oczu. Kolejny krok i byłam przy drzwiach, trzymając klamkę w dłoni. Odwróciłam się, moja dłoń była za bardzo spocona i słaba, by przekręcić klamkę. Musiałam użyć drugiej ręki i wtedy podarł się wycinek. Otworzyłam drzwi i wyszłam tyłem z pokoju. Plecami wpadłam na Lucy Nye.

Ależ złotko — powiedziała Lucy Nye — ty nie bierz tego tak do siebie. Posłuchaj, ty się miałaś nigdy *nie* dowiedzieć. Przez te wszystkie lata ukrywałyśmy to przed tobą. Zawsze mówiłam: „Edie, będzie lepiej, jak powiesz córce, nie możesz być pewna, że ktoś inny tego nie zrobi". Ale ona nie

chciała. O nie, ona była stanowcza, co? A uparta, jak osioł. Nie myślałam, że zachowała ten wycinek, złotko. Po jakie лихо ona go trzymała? Wszystko się wydało przez tę jej głupotę.

Lucy nalała mi herbaty koloru brązowej pasty do butów. Nie odrywała ode mnie wzroku, patrzyła na mnie swoim dużym i małym okiem. Wyglądały jak kamyki, które wpadły w rowki wyżłobione w piasku. Były nieme. Słyszeć było tylko głos.

— Wypij, złotko, dobrze ci to zrobi. Doreen jeszcze nam nie przeszkadza. Zaniosę jej filiżankę na górę...

— Czy ona wie?

— O twojej matce? Nie sądzę. Ma zaledwie tyle lat, co ty. Oczywiście, o ile nie wygadał się o tym jej ojciec.

— On wie?

— Tak, złotko. Pracował przy konwoju statków, ale akurat wtedy był w Devonport przy remoncie.

— Nie rozumiem. Nic a nic z tego nie rozumiem.

— Wiem, złotko. No cóż, jeśli już tyle poznałaś, lepiej będzie, jak ci wszystko powiem. Wypij herbatę.

Lucy podrapała się w przedziałek swoich siwych włosów. Przypomniałam sobie, jak te włosy były kiedyś jasnopłowe i drapała się wtedy w zupełnie taki sam sposób, trzema środkowymi palcami.

— Znałam twoją matkę, od kiedy była małą dziewczynką, złotko. Niezła z niej była panna, mówię ci. Nie tak ładna jak ty, ale zwracała na siebie uwagę. Mieszkałam po drugiej stronie ulicy. Zawsze miała chłopaka, ciągle innego, ale zawsze się dobrze prowadziła. Surowo ją wychowali. Jej ojciec był dla niej bardzo ostry, nie było zmiłuj. I trzymała chłopaków na dystans. Obserwowałam ją. Zawsze mówiła im, żeby odprowadzili ją tylko do rogu Wardle Street, i do domu szła sama, na wypadek gdyby stary wyglądał. Moja matka zwykła była mówić, „przebiera i przebiera, mizdrzy się, stroi, cały zarobek na ciuchy wydaje”. Twoja matka pracowała wtedy w Marks & Spencers.

Stara Lucy potarła nos wierzchem dłoni. . — Potem przeprowadziłam się do Liskeard i widywałam ją tylko z rzadka.

Wiedziałam, że wyszła za twojego tatę, i raz mi ciebie pokazała, jak byłaś dwuletnim smykiem. Ale nie widywałam jej często, aż do wojny. Została wtedy przeniesiona do małego domku koło mnie. Twój ojciec był w marynarce.

Przychodziła do mnie z tobą, a ty miałaś wtedy jakieś cztery i pół roku czy pięć lat. Śliczna byłaś wtedy, nie ma co.

Taka grzeczna. Zwykle cię wtedy wyganiałam na dwór. Trochę się z matką zaprzyjaźniły-

śmy. Mówiła ciągle, że czuje się samotna, taka samotna. Brakowało jej znajomych, sklepów i tego, i tamtego. Ale się nie zmieniła, zawsze porządnie ubrana, trzymająca się na dystans, wiesz, jaka była. No, w każdym razie, ja uważałam, że się nie zmieniła...

Obracałam wycinek w palcach. Po drugiej stronie była reklama serwisu Mumforda i kawałek artykułu zatytułowanego „Zestrzelono nieprzyjacielski samolot”. Papier był pożółkły i wyraźnie wiele razy składany. Ile razy go czytała? Ile razy go oglądała?

— ...To było jakoś wtedy, kiedy zaczęła się przyjaźnić z żołnierzami, złotko. Nie lubię o tym mówić, ale tak właśnie było. Twój ojciec był na morzu, a ona była samotna, tak mi się wydaje. Koło Liskeard było wtedy sporo żołnierzy. Wiesz, mieli mnóstwo wolnego czasu. Oczywiście, nigdy me widziałś jej w ich towarzystwie, to właśnie było dziwaczne, ale i tak wszyscy wiedzieli swoje. Żołnierze też. Pewnie jeden drugiemu mówił. W życiu nie widziałam czegoś tak dziwnego. Mieszkała sobie w swoim małym domku razem z tobą, szanowana, wszystko w porządku i tak jak należy, dobrze ubrana, staranna wymowa, nie rozmawiała zresztą z byle kim. Wychodziła po południu, choć nigdy nie szła do pubu czy lokalu. Ale i tak wszyscy wiedzieli. Jeśli jakiś żołnierz chciał do niej przyjść po zmroku, wystarczyło, żeby zapukał w okno i...

— Zwykle z nią sypiałam — wtrąciłam — a gdy słyhać było pukanie, wyjmowała mnie z łóżka i kładła w drugiej sypialni. Tamto łóżko było zawsze zimne. Zamykała mnie... Mówisz, że mógł przyjść do niej *każdy*?

— Tego to tak dokładnie nie wiem — odparła ostrożnie Lucy. — Nigdy o tym nie mówiła. Wtedy nie śmiałam ją o to pytać, a potem ona sama nigdy o tym nie mówiła, ani jedno słowo na ten temat się jej nie wypsnęło. Pamiętam, że żołnierzy ciągle przenoszono, to tu, to tam. Może miała tylko jakichś kilku swoich ulubieńców, ale oczywiście ludzie wzięli ją już na języki i robili z igły widły.

— Czy tata się o tym dowiedział?

— Dopiero po roku albo i później, złotko. Gdy przyjeżdżał na przepustkę, roznosiło się to w mig i żaden żołnierz nie zbliżał się wtedy do jej domu. Ale ja tam myślę, że on coś podejrzewał. Bo jednej nocy, zimą czterdziestego drugiego, w styczniu albo w lutym, nie pamiętam, przyjechał bez uprzedzenia.

— A więc to prawda, co tu piszą: „rozwódka ewakuowana z terenu zagrożonego...”

— Tak, złotko, nie zniósł tego i rozwiódł się z nią. To dlatego me miała po nim renty. Zaprzeczyła wszystkiemu, wiesz, mówiła, że to wszystko

to podle oszczerstwa, choć on pojawił się niespodziewanie i zobaczył na własne oczy, jak było. No i, jakby tu powiedzieć, została sama.

— Byłam jeszcze ja.

— Tak, złotko, a ty byłaś coraz śliczniejsza. Nigdy nie widziałam śliczniejszej dziewczynki. Zabierałam cię do siebie każdego popołudnia. Twoja mama nie była zbyt wytrzymała. Rankiem szła na zakupy. Pamiętasz, jak chodziła, zanim zaczęły jej się te problemy z nogą? Nie, nie możesz pamiętać. A dziwaczny miała chód, dziwaczny jak na kogoś, kto... Robił to, co ona robiła — taki skromniutki, porządny, stopy prosto, wiesz, kolana niemal się dotykały. Nigdy zbyt wiele pudru czy różu. Rozwód w niczym jej nie zmienił. Mogłaby uchodzić za żonę pastora. Ale dalej wyprawiała te swoje hocki-klocki. Byłam najbliżej niej, więc wiem, jak było,.. Zwykle załatwiałam jej drobne sprawunki. Miałyśmy do siebie blisko, mieszkaliśmy w dwóch częściach bliźniaka. Widziałam wszystko, ale ona słówkiem się z niczym nie zdradziła, nawet wobec mnie. Kiedyś mówię jej, co i jak, a ona na<sup>^</sup>to: „Lucy, są złe języki i złe myśli. Sama wybierz, z kim chcesz się zadawać”. No to się zamknęłam. Innym razem znów mówi: „Ci biedni chłopcy, z dala od swoich domów i rodzin, minimum tego, co można im zaoferować, by nie byli samotni, to spokojny kącik przy kominku w chrześcijańskim domu...”

Lucy zadrżała.

— Aż wreszcie wpadła.

Zegar wybił wpół do ósmej. Z tych okropnych różowo-zielonych papużek nierozłączek schodziła farba, a na pudle była rysa. — Wpadła, ale nic o tym nie mówiła. Sąsiedzi zaraz zaczęli szeptać Pani Waters pierwsza do mnie zagadała, za jej plecami, ale ja odparłam zaraz, że nie, nie wydaje mi się, ale jak tylko mi to powiedziała, wiedziałam, że to była prawda. Między nami nie mówiłyśmy o tym ani razu, aż w końcu pani Waters jej przygadała. Powiedziała: „O, pani Elmer, czy mamy pani pogratulować?” A twoja mama na to: „Nie wiem, co pani ma na myśli”. Pani Waters powiedziała: „Pani się czegoś spodziewa, prawda, pani Elmer?”, a twoja mama mówi: „Jak pani śmie mnie tak obrażać!” I jak nie zacznie się na nią wydzierać. Cóż, po tym...

— Posłuchaj — przerwałam jej. — Co to?

— O co ci chodzi? — spytała Lucy.

— Wydawało mi się, że słyszę kroki na schodach.

Zamilkłyśmy i zaczęłyśmy nasłuchiwać. Był słoneczny poranek, ale okno kuchenne wychodziło na zachód, zasłony były zaciągnięte, dokoła panował więc półmrok. Filizanka Lucy zaczęła klekotać, odstawiła ją.

— Lepiej pójdę sprawdzić — powiedziałam.

— Eee tam, zostaw to, Marnie.

Pomyślałam o matce i zaczęłam się zastanawiać, czy nadal jest na górze, czy też stoi tuż za drzwiami, podsłuchując, trzymając swoją powykręcaną dłoń na klamce kuchennych drzwi. Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam wstać i sprawdzić. Na twarzy miałam zimny pot.

W końcu jakoś podeszłam do drzwi i z trudem je otworzyłam. Nie było tam nikogo.

Jednak w korytarzu było ciemniej niż zwykle, więc może kryło się tam coś, czego nie mogłam dostrzec.

Zamknęłam drzwi i oparłam się o nie plecami.

— Powiedziała, że wcale nie spodziewa się dziecka...

— Tak... To właśnie powiedziała. Nikomu by się do tego nie przyznała. Nikomu. Często u niej przesiadywałam, chociaż ona nigdy się nie krępowała z odprawieniem mnie, bo nie chciała się ze mną teraz widzieć, albo miał przyjsć „przyjaciel”. W ostatnim miesiącu, oczywiście, było to jasne jak słońce, ale jak tylko rzuciłam na ten temat jakąś uwagę, od razu kazała mi się zamknąć. Wiesz, jak ona to potrafiła. Nie było też widać, żeby się jakoś przygotowywała, wiesz, żadnych ubranek, pieluch, robótek na drutach, nic a nic. A potem, tej nocy, kiedy to się stało, przychodzi do mnie... Usiądź, złotko.

— Postoję.

— Tej nocy przychodzi do. mnie i mówi: „Lucy, bardzo źle się czuję. Myślę, że coś mi dolega. Przyjdź do mnie na chwilę”. Gdy weszłam, ty siedziałaś przed kuchnią, płacząc wniebogłosy, a ona niemal upadła na łóżko, jak za mną weszła.

Twarz Lucy przebiegł skurcz.

— Zrobiłam, co mogłam, ale widzę, że coś jest nie tak, i chciałam iść po lekarza, ale ona mówi: „Nie. Nie pozwalam na to, Lucy. Jakoś wyjmemy to dziecko. Poradzimy sobie. Zaraz się to wszystko skończy”. No i tak... Tak to było, powinnam była pójść, ale i tak już było za późno. Ile to wszystko trwało, zanim do mnie przyszła, nie mam zielonego pojęcia. Zaprowadziłam cię więc do drugiego pokoju, biedna mała, trzęsała się jak mysz, wróciłam do twojej mamy i za jakąś godzinę urodził się wspaniały chłopak. Mówię ci, miałam cykora, że hej. Ale zaraz jak to się skończyło, o mój Jezusie, jakby się odmieniła. Mówię do niej: „Zasłużyłaś sobie na to, Edie, taka byłaś uparta i zawzięta, to teraz masz, ale dzięki Bogu, wszystko obróciło się na dobre i masz ślicznego małego chłopca!” A ona patrzy na mnie i mówi: „Lucy, nie mów na razie nikomu. Zostaw mnie teraz na go

dzinę lub dwie, chcę odpocząć". A ja jej na to: „Nie ma mowy, chłopca trzeba umyć i przewinać. Tutaj nic nie ma, skoczę do siebie i przyniosę, co mi wpadnie w ręce". No i poszłam...

Lucy nalała sobie następną filiżankę herbaty. Wylała sporo przy tym na spodek, siedziała więc zgarbiona, oblizując sobie palce. Potem przelała herbatę ze spodka do filiżanki, a brzęk fajansu w jej trzęsących się rękach brzmiał jak alfabet Morse'a.

— No więc poszłam i... jak wróciłam za dwadzieścia minut, dziecka już nie było. Przysięgam na Boga, tak właśnie było, Marnie! Leżała w łóżku, brudna i spocona, biała jak ściana, i patrzyła na mnie swoimi wielgachnymi oczami. Nigdy czegoś takiego nie widziałam, Jezusie słodki, nigdy w życiu. Mówię do niej: „Edie, gdzie jest dziecko? Edie!" A ona na to tylko: „Jakie dziecko?" Tak jakby mi się to wszystko przyśniło.

Na ulicy słychać było mleczarza pobrzękującego butelkami. Brzęk, postawił dwie przed drzwiami, po czym usłyszaliśmy oddalające się kroki.

— Może ona kompletnie oszalała, Marnie — podjęła Lucy. — Może i ja też. Patrzyłam na nią tak, jak patrzy się na kogoś, kogo się kocha, a jakby się go widziało po raz pierwszy w życiu. Ale widzisz, ja nigdy nie byłam tak silna jak ona, i jeśli według niej nie było żadnego dziecka, to było tylko moje słowo przeciw jej słowu. Ty krzyczałaś, żeby cię wypuścić, a ona taksobie po prostu leżała z tymi wielkimi oczami i mówiła: „Jakie dziecko?" Tak jakby mi się to przyśniło... Bóg jeden wie, co bym w końcu zrobiła. Jak się znam, pewnie bym sobie odpuściła, ale wtedy zaczęła krwawić, i nie mogłam tego zatamować, i wiedziałam, że nie mogę tam tak stać i pozwolić jej umrzeć — choć ona o to prosiła. Mówiła: „Pozwól mi umrzeć, Lucy. Wszystko mi jedno, zaopiekujesz się Marnie, pozwól mi umrzeć". Ale tego już było dla mnie za wiele, wyleciałam z domku i posłałam po pielęgniarkę. A kiedy ona przyszła, znalazła dziecko, dokładnie tak, jak piszą tu w gazecie, pod... pod łóżkiem w sąsiednim pokoju...

Przeszłam przez kuchnię i zwymiotowałam w komórce dla służby, tak jakbym połknęła truciznę. Odkręciłam kran i chciałam, by woda obmyła mi twarz i ręce. Przyszła Lucy.

— Marnie, złotko, tak mi przykro. To wszystko już było, minęło, wszyscy zapomnieli. To nie jest żadna twoja wina. Cierpiała przez to. I nigdy byś się nie dowiedziała, gdyby nie jej głupi pomysł, by trzymać ten kawałek gazety. Nie ma potrzeby tak się tym przejmować. Połóż się, a ja ci zrobię śniadanie.

Potrząsnęłam głową i odeszłam od zlewu, wzięłam ręcznik. Włosy zwisały mi w mokrych strąkach jak wodorosty. Wytarłam twarz i ręce, stanę-

łam koło błyskającego płomieniami kominka, a moje palce dotknęły czegoś leżącego na gzymsie. To były rękawiczki matki. Cofnęłam rękę tak, jakbym dotknęła czegoś gorącego. Zaczęłam potrząsać głową, tak jakbym chciała, żeby mi się w niej rozjaśniło.

— Marnie, złotko...

— A jak się z tego wymigała?

— Tak naprawdę to przez lekarza. Doktora Gascoigne. A potem...

— Powiedziała mi, że to wszystko przez niego, bo nie przyszedł na wezwanie!

— Tak, wiesz, złotko, ona tak na to później patrzyła. To mu nie zaszkodziło, bo wtedy już nie żył. Myślała, że po prostu lepiej ci będzie to w ten sposób wytłumaczyć. Gdybym...

— Dlaczego on próbował ją z tego wyciągnąć?

— Hmm, to niezupełnie tak było. Po prostu w sądzie powiedział, że cierpiała na coś, coś jak... Jak szok porodowy... — Chyba połogowy.

— Tak, połogowy. Szok połogowy spowodowany trudnościami i przemęczeniem, i czymś tam jeszcze. To mogła być prawda... Czasami kobiety dostają tego po porodzie. Jakby nagle coś im odbiło. Po kilku dniach wszystko jest już na powrót cacy. To jakiś rodzaj gorączki, który ma takie skutki. Przestałam wycierać ręce. Położyłam ręcznik na stole. Przeczesałam palcami mokre włosy, odgarniając je z twarzy i oczu. Powiedziałam:

— Nadal nie wiem, dlaczego to zrobiła. Nic mi nie wyjaśniłaś. I nadal nie wiem, dlaczego mnie okłamywała. Po co ta cała historia, cała ta zmyślona historyjka o lekarzu, co wzywany nie przyszedł i... Dlaczego pozwoliłaś jej mnie okłamywać?

W kąć oka Lucy zaczęła zbierać się łza.

— Byłaś wszystkim, co miałyśmy, Marnie.

— To niczego nie wyjaśnia.

— Mówię ci, byłaś wszystkim, co miałyśmy.

— No dobra, nawet jeśli nie chciała powiedzieć mi prawdy — dociekałam — czy nie mogła przynajmniej trzymać gęby na kłódkę? Nie mogła? Dlaczego?

— Myślę, że było dla niej pocieszeniem, że byłaś po jej stronie... Tym razem dało się słyszeć prawdziwe kroki na schodach i do kuchni

weszła Doreen. — Ale miałam koszmarne sny! O Boże, Marnie, jesteś biała jak ściana!

## Rozdział 19

Pogrzeb był o drugiej. Wujek Stephen przyjechał około wpół do pierwszej. Nie widzieliśmy się przez jakieś cztery lata. Nie wyglądał tak dobrze, jak go zapamiętałam, ale nadal miał ten sam uśmiech, te same szare oczy, które przewiercały cię na wylot. Cały ten pogrzeb przeżyłam jak w malignie, słowo daję.

Było nas siedmioro i sześć wieńców. Doreen zamówiła jeden ode mnie. Tak naprawdę to ona załatwiła wszystko. Jedynej rzeczy, której nie udało jej się załatwić, to problem wąskiego zakrętu między schodami a korytarzem. Musieli znieść trumnę, przenosząc ją przez kuchenne drzwi, ale wtedy się zaklinowała, więc wnieśli ją dwa stopnie wyżej i spróbowali ją obrócić w drugą stronę. Ale nadal się nie mieściła, więc musieli postawić ją pionowo jak skrzynkę z mumią i wynieśli ją w ten sposób. Pomyślałam sobie, czy przypadkiem małe szczupłe ciało w środku nie opadło przy tych operacjach i czy w tej właśnie pozycji pozostanie już na wieki.

Pomyślałam, że mnie też powinni pochować. Albo, pomyślałam, powinnam wyjść na ulicę i świętować. Nie byłabym jednak tak dyskretna jak moja matka. Do diabła z tym wszystkim. Żadnych żołnierzy stukających w okienko. Otworzyłabym drzwi na oścież.

Tuż zanim wyszliśmy z domu, znowu zrobiło mi się niedobrze, ale potem już czułam się jako tako. O mało co nie wybuchnęłam śmiechem w kościele, ale całe szczęście, że tak się nie stało, bo inaczej chyba nigdy nie przestała. Właściwie nie miałam żadnego szczególnego powodu. To był kościół na wzgórzu. Zapomniałam, pod jakim był wezwaniem, ale z dziedzińca, znad dachów domów, widać było zatokę Torbay. Morze było jak niebieski talerz z wyszczerbionymi brzegami. Na zachodzie, tak sobie myślałam, widać było dachy nowej części Plymouth, Guildhall i centrum handlowe, gdzie budynki powyrastały z błota i kurzu, które pamiętałam jako dziecko.

Był jasny, ale piekielnie zimny dzień. Wiatr z północy gwizdał wśród drzew i miałam wrażenie, że mój płaszcz jest z papieru.

Ciekawe, co robi Mark, pomyślałam. Pomyślałam o nim pierwszy raz, od kiedy przyjechałam tu zeszłej nocy. Cóż, nikt nie będzie mnie teraz pilnie poszukiwał, bo wczoraj nic nie ukradłam. Nikt nie powinien zauważyć mojego zniknięcia aż do jutra rana, albo nawet następnego dnia. Ale wtedy to będę już we Francji.

Ale czy tak naprawdę musiałam tam jechać? Po raz pierwszy w życiu, od momentu tej śmierci, byłam naprawdę wolna.

Włosy wujka Stephena targał wiatr. Posiwiął dość mocno, choć był sporo młodszy od mamy, pięć czy sześć lat. Był zupełnie niepodobny do matki, poza tym, tak myślę, że oboje mieli ładny kształt twarzy. Chryste, żyłam cały czas... Jak ja żyłam? Dlaczego on mi nie powiedział?

Nagle przypomniało mi się to, co powiedziała ta dziewczynka ze szkoły, Shirley Jameson. To, co sprowokowało bójkę. Rzuciłam się na nią z pięściami. Krzyknęła: „Nie masz co tak zadzierać nosa! Twoja matka to morderczyni!” No cóż, okazało się, że Shirley miała rację. Jak tak o tym pomyśleć, to dość często się zdarza, że coś, co ktoś wam powiedział, jak byliście dzieckiem, co doprowadziło was do Szewskiej pasji, prędzej czy później okazuje się prawdą. To jedna z rzeczy, których się uczymy... A ja się bałam powiedzieć mamie, że ukradłam parę funtów, by miała wygodne życie. Zaśmiałam się, ale musiało to brzmieć jak kaszel, bo nikt nie zwrócił uwagi.

— Prochem jesteś i w proch się obrócisz — powiedział pastor. — Jak Bóg cię nie zechce, do piekła się wrócisz. Nie, to niemożliwe, żeby to powiedział, musiałam się przesłyszeć, chyba oszalałam. Ależ oczywiście, ja musiałam być szalona. To był właśnie problem Edie Elmer. Byłam jej córką, wrodziłam się w nią. Z wyjątkiem tego, że zamiast prowadzić się z żołnierzami, uciekałam od nich. Nie mogłam znieść ich dotyku. Może to była po prostu druga strona tego samego medalu?

Całe jej życie było jednym wielkim kłamstwem. A moje? Cholera, prawie całe. Zaczęłam od zera i stworzyłam całkiem niezły łańcuszek kłamstw — trzy czy cztery piękne życiorysy, tak samo fałszywe i lipne jak matki. Nawet nie wystarczył mi mój własny życiorys.

Poczułam, że chciałabym wyrwać to wszystko z mojej głowy. Jak mogła mnie tak oszukać?! Jak mogłam dać z siebie zrobić durnia?!

Wszyscy zaczęli już kierować się do wyjścia, ale ja się nie ruszałam. Lśniące brązowe pudło z mosiężną tabliczką i mosiężnymi uchwytemi wylądowało w rudej ziemi. Kościelny, czy jak mu tam, opierał się na łopacie. Nie czułam smutku. W ciągu kilku tygodni przeszłam od stanu odczuwania za słabo do odczuwania zbyt silnie — jakby zdarto ze mnie skórę — ale teraz znowu przechodziłam w stan otępienia. Po prostu stałam i patrzyłam na dziurę w ziemi.

Wyglądała jak okop. Wiatr zakrył słońce chmurą. Obok sąsiedniego grobu rósł dąb mniej więcej mojego wzrostu. Usiany był brązowymi, uschniętymi liśćmi, które szumiały na wietrze. Liście już daw-

no powinny były opaść. Były jak kłamstwa, które dawno już zapomniano, po co je wymyślono, ale nadal się uparcie trzymały. Wmawiasz dziecku, że istnieje święty Mikołaj, a jak ma dziesięć lat, mówisz mu prawdę. Ale niektórzy uwikłali swoje dzieci w taki labirynt kłamstw i pozorów, że one już się z niego nie uwolnią.

No tak, teraz byłam wolna, tak jak nigdy przedtem. Wolna od Marka, wolna od matki, wolna od Foria. Wszyscy odeszli. Dobry człowiek, to martwy człowiek. Mogłam ich odkreślić grubą kreską. Zaczynałam nowe życie.

Wujek Stephen dotknął mojego łokcia.

— Marnie...

— Idź do diabła — powiedziałam.

— Wszyscy już poszli. Wysłałem ich przodem. Zresztą Doreen i tak musi biec na pociąg. Lucy poradzi sobie sama...

— Ja też.

— Od tego momentu tak. Będziesz musiała. Ale zanim się rozstaniemy, chciałbym z tobą pogadać. Lucy powiedziała mi, że wiesz o swojej matce.

— Idź do diabła — powtórzyłam.

— Marnie, musimy porozmawiać. Mam tutaj taksówkę. Pojedźmy gdzieś.

— Dzięki, pójdę na piechotę.

— No chodź. — Wziął mnie pod ramię.

Nagle poczułam, że opuściła mnie cała wola walki. Odwróciłam się do niego i poszłam do czekającej taksówki.

Pojechaliśmy gdzieś na herbatę. To był jeden z tych drogich hoteli, i potem pomyślałam sobie, że zabrał mnie do publicznego miejsca, bo tam nie mogłam okazać mego smutku ani wybuchnąć na całego — bo cały czas jednak przykładałam wagę do pozorów. Nieźle ryzykował. Miałam ochotę kopnąć i przewrócić stół. Ale nie dlatego, że byłam wściekła, to nie to. To był potworny, bezdenne, beznadziejny smutek, jaki tylko można znieść.

— Weź się w garść, Marnie — powiedział.

— A jakie ty masz, cholera, prawo mówić mi, co mam robić?

— Marnie, przestań przeklinać i spójrz prawdzie prosto w oczy. Wiem, że był to dla ciebie okropny szok, stracić matkę, a zaraz potem dowiedzieć się o niej tego wszystkiego. Ale ogarnij to szerzej. Jeśli pozwolisz, to trochę ci o niej opowiem, co pomoże ci sporo zrozumieć.

— Gdybyś powiedział mi o tym dziesięć lat temu, może miałbyś prawo mówić do mnie w ten sposób.

— Co?! Powiedzieć ci o tym, jak miałaś trzynaście lat? Zresztą i tak nie miałem do tego prawa: byłaś jej dzieckiem, nie moim. Ale nawet gdyby, chcesz powiedzieć, że zrozumiałabyś wtedy to, co zamierzam ci właśnie powiedzieć? Gapiłam się przed siebie na sześć białych obrusów i wazon z kwiatami: żonkil, irys, tulipany. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że jego akcent ma już inne brzmienie.

— Edie była starsza ode mnie — powiedział — ale zawsze ją uwielbiałem i myślę, że na swój sposób ją rozumiałem. W modzie jest teraz obwiniać za własne błędy matkę i ojca. Ale jeśli o jakieś swoje błędy ją obwiniasz, to niektóre z jej błędów trzeba bez wątpienia przypisać naszemu ojcu. Twój dziadek był kaznodzieją, wiesz o tym, prawda?

— Tak mówiła.

— Był lokalnym kaznodzieją, ale z zawodu był tynkarzem. W latach dwudziestych nie miał pracy przez jakieś osiem lat. Stał się przez to zgorzkniały, zamknięty i zdziwaczały. Stał się też bardziej religijny, ale nie w dobrym sensie tego słowa. Kiedy twoja babcia, a moja matka, zmarła, tata zaczął coraz bardziej zamykać się w swojej skorupie, a najbardziej odczuła to na sobie Edie. Czy kiedykolwiek myślałaś o matce jak o kobiecie, Marnie? Wiesz, nie jak o swojej matce? Była, można powiedzieć, niezwykle seksowną kobietą.

— Zdaje się, że wszystko na to wskazuje!

— Tak, ale nie zrozum tego źle. Zawsze przyciągała mężczyzn — zawsze miała chłopaka, ale była zbyt surowo wychowana, by im na zbyt wiele pozwalać. Byłem jej bratem, więc wiem, jak było. Została z ojcem aż do jego śmierci. Miała wtedy trzydzieści trzy lata. Rozumiesz, co to musiało dla niej znaczyć? Jeden Bóg wie, jakie walki toczyła sama ze sobą. Ciężkie życie miała z tatą. Potrafił być okropny. Był strasznie autorytarny, jak jakiś starotestamentowy prorok. Zaczęła go trochę przypominać w ciągu ostatnich kilku lat, ale nawet wtedy w połowie mu nie dorównywała. Ja zawsze próbowałem jakoś zwać. Dość szybko zacząłem pracować na morzu.

Zaproponował mi herbatę, ale potrząsnęłam głową.

— Dwa miesiące po jego śmierci — ciągnął — wyszła za twojego tatę. Myślę, że byli szczęśliwi. Z tego, co wiem, byli szczęśliwi. Myślę, że po raz pierwszy zaczęła prowadzić normalne życie. Myślę, że odkryła — powiedzmy to otwarcie — to, czego jej do tej pory brakowało. Myślę, że Frank obudził w niej coś, czego się w ogóle nie spodziewał. Oczywiście nie miało to żadnego znaczenia, dopóki był w domu...

Hotel miał werandę wychodzącą na morze. Jedynymi osobami, które tam siedziały, były trzy trzęsące się starsze panie. Siedząc tak, przypominały mi matkę. Przypominały muchy wygrzewające się w ostatnich promieniach słońca. Wujek Stephen ciągnął:

— Gdy zostałyście ewakuowane do Sangerford, poczuła się samotna, znacznie bardziej samotna, niż była kiedykolwiek przed zamążpójściem. Obudziła się do życia, ale dość późno. A teraz znowu kazano jej iść spać. A to nie jest takie łatwe. Zaczęła spotykać się z żołnierzami.

— Było ich dość sporo, prawda?

— Nie zamierzam jej bronić. Staram się tylko wyjaśnić ci, dlaczego to wszystko się stało. W przypadku innej kobiety, inaczej wychowanej, inaczej skonstruowanej, nigdy by do tego nie doszło. Na pewno nie zaszłoby to tak daleko, jak w jej przypadku. Mam na myśli to, co się stało z dzieckiem.

— Chcesz powiedzieć, że to, w jaki sposób została wychowana, sprawiło, że zamordowała własnego syna?

Zamilkł na chwilę i zaczął zapalać fajkę.

— Marnie, twoja matka była dziwną kobietą, nie chcę tego ukrywać. Potrafiła oszukiwać samą siebie. Szczególnie w późniejszych latach nabrało to ogromnych rozmiarów. To, jak łyknęła twoją historię o tym bogatym pracodawcy, Pembertonie, który obsypywał cię pieniędzmi...

— Ty w to nie wierzysz?

Wyjął fajkę z ust i potrząsnął głową.

— Nie wiem, w jaki sposób zdobywałeś pieniądze, i nie zamierzam cię o to pytać, ale nie wierzę w Pembertona. Ona też by nie uwierzyła, jeśliby tylko chciała poznać prawdę. Cóż, w pewien sposób, podczas tego dziwnego okresu w Sangerford, nauczyła się żyć, wierząc w to, co było dla niej wygodne. Wiem, dlaczego sypiała z żołnierzami. Bo miała na to ochotę, bo pożałowała miłości fizycznej — ale nie wiem, w jaki sposób radziło sobie z tym jej sumienie. Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, jak to jest wieść podwójne życie?

Wzdrygnęłam się. — Jeśli tak, to co?

— Być może myślała — i nie wydaje mi się to takie bezsensowne — być może myślała, że przyczynia się do zwycięstwa, ofiarując żołnierzom swoją miłość. W jakiś sposób dalej żyła tak, jakby te noce nie istniały. Nadal była szanowaną, starannie ubraną, dobrze wychowaną córką Abła Treville'a. Nadal była wierną żoną Franka Elmera. Nadal była twoją dobrą matką.

Wydałam z siebie jakiś dźwięk, ale nie było to zdanie, na które mógłby zareagować.

Spojrzał na mnie swymi szarymi oczami.

— Gdy było widać, że jest w ciąży, jej precyzyjnie skonstruowany świat zawalił się w gruzy. Sam pan Bóg wie, jakimi torami szły wtedy jej myśli. W jakiś sposób udało jej się stworzyć taką konstrukcję, że była w stanie sama przed sobą zaprzeczyć istnieniu tego dziecka. Oczywiście, lekarz miał rację. Pod koniec stała się niepoczytalna i zrobiła to, co zrobiła...

Zapadło długie milczenie. Przyszedł kelner, Stephen zapłacił rachunek, ale nadal siedzieliśmy. Starszym paniom zrobiło się zimno na werandzie, więc weszły do środka. Przeszedł boy hotelowy, oferując popołudniowe gazety z Londynu. Nikt nic nie kupił.

— Gdybym była sędzią — rzekłam — i powiedzieliby mi, że ta kobieta nie wiedziała, co robi, odparłabym: dlaczego nie przygotowała się na przyjście dziecka? Była niepoczytalna przez dziewięć miesięcy?

Wstaliśmy i ruszyliśmy w kierunku Cuthbert Avenue. Szliśmy powoli, nadal wiał zimny wiatr. W porcie kilka łodzi podskakiwało i kołysało się na wodzie, a ponad nimi palmy szeleściły jak spódniczki z rafii.

— Wiesz, że wyszłam za męża?

— Wyszłaś za męża? Nie. Bardzo się cieszę. Kim on jest?

— Cieszysz się — rzuciłam i zaśmiałam się.

— A co, mam się nie cieszyć? Nie jesteś szczęśliwa? Gdzie mieszkasz?

— To nigdy nie miało szansy się udać — powiedziałam. — Od początku wszystko było nie tak. Ja jestem jakaś dziwna. Nie lubię mężczyzn. Nie znoszę, jak mnie dotykają. Brzydzi mnie to, zamieniam się w sople lodu. Zostałam do tego zmuszona, zostałam zmuszona do ślubu. Ja tego nie chciałam. Ten mężczyzna — ma na imię Mark — kocha mnie, ale to beznadziejne. Ma dobre chęci, ale nie ma pojęcia, co jest ze mną nie tak. Poszłam do lekarza, do psychiatry. Zaczął badać, co mam w środku. Ale przez trzy miesiące nie udało mu się wygrzebać nawet jednej czwartej tego, co ja odkryłam przez jedną noc, czytając ten wycinek z gazety. Teraz mi się wszystko przypomniało. Ale to wcale nie pomaga.

— Na pewno ci to pomoże. Powie to każdy psychiatra, Marnie. Przypomnienie sobie to połowa sukcesu.

— To zależy od tego, co pamiętasz. Jestem jakaś dziwna — nie taka jak wszyscy — byłam inna już od momentu, jak miałam dziesięć lat... Jestem dziwna i taka zostanę. Przez te ostatnie miesiące dowiedziałam się sporo na temat psychiki. Ten doktor — Roman — powiedział mi, że...

— Moja kochana Marnie, wyobrażam sobie szok, jakim musiała być dla ciebie ta noc. Już samo to wystarczy, by wyjaśnić wszystko, co ci się od tej pory przydarzyło...

— To zbyt łatwe — odparłam. — Nie możesz określać ludzi jak niewiadomą x lub y. To nie na tym polega. Może i doznałam wtedy szoku. Może teraz doznałam kolejnego. Ale to nie wszystko. Słyszałeś o dziedziczeniu? Co się dzieje, jak rodzą się nowi ludzie? Dziedziczysz po rodzicach. Przed chwilą mi powiedziałeś, że matka stała się podobna do waszego ojca. W takim razie ja jestem jak moja matka. Kim ona była, pytam się? Była albo morderczynią, albo kobietą niepoczytalną. Nie trzeba tu psychiatry, żeby zgadnąć, co jest ze mną nie tak. Teraz mam na to najlepszy dowód.

Zgasła mu fajka. Zatrzymał się i postukał nią w kamienny słupek na deptaku. Czekalam zniecierpliwiona. Włożył fajkę do kieszeni.

— Do ślubu zawsze trzeba dwóch osób, Marnie. Frank, twój ojciec, był całkiem normalny, jak ja. A ja jestem jej bratem. Czy ze mną jest coś nie tak? Wcale nie musisz po niej dziedziczyć. Ale nawet jeśli, nie musisz wcale postępować tak jak ona. Nadal jej nie rozumiesz.

— Wcale nie chcę jej rozumieć! Zresztą co tu jest do rozumienia? Lepiej zmieńmy temat.

— Nie. Zmuszasz mnie, żeby bronił twojej matki, więc proszę bardzo. Widzisz, ona była kobietą bardzo namiętną, a jednocześnie pełną zahamowań — i raczej niewinną. Wiem, wiem, myślisz, że to, co mówię, to jakieś bzdury, ale pomyśl, co zrobiłaby na jej miejscu doświadczona kobieta. Po pierwsze, dobrze by się zabezpieczyła przed ciążą. Po drugie, gdyby już wpadła, szybko postarałaby się ją stracić. Każda może to zrobić, jeśli tylko wie jak. Ona nie wiedziała. Zresztą nie wiem, może próbowała jakichś naparów? Ale nic więcej. Przechodziła całą ciążę z powodu swojej niewiedzy, etycznych zasad zaszczepionych jej przez ojca i dzięki niezwykle darowi oszukiwania samej siebie. Z powodu tych ograniczeń stała się chwilowo niepoczytalna. Nie ma żadnych powodów, by przekazała ci taki charakter, który objawiałby się w ten sam sposób, nawet w identycznych okolicznościach. Możesz się obnosić ze swoimi dziwactwami, ile chcesz, ale nie myśl, że z tego nie można się wyleczyć!

Szliśmy dalej. Nagle zapragnęłam, żeby sobie poszedł. Chciałam zostać sama, pójść przed siebie i spokojnie pomyśleć.

— Słyszałeś, żeby kiedyś mówiła o seksie, o miłości? Przez całe życie starała mi się to obrzydzić. Dlaczego? Jesteś w stanie to pojąć?

— Ludzie nienawidzą rzeczy, które w sobie tłumią. Człowiek, który nie znosi okrucieństwa, często sam tłum w sobie okrutne zapędy. Gdy twoja matka wyzdrowiała i zrozumiała, że seks był już nie dla niej — tak, jak to w istocie było — czy nie było naturalne, biorąc pod uwagę jej wychowanie, uznać seks za przyczynę wszystkiego zła, które na nią spadło, i chcieć cię przed nim ostrzec?

— No tak, to była przyczyna wszelkiego zła, prawda?

— Tylko dlatego, że na początku jej pragnienia zostały niepotrzebnie stłumione, a potem w niewłaściwy sposób zrealizowane.

— Podajesz argumenty jak Mark.

— Twój mąż?

— Mój mąż.

— Opowiedz mi o nim.

— To już nieważne.

— Czasem, Marnie, czuję się winny, że tak szybko wyruszyłem na morze, dlatego, że skazałem Edie na przebywanie z ojcem, a potem ciebie na przebywanie z Edie. Muszę teraz z tobą zostać i jakoś ci pomóc, postarać ci się pomóc, spojrzeć na wszystko z odpowiedniej perspektywy. Skręciliśmy na Belgrave Road.

— Wiem, że pomogłeś mi ładnych kilka lat temu — powiedziałam. — Myślę, że w pewien sposób pomogłeś mi i teraz. Ale na tym nasza relacja się kończy. Jutro albo pojutrze wrócisz do Liverpoolu, a ja — tam, gdzie postanowię. Choćbyśmy omawiali ten problem aż po kres naszego życia, i tak nie znaleźlibyśmy łatwej odpowiedzi, bo chyba nie ma na to w ogóle łatwej odpowiedzi, jeśli w ogóle jakkolwiek istnieje. Przedstawiłeś mi swoją wersję historii. Lucy przedstawiła mi swoją. Ale ta, która mogłaby mi powiedzieć całą prawdę, już nie jest w stanie tego zrobić. Przez całe życie karmiła mnie kłamstwami, a teraz jest w grobie i nie powie już na ten temat ani słowa. Taka jest prawda. Nie można tego zmienić i muszę z tym jakoś żyć — jeśli w ogóle chcę dalej żyć. I jedyne sposobem, w jaki mogę się z tym pogodzić, to uporać się z tym sama. Zostawisz mnie teraz? Wrócę później. Nie mogę jeszcze iść do domu. Myślę, że wrócę wieczorem. Położył mi rękę na ramieniu i stanęliśmy.

— Marnie, obiecujesz, że wrócisz?

— Tak, obiecuję.

— Wolałbym z tobą zostać.

— Wolałabym zostać sama.

## Rozdział 20

Gdy odszedł, zawróciłam na Belgrave Road i poszłam deptakiem. Wiatr wiał mi w plecy, wydymał spódnicę niczym żagiel i pchał do przodu, zupełnie jakby mnie popędzał.

Słońce właśnie zaszło, a na niebie w tym miejscu jaśniała smuga podobna do plamy krwi, fale waliły w nabrzeże i cofały się. Deptakiem nadchodziły dwie siostry zakonne, a wiatr zamieniał ich habity w potworne skrzydła. Minęły mnie, opierając się wiatrowi z pochylonymi głowami.

No cóż, mogłam zostać zakonnica. Byłoby to jakieś rozwiązanie, mogłabym wyleczyć się z problemów, powierzając je Bogu. Gdybym przywdziała habit, przynajmniej nie poszłabym do więzienia. Albo mogłabym pójść w odwrotną stronę i zostać wysokiej klasy prostytutką. Zaczęłam się zastanawiać, czy w Torquay są jakieś zawodowe prostytutki. I jak w ogóle należałoby się do tego zabrać?

A może lepszym rozwiązaniem były kamienie w kieszeniach? Przeskoczyć przez te barierki, a morze zabrałoby ciało. To było najłatwiejsze. Żeby żyć, trzeba mieć ku temu jakiś powód, nawet jeśli tym powodem było pozostanie przy życiu. Ja nie miałam żadnego. Byłam pusta.

Dziwne, pomyślałam, jestem wolna. Wolna po raz pierwszy w życiu. Powiedziałam to już sobie wcześniej dwa razy i powinno mnie to ucieszyć. No cóż, nic z tych rzeczy.

Co się właściwie zmieniło? Matka zmarła, zostawiając za sobą trujący ślad, jak ślimak, który schował się pod ziemię. Ale moja choroba była głębsza, o wiele głębsza.

Stałam, trzymając się mocno barierek, i zaczęłam po kolei przypominać sobie wszystko, co uprzyjemniało mi życie podczas tych długich miesięcy, kiedy pracowałam w Birmingham, w Manchesterze i Barnet. Policzyłam je, ale za bardzo mi to nie pomogło. Wyszło moje wewnętrzne źródło. Moje życie stanęło nagle na głowie, wykonując jakąś kolosalną, okropną magiczną sztuczkę, a ja byłam jak zwierzę, którego ciało wywrócono na lewą stronę, odsłaniając wnętrze, i które szło w złym kierunku, zezując, z sercem przeciętym na pół.

Podjęłam moją wędrówkę. Przeszłam koło Pavillonu, a potem, zostawiając morze za plecami, skierowałam kroki w stronę miasta. Było tu zaciszniej i nie tak głośno, spacerowało też sporo ludzi. Ale nie było jak w Plymouth.

Ruszyłam główną ulicą. Weszłam do pubu na rogu i zamówiłam brandy. Mimo że było tuż po otwarciu, lokal był prawie pełny. Mężczyzna koło mnie miał usta przypominające tył ciężarówki z opuszczaną klapą. Opowiadał o meczu, w którym grał w zeszłym tygodniu.

— Graliśmy w dwunastu chłopa — powtarzał w kółko. — Dwunastu chłopa. Sędzia był do dupy. Małe chuchro. W dwunastu żeśmy grali. Jak jutro będzie tak samo, chyba go zabiję.

Mężczyzna koło niego zaczął mi się przyglądać. Był małym facetem w czapce w kratkę, a oczy miał naokoło głowy. Było jasne, o czym myśli. Nie trzeba być córką Edie, by się tego domyślić.

Pub zaczął wypełniać się dymem niczym palarnia opium. Błat baru był mokry. Barmanka, gruba czarnowłosa dziewczyna, przetarła go szmatą. Wystarczyło, żebym uśmiechnęła się do tego w czapce, wystarczył jeden uśmiech. On już zająłby się resztą. Powiedziałam do siebie: czego ty się boisz? Zrobić sobie dziecko, zabić je i żyć z tym do końca życia? Pragnąć seksu i wmawiać sobie, że jest brudny i że tego nienawidzisz? Czy do tego masz zamiar się doprowadzić?

Czym innym była kradzież, jak nie oszustwem? Dlaczego obwiniam matkę bardziej niż siebie?

Odrzuciłam się od tego w czapce, wzięłam swoją brandy i usiadłam przy stoliku. Siedziała przy nim kobieta. Miała około czterdziestki, przywidłe ciało, duże oczy, duże usta i obfity, budzący poczucie bezpieczeństwa biust. Miała na sobie sukienkę i płaszcz, jakie nosiłam jakieś pięć lat temu, zanim nie nauczyłam się ubierać.

— Cześć, skarbie — powiedziała. — Duszno tu, co? Miała przepity głos.

Kiedy usiadłam, zobaczyłam nasze odbicie w lustrze reklamującym Teacher's Highland Cream. Zobaczyłam ją, a obok niej tę dziewczynę w krótkim brązowym płaszczku, z kręconymi włosami i grzywką, w żółtej bluzce ze spiczastym kołnierzykiem. Nie wyglądała inaczej niż zwykle. Nie wyglądała jak zwierzę wywrócone na drugą stronę, z wnętrznościami na wierzchu.

— Źle się czujesz, skarbie? — spytała kobieta. — Ten dym... Cztery nowe osoby przepychały się koło nas. Gruby facet w spodniach

w kratkę i marynarce z rozcięciami wpadł na nasz stół i niemal go przewrócił.

— Niezdarna pokraka — powiedziała kobieta.

Koło niej stały trzy puste szklanki i czwarta, nadpita, z guinnessem.

Pomyślałam sobie — tu nie chodzi tylko o kłamstwa, prawda? Nie chodzi o to, że matka sypiała z żołnierzami, nawet nie o to, że udusiła swoje dziecko. Nie tylko o to, ale o wszystko to, co mi się przez to przytrafiło. Na złym fundamencie prosto nie zbudujesz...

— Spróbuj guinnessa, skarbie — rzekła kobieta. — Te małe lufki to byle co. Co tam masz, brandy?

— <sup>Ta</sup>k — powiedziałam bardziej do siebie niż do niej. To był pierwszy raz, kiedy piłam brandy od tamtego wieczoru w barze na Ibizie, gdzie szalał tłum i gdzie pokłóciłam się z Markiem. I nagle poczułam, że do oczu cisną mi się łzy. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego, ale zaczęłam szlochać.

— O co chodzi, skarbie? Pokłóciłaś się z chłopakiem?

Dziewczyna w lustrze zaczęła grzebać w torebce, potem wyjęła chusteczkę, osuszyła nią twarz, ale zanim się uspokoiła, minęło trochę czasu. Pomyślałam: Teacher's Highland Cream? Trutka dla ciebie.

— Miałam kiedyś chłopaka — powiedziała kobieta. — Masz, wypij to, przełknij, postawię ci guinnessa. Guinness uspokaja, mówię ci. Ej, ty tam, 'dwa guinnessy! Zrozumiałeś?

Powiedziała to do barmana w rozpiętym, poplamionym kitlu. Oparła piersi o blat stołu.

— Był marynarzem, ten mój chłopak...

Pomyślałam: Mark nie wiedział, w co się pakuje. Tak samo Roman. Mieli jakieś nadzieje, że zrobią ze mnie normalną kobietę. Och Mark, pomyślałam, ale ci narobiłam bigosu, co...

— ...powiedziałam: „Bert, masz dobre serce, a to się liczy więcej niż ten interes. Ale to nie wszystko. Musisz być lojalny”. Potem pomyślałam sobie, że użyłam śmiesznego słowa. Oczywiście miałam na myśli „wiorny”...

Lojalny, pomyślałam. Kto był w tym wszystkim lojalny i wobec kogo? Nie było tu nikogo lojalnego, może oprócz Marka. Istoty ludzkie nie kierowały się lojalnością. Zachowywały to raczej dla gorszych stworzeń, takich jak psy i konie.

Wypiłam trochę guinnessa, którego postawiła mi ta kobieta. Czyja się w ogóle do niej odezwałam? Nie mogłam sobie przypomnieć. Ajak jej wszystko powiedziałam? Co ona na to powie? Jej doświadczenie życiowe ograniczało się do zwykłych spraw, które nie poszły tak, jak trzeba. Moje do kompletnie nienormalnych wydarzeń. Mogłam na przykład zacząć: „Jestem złodziejką, a moja matka dziwką...”

Po chwili znowu spojrzałam w lustro i zauważyłam, że ta dziewczyna mówi. A ta rozmemłana kobieta zamilkła. Po prostu zamilkła i słuchała

jej. A jej pełne, namiętne usta były szeroko otwarte. Sprawiała wrażenie osłupiałej, chyba też czuła się niezręcznie, jak ktoś, kto podniósł z ziemi padalca i zorientował się, że to grzechotnik.

Wydaje mi się, że powiedziałam jej wszystko. Ale nie jestem pewna. Na pewno powiedziałam jej wystarczająco dużo, by mogła się zacząć zastanawiać, czy przypadkiem nie zawarła znajomości z dziewczyną, która zwiłała ze szpitala psychiatrycznego. Co, jak przypuszczam, było na tyle bliskie prawdy, że nie byłoby o co robić sprawy. Podczas gdy mówiłam, spjrzałam na siebie w lustrze i pomyślałam: oto Marnie Elmer, oto stara dobra Marnie Elmer. Wyglądała całkiem nieźle, ale mimo że była cyniczna, to tak naprawdę nie chciała nikomu zrobić krzywdy. Była po prostu przegrana od momentu, kiedy przyszła na świat. Lepiej byłoby, gdyby matka również jej się pozbyła. Cóż, teraz na pewno była już przegrana — to był jej koniec, tu w tym pubie. Gdy skończy opowiadać tej kobiecie o całym swoim smutnym życiu, wyjdzie stąd i zniknie na zawsze. Czy ktoś miał się narodzić na jej miejsce? Czy było w niej coś wartego ocalenia? Ani Mollie Jeffrey, ani żadna z tych kobiet. Musiałby to być ktoś kompletnie nowy. Może byłam głupia, traktując to w ten sposób. Gdy mówiłam, przerażenie i szok zaczęły powoli mnie opuszczać. Przynajmniej byłam wolna. Już czwarty raz to sobie powiedziałam. Powtarzałam to w kółko, czekając na jakąś reakcję, ponieważ cały czas, kiedy byłam żoną Marka, tak mocno chciałam się wreszcie uwolnić. Mogłam stąd wyjść i powiedzieć sobie: no cóż, może jestem trochę stuknięta jak moja matka, ale co z tego? Do tej pory jakoś dawałam sobie radę i nikt nie mógł mnie uznać za głupią. Mogłam dalej żyć, stosując stare sztuczki... Muriel Whitstone... Całkiem fajne nazwisko...

— To by było na tyle — powiedziałam. — Chciałaś wiedzieć, co ze mną jest nie tak. Cóż, teraz już wiesz. Dzięki za piwo. Mogę ci teraz postawić?

Gapiała się na mnie oniemiała.

— Nie jestem szurnięta — zaznaczyłam — a przynajmniej nie do tego stopnia. To wszystko prawda. Dziwne, co też może się niektórym przytrstfić co?

Zamówiłam guinnessa dla niej i brandy dla siebie. Przyszło trochę nowych osób, a ten facet z ustami jak kłapa ciężarówki na nowo podjął swoją historię: .

— Graliśmy w dwunastu chłopca. Mówię wam. Ten pieprzony sędzia...

— Robisz mnie w konia, skarbie — powiedziała kobieta.

— Jak Boga kocham, nie.

Nagle bardzo zachciało mi się brandy. Po raz pierwszy w życiu zdałam sobie sprawę, dlaczego niektórzy ludzie muszą pić. Muszą utopić smutek wypełniający ich życie.

Przyszedł kelner, zapłaciłam, dolałam sobie do brandy trochę wody gazowanej i wlałam w siebie całą szklanke, podczas gdy kobieta ocierała sobie wąsy z piany po pierwszym łyku piwa.

— Ale dlaczego chcesz zostawić swego mężulka, skarbie? — spytała. — Pokłóciliście się, czy jak?

— Cóż — odparłam — chodziło o coś więcej.

Spojrzałam na jej ogromne piersi, szeroką łagodną twarz i pomyślałam, że nie ma sensu wyjaśniać tego akurat jej — mogłam to jej tłumaczyć, ale ile bym nie gadała, ona i tak tego nie zrozumie. Bo seks był dla niej jak wygodny fotel, ciepły ogień, szklanka guinnessa. Był dla niej właśnie tym, niczym mniej, *niczym więcej*. Jak mogła w ogóle zrozumieć, jak to jest czuć obrzydzenie, przerażenie i obłąd? Jak ona mogła pojąć, że wstręt i niechęć były tak silne, że nie mogłam ich przezwyciężyć? Tak było wcześniej, ale czy było tak nadal? Nie wiedziałam.

— Lepiej już pójdę — powiedziałam.

— No, skarbie, niezłego stracha mi napędziłaś. Wyglądasz tak młodo i niewinnie. No, mówię ci... Ale na twoim miejscu bym się nie martwiła. Życie da się znieść, jak się człowiek nie poddaje. Nic nie poradzisz na to, co zrobiła twoja mama — jest tak czy nie? Nie o to się rozchodzi. A niby wiesz, co robiła moja matka, jak miała dwadzieścia lat? Jak miała siedemdziesiątkę, była poczciwym człowiekiem, ale to zupełnie inna historia. O rany, nie opowiedziałabym moim dzieciom wszystkiego, co robiłam!

Gdy wychodziłam z pubu, ten w czapce jeszcze tam stał.

— Podwieźć panienkę? — zagadnął. — Panienska dokąd?

— Na pewno nie w pana kierunku — odparłam.

— Daj spokój, dziewczyno, wyluzuj się. Tuż za rogiem stoi mój mały, całkiem wygodny sprite. Najpierw bym cię nim przewiózł.

— Założę się, że by tak było — powiedziałam, schodząc z chodnika. Zaczął iść koło mnie. — Stoi tam. Widzisz? Ten czerwony. Nówka, zeszłoroczna. Jechałaś kiedyś takim? To może być nowe doświadczenie.

— Siedzenie w twoim samochodzie byłoby na pewno kompletnie nowym doświadczeniem — odparowałam, odepchnęłam jego rękę i odeszłam. Szedł za mną jeszcze chwilę, ale potem zawrócił.

Poszłam do końca ulicy, gdzie stał kościół. Było dość ciemno. Muriel Whitstone, pomyślałam, wydechając powietrze nasycone oparami brandy,

narodziła się Muriel Whitstone. Wróć, prześpię się na Cuthbert Avenue, a jutro zabiorę kilka swoich rzeczy i wyjadę. Najpierw pojadę do Southampton, potem wsiadę w autobus do Bournemouth. Tam pójdę sobie przefarbować włosy, zmienić kształt brwi i może jeszcze czegoś, i we wtorek ruszę do Leeds. To takie ekscytujące, tak jak kiedyś, tworzyć nową historię, nową osobę. A tym razem pieniądze będę wydawać tylko na siebie. Do diabła z całym światem!

Przy żelaznej furtce, wiodącej do kościoła, zauważyłam płaczące dziecko.

— Co ci się stało? — zapytałam.

— Mama mnie zostawiła — odparł chłopiec. Mógł mieć około ośmiu lat.

— Gdzie mieszkasz?

— Na Davidge Street, numer dziesięć. O, tam.

Pomyślałam sobie, to niedobrze pozwolić dziecku w tym wieku samotnie wałęsać się nocą.

— To daleko stąd?

Potrząsnął nastroszoną czupryną. — Tam jest tata. To było mi niemal po drodze.

— Zaprowadzę cię, jeśli chcesz.

— Nie chcę tam iść.

— Dlaczego? Twoja mama mogła wrócić do domu przed tobą.

Na te słowa mały znowu zaczął płakać, a potem kaszleć. Miał paskudny, mokry kaszel, brzmiało to tak, jakby ktoś mu wrzucił do gardła łopatę mokrego węgla. Wzięłam go za rękę i ruszyliśmy. W świetle latarni wyglądał na chudego i rozgorączkowanego. Ubrany był ciepło, ale był wątpy i miał gorączkę.

Pomyślałam sobie, że jakbym była zakonnica, mogłabym się opiekować chorymi dziećmi. Może w ten sposób zadośćuczyniłabym za to, które położono pod moim łóżkiem... Ręka chłopca spoczywała w mojej, tak ufnie, jakbym była jego rodzoną ciotką.

— Jak to było, jak zostawiła cię mama?

— Nie zostawiła mnie — odpowiedział.

— Jak to, nie zostawiła cię?

— Bo ona mnie dziś nie zostawiła.

— Co masz na myśli?

— Zostawiła mnie w środę.

Szliśmy jeszcze jakiś czas. Aż do Davidge Street i skręciliśmy w nią. Nie miałam dla niego nic słodkiego, ani karmelka, ani nic. Nagle pomyśla-

249

lam sobie, że nie obchodzi mnie żadna Muriel Whitstone. Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek przyjdzie na ten świat! Nie interesuje mnie ani ona, ani jej nędzne sekretarskie obowiązki, ani jej kradzieże. Nie wiem, co się stanie z Muriel Whitstone, ale Marnie Elmer już tego wystarczy. Już nie może więcej wymyślać ludzi. I nie może już dalej żyć.

— Co masz na myśli? —powtórzyłam. — Twoja mama zniknęła w środę? A kiedy wróci?

— Ona już nigdy nie wróci — powiedziało dziecko. — Powiedzieli mi, że będzie mnie odwiedzać, aleja tam wiem swoje. Widziałem ją. Wynieśli ją w pudełku. Ona nie żyje.

Znowu zaniósł się płaczem, objęłam rękami jego głowę i przytuliłam go. To pewnie dobrze mi robi, dla odmiany zostać mamą. Skupić się na czyimś smutku, zamiast na swoim. Przestać użalać się nad sobą i swoim złamanym sercem i rozejrzeć się dokoła. Bo być może zmartwienia wszystkich ludzi są w gruncie rzeczy do siebie podobne. Pomyślałam, że tak naprawdę nikt nie jest samotny. To świat jest samotny.

## Rozdział 21

Nie wiem, o której wróciłam na Cuthbert Avenue. To wszystko nie zajęło mi raczej dużo czasu. Odprowadziłam chłopca, poznałam jego ojca i poszłam do domu. Może była siódma, może wpół do ósmej.

Ojciec chłopca był chuderlawym typem o płowych włosach.

— Przenieśliśmy się tutaj ze Stoke, bo mówili, że tu lepszy klimat. Niby, że lepszy dla Shirley. Zmieniłem pracę. Trzy funty mniej tygodniowo. Ale jak tylko tu przyjechała, zaczęła pluć krwią. Chcieli ją wziąć do szpitala, ale ona nie chciała. „Nigdy więcej” — mówi. — Umrę w moim własnym domu”. A Bobby cichutko wszedł do pokoju, kiedy byłem odwrócony plecami. Wiedział już, o co chodzi. Staralem się trzymać dzieci z dala od tego, ale wszystkie się zorientowały.

Gdyby mnie poprosił, zostałabym z nim. Była tam jeszcze trójka dzieci, a on wyglądał na załamane. Ale on nie poprosił, a ja nie zaproponowałam. Potem żałowałam, że tego nie zrobiłam. Pozwoliłoby mi to przestać bezustannie myśleć.

Gdybym tylko mogła zająć się czymś przez szesnaście godzin na dobę.

Kiedy doszłam do Cuthbert Avenue, przed numerem dziewiątym stał zaparkowany samochód, który wydał mi się znajomy, i nagle przyszła mi do głowy śmieszna myśl, że to może być Mark.

Oczywiście, to nie był on. Nie wiedział, gdzie jestem, a zresztą miał wyjść ze szpitala dopiero w poniedziałek. Ale widok tych świateł przypomniał mi o tym, jak wychodziłam z farmy Garroda, a on czekał tam na mnie, i pomyślałam sobie, no cóż, tym razem przywitałabym go z większą życzliwością niż wtedy. Mogłabym mu powiedzieć wszystko, tak jak powiedziałam to tej kobiecie w pubie, i być może on nawet by to po części zrozumiał. Zawsze bardzo się starał zrozumieć. Mogłam go nienawidzić, ale musiałam przyznać, że z całych sił starał się mnie zrozumieć.

Być może już przestałam go nienawidzić. Byłam za bardzo zmęczona i wykończona, by nienawidzić kogokolwiek, a już na pewno nie jego.

Gdy tak szłam w stronę domu, poczułam, że ucieszyłabym się, gdybym mogła z nim porozmawiać. Był to dla mnie samej niezły szok, ale tak właśnie poczułam. W porównaniu z resztą mojego życia, małżeństwo z Markiem było okresem pełnym spokoju, bezpieczeństwa i ładu. Oczywiście, istniała jedna, ogromna przeszkoda, która być może nadal istniała i która być może istnieć będzie zawsze, ale reszta była w porządku.

I można było z nim porozmawiać.

Skreślając Mollie Jeffrey i wszystkie Muriel Whitstone, nie pomyślałam o jeszcze jednej istniejącej osobie, o Margaret Rutland. Co miałam z nią zrobić?

Zresztą, było już za późno. Miała zniknąć razem z innymi postaciami.

Znowu zachciało mi się pić, stanęłam przed drzwiami, zastanawiając się, czy w domu będzie jakiś alkohol. Raczej mało prawdopodobne. Już matka tego dopilnowała. Czy skrycie pragnęła także zostać alkoholiczką?

Nie miałam klucza, zapukałam więc do drzwi. Otworzyła mi stara Lucy, zupełnie jak zeszłej nocy, tyle tylko, że nie miała spuchniętej twarzy.

— O, Marnie, nie mogliśmy się ciebie doczekać — powiedziała. — Jest tu jakiś pan do ciebie.

Weszłam do środka i przeszłam do frontowego pokoju. Wujek Stephen siedział tam, rozmawiając z Terryem.

## Rozdział 22

Pokój był słabo oświetlony. Półkolisty klosz u sufitu miał niby dawać światło, ale tak naprawdę większość szła do góry, tak więc twarze wszystkich pozostawały w półcieniu. Twarz Terry'ego była w nim skryta.

— O, jak dobrze cię widzieć, moja droga — powiedział. — Właśnie przyjechałem. Do końca nie byłem pewien.

Miał na sobie żółty krawat, zieloną sportową marynarkę i rdzawoczer-woną kamizelkę.

— Jak się dowiedziałeś, gdzie w ogóle jestem?

— Usłyszałem komunikat. Na początku nie myślałem, że chodzi o ciebie, dopóki nie zadzwoniłem do domu, dwa razy, i nikt nie odpowiadał. To mi dało do myślenia. Pomyślałem sobie, to musi być twoja matka.

Pili piwo. Pewnie wujek Stephen je gdzieś kupił. Usiadłam na krześle.

— Po co przyjechałeś?

— Pomyślałem, że mógłbym pomóc. Nie wiedziałem, w jakim jesteś stanie.

Uśmiechał się współczująco. Nadal było w tym coś mętnego, ale byłam zbyt wyczerpana, żeby się tym przejmować.

Działo się to jak we śnie — widzieć kogoś z innego życia, które rozpoczęłam gdzie indziej, na własną rękę.

Wujek Stephen powiedział: — Pan Holbrook właśnie mi mówił, że twój mąż został poważnie ranny przy upadku z konia. Nic o tym nie wiedziałem. Powinnaś nam była o tym powiedzieć, Marnie.

Ciągle patrzyłam na Terry'ego. — Jego stan się nie pogorszył?

— Nie.

Weszła Lucy. — Przygotowałam kolację. Wszystkim nam dobrze zrobi. Panie Holbrook? Nakryłam na cztery osoby.

— Dziękuję, z przyjemnością — odpowiedział Terry. — Choć nie chciałbym zbyt późno wyjechać.

Jedliśmy kolację w jadalni, gdzie wszystkie meble były nowe. Kupiłam je im do nowego domu. Dzięki temu jadalnia nie budziła we mnie takich wspomnień, jak pozostałe pokoje. Dużo bym dała, żeby sobie przypomnieć, dlaczego nienawidziłam tego zegara w kuchni. Niestety, nie mogłam. Ale jak tak siedziałam, skubiąc szynkę i pogryzając ogórka, przypomni mi się szorstki dotyk munduru na spodzie ud, gdy ktoś podniósł mnie do góry i posadził na kolanie jakiegoś mężczyzny. I przypomni mi się coś stra-

sznego, jak walka, jak wojna, która rozpełtała się nagle nad moją głową. To tata bił się z jakimś mężczyzną...

— Zjedz szyneczkę, złotko — powiedziała stara Lucy. — Gdybym wiedziała, że będzie ktoś na kolacji, upiekłabym jakieś mięso.

Przy posiłku rozmawialiśmy niewiele. Przypuszczam, że nikt me miał pojęcia, ile wiedzą pozostałe osoby, wobec tego każdy bał się powiedzieć coś niewłaściwego. Terry i wujek Stephen zaczęli rozmawiać o podwodnym polowaniu na ryby.

— Marnie? — To był Terry.

— Tak?

— Nie miałabyś ochoty wrócić ze mną do domu?

— Dokąd?

— Może odwiózłbym cię do domu?

Wbiłam widelec w szynkę, ale nie podniosłam go do ust.

— Właściwie, dlaczego by nie? — spytał wujek Stephen.

— Dlaczego by nie co?

— Lepiej wróc z panem Holbrookiem do domu. To był dla ciebie ciężki dzień, a jak twój mąż niezbyt dobrze się czuje, powinnaś do niego pojechać, inaczej będzie się martwił. My z Lucy wszystko tu uporządkujemy.

Prawda, Lucy?

— A pewnie, pewnie — odparła Lucy, patrząc na mnie swoim większym okiem.

— Nie mogę teraz tam jechać — powiedziałam.

— Możesz tu wrócić za kilka dni. Naprawdę, tak będzie najlepiej.

— Mark jest nadal w szpitalu — rzekłam. — Mój powrót i tak mu nie pomoże.

Ale w czasie, gdy to mówiłam, jakiś wewnętrzny głos zapytał: a właściwie dlaczego by nie? Choć myślałam, że to szaleństwo, posłuchałam tego głosu. Bo wiecie, nagle zdałam sobie sprawę, że ze wszystkich osób na świecie najbardziej pragnęłabym teraz porozmawiać z Markiem. Bardziej niż ktokolwiek inny zmusił mnie do mówienia, kiedy jeszcze me chciałam mówić, wiedział więc o mnie więcej niż ktokolwiek inny. Chciałam do niego wrócić i uzupełnić luki w mojej opowieści. Chciałam pójść do niego i powiedzieć: „Zobacz, taka jestem, oto co mi się przydarzyło, oto pokrecona rodzina, z której pochodzę — jeszcze się zastanawiasz, dlaczego me pasują do twojego wyobrażenia o żonie?”

Nie było nikogo innego, komu mogłabym to powiedzieć. Nikomu, nawet Romanowi. Czułam, że jeśli zobaczyłabym Marka, porozmawiałabym z nim, wyjaśniłabym to i owo, pomogłoby mi to, a też pomogłoby jemu

253

mnie zrozumieć. Powiedziałabym do niego: „Czy ty zdajesz sobie sprawę, z kim żyłeś, zdajesz sobie sprawę, z kogo chciałeś uczynić matkę swoich dzieci?” A jeśli bym mu to powiedziała, myślę, że mógłby wyjaśnić mi to w taki sposób, który pomógłby mi jakoś z tym żyć. To było wszystko. Chciałam po prostu wyjaśnić. To nie był jakiś wygórowany cel, prawda? Nie chciałam wrócić do niego na stałe — chciałam tylko porozmawiać.

— Jeśli wyjedziesz dzisiaj — powiedział wujek Stephen — osobiście dopilnuję tutaj wszystkich spraw. Mogę zostać kilka dni... Podrapał się po nosie, spojrzął na Terry'ego i dodał ostrożnie:

— Widzisz, Marnie, to już nie jest twoje miejsce.

Lucy dmuchała na swoją herbatę, by ją ostudzić. Para snuła się przez stół, aż do Terry'ego, który na talerzu kroił chleb na małe kawałki. Spytałam Terry'ego:

— Po co tu przyjechałeś?

Wszyscy spojrzeli na mnie. Terry odparł:

— Pomyślałem, że mógłbym być pomocny.

— Naprawdę taki miałeś zamiar?

— Dlaczego nie? Chyba nie myślisz, że przyjechałem do tego najbardziej mokrego miejsca na świecie dla samej przyjemności, co? Pomyślałem sobie, Marnie ma kłopoty, a Mark jest chory, więc może mógłbym jakoś pomóc... — Jego oczy koloru błota spoczęły na chwilę na Lucy i wujku. — Jasne, przyznaję, że nie darzę Marka wielką sympatią. Wybaczysz, moja droga? Ale nie chcę też kierować się ciągle urazami.

— Zawiózłbyś mnie... Zawiózłbyś mnie do domu? .

— Oczywiście. Jeśli nie chcesz, zostawię cię tutaj. Jest mi wszystko jedno. Chciałem po prostu coś dla ciebie zrobić. Nadal byłam zbyt zmęczona, by jasno myśleć. Miałam wrażenie, że coś uszło mej uwadze, ale właśnie w tym momencie mój mózg jakby się wyłączył. Ciągle czułam się jak we śnie.

— Może wolisz, bym zrobił dla ciebie coś innego — dodał. — Jak pan myśli, panie Treville? Jest coś, co mógłbym dla państwa zrobić?

— Proszę zabrać Marnie do domu. To najlepszy pomysł. Będę wdzięczny, jeśli pan to zrobi, a jestem pewien, że ona także. Życzenie jest jak woda spiętrzona przy tamie. Przepuszczasz mały strumyczek, myślisz sobie, a co tam, to tylko trochę, ale w mgnieniu oka strużka drąży kanał, brzegi się zapadają, woda przepływa ze zdwojoną szybkością, robi się powódź, która zabiera ze sobą wszystko. Tak to właśnie było wtedy ze mną. Rzecz jasna, to był szalony pomysł, znowu zoba-

czyć się z Markiem. Nie słuchałam już głosu rozsądku. Chciałam go zobaczyć. Musiałam mu powiedzieć. Z drugiej jednak strony nie poddałam się tak od razu. Pozwoliłam się po prostu nieść aż do końca kolacji, a gdy się skończyła, poszłam na górę So sypialni mamy i stałam tam przez jakieś kilka minut, patrzyłam na ubrania w szafie, na stary niebieski szlafrok z jedwabnymi guzikami i buty na obcasach - trzy pary, bardzo małe, wszystkie czarne. I nagle ze złej osoby stała się dla mnie po prostu żalosna i śmieszna. Wszystko, co robiła może oprócz jednej rzeczy, było żalosne, jej kłamstwa jej życie na pokaz jej głupia duma... Pomyślałam o niej po raz ostatni jak o osobie, którą kochałam najbardziej na świecie, i o osobie, której od tego ranka najbardziej nienawidziłam, a wtedy dwanaście godzin od tego ranka wydało mi się dłuższe niż całe moje dotychczasowe życie. Nie czułam już do niej miłości, poza tym, że było mi jej żal.

I pomyślałam: może jeśli jest ci jej żal wystarczająco mocno, tego żalu nie wystarczy dla ciebie.

Pokój był pusty i zimny, czuć było w nim mdły zapach hiacyntów i zepsucia.

Zeszłam na dół i powiedziałam Terry'emu, że wrócę z nim do domu.

To była zimna noc, ale wiatr już ustał. Ucałowałam wujka Stephen'a i starą Lucy, powiedziałam im, że wrócę za kilka dni, nie mając naprawdę takiego zamiaru. Niczego sobie nie wyobrażałam, nie wybiegałam na razie myślami za daleko wprzód. Nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, co ten powrót miał oznaczać.

Jechaliśmy szybko przez noc. Przejechaliśmy przez Newton Abbot, ominęliśmy Exeter, a następnie drogą A30 i A303 pojechaliśmy na Wincanton przez Honiton, Ilminster i Ilchester. Pomyślałam sobie że życie jest jak zakład dla psychicznie chorych. Każdy hodzi w sobie złudzenia, trzymając je głęboko ukryte, żeby były niewidoczne dla innych. Przemierzasz więc mnóstwo sal, mijając tłumy kłębiących się osób, by dotrzeć do tej jednej, zdrowej. I to właśnie robiłam w tej chwili.

- Dziwne wiesz - odezwał się Terry - dzwonię do ciebie w środę, zapraszając cię na przejażdżkę w piątek wieczorem, i proszę bardzo, moja droga, jesteśmy na przejażdżce. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy, prawda? Nigdy nie wiesz, czy ci się poszczęści, czy nie.

W tym momencie mechanizm na nowo zaczął sprawnie działać.

— Ale jak się zorientowałeś, że moje panieńskie nazwisko brzmiało Elmer?

— Moja droga, zawsze myślałem, że to twoje pierwsze małżeństwo to kłamstwo, wiesz o tym. Nie chciałem się wściekać, ale drażni mnie, jak przeczuwam coś takiego, a nie wiem nic na pewno. Poszedłem więc do urzędu stanu cywilnego i sprawdziłem wpis z waszego ślubu, i dowiedziałem się, że Mark poślubił Margaret Elmer, pannę z parafii Św. Jakuba w Plymouth.

— Rozumiem.

— Chcesz mi coś powiedzieć na ten temat?

— Nie, teraz nie mogę, Terry.

— Czy Mark wiedział o tym już wtedy?

— Dowiedział się o tym dość wcześnie.

Terry gwizdał jakąś krótką monotonną melodyjkę. — Dziwny facet z tego Marka. Jest jak kurek na kościele, nigdy nie wiesz, w którą stronę się obróci.

— Kurek sam się nie kręci, to wiatr nim obraca.

— Teraz dla odmiany go bronisz, co? To naprawdę o wiele bardziej stymulujące, kiedy żona odczuwa zdrową niechęć do swego męża. Dlaczego w ogóle za niego wyszłaś, moja droga?

Dlaczego za niego wyszłam? To może wiedziałam, ale czy naprawdę wiedziałam, dlaczego chcę do niego wrócić? Czy wraca się do mężczyzny tylko po to, by coś wyjaśnić? A jak już wyjaśnię, w jaki sposób zamierzałam go ponownie zostawić?

— Wybacz, że zabrzmiało to melodramatycznie — powiedział Terry — ale czy on ma na ciebie jakiegoś „haka”, czy co? Było jasne jak słońce, że oszalał na twoim punkcie, ale zaraz też się okazało, że za tym parawanem „nie okazujemy sobie uczuć przy innych” kryje się twoja nienawiść. No wiesz, każdy bystry kuzyn byłby tym wszystkim zaintrygowany.

— Tak, rzeczywiście, Terry.

Jeśli nienawidziłam Marka, to dlaczego chciałam się z nim teraz zobaczyć? Czyja się zmieniłam? Czy coś się wydarzyło? Czy mnóstwo małych elementów we mnie nagle zaczęło obracać się w odwrotną stronę, tylko dlatego, że nagle dowiedziałam się o nich więcej? Nie, to nie było to. Nawet w domu wariatów życie nie było aż tak zwariowane.

Zresztą, jeśli cokolwiek mi się przytrafiło, to znaczy coś, co mogło zmienić moje uczucia do Marka, to nie było tylko to czy tamto, to nie było odkrycie tego, co zrobiła matka i temu podobne, ale to była suma tego wszystkiego, co działo się przez ostatnie tygodnie. To były wizyty u Roma-

256

na, Forio, mieszkanie w domu z Markiem, zadawanie się z sąsiadami, wieści'o matce i bycie razem z Markiem w jednym wielkim nierozpłatywalnym kłębowisku, przypominającym kłębek wełny, którą bawi się kot.

— Nie odpowiedziałaś — rzekł Terry.

— Na co?

— Czy go kochasz?

— Kogo?

— Marka, moja droga, a kogóż by innego?

— Nie wiem...

O rany, czy ja go nie kochałam? Oczywiście, że nie, ale nie należało mówić Terry'emu wszystkiego.

— A on nadal cię kocha?

— Myślę, że tak.

Kocha mnie? Co zrobiłaś takiego, by podtrzymać tę miłość od momentu waszego ślubu? Zachowywałaś się jak obrażony więzień, odmawiałaś mu seksu, udaremniałaś jego wszelkie próby naprawy, grałaś z jego psychiatrą w kotka i myszkę, próbowałaś się utopić, a potem złamać jego i swój kark. Dlaczego miałby cię kochać? Teraz ściska cię w żołądku. Co to, do cholery, znaczy?

Przejechaliśmy przez Andover i skręciliśmy w drogę do Newbury. Panował na niej większy ruch i Terry musiał wymijać samochody.

— Naprawdę chciałbym wiedzieć, czy on cię nadal kocha. To dla mnie bardzo ważne.

— Dlaczego?

— No cóż, jeśli tak nie jest, nie ma sensu, żebym cię tam zawoził, prawda?

— Hm, to bardzo miło z twojej strony.

— Kiedyś trzeba spełniać te dobre uczynki.

Co kiedyś powiedział Mark? „Chcę walczyć o ciebie. Jesteśmy w tym razem”. Skurcz w żołądku nie ustępował.

Oczywiście wiedziałam, co mnie czekało po powrocie. Jeśli odnalazłabym Marka w takim samym nastroju, w jakim go zostawiłam, cały czas gotowego naprawić nasze małżeństwo, nawet wiedząc to wszystko, co chciałam mu powiedzieć, i gdybym ja postanowiła zostać i spróbować razem z nim, oznaczało to zdecydowanie się na którąś z wersji rozwiązania problemu skradzionych pieniędzy. Nawet jeśli bym mógł, wiem, że nigdy nie zdecydowałby się na

jakiegokolwiek inne wyjście, i wiedziałam, że jeśli z nim zostanę, to będę musiała prawdopodobnie się zgodzić, by podjął próbę przekupienia poszkodowanych.

257

Ale czy myślenie o zostaniu z nim miało w ogóle jakieś podstawy, biorąc pod uwagę to, co teraz o sobie wiedziałam? Będzie chciał, żebym została? Chyba musiałam być nieprzytomna, żeby dać się w ogóle namówić na powrót.

Musiałam się poruszyć, bo Terry zapytał:

— Niewygodnie?

— Nie.

— Może powinnaś spróbować zasnąć?

Jeśli teraz wrócę, nikt nie będzie wiedział, że w ogóle wyjeżdżałam — dziwne. Poza Terryem nikt nie musi o tym wiedzieć.

— Terry...

— Tak?

Ale to znowu oznaczało powrót do starych sztuczek. Ciągłe kłamstwa i kłamstwa, zaciskające gardło, wciskające się w każdy por mojej skóry. Nigdy nie dojdę do ładu z Markiem, postępując w ten sposób

— Tak?

— A, już nic...

Musieliśmy zatrzymać się na stacji koło High Wycombe, żeby zatankować. Pomyślałam o małym wozie Estelle, który zostawiłam w Torquay i zastanowiłam się, co też z nim się stanie. Powoli opanowywała mnie senność, próbowałam z nią walczyć, ale nadaremnie. Zaraz potem jak ruszyliśmy, chyba się zdrzemnęłam. Gdy się obudziłam, w twarz świeciły mi reflektory samochodu nadjeżdżającego z przeciwka, ale nadal czułam się otumaniona, tak jakby nagle mój cyniczny pancerz nieco się rozluźnił. Nagle pomyślałam sobie: a co, jeśli kochasz Marka? Ty skończona idiotko, co z tego, że myślisz teraz, że go kochasz. Czy to bardziej pewne niż nienawiść, którą czułaś na Ibizie? I nagle zdałam sobie sprawę, że dłużej już nie mogę wyciągać wniosków tak, jak do tej pory, że mój mózg nie zamierzał mi wskazywać, co mam czuć. Nagle poczułam się zagubiona i kobieca, i jeśli Mark byłby wtedy przy mnie, rzuciłabym się, szlochając, w jego ramiona, pragnąc znaleźć w nich miłość, pocieszenie i bezpieczeństwo. Cholera ale może się człowiekowi zamulić mózg. Cieszyłam się, że go tu nie było! Ale właściwie, dlaczego miałabym się tak nie zachować, gdybyśmy się spotkali? Zresztą dzisiejszą noc spędzę sama w domu w Little Gaddesden, a sen może jakoś mi pomoże uporządkować to wszystko i poukładać równo w osobnych szufladkach. Same brudy. Byłam kupą brudów — dlaczego oczekiwałam od Marka że za mnie zrobi porządek? Nie powinnam była w ogóle wracać. Stał teraz

w drzwiach, a obok niego stała szczupła kobieta w czerni, a jak podeszliśmy bliżej, zobaczyłam, że to matka. „Wejź, kochanie — powiedziała — wyjaśniłam wszystko Markowi i on rozumie, dlaczego zabiłam dziecko. Mówi, że na moim miejscu zrobiłby to samo”. Otworzyła usta do uśmiechu, ale zamiast jej zębów... Gwałtownie podniosłam się na siedzeniu, zamrugałam i zobaczyłam przed sobą wijącą się drogę. Jechaliśmy za ciężarówką, a czerwone światło migąło za każdym razem, gdy braliśmy zakręt.

— Wszystko w porządku? — zapytał Terry.

— Tak.

Po jakiejś minucie powiedziałam:

— Przykro mi z powodu twoich stosunków z Markiem, Terry. Wiesz, że zawsze cię lubiłam. Szkoda, że nie możemy się wszyscy przyjaźnić.

— Nie myśl o tym. Mamy jeszcze sporo życia przed sobą. Za dwadzieścia lat wybaczymy sobie wszystkie numery, które sobie nawzajem wycięliśmy, i wybaczymy sobie, że nie wybaczyliśmy sobie wcześniej.

Czerwone oko ciężarówki przypominało oko doktora Romana, kiedy próbował mnie zahipnotyzować — tyle, że to miało lepszy efekt. Miało w sobie coś wstępnego, brudnego. Roman powiedział: „Nie ma sensu, żeby pani do mnie przychodziła, moja droga. Nie mogę pani pomóc, pani problem nie jest natury psychologicznej, to sprawa dziedziczenia. Zabicie dziecka, to się przenosi z pokolenia na pokolenie. Jeśli sama będzie pani miała dziecko, zrobi pani to samo, moja droga. Tak jest już pani zbudowana, nie wiedziała pani o tym?”

Nagle czerwone oko zaczęło stawać się coraz większe i większe, pojawiło się po mojej stronie i zaglądało do środka jak paskudna, wroga twarz, a potem, zanim zdążyłam krzyknąć, wyprzedziliśmy ciężarówkę i oko zniknęło.

— Jeszcze tylko trochę — powiedział Terry. Nawet on wydawał się zmęczony i napięty.

Mark znowu czekał na mnie w drzwiach, tym razem jednak nie było z nim matki. Wyszedł, szedł w kierunku furtki ścieżką koło stajni. Powiedział: „To wszystko bzdury, Marnie, te wszystkie przeszkody, które wznosisz. Nic się nie dziedziczy, wychowanie nie ma znaczenia, w Sangerford nie wydarzyło się nic takiego, czego nie moglibyśmy wyrzucić z pamięci na zawsze, jeśli tylko chcesz spróbować, jeśli masz w sobie trochę odwagi i miłości. Bo one są o wiele silniejsze niż te wszystkie marne zjawy. Jeśli raz uda ci się znaleźć wyjście z gąszczu, nie ma nic, czego wspólnie nie moglibyśmy zrobić”.

Moja głowa gwałtownie podskoczyła, gdy samochód zaczął zwalniać.

— Nie ma w domu nikogo, bo wysłałam panią Leonard do domu. Ale dziś dam sobie jakoś radę.

— W porządku.

— Jestem strasznie wykończona, Terry. Zaprosiłabym cię na drinka, ale jestem kompletnie wykończona.

— Nic nie szkodzi.

— Postaram się jakoś naprawić relację między Markiem a tobą. Może jeszcze nie jest za późno.

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Moja droga, mówię ci, że to niemożliwe.

Samochód wjechał na podjazd, ale żwir zachrząścił w inny sposób. Dom — w domu paliło się światło. Terry zatrafił klaksonem. To nie był dom Marka.

— Gdzie jesteśmy? — zapytałam. — To nie jest nasz dom.

— Nie. Musiałem tu zajechać na chwilę. Obiecałem. To zajmie tylko chwilę.

Spojrzałam na niego. Jego twarz połyskiwała, jakby była mokra. Połyskiwała jak ryba, od deszczu albo od potu. Była zielona. Gwizdał, ale nie słychać było żadnego dźwięku.

Drzwi domu otworzyły się. W drzwiach stał mężczyzna, a za nim jeszcze jeden.

— Widzisz, moja droga — powiedział Terry — zorganizowałem dla ciebie przejażdżkę dziś wieczorem. Obiecałaś przyjść, więc zorganizowałem też małe spotkanie przy drinku. Jest cztery godziny później, niż przewidywałem, ale na to już nic nie poradzimy, prawda?

— O czym ty mówisz?

Mężczyzna zszedł po schodach. Drugi zaraz za nim. Teraz w drzwiach pojawiła się kobieta.

Mężczyznę, który pierwszy zszedł ze schodów, był pan Strutt.

— W pewien sposób jest mi przykro, że robię to tobie — odezwał się Terry. — W ostatniej chwili trudno... Trudno mi jest to wszystko przeprowadzić. W pewnym sensie wołałbym, żeby to był ktoś inny, moja droga. Każdy sobie coś obiecuje. Każdy spłaca swoje długi, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ale wątpię, że rozumiesz, o co chodzi.

— Nie rozumiem.

Nawet jego oczy wydawały się zielone w świetle dochodzącym z domu.

— Tylko się nad tym zastanów. Nie musisz patrzeć za daleko. Przykro mi, ale wiesz, Mark aż sam się o to prosił, prawda?

Dalej mówił na wpół do mnie, na wpół do siebie — starając się odsunąć od siebie swoje własne myśli, jak sędzę — gdy pan Strutt otworzył drzwi samochodu.

— Dobry wieczór, panno Holland. Niemal straciliśmy nadzieję, że się z panią spotkamy.

— Telefonowałem — powiedział Terry.

— Tak, ale sam pan widzi, że jest już bardzo późno. Proszę wysiąść, panno Holland, chcielibyśmy zadać pani kilka pytań. Chwileczkę, zna pani naszego przedstawiciela w Birmingham, prawda? Pan George Pringle.

Gdy zdarza ci się coś takiego, nie mdlejesz. Nie mdlejesz, jeśli jesteś taką osobą jak ja. Powoli wysiadasz z samochodu, patrzysz na pana Prin-gle'a po raz pierwszy po dwóch latach, i nagle z powrotem jesteś w tym biurze, i przypominasz sobie wszystkie brodawki, przebarwienia i plamy na jego twarzy.

Za sobą słyszysz zaś trzaskające drzwi i wiesz, że to wysiadł Terry, i na moment ta myśl pochłania cię bez reszty, jak mogłaś być tak głupia i myśleć, że on chciał zachować się jak przyjaciel wobec żony człowieka, którego nienawidził najbardziej na świecie. Połowa twojego umysłu myśli o tym, a w tym czasie druga połowa myśli, że być może lepiej się stało, że nie podejrzewałaś, że zniży się do czegoś takiego. Jeśli musisz żyć na tym świecie, to musisz mieć taki jego obraz, w którym nie wszystko musi być ohydne i podstępne.

A oni tak naprawdę cię nie złapali, ale stali naokoło ciebie. Z wolna zaczynasz wchodzić po schodach na górę, gdzie czeka pani Strutt. I myślisz sobie, cóż, to jest koniec, już nic nie możesz zrobić. To jest koniec. Przez sekundę myślisz: może mogłabym walczyć, mogę jeszcze walczyć, zaprzeczyć wszystkiemu. Jak mogą cię zmusić do przyznania się do czegoś, do czego nie chcesz się przyznać. Graj na zwłokę, dopóki nie przyjdzie Mark. Ale po sekundzie wiesz już, że tak nie może być, jeśli naprawdę chcesz zerwać z tym, co było.

I myślisz sobie — bo to prawda, co ludzie mówią, że tonącemu człowiekowi przelatuje przed oczami całe życie, tak więc tonąca kobieta ma mnóstwo czasu na zastanowienie się — pomiędzy stopniami — i myślisz sobie, cokolwiek się stanie, możesz nadal czekać, aż przyjedzie Mark. Wszystko jest w jego rękach.

Ale jak jesteś już na szczycie schodów, a pani Strutt, wyglądająca na zmieszaną i jakby jej było ciebie żal, odsuwa się na bok, by wpuścić cię do środka, wiesz już, tak głęboko, głęboko, że wszystko teraz zależy nie od Marka, ale od ciebie. Jeśli ty pomożesz sobie samej, on będzie gotów w tym ci pomóc. Jeśli nie jesteś w stanie znieść jego dotyku i nadal chcesz tylko od niego uciec, i chcesz nadal żyć sama, co parę miesięcy zaludniając swój wymyślony świat nowymi nazwiskami i osobowościami i wpychać szeleszczące banknoty do swojej torebki — to on nie może ci pomóc. Może to zrobić tylko wtedy, jeśli z tym skończysz, a w zamian za to z całych sił będziesz chciała go pokochać, zaufać mu i pozwolić mu się kochać.

A jedyna droga do tej miłości i zaufania wiodła właśnie przez te drzwi, wśród wrogów, z policjantem, który mógł pojawić się w każdej chwili, gdy ktoś po niego zadzwoni.

Zatrzymałam się tam i obejrzałam w tył, ale nie na któregoś z trzech mężczyzn. Spojrzałam przez ogród. Wysoko w górze nadal wiał wiatr, a postrzępiona chmura, jak podarta torebka po frytkach, unosiła się tuż nad drzewami.

Drzewa szumiały, poruszały się na wietrze, pachniały żywicą. Cały ogród był ciemny, dziwny i obcy.

Mark powiedział: „Chcę walczyć o ciebie. Jesteśmy w tym razem”. To było coś, czego powinnam się trzymać.

Pomyślałam sobie: droga do miłości wiedzie przez cierpienie. Kto to powiedział? Czy to coś znaczy, czy to tylko taka czcza gadanina?

Pomyślałam sobie: to nie będzie najtrudniejsza część. Przejście przez te drzwi to będzie najłatwiejsza część.

Wzięłam głęboki oddech, odwróciłam się i weszłam.